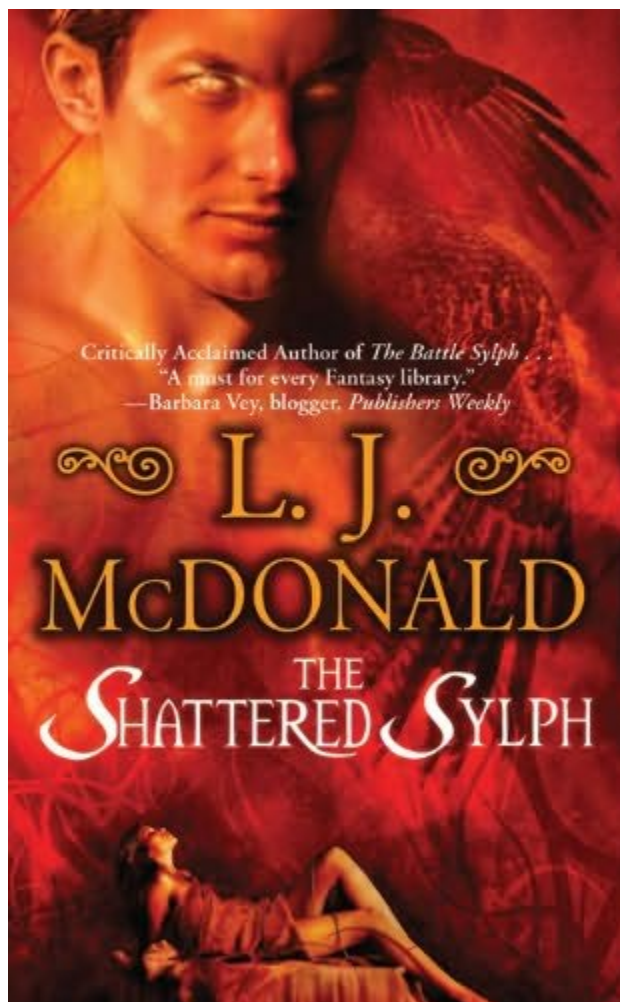


L.J. McDonald



Zdruzgotany Sylf

Tłumaczyła Rissaya

Beta: Averil

www.chomikuj.pl/Rissaya

Porwana przez handlarzy niewolników, Lizzie Petrule została zaciągnięta w łańcuchach przez Wielkie Morze do skorumpowanego cesarstwa Meridal. Poniżej pływającej cytadeli i oceanu złotych piasków, leży miejsce przyjemności dla gladiatorów i więźniów, gdzie dziewczęta zmuszane są do zaspokajania ich cielesnych pragnień.

Mimo nikłych szans przeciwko nieograniczonej magii, trzech mężczyźni przyrzekli uwolnić Lizzie: Justin, konkurent do jej ręki, Leon, jej ojciec i Ril, zmiennokształtny, ale znużony walką bitewnik. Razem, ta niedobrana grupa może ocalić dziewczynę, ale tylko wykorzystując słowo, które musi pozostać niewypowiedziane, tylko z wrogiem, który jest przyjacielem, i tylko ze zdradą, która w sercu jawi się jako akt miłości.

Prolog

Mężczyzna znany z okrucieństwa i przemocy, Cherod Mash, przybył do Doliny Sylfów rozglądając się za czymś do picia, bójką i zabawą, bez znaczenia w jakiej kolejności. Przede wszystkim, przybył jednak jako jeden z poganiaczy z karawaną handlową, jako jeden z chętnych, by wypróbować nowe królestwo.

O tym miejscu mówiono, że jest pełne bogactw, kamieni szlachetnych i metali z serca ziemi wydobywanych przez sylfy. Ale żaden sylf nie zmieni tych rzeczy w coś użytecznego. Do tego potrzebni byli rzemieślnicy i Cherod doprowadził tu wozy wyładowane dywanami i użytkowymi przedmiotami z południowego królestwa Yed. Słyszał, że klejnoty są wysokiej jakości, więc kiedy zakończą handel i wozy będą jechać dalej przez góry do Para Dubh, zobaczą, może kupią niektóre cenniejsze rzeczy, przejeżdżając koło morza od Meridal, zabiorą do domu i sprzedadzą z ogromnym zyskiem.

Nie, żeby te sprawy obchodziły Cheroda. Zostawiał myślenie o tym swoim pracodawcom i skupił się na prowadzeniu swojego wołu, a przynajmniej aż dojadą do miasta, gdzie było piwo do wypicia, bójka do rozpoczęcia i kobieta do łóżka. Nigdy wcześniej nie był w Dolinie Sylfów, ale słyszał, że jej mieszkańcy sypiali z sylfami, co dla niego nie miało sensu. To cholerne istoty przez większość czasu nawet nie były całkiem materialne.

Konwój przybył do Doliny późnym popołudniem, woły ryczały, mężczyźni przekrzykiwali trzeszczące wozy. Poganiając swoje własne zwierzęta, Cherod prowadził je przez ulice w stronę miejsca wskazanego przez szefa, ogromnego budynku na końcu ulicy, górującego ponad wszystkim innym. Budynek nie wyglądał jednak jak jakikolwiek magazyn, jaki Cherod widział wcześniej. Był zrobiony z solidnych kawałków kamienia, przez które biegły żyłki metalu, jak jakiś rodzaj choroby.

Budynki, które mijali, były również zupełnie wyjątkowe. Cherod widział sklepy, gdzie ściany były przezroczyste, lub gdzie dachy sięgały do nieba na tuzin lub więcej pięter. Drogi były zrobione z gładkiego kamienia, chodniki podwyższone, a każdy budynek miał schody prowadzące pod ziemię. To było dziwne widzieć ludzi

wchodzących na nie i wychodzących. Co za ludzie mieszkają pod ziemią, albo w budynkach, które wyglądają, jakby byle wiatr mógł je zniszczyć? Wszystkie te budynki wyglądały na kruche. Całe to miejsce mogło spaść na ciebie! Lepszy był przyzwoity dom zrobiony z drewna i kamienia, z prawdziwym dachem, krytym strzechą.

Chociaż, pomyślał, to miejsce może nie być takie złe. Patrzył na trzy kobiety przechodzące przez ulicę. Przeszły szybko koło jego wozu, kiedy droga była wolna. Śmiały się z czegoś, ich twarze jaśniały uśmiechami. Jedna z nich nosiła spodnie jak mężczyzna i Cherod z podziwem spojrział na miejsce, gdzie nogi łączą się z ciałem. Musiały być dziwkami, skoro ubierały się w ten sposób.

Ziemny sylf przeszedł obok, wyglądając jak mała, błotnista dziewczynka. Cherod spojrział szybko, ale znów zwrócił oczy na kobiety. Zagwizdał na nie. Obejrzały się, ale nadal szły chichocząc. Uśmiechnął się. To będzie dobra noc.

Z przodu wozy przetoczyły się przez szerokie wejście do magazynu. Stojący w drzwiach gruby mężczyzna ze spoconą twarzą gestem wskazał im, by wjechali do środka, krzycząc, żeby skręcili na prawo, bo inaczej nie będzie miejsca na wozy.

Cherod skręcił za pozostałymi i nadal myśląc o tych kobietach, prawie wjechał w mur. Gruby przewodnik zapiszczał i Cherod zaklął, po czym szarpnął mocno lejce, żeby skierować swoje woły na bok. Zaczęły ryczeć w proteście i skręcać, koła wozu skrobały o mur, ale zmieściły się. Przez to wszystko Cherod zapomniał o kobietach, szef wkurzy się na niego, jeżeli zadrapie chociaż farbę na tych cholernych kołach.

Tuż wewnątrz magazynu stał ciemnowłosy mężczyzna ze skrzyżowanymi ramionami i obserwował. Był ubrany w niebieskie spodnie i długi niebieski płaszcz ze złotymi obramowaniami. Pierwszą myślą Cheroda było, że to lord, ale szef powiedział im, że w tym miejscu nie ma lordów. Drugim skojarzeniem było, że ten mężczyzna miał coś wspólnego z prawem.

Kiedy wóz go minął, odziany na niebiesko mężczyzna spojrział w górę, ale nic nie powiedział. Cherod patrzył do przodu. Spędził zbyt wiele nocy w areszcie i szef uprzedził go, że jeżeli zdarzy się to jeszcze raz, zostanie zwolniony. Cherod przejechał wozem na tył magazynu, tam gdzie zatrzymał się pierwszy wóz. Z drugiej strony

pojawiły się następne drzwi, jedne z tych, przez które wyjeżdżało się rozładowanym już wozem. Cały sufit był zrobiony ze szkła, wpuszczając więcej światła słonecznego niż było trzeba. Było to przyjemne pomieszczenie, chociaż denerwujące. Zazwyczaj musiał rozładować swój wóz na zewnątrz, bez znaczenia czy wiał wiatr, czy padał deszcz.

Co było nawet milsze, to powietrzne sylfy zaczęły rozładunek. Cherod nie mógł ich zobaczyć, ale dywany i inne dobra wylatywały z wozów i znikaly pomiędzy ogromnym półkami, kiedy szef Cheroda wydzierał się na magazyniera o to, co tu było i w jakim stanie.

Przeciągając się, Cherod zszedł i przeszedł do następnego wozu. Powożący nim Frem obserwował sylfy z otwartymi ustami. Cherod uśmiechnął się.

- Nieźle, co?

- Aha – zgodził się Frem, z nadal z otwartymi ustami. – Chciałbym, żeby tak było wszędzie. Cholera, to miejsce jest inne.

- Taaa. Nie mogę się doczekać żeby zobaczyć, jakie są kobiety.

- Obawiam się, że wiem o tym – przyznał Frem.

Rozładowanie wszystkiego zajęło tylko dziesięć minut, co według Cheroda było rekordem. Mimo to było już za późno, żeby wyjechać przed rankiem. Skoro szef był zbyt skąpy, żeby płacić za pokoje, uważał, że jego ludzie równie dobrze mogą spać pod swoimi wozami, oznaczało to, że mają wieczór dla siebie. Musieli się po prostu upewnić, że wrócą, zanim konwój wyjedzie.

Zapłacono im też od ostatniego postoju. Cherod miał monety w kieszeni i ogromną ochotę napić się.

- Chcesz iść poszukać karczmy? – zapytał Frema. Zawsze było dobrze mieć przy sobie kumpla, który przynajmniej w teorii, powinien być chętny postawić kilka kolejek.

Frem potrząsnął głową.

- Przykro mi, zamierzam wziąć kąpiel i przespać się.

Tchórz. Po prostu nie podobała mu się reputacja Cheroda. Chociaż Cherod tak naprawdę nie żałował. Na dzisiejszą noc był bardziej zainteresowany innym towarzystwem.

- Twoja strata – chrząknął.

Szef machnął na nich, że są wolni. Ogromny mężczyzna był powożącym przez ponad trzydzieści lat. Thul Cramdon był jednym z kilku ludzi, których Cherod szanował. Thul prawie złamał mu rękę uderzając go w nią po pijanemu. Szef był uczciwy, o otwartym umyśle, chociaż dbał o to, czy sam na coś do picia, nie interesował się, co Cherod robi, tak długo jak się nie spóźnia i nic nie kosztuje Thula.

- Tu jest miejsce, gdzie możemy zostać na noc z wozami i wołami – powiedział im Thul. – Zapłatę dostaniemy jutro i wyjeżdżamy – podrapał swój chropowaty podbródek. – Tutejszy majster mówi, że tam w dole ulicy jest hotel z barem. Możecie tam zostać, ale jest tam rzeczywiście drogo – rozległy się jęki. – Kowal pozwala ludziom spać na strychu swojej stodoly, za kilka pensów – to brzmiało lepiej, chociaż Cherod naprawdę nie lubił wyciągać później siana ze swojego ubrania. – Powiedział jeszcze jedno: „Zostawcie w spokoju sylfy, zostawcie w spokoju kobiety, a przynajmniej jeżeli będą niechętne. I do cholery, trzymajcie się z daleka od mężczyzn ubranych w błękit i złoto”. To tyle. Zajmijcie się zwierzętami i wróćcie o świcie.

Mężczyźni posłuchali, rozmawiając o tym, co będą robić, kiedy wyprowadzą wozy z magazynu, idąc za szefem na puste miejsce za magazynem. Ogromny, niedaleki paddock był dobry dla zwierząt. Cherod nie przyłączył się do rozmowy. Zamierzał znaleźć bar, a jeżeli chodzi o miejsce na nocleg, to kobiety mają pokoje, prawda? Zabierze się z którąkolwiek, która weźmie go do domu.

Machając innym, ruszył w dół ulicy, mijając inne magazyny i miejsca gdzie można było kupić, czy naprawić urządzenia gospodarskie. Wszystkie budynki miały taki sam, dziwny wygląd. Co więcej, wszystko wydawało się stać zgodnie z jakimś planem... i nie zajęło mu dużo czasu zorientowanie się, że większość budynków jest nieużywanych. Wydawało się szalone budować budynki, których się nie potrzebuje, ale jeżeli ma się tyle sylfów do pracy, to nic się nie stanie, jak to zrobią.

Nie zajęło mu dużo czasu odnalezienie karczmy, o której wspomniał szef. Pokoje nad karczmą były za drogie, ale drinki duże i tanie. Piwo było zrobione przez wodnego sylfa, o czym powiedział mu dumny barman, co tłumaczyło dziwny smak, który zostawał w ustach. Ale nadal to było dobre piwo, chociaż nienaturalne. Całe to miejsce takie było. Cherod nigdy nie widział tak wielu sylfów, jak wtedy, kiedy przechodził. W samym barze były trzy, wodna sylfka właściciela myła szklanki, kiedy nie mieszała chmielu, słodu i wody w powietrzu. Wyglądała jak jakieś dziwaczne dziecko, poza tym, że dzieci nie były przeźroczyste.

Cherod nie przejmował się nią. Bardziej interesowały go dwie barmanki. Jedna gruba w średnim wieku, a druga młodsza i ładniejsza. Obie nalewały napoje i napelniały gulaszem miski klientów, gawędząc z mężczyznami równie chętnie jak ich obsługując. To znaczyło, że Cherod dostał pierwszy kufel od barmana, a potem obserwował, wskazując gestem, żeby napelnić mu go znów.

- Może powinieneś trochę zwolnić – zaśmiał się barman. – Pond¹ daje do swojego piwa więcej energii niż inni. Jest mocniejsze niż wygląda.

- Po prostu polej – warknął Cherod. W rezultacie wypił połowę pojedynczym łykiem i wskazał w kierunku młodszej kobiety. – Jest dostępna?

Barman zamrugał.

- Cherry²? Nieee, nie umawia się z klientami.

Dlaczego nie, z takim imieniem? Cherod uśmiechnął się i osuszył swoje piwo, z trzaskiem stawiając kufel przed barmanem, który wzruszył ramionami i napelnij go znów, ale z ostrzeżeniem.

- Zostaw ją w spokoju. Szybko zawoła po pomoc.

To brzmiało nawet bardziej interesująco. Po tym, jak Thul prawie złamał mu rękę, Cherod nie brał udziału w żadnej bójce z pozostałymi woźnicami, a bójka to było jego ulubione hobby, następne po picciu i dziwkach.

¹ Pond - Staw

² Cherry znaczy wiśnia ☺

- Wezmę to pod uwagę – powiedział barmanowi i zeskoczył ze stolka zataczając się przez chwile. – Cholera, *jest* mocne.

- Mówilem ci.

Cherod zignorował go, idąc prosto w stronę Cherry. Cofnęła się w jego stronę, rozmawiając z jakimś głupim klientem, który przyprowadził żonę do baru i zamówił kolację. Barman domyślając się, co Cherod zamierza zrobić, krzyknął za nim, żeby przestał, ale Cherod objął ręką kelnerkę, jego dłoń wylądowała na jej piersi.

- Hej, dziewczyno – wybelkotał - Znajdźmy jakieś miejsce, gdzie możemy się rozebrać.

Cherry krzyknęła, starając się go odepchnąć, ale Cherod tylko zaśmiał się, zaciskając chwyt i biorąc następny łyk ze swojego kufła. Barman krzyczał na niego, żeby puścił, ale był chudy, a wszyscy inni patrzyli w szoku. Jakby nikt z nich nigdy nie chwycił dziwki, żeby zabawić się.

- Chcesz coś spróbować? – szydził z barmana, jego uścisk zacisnął się na piersiach dziewczyny, aż zaczęła płakać. – Przestań jęczeć suko – warknął na nią. – Wiesz, że tego chcesz.

Drzwi otwarły się trzaskiem. Nagle, wszyscy gości zbledli, zeskoczyli z krzeseł cofając się. Barman cofnął się razem z nimi, a jego wodny sylf wydał z siebie dziwaczny pisk i zniknął, zostawiając na wpół zrobione piwo, które z pluskiem spadło na podłogę. Inne sylfy, które kręciły się dookoła, również zniknęły, lub stanęły pomiędzy swoimi mistrzami a drzwiami.

Cherod obrócił się zaskoczony, Cherry zatoczyła się dookoła niego. Zobaczyła, kto tam był i zaczęła płakać, wyciągając rękę.

Mężczyzna w niebieskim i złotym, ten który był w magazynie, wszedł do baru, jego twarz była tak pozbawiona uczuć, że Cherod zawahał się, zanim zaczął się śmiać. Patrząc na niego widział, że nowoprzybyły był mniejszy od niego o jakieś sto funtów lub nawet więcej. Niebiesko odziany nie miał przy sobie broni.

- Chyba żartujesz – zaśmiał się.

Wszedł drugi mężczyzna, a potem trzeci i czwarty. W końcu weszło siedmiu mężczyzn w niebiesko- złotym ubraniu, żaden z nich nie odezwał się, kiedy rozeszli się wypełniając bar. Rozsunęli się.

To nie była taka przewaga, jaką lubił Cherod, ale z doświadczenia wiedział, że najgorsze co może go czekać, to cios w głowę i noc w więzieniu. Już widział, jak jego praca odjeżdża jutro bez niego. Thul nie będzie znów na niego czekał.

- Co jest do cholery z wami? – wrzasnął. – Wszystko o jedną kurewską kelnerkę? – gdzieś z tyłu za nim, ktoś jęknął.

Mężczyźni wydawali się na to nie zważać.

- Rój w niebezpieczeństwie - powiedział jeden z nich cichym głosem.

- Tak – odpowiedziało kilku z nich.

- Królowa dała pozwolenie.

- O taaak.

Wszyscy syknęli, dźwięk rozlegał się nadal, kiedy już wypuścili powietrze i Cherod patrzył na nich, nagle zdenerwowany.

- Słuchajcie – odezwał się. – Puszczam ją. Widzicie? Wychodzę.

Uwolnił Cherry, a ona natychmiast podbiegła do mężczyzn, nadal płacząc. Połowa z nich zebrała się dookoła niej, przytulając ją i czuje do niej gruchając. Pozostali zostali na swoich miejscach.

- Słuchajcie – powiedział Cherod. – Ja...

Nie zdążył dokończyć. Podmuch emocji uderzył w niego, równocześnie od wszystkich, skupił się na nim niespiesznie, a on poczuł, że jego pęcherz opróżnia się, a kufel upada na podłogę. Oczy rozszerzyły się i krzyknął z przerażenia. Nienawiść, nie pochodząca od niego wypełniła go, zniszczyła jego odwagę, zostawiając go trzęsącego i bezradnego. Wydawało mu się, że serce pęknie mu w piersi. Ale nie trwało to długo. Uwaga mężczyzn zmniejszyła się i coś innego podeszło do niego, coś niewidzialnego i mającego określony zamiar.

Prawa ręka Cheroda została pociągnięta na plecy. To była ta, którą chwycił dziewczynę, nie mając zamiaru zrobić nic złego, poza niewinną rozrywką, chociaż gdyby źle czuła się rano, no cóż. Wziął wdech żeby znów krzyknąć, a jego lewa część też zaczęła palić. Krzyknął więc, jego głos był tak wysoki, że nie mógł go rozpoznać, a potem niebiesko ubrane bitewne sylfy, przed którymi był ostrzegany, zabrały jego głowę.

Rozdział 1

Ceremonia Sprowadzenia, jak nazywano ją w królestwie Yed, odbywała się w budynku z wielką kopułą, z miejscami dla widzów wznoszącymi się w rzędach. Zazwyczaj była tutaj tylko garstka obserwatorów. Tym razem chodziło jednak o wezwanie bitewnika i każdy z widzów chciał zobaczyć śmierć kobiety. Wszystkie miejsca były zapelnione. Innym powodem ich zainteresowania był fakt, że ofiara była zmysłową blondynką o łagodnych oczach, jej spojrzenie było oglupiałe i bezrozumne, nawet kiedy została wniesiona i przywiązana do zakrwawionego ołtarza. Tłum zamruczał z uznaniem na widok jej nagości.

Mężczyzna, który został wybrany, żeby zawiązać więź z bitewnikiem, stał u stóp ołtarza i machał z uśmiechem do tłumu. Był ubrany w najpiękniejsze ubranie oraz, pomimo gorąca, w czerwoną, jedwabną pelerynę. Na stopach miał sandały, a na czole cienką, złotą koronę. Nie wyglądał na bardziej bystrego niż ofiara.

Leon stał w cieniu, w przejściu dla służby. Ubrany w pospolitą, lnianą koszulę, miał przykryty wózek i czekał z pozostałymi obsługującymi. Kiedy ceremonia zakończy się, dla jej uczczenia będą podawane sery i wino, chociaż tylko dla uczestników. Widownia będzie musiała zadowolić się jedynie obserwowaniem usankcjonowanego przez rząd morderstwa.

Morderstwo. Właśnie tym to było i był to ten rodzaj morderstwa, który kiedyś Leon sam popełnił, a czego będzie żałował do końca życia. Było sześć rodzajów sylfów: wodne, ziemne, powietrzne, ogniowe, uzdrowicielskie i bitewne. Były wabione przez wrota z ich własnego świata przez proste przedmioty, na które reagowało ich usposobienie. Stawały się połączone z mężczyznami, którzy je wezwali, zmuszone na zawsze do wypełniania rozkazów swoich mistrzów i karmienia się ich energią. Wiele z nich było przekazywanych w rodzinach przez pokolenia. Sylfy właściwie lubiły ten układ, były istotami spragnionymi uwagi. Otrzymywały tę uwagę od swoich mistrzów w zamian za swoje umiejętności.

Bitewnicy byli inni. To, co wabiło ich rodzaj, to kobiety, ale kiedy przechodzili przez wrota, kobiety były zabijane, zostawiając bitewnika związanego wbrew swojej woli z mordercą, który nadawał mu imię i zmuszał go do życia w niewoli, z której nie mógł uciec, dopóki jego mistrz nie umarł. Właśnie tak kiedyś zrobił Leon, posłuchał rozkazu, żeby zabić dziewczynę, zyskując bitewnika. Po jakimś czasie nauczył się, jak złe to było i co naprawdę zrobił istocie,

którą ze sobą związał. Nauczył się, czego bitewnicy naprawdę pragną, a co dostają w Dolinie Sylfów- chętną kobietę, która jest równocześnie ich mistrzynią i kochanką.

W pozostałej części świata sylfy bitewne były rzadkimi istotami, trudnymi do kontrolowania i wzbudzającymi przerażenie w ludności z powodu przemocy i niekończącej się nienawiści. W dolinie, mając to, czego naprawdę pragnęły, wcale nie nienawidziły. Kiedy Leon wyjeżdżał na tą misję, było ich tam prawie pięćdziesiąt, co przerażało każde inne królestwo. Bitewnicy byli niesamowicie niszczycielscy, pojedynczy sylf był zdolny zetrzeć w proch całą armię. Nie wiedząc, jak robili to w Dolinie, ich sąsiedzi powiększali własną liczbę bitewników w tradycyjny, krwawy sposób. Plotki, że właśnie to stanie się w Yed spowodowały, że Leon był teraz tutaj.

Rozproszeni dookoła kręgu przywołania kapłani monotonicznie śpiewali i poruszali się, tworząc energię potrzebną do otwarcia wrót. Krąg prawie zaczął lśnić, a książę niezbyt wysokiego rodu, który najpewniej nigdy nie zostałby zaakceptowany przez bitewnika, gdyby nie to, że to nie była Dolina, uniósł ramiona w triumfie. Prawie tańczył na podium, uśmiechając się do tłumu w sposób, w jaki uśmiechają się wszyscy słabi ludzie, popisujący się w różnorodnych barach i na placach targowych, że był następnym wybrańcem, jakby uważał, że jest tu jeszcze ktoś, kto tego nie wie.

- Nie przechodź – mamrotał Leon, obserwując spod zmarszczonych brwi. Nie mógł tam podejść. Pojedynczy służący zostałby natychmiast zauważony na lśniącej posadzce, a byli tu również strażnicy, ustawieni w rzędzie przy ścianie.

Ponad okręgiem, na scenie, pojawił się w powietrzu drugi krąg, portal lśniący różnymi kolorami, na widok których przez tłum przeszło westchnienie. Leżąca na ołtarzu dziewczyna po prostu zamrugła, a Leon zastanawiał się, czy nie została odurzona narkotykami. Ledwie reagowała na to wszystko, kiedy książę pochylił się ponad nią i w oczekiwaniu wznosił wysoko nóż.

Monotonne śpiewy stały się głośniejsze, wrota zmieniały kolory od czerwieni do zieleni, niebieskiego i czarnego. W końcu zmieniły się na bezbarwne, a tłum zagrział z aprobatą. Książę patrzył się w górę, jakby poświęcał się.

Wszyscy wstrzymali oddech, po drugiej stronie był inny świat i coś patrzyło przez bramę. Sylf powietrzny byłby przyciągany przez muzykę, sylf ogniowy przez sztukę, ziemny sylf

przez coś w trakcie budowy, wodny sylf przez coś rosnącego. Uzdrowicielski, najrzadszy sylf ze wszystkich, przyciągany był przez kogoś naprawdę potrzebującego uleczenia. Ale bitewny? Przyciągany był tylko przez obietnicę miłości, obietnicę zdradzaną w pierwszej chwili przez morderstwo. Leon zapłonął od starego wstydu.

To było czyste szczęście, jeśli to co zaoferowano, przyciągało sylfa będącego po drugiej stronie wrót. Tylko inny sylf mógł powiedzieć, co tam się czaiło, a poza wzywającymi w Dolinie wszyscy pozostali działali na ślepo. Leon nie miał pojęcia, czy właściwy rodzaj sylfa patrzył przez wrota, czy podarek z kobiety zostanie odrzucony, czy też ponownie spróbują złożyć ją w ofierze innego dnia. Mogło zająć miesiące, czy nawet lata, żeby znaleźć bitewnika, bez znaczenia co obiecywali kapłani. Ale Leon nie śmiał przegapić szansy. Dziewczyna nie była jego misją, kiedy po raz pierwszy przybył do Yed, ale teraz tak. Nawet jeżeli próba nie powiedzie się, musiał ją wydostać.

Książę krzychał w triumfie, machając ręką ponad głową, a tłum znów zagrzemiał. Coś przechodziło przez wrota, a Leon odetchnął głęboko i wiedział już, co to jest, bo żaden inny rodzaj sylfa nie promieniował taką aurą. Ogromny i bezcielesny bitewnik wyglądał jak czarna chmura przetykana błyskawicami, oczy lśniły mu czerwienią, czarne skrzydła utworzone z dymu sięgały aż do drugiej strony. Przeszedł przez wrota kwiląc z pożądania do dziewczyny, wijącej się, wpatrzony w niego. Mruczając sięgnął po nią.

- Teraz! – zawołał główny kapłan. – Zrób to teraz! Zabij ją i nazwij go!

To tak się odbywało, tak zawsze było. Tym razem, książę opuścił nóż i odwrócił się. Spojrzał na kapłanów, idiotyczny uśmiech szczęścia zniknął z jego twarzy i zaczęła ona się zmieniać.

- Nie rób tego – powiedział bezgłośnie Leon, wiedząc, że jego partner i tak go słyszy.

Jego słowa przeszły niezauważone, co go nie zdziwiło. Od twarzy do stóp książę zmienił się, rósł wyższy, jego włosy przeszły w blond, jego oczy zjaśniały do szarości. Złość wykręciła jego wyraz twarzy i nienawiść zamigotała, wstręt bitewnika w pełnej krasie. Kapłani gapili się z otwartymi ustami w chwilowym szoku, a tłum krzychał. Potem mężczyzna rozpostarł szeroko oba ramiona.

Ściana niszczycielskiej energii uderzyła naprzód, trafiając w mur kapłanów z siłą pełną złości, obracając ich w kawały drżącego mięsa, przechodząc przez nich i uderzając

w strażników stojących rzędem pod ścianą, chociaż wiele utraciła już ze swojej mocy. Na trybunach tłum krzyczał z przerażenia, tratując się nawzajem w pędzie podczas ucieczki. Chaos ogarnął wszystko, kiedy przy ołtarzu nowy bitewnik gruchał i starał się zorientować, jak wspiąć się by sięgnąć do ofiary.

Leon szarpnął serwetą ze swojego wózka, żeby wyjąć krótki miecz, który zastąpił sery, jakie powinien tam mieć. Służący, obok których stał, właśnie zaczęli uciekać, co było dobre. Nie mógł pozwolić, żeby którykolwiek z nich powstrzymał go od pobiegnięcia do sali i ruszenia w stronę ołtarza.

Był w fantastycznej formie, ale miał jednak czterdzieści siedem lat i nie poradziłby sobie ze wszystkimi strażnikami, których nie zabił jego bitewnik. Kilku z nich rozglądało się, jakby byli tylko ogłuszeni, a więcej strażników mogło nadejść wezwanych przez uciekających widzów. Przynajmniej Rilowi udało się zabić wszystkich kapłanów. Bez nich nie zostaną zwabione żadne sylfy, co oznaczało, że królestwo Yed nie wzbogaci się już o następnych bitewników. To nie było właściwie ich celem, ale Leon zawsze chętnie wykorzystywał sprzyjające okazje. Solie nie chciała, żeby byli w dalszym ciągu przerażający.

Dobiegł do sceny i ołtarza. Na nim nowy bitewnik starał się przegryźć sznury, którymi była związana dziewczyna, bez zranienia jej, a Leon przez chwilę zastanawiał się, jak głupia była ta istota. Najwidoczniej nie przyszło mu do głowy, żeby zmienić formę na ludzką. Nadal był dymem i błyskawicami, co uniemożliwiało fizyczny kontakt.

Aż do teraz Leon ignorował go. Jego własny bitewnik leżał rozwalony na kamieniach u stóp ołtarza z jedną ręką przesuwającą się po podłodze.

- Ril – wydyszał Leon, klękając obok niego – Wstawaj.

Ril tylko jęknął. Był bitewnikiem, ale został ciężko ranny w walce sześć lat wcześniej, przetrwał tylko dzięki staraniom uzdrowicielskiego sylfa o imieniu Luck. W rezultacie tego, jego zdolności do używania swojej własnej mocy kilkakrotnie zmalowały. Jego uznanie tych ograniczeń było jeszcze bardziej szczątkowe. Leon nigdy nie zabrałby go, mimo, że bitewnik potrzebował pozostawać blisko niego, żeby karmić się jego energią, ale Ril nie dał mu wyboru i przez wzgląd na jego dumę Leon zgodził się. Poza tym Ril był jedynym bitewnym sylfem w dolinie, który miał za mistrza mężczyźnę, poza bitewnikiem królowej, Heyou, który również miał męskiego mistrza, chociaż ten był nawet jeszcze starszy niż Leon i w żaden sposób nie był

zainteresowany intrygami. Sprowadzić nieszalonego bitewnika, oznaczało powiązać go z kobietą, a większość z nich było wdowami w średnim wieku, żadna z nich nie była przygotowana na niebezpieczeństwa związane z taką misją.

Ale Ril również nie był. Leon wydyszał jego imię, szarpiąc go za ramię.

- Wstawaj, obudź się.

Chciał wepchnąć w bitewnika trochę energii, ale nie wiedział jak. Przeważnie nie czuł, kiedy Ril pobierał od niego energię, chyba że wziął za dużo, ale w ciągu ostatnich sześciu lat sylf nie potrzebował jej tak wiele.

Ponad nimi na ołtarzu nowy bitewnik krzyczał z narastającego rozczarowania i odrobiny desperacji. Ril zadrżał, jęknął i otworzył oczy. Uśmiech Leona zmienił się w oszołomienie, a Ril odepchnął jego ręce.

- Wydaje mi się, że to mnie trochę za dużo kosztowało – przyznał.

Leon nie odpowiedział. Zmiana kształtu zabrała prawie wszystko, co Ril miał i była straszliwie bolesna. Leon nie pozwoliłby mu więcej tego zrobić, gdyby nie to, że przysiągł, że nigdy nie weźmie pod rozkazy innego bitewnika, a potrzebowali, żeby Ril stał się księciem i zbliżył się do kapłanów i dziewczyny. Jako jedyni w Dolinie z doświadczeniem w takiej robocie przybyli, żeby zebrać informacje w Yed i określić zagrożenie ze strony królestwa. Zrobili już to samo w Para Dubh, a nawet w ich wcześniejszym domu, w Eferem, gdzie Leon musiał być bardzo ostrożny przy swoim szpiegowskim zadaniu, żeby nikt go nie rozpoznał. To pozostawiało większość pracy Rilowi. Z tego powodu spędzili więcej czasu z daleka od domu, ale było to konieczne. Dolina Sylfów była nowym królestwem bez prawdziwych sojuszników, więc potrzebowali wszystkich informacji, które mogli zdobyć. Bitewne sylfy były ogromnym wsparciem, ale były sposoby, żeby sparaliżować królestwo omijając tę przeszkodę. Ril właśnie zrobił poniekąd coś podobnego.

Teraz ich misja się zmieniła. Ocalili tą dziewczynę, a ponieważ miała bitewnika, ona i jej sylf musieli zostać zabrani do królowej.

Leon ostrożnie podciągnął Rila na nogi. Odwrócił się do ołtarza uważając, żeby nie wykonywać gwałtownych ruchów. Bitewnicy z założenia nie lubili mężczyzn, a jeżeli ten jeden

poczulby się zagrożony... chociaż właściwie nie poczuł się zagrożony, kiedy Ril przeprowadzał masowe morderstwo o kilka stóp od niego.

Dziewczyna nadal wpatrywała się w bitewnika, jej pierś unosiła się. Była przepiękna, ale wyraz jej oczu zdradzał, że była odurzona narkotykami, lub nie za bystra. Zauroczony sylf nadal próbował przegryźć się przez sznury, ale był jednak jej bitewnikiem. Mógł zmienić postać w cokolwiek zechciałby, ale wszystko co zrobił, to próba stania się bardziej solidną wersją siebie. To sprawiło, że miał prawdziwe zęby i usta, ale nie mógł ich użyć efektywnie, kiedy unosił się przy krańcu ołtarza nie mając nóg.

Powoli, Leon wyciągnął rękę i położył ją na kneblu dziewczyny.

- Nazwij go – wyszeptał. To dopełniłoby więzi i zrobiło z dziewczyny mistrza bitewnika. Zamrugła patrząc na niego i wypluła knebel.

- Co? – zapytała. (Co? – po angielsku What?)

- Wat – zamruczał bitewnik.

- No, po prostu świetnie – gderał Ril. – A ja myślałem, że Heyou to głupie imię.

- Domyślam się, że twój gatunek również ma głupków – skomentował Leon. Ril wzruszył ramionami, obserwując kilku strażników, którzy poruszyli się obok ściany.

- Kim jesteście? – zaskalała dziewczyna.

- Wat! – powiedział Wat.

- Nazywam się Leon Petrule – powiedział jej Leon, przecinając linę i uwalniając jej nadgarstki i kostki. Chwycił pelerynę Rila, podał jej, więc mogła się okryć. – To jest Ril. Musimy się stąd wydostać.

- Dlaczego? – zapytała. Jej wargi drżały, a w oczach zalśniły łzy.

Ril spojrział na nią przez ramię.

- Chcieli wbić ci w serce nóż i zmienić go w niewolnika. – Wskazał podbródkiem w stronę Wata. – A teraz poproś go, żeby zmienił swój wygląd na ludzki i oboje chodźcie z nami.

- Zabierzemy was gdzieś, gdzie jest bezpiecznie – dodał Leon. – Możecie nam zaufać.

Dziewczyna wyglądała na trochę niepewną, tak jak Wat.

- Możesz zrobić tak, jak mówią?

Wat pomyślał.

- Tak – powiedział powoli.

Jej oczy zablyszczały.

- Och! Czy możesz wyglądać jak mój pierwszy chłopak?

Ril przewrócił oczami, a Leon powstrzymał chęć trzaśnięcia ją dłonią w twarz.

- Nie może wyglądać jak ktoś, kogo nie widział. Po prostu powiedz mu, żeby przybrał postać człowieka.

- Och, okay. Przybierz postać człowieka.

Wat zamrugał i zadrżał, zagęszczając się w przeciętnie wyglądającego człowieka, zupełnie takiego jak jeden z mężczyzn leżących obok. Podobnie jak dziewczyna był całkowicie nagi.

- Wow – westchnęła dziewczyna. – Jak masz na imię?

- Wat.

- Co? (What?)

- Tak.

- Ale jak masz na imię?

- Wat!

- He?

- Nie mamy na to czasu! – wrzasnął Leon. Ogluszeni strażnicy zaczęli się przepychać między sobą. Ril nie miał więcej mocy, której mógłby użyć. Kiedyś byłby w stanie zniszczyć całe pomieszczenie, ale teraz niewiele pozostało mu na drugi strzał, a Leon nie śmiał prosić Wata o cokolwiek. Nie, jeżeli wymagałoby to myślenia.

- Ciągnie swój do swego, jak mi się wydaje – wymamrotał, pomagając dziewczynie zejść, zanim chwycił ją za rękę i przeciągnął przez salę. Wat posłusznie szedł za nimi.

- I co to mówi o tobie i o mnie? – gderał Ril, podążając za nimi jako straż tylna.

- Chcesz czegoś? – zapytał Wat.

Przeszli przez przejście dla służby, w którym wcześniej czekał Leon, dziewczyna jęczała przestraszona całą drogę. Leon uważał, żeby jej nie puścić, lub nie zostawić Rila za daleko z tyłu. Nie był całkowicie pewien, czy ludzka broń może zabić bitewnika i nie chciał się o tym przekonywać. Wat trzymał się blisko dziewczyny, prawie wpadając na nią i Leon zdusił pragnienie, żeby powiedzieć mu by się odsunął. Nie wyglądało na to, że powrót do domu będzie łatwą wycieczką. Przynajmniej bitewnik nie wydawał się przerażający. Leon spodziewał się, że był zbyt głupi na to, a to właściwie było dobre dla nich, a przynajmniej na teraz.

Grupą pobiegli w dół korytarza pomieszczeń kuchennych, Ril zamknął drzwi za nimi. Dalszy korytarz prowadził do spiżarni i zimnych pomieszczeń wypełnionych lodem, wydawał się wyludniony. Leon był jednak całkowicie przekonany, że było tam nadal kilkoro ukrywających się służących, ale tak długo, jak pozostawali w ukryciu, nie dbał o to. Chociaż na wszelki wypadek trzymał swój miecz w gotowości. Gdyby nie był stanowczy, nie mógłby być strażnikiem. Mieli bardzo mało czasu do zaplanowania tej misji. Największą ich przewagą było to, że nikt się tego nie spodziewał. W wyniku całej akcji Leon miał kilka pomysłów na ulepszenie ceremonii w Dolinie. Pozostawili kapłanów samych sobie, nikt ich nie strzegł.

Ale teraz skupił się na ucieczce. Nie był ekspertem od rozmieszczenia budynku, ale wiedział, że korytarz musi wyprowadzić ich na zewnątrz budynku. Zrobił gwałtowny wdech, kiedy drzwi, które otworzył podczas ceremonii, okazały się zamknięte, teraz kiedy próbowali przez nie uciec. Leon zaklął. Dziewczyna tylko wpatrywała się głupio, kiedy Wat zaczął ocierać się o nią. Niepokojące było to, że nie wydawała się wiele myśleć.

Ril zrobił krok w przód.

- Ruszaj – zawarczał popychając swojego mistrza w plecy.

- Nie – zaczął Leon, ale Ril wycelował dłonią w drzwi. Leon poczuł falę uderzeniową i ciężkie drzwi wyleciały z zawiasów, uderzając głośno o podłogę. Ledwie zdołał chwycić Rila, kiedy ten upadał. Przeklinając, Leon podał dziewczynie swój miecz.

- Przytrzymaj – powiedział jej. – I na litość wszystkich bogów, nie możecie teraz zająć się seksem!

Zaczerwieniła się ślicznie i odsunęła od Wata, który wyglądał na głęboko rozczarowanego. Leon zupełnie się tym nie przejął. Chwycił Rila, pochylił się i zarzucił sobie sylfa na ramiona. Nieprzytomny bitewnik nie był lekki.

Modląc się, żeby nie było na zewnątrz żadnych strażników, w przeciwnym razie on i Ril zginą, Wat może ochroniłby dziewczynę, ale na pewno nikogo innego, Leon wystawił głowę na zewnątrz. W zasięgu wzroku nie było nikogo. Rzucając szybkie spojrzenie przeszedł przez puste, zasypane odpadkami podwórko. Od tego miejsca Leon planował podążyć jedną z alejek, które spenetrował, kiedy Ril był zajęty udawaniem księcia. Ich rzeczy były tylko kilka budynków dalej, ukryte pod stosem starych rupieci za sklepem. Mając nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze, Leon przygotował nawet dodatkowe, nadające się do podróży ubrania dla wszystkich. Ich konie były w stajni, kilka budynków dalej. Znow, tylko na wszelki wypadek, Leon przygotował cztery.

Ril ocknął się, kiedy strumień wody uderzył go w twarz, a Leon zostawił go, żeby przebrał się w podróżne ubranie. Podeszedł do dziewczyny i Wata.

- Jak masz na imię? – zapytał blondynkę, przytrzymując pelerynę Rila, żeby zapewnić jej prywatność, kiedy przebierała się. Za nimi Wat szarpał się ze swoimi spodniami.

- Gabralina – powiedziała - czy mogę już iść do domu?

- Obawiam się, że nie. Nie z nim, a on cię nie opuści. Mamy dla was miejsce. Będziecie tam bezpieczni.

Spojrzała na niego oczami, które były całkowicie niewinne, słodkie i zupełnie pozbawione jakiegokolwiek myśli.

- Czy tam jest pięknie? – zapytała.

- Oczywiście – obiecał. To w końcu nie było kłamstwem. – To będzie długa podróż, prawie miesiąc jazdy konnej.

- Nie mamy wyboru, tutaj będziemy ścigani – dodał, kiedy zobaczył, że wygląda na oszołomioną. Rzucił okiem na Wata, który wpakował obie nogi do jednej nogawki spodni

i wywrócił się. Ril po prostu patrzył z uniesionymi brwiami. – To bardzo ważne, Gabralina. Musisz mnie wysłuchać.

Skinęła głową.

- Wiesz kim jest Wat?

- Nie.

- Jest bitewnym sylfem, takim *dobrym* – dodał, widząc jej przestraszony wzrok. - Kocha cię i bardzo chciałby kochać się z tobą fizycznie – jego spojrzenie stwardniało. – Nie możesz mu na to pozwolić. Jeżeli tak zrobisz, stanie się coś bardzo, bardzo przerażającego.

- Co się stanie? – wyszeptała blondynka.

- Coś naprawdę przerażającego – odpowiedział starając się coś wymyślić.

Każdy instykt Wata będzie mówił mu, żeby się z nią połączyć. Jeżeli to zrobią, zanim zostanie zabrany do królowej i dołączony do jej roju, to naprawdę będzie czymś strasznym. Największym sekretem Doliny było to, że każdy bitewnik bez królowej, który zostanie połączony z mistrzynią, może z niej zrobić swoją królową. Zdolny jest wyczuć i kontrolować każdego sylfa, który będzie blisko, w trakcie transmisji ich wzoru energii. To tak Solie stała się królową, ale ona była dobrym władcą. Oddanie władzy w ręce tej dwójki byłoby koszmarem.

- Kiedy będziemy podróżować, chcę, żebyście ty i Wat, byli jak brat i siostra. Nie pozwól mu dotknąć się, dobrze?

Gabralina skrzywiła się i wyszła zza peleryny, odziana w prosty strój do konnej jazdy uszyty z bawełny i brązowe buty. Jej włosy lśniły jak złoto, a krzywizny jej ciała były widoczne nawet przez luźny materiał. Kobieta była wspaniała, a to sprawiło, że Leon zastanowił się, dlaczego został wybrana jako ofiara. Wyglądała bardziej, jakby była metresą jakiegoś szlachcica.

Wydawała się nie zauważać oceniającego spojrzenia Leona, zamiast tego spojrziała w dół na Wata, który leżał na plecach, starając się naciągnąć spodnie. Ril wyglądał, jakby chciał zamordować drugiego sylfa.

- A co stanie się, po tym, kiedy ja i Wat będziemy mieć seks? – nalegała.

Rozdział 2

Para Dubh było królestwem z ziemiami dziesięć razy większymi od Doliny Sylfów, obejmującymi tuziny osad i wiosek rozproszonych po górach, które zajmowały większość obszaru. Ośrodkiem jego najpotężniejszego i największego architektonicznego osiągnięcia, czy jakkolwiek by to nazwać, było ogromne miasto o tej samej nazwie, zbudowane na wzgórzach opadających do zatoki, przechodzącej w ogromny ocean.

Chociaż miała wspomnienia pochodzące z innego miasta, w którym mieszkała jako dziecko, Lizzy Petrule nigdy nie miała na tyle swobody, żeby po prostu pozwiedzać, a miasto Para Dubh było duże większe, niż stolica Eferem kiedykolwiek miała nadzieję się stać. Lizzy była pewna, że i tak byłaby pod wrażeniem Eferem, gdyby pozwolono jej po nim powędrować, ale jej matka zawsze była w pobliżu, lub jedna z jej trzech siostr. Jako od najstarszej, od Lizzy zawsze spodziewano się pomocy, nawet jeśli rodzina miała służbę. Nie zastanawiała się nad tym przez cały czas, ale zawsze pragnęła swobody, żeby chociaż raz zrobić to, co chciała.

A teraz, po tygodniach, które zajęło jej ubłaganie matki, w końcu była prawie sama, bez żadnych rodziców w pobliżu. Chichocząc, ona i jej przyjaciółka Loren pobiegły w dół chodnika, który prowadził do doków. Wodna sylfka Loren, Shore³, biegła obok niej, trzymając swoją mistrzynię za rękę. Shore była dobra w przybieraniu kształtów ludzkich i wyglądała jak całkiem rzeczywista mała dziewczynka, trochę tylko bardziej wodnista niż prawdziwa. Trzy budynki dalej pozostała część grupy, z którą przybyły do miasta, nadal rozładowywała wozy.

- Będą na nas strasznie źli – zachichotała Loren. – Widziałas twarz Datona, kiedy odbiegliśmy?

- Był wściekły! – zgodziła się Lizzy. Była troszkę zdenerwowana, co powiedzą ich tymczasowi opiekunowie, kiedy powrócą i naprawdę nie chciała, żeby dowiedziała się o tym jej matka, nie po tych wszystkich obietnicach dobrego zachowania, ale była za bardzo oszołomiona, żeby o to dbać. Miała osiemnaście lat i według prawa w Dolinie Sylfów była równa każdemu mężczyźnie, chociaż nie tutaj. A nawet jeżeli Daton opowie jej rodzicom o jej postępkach, matka co najwyżej na nią nakrzyczy. Jej ojciec wyjechał miesiąc temu razem z Rilem.

³ Shore (ang.) - Wybrzeże

Lizzy nadal była o to zła. Błagała, żeby wzięli ją ze sobą, ale Leon i jego sylf nie byli tak łatwi do ubłagania jak jej matka i odmówili. Klóciła się z nimi, aż poczerwieniała na twarzy, ale ani jej ojciec, ani Ril nie zmienili decyzji. Więc została. Nadal im tego nie wybaczyła.

Teraz, nareszcie, miała swoją przygodę. Z Loren przy boku, Lizzy biegła przez obce miasto, podziwiając widoki i pochyłe drogi. Para Dubh zostało zbudowane na wzgórzach rękami *ludzkimi*, inaczej niż wszystko, co powstawało w Dolinie za sprawą sylfów. Tutaj drogi zygzakiem schodziły do oceanu.

Żadna z nich nie widziała wcześniej oceanu, a po reakcji Shore, obie dziewczęta natychmiast wybrały doki jako pierwszy cel. Mała wodna sylfka głupiała, kiedy widziała całą tę słoną wodę, więc zadecydowały, że to ich obowiązek zabrać ją, żeby mogła przyjrzeć się bliżej. Inni mogli rozładować wóz. Był to tylko pojedynczy ładunek rudy metali, przesłany jako podarunek dla pary rządzącej Para Dubh, jako część umowy handlowej i pewnego rodzaju test dla przewoźników. Poza Datonem, każdy z nich miał poniżej dwudziestki.

Loren była jedyną, która miała sylfa. Zazwyczaj odpowiedzialni dorośli byli jedynymi, którym pozwolono mieć sylfa, ale Loren została wybrana przez jej wodnego sylfa po śmierci jego poprzedniego mistrza. Loren miała wtedy czternaście lat, a teraz prawie dwadzieścia, była starsza o dwa lata od Lizzy, ale dziewczyna była tak niedojrzała, że Lizzy wątpiła, żeby wybrano ją na mistrzynię sylfa, gdyby nie to, że decyzję pozostawiono Shore.

Przed nimi droga skręcała zygzakiem, w stronę widocznego oceanu, otoczona przez sięgający pasa murek z ciosanych kamieni. Przez chwilę dwie dziewczyny przechyliły się przez niego, spoglądając na przepiękne stare miasto, na dachy domów widoczne w otaczających je ogrodach i na przestrzenie między budynkami oddzielone murkami, ozdobione pomnikami i pasami parków. Nigdy nie widziały czegoś takiego i zatrzymały się, żeby odetchnąć, pewne, że oddaliły się od Datona na tyle, że ich nie zawoła.

- Podoba mi się tutaj – wydyszała Loren, odwracając twarz w stronę słonego powiewu, jaki otoczył je na tej wysokości. Przyniósł ze sobą zapach kwiatów, ale też soli i ryb. Obok niej Shore odwróciła się w tą samą stronę. Nic nie mówiła, nic co Lizze mogłaby usłyszeć, ale Loren uśmiechnęła się spoglądając w dół na nią.

- Ruszemy za minutkę. Nigdzie się nie spieszymy

- Chciałabym ją słyszeć – powiedziała Lizzy.

- Musiałabyś być jej mistrzynią – odpowiedziała Loren z zadowoleniem, którego Lizzy zawsze nienawidziła. Loren uważała się za lepszą od innych dziewcząt, ponieważ miała sylfa. To sprawiało, że Lizzy miała ochotę powiedzieć jej, że bitewnik jej ojca, Ril powiedział jej, że ją kocha i że jest jego królową. Mówił to wiele razy.

Ale to nic by nie pomogło. „Solie jest królową” zadrwiłaby Loren, ale choć bitewnicy byli znani ze swoich umiejętności ograniczających się do walki i seksu, Ril taki nie był. W Dolinie kpiono, chociaż tylko wtedy, kiedy jej ojciec nie mógł słyszeć, że Ril ze względu na swoje rany został zamieniony w eunucha. Z całą pewnością, od kiedy był ranny, nie zaglądał do niej, pomyślała Lizzy gorzko. Za wyjątkiem jednego razu.

- Powinnyśmy iść – zamiast tego powiedziała Lizzy przyjaciółce. – Wygląda, jakby droga się kończyła.

Loren zrobiła minę, ale obie wiele spacerowały. Do szkoły i z powrotem, na rynek i z powrotem... Dolina Sylfów miała więcej sylfów niż gdziekolwiek na świecie, ale one nie były niewolnikami. Ludzie musieli sami nosić swoje ciężary, a obie dziewczyny przeniosły więcej kukurydzy i owoców, i zasadziły więcej nasion niż im się podobało. Zajmowały się ogródkami rodzinnymi, kurczakami i końmi. Ojciec Lizzy powiedział jej, że to dla jej dobra. Nie, żeby kiedykolwiek dołączył do niej, chociaż czasami widziała jak pomaga w cięższych pracach.

Oczywiście tego roku on i Ril przegapili całe sadzenie, a sama Lizzy wykpiła się po części, dzięki tej właśnie wyprawie.

Obie dziewczyny pobiegły po schodzącej w dół ulicy, Shore trzymała się blisko nich, a wszystkie zaśmiewały się, kiedy przebiegły obok ulicznych muzyków i artystów, grup kobiet odzianych na czarno i mężczyzn niosących na ramionach ciężkie kosze. Niczego takiego nie widziały w domu, więc delectowały się widokami, zapachami i dźwiękami. Gdyby któraś z nich miała pieniądze, pewnie spędziłyby czas próbując wszystkiego.

Ale nie miały. Zamiast tego biegły ulicą, podążając za krętą drogą, mijając domy ukryte za wysokimi kamiennymi murami z misternie wykutymi metalowymi bramami, potem sklepy wypełnione nieliczoną ilością przedmiotów, których dziewczęta nawet nie były sobie w stanie wyobrazić. Im bliżej wody, tym budynki stawały się bardziej pospolite, stojące tuż przy sobie. Domy i sklepy zastąpione zostały przez stragany sprzedające ryby. Dziewczęta chwyciły się za ręce, mając nadzieję nie zgubić się w coraz to gęstszym tłumie. Lizzy obejrzała się za siebie, na

znaki orientacyjne, żeby zapamiętać drogę, którą tu przybyły. Wracając nią trafią do miejsca, w którym zostawiły pozostałych.

Znalazła wystarczająco łatwy punkt odniesienia, pomnik mężczyzny na stojącym dęba koniu, pod nim lampa uliczna z szklaną bańką na lampę oliwną. Pod lampą biegł wpatrzony w nie i wściekle machający wysoki, kościsty chłopak, niewiele starszy od nich, niedbale obcięte włosy wchodziły mu do oczu.

- Justin? – sapnęła Lizzy.

Loren odwróciła się.

- Co *on* tu robi?

Patrząc na nią, Lizzy zorientowała się z lekkim zdenerwowaniem, że sama nie wie, co czuje, podekscytowanie czy irytację. Justin był synem Cala Portera, jednego z rodowitych mieszkańców Doliny i jak lubił przypominać wszystkim, tym, który pierwszy przywiózł Solie i Heyou do Społeczności. Cal również bardzo natarczywie podchodził do pomysłu, że jego dziesiętnastoletni syn byłby idealnym mężem dla Lizzy Petrule, od kiedy Lizzy w wieku szesnastu lat została przyłapana na pocałunku z nim, podczas dożynkowej zabawy. To był jedyny raz, kiedy ją pocałował, jakkolwiek powinna pewnie podziękować za to mocnemu jablecznikowi, a jej frustracja wynikała z faktu, że nie tylko ona została przez niego pocałowana podczas tej długiej nocy.

Od tej pory zalecał się do niej w pewien niezgrabny, nieśmiały sposób. Ze swojej strony, Lizzy nie była pewna, co o tym sądzić. Lubila Justina. Był uczciwy i przyjacielski, całkowicie niezdolny kogokolwiek okłamać, ale nigdy nie odgryzł jej się, kiedy lekceważyła go, czy żartowała z niego przy swoich przyjaciółkach, lub kiedy nie przychodziła na randki aranżowane przez ich matki i śmiała się z niego, kiedy wyglądał na strapionego. Po prostu próbował znów, a w ostatnim roku przestała się śmiać i unikać tych randek. Nawet zastanawiała się, czy on będzie miał odwagę znów ją pocałować... i czy ona mu na to pozwoli.

Jednym z powodów, dla których przyjechała na tę wycieczkę, było to, że chciała wyrwać się ze znanego miejsca. Pomyślała, że to pomoże jej zadecydować, co chce zrobić ze swoim życiem. To, o czym marzyła kiedy miała dwanaście czy trzynaście lat, nigdy się nie spełniło i chciała pojechać gdzieś, gdzie mogłaby pomyśleć nad swoim życiem i może nauczyć się, jak

spojrzeć na Justina świeżym spojrzeniem. Tylko, że on pojechał z nimi i teraz znów był tutaj. Część jej cieszyła się na jego widok, ale druga część była okropnie zła.

- Co ty robisz? – wrzasnęła, kiedy zbliżył się.

Justin, który już się uśmiechał, zatrzymał się nerwowo, jego jabłko Adama podskoczyło.

- Pobiegłem za wami. Daton powiedział, że nikt nie powinien być tutaj sam.

- Czy ja wyglądam jakbym była sama? – Narzekła, stając przed nim z rękami na biodrach.

Była wysoka, ale Justin nadal górował nad nią.

- Ale jesteście dziewczynami – zaprotestował i skrzywił się, kiedy zorientował się, co powiedział. Lizzy i obie spojrzaly na niego. Nawet Shore skrzywiła się, jej brwi złączyły się. Zaczęła kapać na ziemię, jak zauważyła z roztargnieniem Lizzy.

- Nie nazywaj mnie dziewczyną – warknęła Loren i wykrzywiła się do Lizzy. - Nie zostanę z nim.

Odwróciła się i podążyła w stronę niedalekich doków, które wyciągały się daleko w głąb oceanu, małe okręty i łodzie stały po obu stronach. Mężczyźni gorączkowo ładowali i rozładowywali towary czy ryby i wrzeszczeli na siebie. Loren przeszła w tę stronę, prowadząc za sobą Shore.

Lizzy patrzyła na Justina. Wyglądał na nieszczęśliwego. Nie chciał nikogo obrazić, ale czasami wyrzucal z siebie najgorsze, co było możliwe. Zazwyczaj wtedy, kiedy ktoś inny był w pobliżu. Kiedy byli sami, był dużo bardziej pewny siebie.

- Masz szczęście, że nie słyszał cię żaden bitewnik – pożałowała się, nadal trochę zła, że poszedł za nimi. To co powiedział, było nawet gorsze. Większość świata nadal traktowała kobiety, jakby były obywatelami drugiej kategorii, ale bitewników w Dolinie bardzo denerwowało takie zachowanie. Nikt do tej pory nie zginął z powodu czegoś, co powiedział, ale wszyscy nauczyli się, żeby zachować takie seksistowskie opinie dla siebie.

Lizzy jednak nie mogła złościć się długo. Justin nie miał na myśli niczego złego, a ona i Loren uciekając, nie zachowały się za bardzo mądrze, nawet jeżeli po Loren podziewano się,

że jest wystarczająco dorosła, żeby zachowywać się odpowiedzialnie. Oczywiście, pomyślała Lizzy, jeżeli jest tu Loren, nie będzie wciąż spędzać czasu z nastolatkami.

- Przepraszam – powiedział Justin

Westchnęła odwracając się i powoli poszła w dół doków za Loren i Shore.

- W porządku, ale mówiłam ci, że chcę trochę czasu dla siebie.

- Wiem. Ale tutaj nie jest naprawdę bezpiecznie – odpowiedział. – Daton powiedział mi, że bym poszedł za wami.

Powinna wiedzieć. Był zawsze obok niej ktoś, kto upewniał się, że zachowywała się jak grzeczna dziewczynka. Jak nie jej ojciec, to Daton, czy Justin zastępujący Datona. Lizzy musiała się uspokoić, zanim znów zacznie krzyczeć. To nie była tak naprawdę wina Justina. Powinna cieszyć się, że ufają jej na tyle, żeby zostawić ją z nim sam na sam, chociaż tak naprawdę to była jeszcze jedna rzecz, która ją drażniła, to, że nie bali się wcale zostawiać jej samej z Justinem.

Według ich matek, jak wydawało się Lizzy, małżeństwo było już czymś postanowionym. Była pewna, że tak by było, gdyby nie to, że Królowa Solie nie tolerowała aranżowanych małżeństw. Ostatecznie nikt nie mógł *zmusić* jej do poślubienia kogoś, kogo ona nie chciała, chociaż napomykali o tym bez końca. Spojrzała przelotnie na Justina, który szedł obok niej rozglądając się dookoła z takim samym zdziwieniem, jakie ona sama odczuwała aż do teraz. Nie była pewna, czy w ogóle chce wyjść za mąż za kogokolwiek. Jeszcze nie.

Małżeństwo. Loren mogłaby powiedzieć jej, żeby zaciągnęła Justina za stajnię i podrapała się tam, gdzie swędzi, a potem nie martwiła się już więcej, ale Loren zaciągnęłaby w ten sposób za stodołę niemalże kogokolwiek. Powiedziała Lizzy nawet, że uwiodła bitewników. Tego Lizzy nie była pewna. Loren nigdy nie wymieniła imienia żadnego z tych bitewników, z którym była, dla chronienia ich reputacji, ponieważ oczekiwano, że będą wierni swoim mistrzyniom. Ale z tego co Lizzy słyszała o ich apetytach, mogły być nawet większe, niż możliwości Loreny. Oczywiście Lizzy nie spodziewała się dowiedzieć kiedykolwiek, co one *naprawdę* lubią.

- Czy widziałeś wcześniej ocean? – zapytała Justina jako pewien sposób przeprosin.

Justin zdecydowanie potrząsnął głową.

- Jest niewiarygodny. I ten zapach!

Jej gniew zniknął. Lizzy zaśmiała się i odważnie sięgnęła, żeby chwycić go za rękę. Justin ścisnął ją i uśmiechnął się promiennie. Może to, że podążył za nimi, mogło okazać się nie tak źle.

Poszli w dół długich doków, ich buty dudniły na drewnie. Było dużo miejsca, ale obchodzili dookoła stopy towarów i mężczyzn zajmujących się rozładunkiem szalup. Rozlegały się krzyki i przekleństwa. Lizzy rozglądała się wokół siebie, schodząc z drogi pracującym, widziała ludzi o odcieniach skóry w tuzinie różnych kolorów i ubrania, jakich nigdy wcześniej nawet sobie nie wyobrażała.

Widziała wysokich mężczyzn, niskich mężczyzn, mężczyzn o ciemnej skórze i białych mężczyzn. Widziała mężczyzn w tatuażach na wszystkich częściach ciała i niektórych z większą ilością biżuterii niż najbardziej próżna kobieta. Inni byli całkowicie pozbawieni włosów. Zachichotała i mocniej chwyciła rękę Justina, ciągnąc go za sobą, spiesząc się, żeby dogonić Loren i Shore.

Starsza dziewczyna stała na samym końcu doków, Shore kuciała obok, jakby zastanawiała się nad skokiem do wody, podczas kiedy jej mistrzyni flirtowała z mężczyzną w luźnych, powiewających ubraniach. Miał nagą pierś i tatuaże ciągnące się dookoła jego torsu i w górę ramion, okrążające jego kark. Uśmiechał się do Loren w sposób, który sprawił, że na karku Lizzy zjeżyły się włoski i zatrzymała się ona o kilka stóp od nich, nie wiedząc co zrobić.

- Może przybyłam tutaj, żeby znaleźć kogoś takiego jak ty? – Mówiła do mężczyzny Loren, przesuwając zalotnie palcem po jego piersi. Za nią, Shore była gotowa żeby skoczyć, ale jej mistrzyni chwyciła ją za ramię nawet nie patrząc.

- Z całą pewnością nie mamy w domu nikogo takiego jak ty.

- A gdzie jest ten dom – patrzył chytrze, w oczywisty sposób zainteresowany bitewnikami. Lizzy nigdy wcześniej nie słyszała takiego akcentu.

- Dolina Sylfów – powiedziała mu – Tuż za górami. W *tamtą* stronę – zrobiła niejasny gest, nadal uśmiechnięta.

- Naprawdę? – zapytał mężczyzna. Jego brwi uniosły się, a jego koledzy ze statku, którzy rozładowywali statek dwadzieścia stóp dalej, podczas kiedy on flirtował, spojrzeli

z zaciekawieniem na to oświadczenie. Lizzy poczuła, że napięcie w powietrzu zmienia się z seksualnego w coś innego.

Shore spojrzała na górę i otworzyła usta. Loren nie zwróciła na to uwagi, tylko uwodzicielsko zatrzepotała rzęsami.

- Oczywiście. Dlaczego miałabym cię okłamywać?

- Dolina Sylfów – powtórzył. – To miejsce gdzie żyje tak wielu bitewników? – zmarszczył brwi. – Nie przywieźliście jakiegoś ze sobą? - Spojrzał na Lizzy i Justina, jego oczy stały się zimne.

Ręka Lizzy zacisnęła się na rękę Justina., która stała się lepka od potu. Nie miała nadziei na pomoc, a on po prostu zrobił krok w tył, sprawiając, że napięły się jej ramiona, kiedy nie cofnęła się razem z nim. Nie mogła się poruszyć. Coś było okropnie źle, a Loren tego nie widziała.

- Oczywiście nie – powiedziała zadowolona marynarzowi. – Wolę prawdziwych mężczyzn.

Wyszczrzył zęby.

- To dobrze.

Z nich wszystkich to Shore ruszyła się pierwsza. Skowycząc, mała sylfka chwyciła swoją mistrzynię, osłaniając ją od oszukańczego człowieka, swoją wodną materią otuliła Loren i cofnęła je obie na kraniec doków. Lizzy zobaczyła zdziwienie na twarzy Loren, zanim zniknęły pod wodą z przerażającym pluskiem. Mężczyzna z tatuażami zamknął ramiona w miejscu, gdzie przed chwilą była, a potem obrócił się z wściekłością w stronę Lizzy i Justina.

- Chwytać ich! – wrzasnął. – Wiecie, ile są warci!

Justin uciekł. Chwycił rękę Lizzy, odwrócił się i pobiegł w górę doków, krzycząc przeraźliwie. Zdziwieni rybacy patrzyli na niego, niechcący blokując ścigających ich, ale przy okazji również uciekającą Lizzy. Rozwścieczona kopnęła jednego z wytatuowanych mężczyzn w kolano, kiedy chwycił ją i pociągnął w drugą stronę. Nie miała pojęcia, czy umie pływać, ale planowała się przekonać.

Nie była wystarczająco szybka. O krok od krańca doków, mężczyzna, z którym flirtowała Loren, chwycił ją w pasie, przyciągając ją do swojej szerokiej piersi. Lizzy krzyczała, kopała i szamotała się, ale jej ojciec nigdy nie nauczył jej walczyć. W Dolinie Sylfów, gdzie było tak wielu bitewników, nie było to potrzebne. Jednak żaden z nich nie mógł usłyszeć jej krzyków z tak daleka, a rybacy stali i patrzyli niepewnie. Kilku z nich wyglądało tak, jakby chcieli coś powiedzieć, ale wytatuowany mężczyzna i jego kumple wyciągnęli noże, szczerząc się niebezpiecznie.

Marynarz zaciągnął Lizzy na szalupę, ignorując jej szamotaninę. Zdołała uwolnić ramiona i pchnąć go w ucho, ale on tylko popatrzył na nią i rzucił ją do szalupy. Upadła na ławkę, całe powietrze wyleciało z niej, a łódką zakolysało od siły, z jaką mężczyzna nią rzucił. Jeden z nich usiadł obok niej, jego ręka boleśnie ścisnęła jej szyję i przytrzymała ją na dnie łódki, kiedy ich przywódca krzyknął, żeby odpłynęli i zapomnieli o reszcie ładunku, ona była bardziej cenna. Lizzy nie miała pojęcia dlaczego.

W bólu i przerażeniu zaczęła lkać, płacząc za kims, kto przyszedłby i ocalił ją, ale nikt nie słyszał i nikt nie przyjdzie. Szalupa oddalała się od doków kierując się z stronę otwartego oceanu, gdzie były zakotwiczone wielkie statki z tuzina różnych królestw. Mężczyźni, którzy ją chwycili, zaczęli się śmiać, a wszystko, co mogła zrobić, to patrzeć na krzywiznę podłogi w łódce, nie mogła nawet unieść wzroku i zobaczyć, czy ktokolwiek widział jej uprowadzenie.

Rozdział 3

Życie Solie rozpadło się sześć lat temu, tego dnia, kiedy wybiegła z domu, żeby uniknąć aranżowanego małżeństwa. Przygoda rzuciła ją w ramiona bitewnego sylfa i zabrała z daleka od tego wszystkiego, co знаła, sprawiła też, że stała się królową. Wiedziała, jak wiele miała szczęścia, bo z łatwością mogło stać się inaczej. Gorzej.

Jej bitewny sylf, Heyou, poczuł, jak Solie uprzymnia to sobie, ale równocześnie poczuł jej przerażenie i oburzenie. Był gotowy zaatakować posłańców stojących przed nią po prostu dlatego, że wiadomość, jaką przynieśli, sprawiła, że tak się poczuła.

Sięgnęła i chwyciła jego ramię przytrzymując go, aż się uspokoił.

- Wiecie, gdzie ją zabrali? – Zapytała pochylając się w przód na wielkim kamiennym krześle, które ziemne sylfy zrobiły jako jej tron. Wyrzeźbiły go misternie, zmieniając w kształt tak koronkowo delikatny, jak płatek śniegu. Dla wygody podkładała sobie poduszki. Jedna z nich upadła na podłogę, ale Solie tego nie zauważyła wpatrując się w grupę, która stała u stóp niewielkiego podium, na którym stał tron. Solie nie chciała, żeby ktokolwiek jej się kłaniał.

Najstarszy z trzech mężczyzn, których Heyou nie znał za dobrze i którego obserwował uważnie, potrząsnął głową wyrażając przygnębienie. Był smutny, Heyou mógł to poczuć, ale równocześnie był dziwnie męski. Heyou nauczył się lubić mężczyzn, ale były to nadal pojedyncze przypadki i naprawdę nie chciał, żeby jeden z nich zbliżał się za bardzo do jego królowej. Jak również żaden z bitewników, którzy czekali w pokoju.

Daton poczuł, że wszyscy go obserwują i zadrżał, zanim odpowiedział.

- Nie, moja pani. Justin mówił, że widział ich przenoszących się na większy okręt z trzema masztami, ale zanim tam dotarł, okręt wypłynął w morze. Nawet nie wiemy, skąd pochodził. Zdecydowaliśmy się powrócić tu tak szybko, jak tylko mogliśmy.

- Pracownicy doków nic nie zapamiętali? – zapytała Solie.

- Nie, moja pani. A przynajmniej żaden nic nie powiedział.

Solie zamknęła oczy na chwilę.

- Musiał być ktoś, kto ją widział. Pytaliście?

W tej chwili brzmiała na bardziej zirytowaną i Heyou zasyczał. Danton wzdrygnął się z przerażenia, a chłopak obok niego sapnął.

Tylko dziewczyna była zdolna spojrzeć Solie w oczy.

- Czy ty uważasz, że to była nasza wina? – warknęła. Wszyscy bitewnicy zamruczeli, ale ich zignorowała. Każdy wiedział, że kobiety był bezpieczne przy bitewnych sylfach. – Co mieliśmy zrobić, szukać jej i sami skończyć w rękach porwaczy?

- Powiedz to jej ojcu – powiedziała Solie sucho.

Dziewczyna zaczerwieniła się. Miała na imię Loren, przypominał sobie z opóźnieniem Heyou i była przyjaciółką królowej. Lepiej znał jej sylfa. Shore kulila się za swoją mistrzynią wpatrując się w ziemię.

Widziałas, co się stało? Wysłał. Mały sylf spojrział na niego, była nieszczęśliwa. Uciekła od niebezpieczeństwa, to było oczywiste. Ale dlaczego nie miałaby uciec? Nie była stworzona do walki.

Chcieli moją mistrzynię. Wzięłam ją i uciekłam. Mogłam unieść tylko jedną. Shore przesłała Heyou emocje, jakie wtedy czuła, uczucia, kiedy uciekała od mężczyzn i Heyou westchnął. Nie było tego za wiele. Większość bitewników znała Lizzy dosyć dobrze, ale mogły śledzić tylko swoją mistrzynię lub królową. Gdyby to Solie została porwana...

No cóż, gdyby to była Solie, wszyscy porwacze byliby już martwi.

- Chcę ją odnaleźć - powiedziała Solie. – Chcę, żeby każdy w tych dokach został przesłuchany, chcę znaleźć jakąkolwiek wskazówkę. Ktoś musiał widzieć, gdzie płynie ten statek!

- Chcesz, żebyśmy wrócili? – zapytał Danton niepewnie. Chłopak stojący obok niego przelknął. Loren tylko prychnęła.

- Nie – odpowiedziała zdecydowanie Solie. – Wcale nie zamierzam was posyłać.

Wspięli się na wierzchołki gór, niedaleko których leżało Para Dubh, nawet nie próbując ukryć swojej powierzchowności. Szesnastu potężnych spłynęło w dół ponad budynkami, jak gromada czarnych chmur przytykanych błyskawicami, z czerwonymi oczami i zębami

uformowanymi z elektryczności. Powstrzymywali swoje aury, ale ci, którzy ich zobaczyli, nadal krzyčeli z przerażenia. Większość nie wiedziała, czym są, większość nigdy nie widziała bitewnika w ich naturalnej postaci, ale jeżeli widziało się ich szybkość i fakt, że najmniejszy był i tak większy niż wioska, strach był naturalną reakcją.

Mace nie był zaskoczony. Ludzie zawsze obawiali się jego gatunku, nie żeby go to interesowało. Był stworzony żeby chronić swój rój i królową. Jego odpowiedzialność powiększyła się o przyjaciół, których zdobył i Lily, jego mistrzynię i kochankę, która rządziła nim przed wszystkimi, ale uśmiechała się, kiedy byli sami. Zgodziła się, kiedy powiedział jej, co poleciła im Solie. Jeżeli Lizzy ma być znaleziona, on ją odnajdzie.

Dla niego i pozostałych bitewników to były rozkazy proste do zaakceptowania. Lubił Lizzy. Kiedy większość ludzi w dolinie dorastała wykorzystując jego rodzaj, tylko kilku nie będących mistrzami zupełnie nie czuło w ich obecności strachu, a Lizzy była jedną z takich osób. Przychodziła nawet do ich komnaty, którą bitewnicy mieli dla rozrywki, żeby porozmawiać z nimi i pobawić się. Myśl, że ktoś ją porwał, złościła ich wszystkich.

Poniżej nich przesuwano się miasto, budynki były rozsypane na zboczach wzgórz prawie jak rozrzucony ul. Macowi podobał się ten widok, ale nie zwolnił. Zamiast tego skręcił w stronę nabrzeża, a pozostali oskrzydłali go i podążali z tyłu w postaci ogromnego V. Wzniesli się ponad dokami, rozszerzając się, żeby pokryć je całe i Mace zmienił formę, ciężko lądując o kilka stóp od jednego z krańców. Doki były przed nim, naprzeciwko pomnika mężczyzny na koniu, tak jak opisali Loren i chłopiec.

Mace wyprostował się i odwrócił, spoglądając w blade twarze rybaków, którzy rozładowywali swoje łodzie.

- Trzy dni temu porwano dziewczynę z tych doków. Powiedzcie mi, gdzie ją uprowadzono.

Rybacy spoglądali na siebie, a potem skoczyli w panice w stronę doków. Mace wykrzywił się z rozdrażnienia, zmienił postać i skoczył za nimi.

Bitewnicy wylądowali wszędzie, domagając się odpowiedzi od przerażonych dokerów w Para Dubh. Odpowiedzi, jakie uzyskiwali, były w większości bezużyteczne, bo zamiast odpowiadać mężczyźni najczęściej błagali o swoje życie, przerażeni tymi zmiennokształtnymi inkwizytorami. W końcu wielu z bitewników straciło panowanie nad sobą, smagając swoją

nienawiścią, a to sprawiło, że wszystko stało się jeszcze gorsze. Nie znaleźli nikogo w dokach, kto zapamiętałby blond dziewczynę porwaną przez grupę wytatuowanych żeglarzy.

Mace rozkazał żeby przepytać okoliczne kobiety, ale żadna z nich nie była obecna przy tym zdarzeniu, a większość z nich była równie przerażona jak mężczyźni. To sprawiło, że cała wyprawa mogła skończyć się niepowodzeniem. Zły i sfrustrowany, Mace stał w dokach i wpatrywał się w ocean. Ktokolwiek porwał Lizzy, był teraz daleko. W pobliżu były statki, bitewnicy latali dookoła nich, przepytując załogę czy coś wiedziała, ale żaden z nich nie udzielił im takiej informacji, jakiej chcieli. Mace wątpił, czy pomogłoby cokolwiek, gdyby jego oddział rozszerzył się i postarał się znaleźć łódź. Ocean to wielkie miejsce, a oni nie mieli sposobu, żeby ją wysledzić. Gdyby porwano Loren, Shore mogłaby ją odnaleźć, a oni podążyliby za nią.

Miał kilka wspaniałych pomysłów, co zrobiłby porywaczom i na chwilę zacisnął pięści. Od teraz żadna kobieta nie opuści Doliny bez eskorty, Mace nie będzie kierował się ich zdaniem. Ale Solie mogła na to się nie zgodzić. Lily mogła na to się nie zgodzić... wypuścił oddech. Bitewnicy nie mogli pilnować każdej kobiety w Dolinie, tak jak nie mogli strzec każdego sylfa.

- Cholera – wymamrotał.

Poczuł za sobą nienawiść. Nie pochodziła od jego towarzyszy. Mace znał dobrze ich wzory energii. Ci byli związani jako bitewnicy, niemalże szaleni, nienawidzący cały czas, karzący swoich męskich mistrzów nawet wtedy, kiedy im służyli.

Mace odwrócił się, spokojnie patrząc na nadchodzące istoty. W przeciwieństwie do bitewników z Doliny, którym przybranie ludzkich postaci pomagało uwodzić ich kobiece mistrzynie, ci tutaj mieli dziwne kształty, zaprojektowane żeby przerażać. Mogli poszczycić się ogromnymi kłami i szponami, wstrętnymi i odrażającymi. Mace tylko parsknął nieporuszony. Sam był wcześniej uwięziony podobnie jak oni, zmuszony do przybrania wyglądu zbroi przez kaprys sadystycznego dandysa. Gdyby mógł, uwolniłby te istoty, ale żeby to zrobić, musieliby wciągnąć ich do własnego roju, zmienić ich wzór energii tak, żeby pasował do wzoru ich królowej, a to można było zrobić tylko w obecności Solie.

Ich mistrzowie szli rzędem za bitewnikami, których było czterech. Mace spojrział prosto na mężczyzn, wcale nie chciał rozmawiać z kimś, kto uwięził kogoś z jego rodzaju, ale Solie wydała mu rozkazy. Nie mogli rozpocząć wojny z całym światem.

- Jesteśmy z Doliny Sylfów - powiedział głośno do mężczyzn. – Z delegacji przyslanej do tego miasta została porwana dziewczyna i uprowadzona na trójmasztowym żaglowcu. Szukamy każdego, kto wie, gdzie mogła być zabrana.

Czterech bitewników zatrzymało się, warcząc i piniąc się jak niekształtne psy. Ich mistrzowie niepewnie spojrzeli na siebie nawzajem, a tym czasie pozostali bitewnicy Maca wylądowali dookoła nich, przybierając ludzką postać, lub unosząc się ponad nimi w swojej naturalnej postaci. Związani patrzyli na nich, ich zazdrość była oczywista.

Ich panowie natychmiast zobaczyli, że utracili przewagę. Jeden bitewnik był w stanie zniszczyć miasto. Całe królestwo Para Dubh miało ośmiu. Szesnastu było poza ich rozumieniem.

Dolina Sylfów nie zrobiła nic swoim najbliższym sąsiadom, woląc zawierać umowy handlowe z Para Dubh, chociaż nie mieli formalnego sojuszu i bardzo uważnie obserwowali, żeby upewnić się, że populacja bitewników Para Dubh nagle się nie zwiększy. Solie uważała, że zmuszanie jakiegokolwiek sylfa do niewolnictwa jest złem, a to, co robiono, żeby związać bitewników, było wstrętne. Mace zgadzał się z jej oceną, chociaż nie mógł nalegać, żeby cokolwiek z tym zrobić. Jak powiedziała Solie, nie mogli toczyć wojny z całym światem. Oczywiście wysyłając Leona i Rila po informacje do Yed i dając im wolną rękę do sabotażu, jeżeli tylko będą mieć taką możliwość, ryzykowała ewentualny konflikt. Zwłaszcza biorąc pod uwagę atak Eferem sprzed sześciu lat. Ale mądryy wysłannik z własnym bitewnikiem to co innego.

Mace patrzył na naradę mężczyzn. Bali się. To mógł stwierdzić bez naturalnej u jego rodzaju empatii. Wiedzieli, że nie mogą walczyć z takim oddziałem, z taką przewagą liczebną, ale musieli zachować twarz, mając nadzieję, że nie obrócą przy okazji całego miasta w ruiny.

- Nie mieliśmy nic wspólnego z porwaniem tej dziewczyny – odezwał się jeden z nich.

- Wiemy – odpowiedział Mace. – Została uprowadzona przez mężczyzn noszących luźne ubrania i mających tatuaże, mężczyzn z żaglowca. Przybyliśmy tylko, żeby dowiedzieć się, gdzie zacząć szukać.

Dwóch mistrzów bitewników obserwowało ich ostrożnie, a ten, który odezwał się, skinął głową.

- Mężczyźni z tatuażami i na trójżaglowcu? – rozmyślał. – Więc musieli być z Meridal. Wielu żeglarzy stamtąd jest wytatuowanych i wielu handlowców meridalskich wykorzystuje szkunery z trzema masztami. Chociaż to po drugiej stronie świata – zmarszczył brwi. – Szczerze mówiąc to ma sens. Porywają i sprzedają dziewczęta, gnojki. Chociaż zgodzili się, że nie będą tego robić tutaj. Chcieli handlu bardziej niż naszych kobiet.

Mistrzowie bitewników wyraźnie byli zszokowani niewolnictwem, chociaż jak Mace zauważył z obrzydzeniem, postawa mężczyzn nie rozciągała się na ich sylfy. Mace czekał, mając nadzieję usłyszeć więcej, przyswajając sobie fakt, że Lizzy została sprzedana i uświadamiając sobie przemoc, jaką ją spotkała.

- Gdzie mogli ją zabrać? – zapytał w końcu.

- Na południe – usłyszał odpowiedź. – Jeżeli byli z Meridal, jeżeli porwali dziewczynę, przeplyną morze i sprzedadzą ją. Mają sylfa powietrznego, który pcha ich statek. Teraz odплыli już na setki mil, mogli już sprzedać ją w tuzinie różnych miast – mężczyzna zmarszczył brwi jeszcze bardziej. – Jeżeli porwali jedną dziewczynę, mogli porwać i tuzin. Zamierzacie uwolnić tylko waszą?

Mace wzruszył ramionami.

- Sprowadzimy z powrotem każdą kobietę, jaką znajdziemy.

Mistrz bitewnika skinął głową. Najwyraźniej nie chciał ich tutaj, ale był dyplomata i nie miał nic przeciwko, żeby pomóc walczyć z niewolnictwem.

- Powodzenia w poszukiwaniach – powiedział więc, potem odwrócił się i odszedł, jego bitewnik ruszył za nim posłusznie. Zachowując się tak, jakby szesnastu obcych bitewników w ich dokach było niczym, o co trzeba było się martwić, poszedł z powrotem drogą, którą przyszedł, zostawiając rybaków i kupców wpatrujących się, bojących się powrócić od pracy, a nawet bojących się zaprotestować. Pozostali mistrzowie bitewników przez chwilę patrzyli na niego ze zdziwieniem, zanim pospieszyli w jego ślady.

Mace spojrział na swoich piętnastu podkomendnych. Popatrzył na ocean, ogromny i nieprzenikniony. Nigdy nie widział tak wiele wody.

- Rozszerzyć się – powiedział im. – Znajdźmy ją.

Bitownicy zagrzmieni, wzbijając się w powietrze, rozszerzając się nad falami, ścigając się z wiatrem, polując na każdy statek mający trzy maszty i załogę złożoną z mężczyzn w luźnych spodniach i z tatuażami.

Mace patrzył, jak wzlatają zamieniając się w dym i błyskawice, a potem sam wzniósł się w powietrze. Szybował prosto na południe, wzbijając się ponad białymi grzywami fal tak szybko, jak tylko śmiał. Bitownicy byli potężni i rozzłoszczeni, ale nie byli nieograniczeni. Ocean był ogromny i wzburzony, a jedyna energia, jaką mogli się karmić na tym świecie, pochodziła od ich kobiet. Bez Lily przy swoim boku, Mace nie mógł lecieć zbyt daleko stąd, czuł się już zmęczony tak szybkim lotem ponad górami. Jeżeli polecą za daleko, nie będzie miał wystarczająco dużo siły, żeby wrócić. Jeżeli ten statek był oddalony o setki mil, popychany przez powietrznego sylfa, może nigdy go nie znaleźć. Mogą szukać przez setki lat i nawet nie zauważyć.

I okazało się, że miał rację.

Rozdział 4

Od dnia, kiedy został ranny, rozerwany przez dwóch innych bitewników podczas obrony roju, Ril musiał sypiać. Wcześniej, przez piętnaście lat swojego niewolnictwa, spał może z tuzin razy, za każdym razem krótko. Teraz spał, jak śpią ludzie, leżąc każdej nocy nieczuły i słaby jak zwłoki. Bezużyteczny.

Nigdy nie śnił za wiele, nawet przy zwiększonym zapotrzebowaniu na sen, ale tym razem obudził się z koszmaru, którego nie mógł zrozumieć, czy zapamiętać, drżąc z zażenowaniem, kiedy w jego umyśle rozlegał się krzyk kobiety. Każdy instynkt mówił mu, żeby zamienić się w swoją naturalną postać i zaatakować to, co było zagrożeniem, ale kiedy chciał to zrobić, sapnął z bólu, jego całe ciało zbuntowało się. Przeszedł go spazm bólu, jakby tysiące larw chciało przegryźć się przez niego i opadł na posłanie drżąc. Mógł zmienić kształt, gdyby zaakceptował ból, ale powrót do jego prawdziwej postaci był na razie poza jego możliwościami. Z postrzępioną osłoną nie mógł utrzymać swojej naturalnej postaci, nie bez pomocy i nie bez bólu. Opadłby w nicość, gdyby próbował.

Ril usiadł, rozglądając się naokoło, kiedy mieszanka różnych uczuć dobiegła go od pozostałych. Był już późny poranek, minęło śniadanie i jego towarzysze już się obudzili. Leon stał nad małym ogniskiem i machając gwałtownie rozłożonymi ramionami przeklinał i wołał do Gabraliny, żeby się uspokoiła. Blondynka tańczyła dookoła szaleńczo, krzycząc.

- Pszczoła! – wrzeszczała. – To pszczoła! Zabij ją! Zabij ją!

Pacnęła w malutką brzęczącą postać i odskoczyła. Nadal przeklinając, Leon machnął ręką, sfrustrowany i rozzłoszczony.

Już całkiem obudzony, Ril wyszedł z posłania strzepując koc, kiedy skoczył naprzeciw nadciągającej fali energii. Leon zobaczył Rila w momencie, kiedy ten wystrzelił. Uderzył w większego mężczyznę, wywracając ich obu na ziemię. Ril przeturlał się, zmuszając swojego mistrza do pozostania pod nim i wyrzucił solidną ścianę energii ignorując ból, jaki to spowodowało.

Energia wybuchła. Nadal podtrzymując swoją aurę nienawiści, Wat przesuwiał się, żeby bronić swojej mistrzyni. Pełna moc podmuchu uderzyła w osłonę Rila, przepływając po niej i przechodząc dalej, sprawiając, że drzewa i krzaki wyparowały, niszcząc ich obóz i konie, które

były uwiązane za obozem. Po chwili wszystko ucichło, a Ril zastanawiał się, czy ten kretyński bitewnik zniszczył swoją własną mistrzynię, tym samym powracając do ich oryginalnego świata.

Najwyraźniej jednak nie. Ril usłyszał ją płaczącą, kiedy schodził z Leona, odreagowując dreszczami wydatkowaną moc. Kiedyś mógł z łatwością odrzucić taką energię. Teraz był bezradny.

Leon podniósł się, sprawdzając najpierw co z jego bitewnikiem, zanim rozejrzał się rozzłoszczonymi oczami za Watem. Sylf stał z Gabraliną w środku okręgu zniszczenia szerokiego na prawie pięćset stóp⁴, gruchając. Poza kępą trawy tuż pod ich stopami wszystko dookoła po prostu zniknęło, wypalone do gołej skały. Dziewczyna rozglądała się dookoła zdumiona, z roztargnieniem gładząc ramię swojego bitewnika, kiedy on ją przytulał. Biorąc to za zaproszenie, zaczął lizać jej szyję.

- Jejkę – powiedziała. – Naprawdę zabiłeś tę pszczołę.

- I wszystko inne też! – wrzasnął Leon, jego twarz poczerwieniała. Wat spojrział na niego rozzłoszczony i widać było jak Leon zmusza się do uspokojenia. – To nie było konieczne, Wat.

- Została zaatakowana – zaprotestował Wat.

- Przez pszczołę – odrzekł Ril, spoglądając na niebo, aż do teraz częściowo zasłaniane przez drzewa. Tak dobrze było po prostu poleżeć przez minutkę. Mógł wstać później. – To była przesada.

- Co to jest przesada?

- Kiedy unicestwiasz wszystko w promieniu pięciuset stóp, żeby ochronić swoją mistrzynię przed owadem wielkości paznokcia – Leon potrząsnął głową i spojrział na Rila.

- Dziękuję – wymamrotał.

Ril tylko wzruszył ramionami i zamknął oczy zapadając w drzemkę.

- Nie lubię pszczół – powiedziała Gabralina prostodusznie, uśmiechając się do swojego bitewnika. – Jesteś taki mądry!

Chwilę później, Leon musiał podejść i rozdzielić ich.

⁴ ok. 152 metry. Biedna Maja na pewno nie przeżyła ☺

Dzień chylił się niemalże ku końcowi. Byli o dwa i pół tygodnia od królestwa Yed, ale nadal więcej niż półtora tygodnia od domu. Co gorsze, niepokój Leona zwiększało to, że byli na terenie królestwa Eferem, którego królowi kiedyś służył. Alcor nadal siedział na tronie, ale ponieważ jego kapłani zostali prawie całkowicie zniszczeni, a poza tym utracił sześciu bitewników, trzech przeciągniętych, a trzech zlikwidowanych w konflikcie sprzed sześciu lat, teraz obawiał się wyzwać Dolinę Sylfów. Zamiast tego chował się w swoim zamku, ze swoim bitewnikiem, Thrалlem, zawsze przy boku. Leon wiedział, że ten człowiek był żądny mocy i paranoiczny, ale jego strach kontrolował go bardziej, niż cokolwiek innego i nie będzie ryzykował następnego ataku. Nie, dopóki nie zmienią się okoliczności. Chociaż to nie powstrzymałoby go od chęci zobaczenie głowy Leona na włócznie.

Byli nadal na południowym krańcu królestwa, z daleka od głównego miasta, ale Leon nie chciał pozostać w tym miejscu dłużej, niż to konieczne. A już zwłaszcza nie po małym epizodzie z Watem. Przebyli kilka mil, ale strefa wybuchu znajdowała się na często uczęszczanych terenach. Mogą zostać zauważeni, a Alcor nadal ma bitewników. Leon nie ufał Watowi w razie walki, a nie chciał ryzykować Rila. Musieli odczekać, zanim zaczną uciekać, a przynajmniej dać odpocząć Rilowi.

Jego bitewnik leżał na boku, na krańcu okręgu, mając postać dereszowatego konia, z rudą, gładką i lśniącą sierścią. Oddychał regularnie. Zmiana postaci była dla niego koszmarem, ale kiedy już to zrobił, dochodził do siebie. Leon zasugerował mu, żeby przez chwilę się przespał i Ril nie protestował. Był zmęczony po utrzymywaniu osłony i zmianie postaci. Leon nie był zaskoczony. Kiedy dotrą do domu, będą musieli zrobić sobie długą przerwę.

Wolał myśleć o tym, a zwłaszcza o fakcie, że pozbędzie się Gabraliny i jej głupkowatego bitewnika. Leon wiedział, że dziewczyna doznała okropnego szoku i nadal była zdenerwowana, ale jęczała za utraconymi zapasami całe popołudnie, aż w końcu zagroził, że ją zaknebluje, jeżeli nie przestanie. To ją uciszyło, ale teraz jej uczucia zostały zranione i wyglądała niemalże jakby miała się rozplakać. Wat stał niedaleko, patrząc bez wyrazu na Leona.

- Wat, czy możesz zmienić się w konia?

- Konia?

Leon modlił się o cierpliwość.

- W takie zwierzę, na jakim jechała Gabralina. Czarnego konia z białym nosem. Zmień się w takie zwierzę.

- Dlaczego?

- Ponieważ ona potrzebuje konia do jazdy. Ja będę jechał na Ril. Widzisz go? Zmienił się już w konia.

- Nie jest czarny z białym nosem.

Leon zacisnął ręce.

- To nie ma znaczenia, jakiego będziesz koloru.

- Więc dlaczego poprosiłeś mnie, żebym zamienił się w czarnego konia z białym nosem?

- Co jest nie tak z Rilem? – odezwała się Gabralina, najwyraźniej oderwana od dąsów. – Czy jest chory?

Leon wziął głęboki wdech.

- Nie. Zmiana postaci jest dla niego trudna. Śpi.

Zmarszczyła brwi.

- Wat nie śpi.

- Wat nie potrzebuje – wyjaśnił. – Jest bardzo zdrowym bitewnikiem. Ril nie jest. Ale nie lubi, żeby zwracać na to uwagę – dodał.

- Och. Czy Wat jest silniejszy?

- Tak – westchnął. – Co oznacza, że nie powinien mieć problemów ze zmianą w konia, bez znaczenia jakiego koloru.

- Dlaczego? – zapytał znów Wat.

- Ponieważ zamieniłeś nasze konie w pył, a droga jest za daleka, żebyśmy z Gabraliną szli.

- Jak to się stało, że Ril jest słabszy od Wata? – zapytała Gabralina.

Dziewczyna zadawała więcej pytań niż dziecko, ale była to najprawdopodobniej następna oznaka jej strachu. Wydawała się nie wiedzieć, jak odnosić się do Leona, poza lamentowaniem i zadawaniem pytań. Po dwóch i pół tygodnia jej towarzystwa Leon wiedział już, że odmówienie jej odpowiedzi spowoduje tylko, że będzie zadawać jeszcze więcej pytań, jakby wyczuwała, że jej nie lubi. Ludzie z Yed wybrali ją jako ofiarę tylko dlatego, żeby wreszcie się zamknęła, zdecydował. Ril w pełni zgadzał się z tą oceną, nie cierpiał dziewczyny. Leon nie odczuwał tego tak mocno, ale był w stanie odpowiedzieć na niekończącą się rundę pytań tylko wtedy, kiedy wyobraził sobie swoją trzyletnią córeczkę Mię. Zadawała tak wiele pytań, że jego żona, Betha, przysięgła, że nie będzie miała więcej dzieci. Ale Mię przynajmniej w końcu można było ułożyć do drzemki.

- Był kiedyś ranny - odpowiedział Leon mając nadzieję, że to wystarczy. – Wat, proszę, zmień się w konia.

- Jak? – zapytała Gabralina, patrząc się ze zmartwieniem na Wata. – Myślałam, że oni nie mogą być zranieni.

Leon westchnął. Poczul, że głowa zaczyna mu pulsować.

- Został rozdarty przez innego bitewnika, kiedy był w swojej naturalnej postaci. W tej formie są podatni na zranienia. Umarlby, gdyby uzdrowicielski sylf go nie ocalił.

- To okropne – wyszeptała Gabralina z załzawionymi oczami. – Czy poczuje się lepiej?

- Nie – odrzekł Leon. – Czy możemy wrócić do tematu rozmowy? Proszę?

Potrząsnęła głową.

- Dobrze. Wat, bardzo chciałabym, żebyś zmienił się w konia.

Spojrzał na nią z uwielbieniem.

- Wszystko co zechcesz.

Natychmiast stał się tłuściutkim czarnym koniem, oczywiście bez białego nosa. Gabralina pisnęła z zachwytem i zaczęła kierować nim, aby udoskonalić tę postać.

Leon zostawił ich i przeszedł do Rila. Nie wiedział, czy jego bitewnik słyszał swoje imię, ale Ril już nie spał, przeturlał się na brzuch z nogami podwiniętymi pod siebie. Widząc Leona wstał na nogi.

Leon położył rękę na ciepłej szyi sylfa.

- Ta dziewczyna mnie wykończy – wymamrotał, przyciskając twarz do delikatnej sierści. Ril zarżał cicho, Leon objął go ramieniem za szyję i odpoczął opierając się o niego.

Kiedy był spokojny i zwracał na to uwagę, mógł stwierdzić kiedy Ril pije jego energię. Właśnie teraz poczuł to odczucie, niewyraźne ciągnięcie głęboko z wnętrza ciała, które sprawiało, że jego serce zaczęło bić szybciej, ale w żaden sposób nie było niewygodne. Ril nie zabierał dużo. Nie mógł wchłonąć tak wiele, jak potrzebował, a nawet to nie było szczególnie zauważalne. Leon nie wiedział, jak bitewnicy mogli wciągnąć tak mało, a robić tak wiele, ale tak właśnie było. To co było niewielkim wydatkiem dla niego, znaczyło tak wiele dla Rila, więc stał tam cierpliwie pozwalając, żeby kontakt był jak łatwy, jak to tylko możliwe.

W końcu Ril odsunął się, jego oczy pojaśniały, kiedy potrząsnął grzywą. Obejrzał się na Leona i pogrzebał kopytem w kurzu, w wyraźny sposób chciał już wyruszyć.

- Ty i ja razem – powiedział Leon.

Obszedł naokoło do lewego boku bitewnika. Chwyając grzywę Rila jedną ręką uniósł się na plecy sylfa. Ril parsknął, ale poza tym stał spokojnie.

- Powiedz mi, jeżeli jazda będzie dla ciebie problemem – uprzedził go. Nigdy wcześniej nie jeździli w ten sposób, ale żaden z nich nie widział podczas tej podróży żadnych koni na sprzedaż. A nie chcieli też ryzykować i zabierać Wata i Gabraliny do miasteczka.

Z rękami na jego szyi Leon odwrócił Rila delikatnym zaciśnięciem kolan. Ril posłuchał, chociaż jego ogon podlatywał regularnie, żeby pacnąć swojego mistrza. Leon uśmiechnął się.

- Tylko wyobraź sobie, jak przykro mojemu tyłkowi, że musi siedzieć na twoim kręgosłupie do końca dnia – zapewnił bitewnika. Ril zaśmiał się końskim śmiechem.

Zorientował się, że będą musieli unikać głównych traktów. Konie, na których jeździ się bez uprzęży, łatwo zauważyć. Ale kiedy podniósł wzrok, zbladł. Gabralina siedziała na wysokim, eleganckim, wspaniale białym koniu, który lśnił od srebrnych kopyt przez jedwabistą, sięgającą ziemi grzywę, aż po perłowy spiralny róg wyrastający z jego czoła.

- Och, na miłość bogów – warknął. Poczul, że jego ból głowy wraca.

Lizzy skuliła się w malutkiej klatce we wnętrzu statku, gdzie została przyprowadzona. Była chora i przerażona. W innych klatkach beczały kozy i gdakały kury, wszystkie protestując przeciwko wznoszącemu się i opadającemu ruchowi statku, a także przeciwko ciemności. Jej porywacze nie zostawili jej nawet małej lampki, żeby mogła cokolwiek widzieć. Skulona w kącie objęła ramionami kolana i zapłakała, niezdolna powstrzymać łez.

Nigdy w życiu nie była tak przerażona, nawet wtedy, kiedy bitewnik, który o mało co nie zabił Rila, wdarł się do komnaty, gdzie ona i wszyscy inni ukrywali się. Widziała jak jego oczy lśniły szaleństwem, zanim Heyou zablokował go, ocalając jej życie. Miała koszmary o tej chwili przez sześć lat, obawiając się, że bitewnik wróci. Kiedy koszmary stawały się naprawdę złe, wmykała się ze swojego łóżka i szła przez miasteczko do komnaty, w której odpoczywały sylfy. Zazwyczaj nie spały, ale przebywały w niej razem, wzlatując w wielkiej masie splątanych chmur i światła. Lizzy przychodziła tam i spała w kącie, czując się bezpiecznie pod ich cichą ochroną. Chciała być tam teraz, chciała tego tak bardzo, że aż bolało ją w środku.

- Ril – zakwilila, chcąc żeby przybył i ją ocalił, ale Ril był bitewnikiem jej ojca, nie jej. – Tatusiu – wyszeptala zamiast tego. – Och, tatusiu.

Statek zakolysał się wpływając na falę i żołądek Lizzy skręcił się, chociaż nie było w nim jedzenia ani wody, które mogłaby zwymiotować. Porywacze karmili ją, ale tylko raz dziennie, a wodę, którą przynosili jej trzy razy na dzień, już wypila. Próbowala nie wypić jej całej, ale była tak spragniona, że nie mogła się powstrzymać. Na pokładzie nad sobą uslyszala odlegle glosy zeglarzy biegajacych w rozne strony i pokrzykujacych na siebie podczas pracy. Czesc jej chciala, zeby ktos zszedl na dol tylko po to, zeby mogla zobaczyc inną osobę, ale druga jej czesc balala sie tego. Mężczyźni mieli przykazane nie gwałcić jej, za nietkniętą kobietę mogliby wytargować więcej pieniędzy, ale kilku z nich przyglądało się jej w taki sposób, jakby myśleli o tym, żeby zwrócić kapitanowi tę różnicę w cenie.

Lizzy ukryła twarz w kolanach. Będzie sprzedana, zmieniona w niewolnicę z powodu jej blond włosów i dziewictwa, ale co ważniejsze, z powodu jej wiedzy o bitewnikach z Doliny Sylfów. Kapitan statku wiedział o nich i o tym, że Solie przestraszyła przywódców świata i był pewien, że będzie mógł dobrze sprzedać te informacje. Inaczej będzie miał kłopoty, jak powiedział jej ponuro. Nie będzie mógł odwiedzać Para Dubh przez długi czas, przez ich poglądy na niewolnictwo, ale pieniądze, które ona mu przyniesie, będą tego warte. Za sekrety bitewników zażyczy sobie dziesięć tysięcy złotych monet!

Szlochała, pragnąc być w domu. Najgorsze było, że знаła ten sekret. Wiedziała, dlaczego bitownicy w Dolinie byli tak powszechni i tak pełni dobrej woli. Nikt nie przypuszczał, że będzie miała okazję o tym mówić... ale jak ma to ukryć teraz, jeżeli będą ją torturować?

Kraty jej klatki były zimne. W końcu wiedziała, jak czuł się Ril, kiedy była dzieckiem, uwięziony w postaci ptaka, niezdolny do mówienia, niezdolny do działania, mogący komunikować się jedynie przez przesuwanie klocków z literami i układanie ich w słowa. Powiedział jej, że ją kocha!

Lizzy zapłakała pragnąc, żeby był tutaj i w jakiś sposób, mimo upływu lat, nadal tak uważał.

Rozdział 5

Droga, przytulona do gór oddzielających Dolinę Sylfów od Para Dubh, prowadziła dookoła krańca pustyni, ale po tej stronie nadal nie było widać nic żywego, poza szarymi zaroślami i pojawiającymi się sporadycznie jaszczurkami. Przesuwając się z trudem cały czas naprzód, grupa dotarła do Doliny Sylfów o zmroku, kiedy księżyc nadal wspinał się na niebo. Samo miasteczko było na drugim końcu doliny, niedaleko małego jeziora. Poza tym było tu tylko kilka rzadko rozmieszczonych zagród, położonych bliżej pastwisk bydła, czy bliżej pól, które uprawiali mieszkańcy.

Gabralina chciała zatrzymać się o zmierzchu, ale będąc tak blisko domu Ril odmówił i po prostu mozolnie szedł dalej, chociaż opuścił nisko głowę ze zmęczenia. Blondynka dosiadająca Wata, który teraz przynajmniej wyglądał jak normalny koń, nie miała żadnego wyboru, tylko podążyć za nimi, trajkocząc nerwowo przez całą drogę, co też ona zrobi, jeżeli nikt jej nie polubi.

- Zamknij się, a będziesz spała w prawdziwym łóżku dzisiejszej nocy – powiedział jej ostro Leon. Jego tyłek był tak obtarty, jak przewidywał, ale zatrzymał to dla siebie. Mógł prawie poczuć zapach domu i swojej rodziny. Chęć zobaczenia ich wszystkich była przytłaczająca. Będzie w domu. A minęły miesiące.

- Naprawdę? – Zapytała Gabralina ożywiając się. – Obiecujesz?

- Tak. A teraz pospiesz się. Jeszcze tylko kilka mil i będziemy w miasteczku – Leon uniósł głowę na powiew wietrzyka wyobrażając sobie, że czuje zapach pszenicy i kukurydzy wzrastającej na polach i słyszy ryczenie bydła. Znów zacisnął kolana dookoła żeber Rila, przekazując swoją gorliwość, żeby być w domu. Bitewnik zastrzygł uchem i przeszedł w cwał, jadąc szybko w dół szeroką, równą drogą, którą ziemne sylfy ułożyły z połamanych skał.

Gabralina krzyknęła za nimi i zawołała Wata, żeby ich dogonił. Kopyta dźwięczały na kamieniach i znów pojawił się biały koń. Blondynka machała nogami na jego grzbiecie, jadąc na nim okrakiem, jej twarz była beztroska, a włosy powiewały z tyłu.

Wcześniej nie robiła czegoś takiego, tylko siedziała spokojnie na grzbiecie Wata, czy wcześniej na grzbiecie wałacha, ale Leon był pewny, że w przeszłości jeździła konno, po sposobie, w jaki trzymała się grzywy, jakby to były lejce. Wat cwałował mijając Leona i Rila, jego nozdrza poruszały się z podniecenia. W odpowiedzi Ril znów zastrzygł uchem i parsknął.

Zdając sobie sprawę, co się dzieje, Leon wsunął ręce w grzywę bitewnika, chwytając ją porządnie i zapierając się kolanami.

- Nie przemęczaj się za bardzo – wyszeptał, wiedząc, że zostanie zignorowany.

Ril przeszedł w galop, pędząc szaleńczo za tamtą dwójką. Minał ich w ciągu chwili i pogalopował naprzód, jego kopyta uderzały o ziemię.

Leon zaśmiał się na widok zdziwienia na twarzy dziewczyny.

- To nie fair! – Zawodziła, a Wat krzyknął, natychmiast podwajając tempo. Dwóch bitewników pędziło, galopując po kamieniach szyja w szyję. Leon pochylił się bliżej do Rila.

- Nie wiedziałem, że potrafisz biec tak szybko – zaśmiał się do jego ucha. Bitewnik tylko parsknął i podwoił wysiłki, wyprzedzając Wata o kilka stóp.

Gabralina gwałtownie uderzyła piętami, jej sylf ryknął i znów zrównał się z Leonem i Rilem, potem wyprzedził ich po raz drugi. Ril zmusił się, żeby zmniejszyć odległość i obaj po raz kolejny biegli szyja w szyję.

Szybciej, niż jakiegokolwiek żyjące konie, obaj lecieli w dół drogi. Droga zakrzywiała się, skręcała, a potem schodziła gwałtownie w dół. Głęboka i ogromna dolina rozciągała się dalej, niż Leon mógł zobaczyć w świetle księżyca, ale mógł widzieć punkciki świateł niedalekiego miasteczka, pojedynczy blask od samotnej farmy leżącej bliżej. Dwóch bitewników wspięło się na szczyt i skoczyło, lądując na pochyłej drodze, ich ciała wyciągnęły się, kiedy pędzili w stronę celu, uderzenia ich kopyt rozchodziły się echem przez noc. Światło księżyca niemalże niknęło w cieniu Doliny, ale Leon nie martwił się, że przy następnym wzgórzu stracą punkt podparcia. Nie ta dwójka.

Pochylając się tuż przy szyi Rila, Leon spojrzał na Gabralinę. Po raz pierwszy jej twarz wydawała się ożywiona i niezmartwiona, jej oczy lśniły, jej uśmiech był ogromny. Nie zdawał sobie sprawy, że może być kimkolwiek poza paplająca myszą. Nie znalazł jej na tyle. Jej miłość do sportu była może jedyną rzeczą, jaka ich łączyła.

Ril wygrał w ostatniej chwili. Znajac układ miasteczka zeskoczył z drogi, uderzając o plot (i mężczyznę za nim, który akurat szedł do przybudówki), zrobił dwa susy, przesadził ogrodzenie po drugiej stronie dziedzińca i wjechał na miejski rynek o jakieś dziesięć stóp przed Gabraliną. Miała ogłuszony wyraz twarzy. Leon zaśmiałby się, gdyby równocześnie nie

wyglądała na zmieszana. Zamiast tego uśmiechnął się do niej, a ona zaczerwieniła się, odwracając twarz.

- Wy dwaj oszukiwaliście – stwierdziła.

- Nie wiedziałem, że są jakieś zasady – powiedział jej łagodnie Leon, mniej zainteresowany jej reakcją, a bardziej tym, co jego bitewnik zrobił sobie podczas tego szaleńczego wyścigu. Poglądził szyję Rila i zamruczał do niego pocieszająco, świadomy po mrowieniu w ramieniu, że sylf właśnie pije jego energię.

Zaalarmowani odgłosami ich przybycia, czy może bardziej wiedząc już, kiedy grupa przybyła do Doliny, trzech bitewników w niebiesko- złotych ubraniach szło w dół ulicy, patrząc na nich z rezerwą. Wat stał tylko jak idiota. Z tyłu za nim, z gospody, która była równocześnie zajazdem, wyszli mężczyźni i kilka kobiet.

- Claw - zawołał Leon do jednego z bitewników. – Proszę, powiadom królową. Muszę widzieć się z nią w jej sali audiencyjnej tak szybko, jak tylko Ril dojedzie.

Dziwaczny, niebieskowłosy bitewnik zadrzał i zniknął, lecąc jako dym w kierunku jednego z otworów, które prowadziły do podziemnej części miasteczka i zniknął w jego wnętrzu.

To w końcu przyciągnęło uwagę Wata. Spojrzał w miejsce, gdzie zniknął bitewnik, zastrzygł uchem.

- Gabralina – zawołał Leon. Spojrzała na niego. – Witaj w Dolinie Sylfów. Chciałbym, żebyś zabrała Wata do komnaty audiencyjnej królowej. Będzie uradowana, że może cię poznać – skinął do jednej z dziewcząt służących w tawernie. – Cherry, proszę, czy możesz ją tam zabrać?

- A ty gdzie jedziesz? – Zapytała Gabralina, najwyraźniej znów zdenerwowana. Ześlizgnęła się z grzbietu Wata, a on zmienił się natychmiast i powrócił do ludzkiej postaci. Wszyscy bitewnicy znieruchomieli. Mogli zaatakować go w każdej chwili.

- Zaraz wrócę – zapewnił ją Leon. – Obiecuję.

Mógł poczuć drzenie Rila pod nim, ale trącił sylfa kolanami, jakby uważał, że nic złego się nie dzieje i poklusowali za róg. W chwili, kiedy zniknęli z zasięgu wzroku, zeskoczył z grzbietu bitewnika i obrócił się do niego, pomagając mu utrzymać się na nogach.

- Ty dupku – powiedział. – Czy ty próbujesz wykończyć samego siebie? - Kiedy Ril rzucił mu pełne złości spojrzenie, Leon potrząsnął głową. – Chodź.

Doprowadził bitewnika do drzwi w murze otaczającym dwa budynki. Po drugiej stronie były schody, które prowadziły do części rozciągającej się pod miasteczkiem. To było miejsce, gdzie wszyscy mieszkańcy mogli schronić się przed burzą, czy w razie ataku. Droga była oświetlana przez lampki oliwne, które zawsze były pełne i Leon pomógł Rilowi zejść w dół schodów, które były wystarczająco szerokie dla nich dwóch, chociaż zbyt pochyle, obojętnie, czy dla człowieka, czy dla konia. Na końcu korytarza zobaczył ziemnego sylfa idącego w ich stronę.

- Proszę, zawołaj Luck - powiedział malej postaci, kiwając jej głową. Pozdrowiła go bezpłciową twarzą zrobioną z błota i pospieszyła, chociaż niewiele szybciej niż oni.

Leon zabrał Rila do komnaty leżącej obok sali tronowej królowej. Nie chciał, żeby Gabralina to zobaczyła, lub przyprowadziła tu Wata.

W ogromnej komnacie unosiło się cały czas przynajmniej dziesięciu bitewnych sylfów, przybycie obcego bitewnika do serca ich domu mogłoby źle się skończyć. Nie miał pojęcia, ilu bitewników było tu teraz.

Komnata miała sto stóp szerokości, sufit był zrobiony z czystego szkła, które sięgało ponad ziemię, w powietrze, ale było obecnie zaciemnione przez chmury dymu i błyskawic. Wielu bitewników spoglądało w dół, na nich, a kilka z nich dryfowało swobodnie, ciągnąc w stronę Rila. Ten odsunął się od Leona i wszedł w głąb komnaty, otoczony przez wirującą energię.

Coś zamigotało za nim. Leon odwrócił się i zobaczył niewyraźną postać wchodzącą do komnaty, kierującą się z stronę Rila: Luck. Była jedynym uzdrowicielskim sylfem, jakiego mieli i wybawicielką Rila. Położyła na nim swoje ręce i zmienił się bezboleśnie, zamieniając się w dym i błyskawicę.

Wyglądał w jakiś sposób na niedokończonego, jego postać wydawała się mniej realna niż sylwetki pozostałych, mniej obecna, ale Luck ukoła przemianę, kiedy inni bitownicy otaczali go, podtrzymując go swoimi mackami, jakby podtrzymywali noworodka. To był jedyny sposób, w który Ril mógł przybrać swoją własną postać i Leon poczuł ulgę bitownika. Pozostałe sylfy będą przy nim, kiedy będzie spał, a kiedy obudzi się, Luck pomoże mu zmienić się z powrotem. Tak było od sześciu lat i tak będzie tak długo, jak będzie żyć bitownik.

- Śpij spokojnie, Ril – wymamrotał Leon i wyszedł wywiązać się ze swoich innych obowiązków.

Gabralina rozejrzała się z przestachem dookoła, trzymając obiema rękami jedno z ramion Wata. Sylf lekcewał Rila przez całą podróż, więc nie traktowała ani jego, ani Leona jako zagrożenia, ale teraz patrząc na tuzin postaci stojących dookoła nich, Wat z nienawiścią wyszczerzył zęby. Do tej pory był to najdłuższy czas, jaki spędził nie zajmując się nią, zorientowała się, rozglądając się po podziemnej komnacie, do której została wprowadzona. Komnata była oświetlona przez ognistego sylfa, stoły i krzesła stały dookoła ścian, a rzeźbione kamienne krzesło wznosiło się w tyle komnaty. Gabralina nigdy nie widziała czegoś tak delikatnie pięknego.

- Co to za miejsce? – zaskomlała.

Jej przewodniczka, dużo mniej atrakcyjna kobieta nosząca fartuszek, wzruszyła ramionami. Miała na imię Cherry.

- To królewska sala tronowa i komnata audiencyjna.

- Dlaczego są tutaj ci wszyscy bitownicy? – Sprawiali, że była nerwowa.

Kobieta znów wzruszyła ramionami.

- Chronią królową. Są na tym punkcie trochę szaleni. Ale przynajmniej jej słuchają. Jest tutaj jedyną młodą kobietą, która ma bitownika. – Cherry spojrzała na Gabralinę z niewyraźnym niezadowoleniem. – Poza tobą. Wiesz, to nie jest w porządku.

Gabralina zamrugła, nie zauważając zazdrości drugiej kobiety. Była do niej zbyt przyzwyczajona.

- Słuchają jej? Czy nie powinni słuchać swoich mistrzów?

- Pewnie. Ale wszystkie sylfy w pierwszej kolejności słuchają królowej. Tak to już jest.

Po drugiej stronie komnaty otworzyły się drzwi i weszła młodziutka kobieta z długimi czerwonymi puklami. Miała na sobie pomiętoszone ubranie, a jej włosy były okropnie rozczochrane, jakby właśnie wstała z łóżka, ale i tak była piękna. Bitewnik podążający za nią miał postać pięknego, młodego mężczyzny, jego spojrzenie odnalazło Wata i nie wydawał się uszczęśliwiony.

Widząc rudą głowę, wszyscy bitewnicy w komnacie uklonili się i Gabralina coś sobie uzmysłowiła.

- To jest królowa? – sapnęła – W jaki sposób stała się tak ważna?

- Eeee... z tego co słyszałam, miała seks z bitewnikiem.

- He?

Ręka Leona zacisnęła się dookoła jej ramienia i Gabralina przestraszona krzyknęła, co odbiło się echem po całej komnacie.

- Cicho – uciszył ją. – Mamy tu niewiele formalnych zasad zachowania, ale to miejsce ma dobrą akustykę – poprowadził ją naprzód, Wat podążył za nimi przez pokój.

- Powiedziałeś mi, że stanie się coś okropnego, jeżeli będę miała seks z Watem – wyszeptała.

- Bo stałoby się coś okropnego – zapewnił ją. – Stałabyś się królową, jak Solie. Więcej niż jeden rój to już za wiele. Nie martw się, za chwilę to już będzie bezpieczne.

- Bezpieczne od czego? Jak?

Leon podszedł do królowej, która czekała obok swojego bitewnika i skinął głową wielkiemu, ociężałemu, opalonemu mężczyźnie stojącemu o kilka stóp po jej lewej stronie.

- Jest cały twój, Mace.

- Co? – (What?) – Gabralina pisnęła. Wat spojrział na nią, wyczuwając jej przestach, a także dlatego, że jej pisk był przypadkowo podobny do jego imienia. Nagle bardzo bała się o niego. Leon nie uprzedził jej o niczym.

Nie było czasu na myślenie. Mace wyciągnął rękę i Wat zeszytywniał, jego oczy rozszerzyły się. Gabralina zalkała czując jego nagle znieruchomienie i strach, ale Leon chwycił ją i cofnął do tyłu. Coś wewnątrz Wata zmieniło się, przesunęło i chociaż nie utraciła swojego kontaktu z nim, poczuła, że jego uwaga stała się podzielona, istota tego, czym był, przekształciła się. Zadrżał raz i było już po wszystkim. Zamrugał, energicznie potrząsnął głową. Wielu z bitewników wędrowało po komnacie, włączając tego ogromnego, nazywanego Mace. Nie wyglądali na zainteresowanych ochronieniem królowej przed Watem, już nie.

- Wat? – wyszeptala. - Co się stało?

- Jest teraz członkiem roju – wytłumaczył Leon. – Jest akceptowany przez pozostałych. – Wzruszył ramionami, po czym dodał z rozbawionym wyrazem twarzy. – A co do ostrzeżenia o nie spaniu z nim, teraz już jest w porządku. Nic złego się nie stanie.

Nic? Nic. Poza tym, że teraz ma kochanka i miejsce, gdzie nikt nie będzie miał żadnego powodu, żeby pytać ją o przeszłość. Całe napięcie opuściło ją tak łatwo, jak stało się to z jej bitewnym sylfem i Gabralina uśmiechnęła się przepięknie, kiedy odwróciła się by pozdrowić królową.

Podczas przedstawienia Solie patrzyła na nową dziewczynę obok Leona, który stał ze skrzyżowanymi ramionami, wyglądał na zmęczonego i głodnego, ale czekał cierpliwie, aż zakończą się wszystkie formalności. Nauczył ją wszystkiego, co wiedział o dyplomacji i prowadzeniu królestwa. Prawdopodobnie upewnił się, że Gabralina będzie miała bezpieczne schronienie, zanim on sam pójdzie do domu, co znaczyło, że najwyraźniej nie miał jeszcze pojęcia o losie swojej najstarszej córki. Solie pękało serce. Nie chciała mu mówić, ale powinien być powiadomiony o tym, co się stało, zanim jakiś idiota w dobrej wierze zdradzi się z tym.

Znając doświadczenia dziewczyny prawie poświęconej w ofierze i jej obawę, czy nie jest niegrzeczna, Solie uśmiechnęła się do blondynki, najnowszej mieszkanki Doliny Sylfów i przerwała jej.

- Jak się cieszę, że tu jesteś! Musisz być wykończona. Poproszę Davona, żeby przygotował ci pokój, w którym będziesz mogła odpocząć. – Skinęła palcem i Davon podszedł, wyglądając na zaskoczonego.

– Mamy wykopane wiele komnat, tak na wszelki wypadek. Większość z nich nie jest wykorzystywanych przez większość czasu...

Blondynka zamrugła głupio i Solie zorientowała się, że zaczyna paplać. Zdeterminowana, żeby zakończyć sprawę, pomachała na do widzenia i podeszła do Leona. Chwyła go za rękę. Uniósł brwi.

- Leon, chodź ze mną.

Ze słowa sprzeciwu poszedł za nią. Wyprowadziła go z komnaty i przeszła do prywatnego pokoju, nieco dalej w dół korytarza, jednego z położonych niedaleko komnaty, gdzie jak wyczuła, odpoczywał Ril. Heyou podążał za nią, wyczuwała od niego zmartwienie. Solie wiedziała, że zastanawia się nad tym, jak zareaguje ojciec Lizzy.

- Co się stało? – zapytał Leon półgłosem, kiedy byli już sami. Solie tylko potrząsnęła głową i zamknęła drzwi. Pokój, w którym byli, miał wąskie łóżko i krzesło, a także wiadro i mop. Leon odsunął się od niej i obrócił się, krzyżując ręce na piersi. – Dobrze, powiedz mi.

Solie wzięła głęboki wdech. Heyou przesunął się bliżej, położył ręce na jej ramionach, a ona zmusiła się, żeby zachować spokój. Ze wszystkich mężczyzn ten był tym, którego najbardziej szanowała. Cała społeczność nie przetrwałaby bez niego ucieczki roju na klify sześć lat temu.

- Leon, bardzo mi przykro, ale mam złe wieści. Chodzi o Lizzy – była zmuszona przelknąć i wziąć głęboki wdech. – Zniknęła. Pojechała do Para Dubh i została porwana. Posłałam szesnastu bitewników, żeby jej poszukali i sprowadzili do domu, ale jej nie znaleźli. My... nie wiemy, gdzie ona jest.

Leon znieruchomiał, jego twarz straciła wszystkie kolory. Będąc tak blisko niego, Solie nie mogła nic poradzić, że dzieliła jego emocje przez Heyou. Poczula jego ból jak uderzenie nożem.

- C-co? – wyjąkał.

- Leon, tak mi przykro – przepraszała. – Posłałam ich tam, bo nigdy nie pomyślałam, że może stać się coś takiego. Proszę, wybac mi.

Nie miała pojęcia, czy jej wybaczył. Leon odwrócił się, szarpał się z gałką od drzwi i chwilę później wybiegł na korytarz, biegnąc w stronę swojego domu i rodziny. Solie zwiesiła głowę, a Heyou objął ją ramionami.

Leon czuł mocne uderzenia butów o ziemię, kiedy biegł, słyszał swój własny, spanikowany oddech. Ktoś miał jego dziecinę! Nie mógł myśleć o niczym oprócz tego. Ktoś miał Lizzy!

Biegł po tych samych schodach, po których sprowadził Rila w dół, potknął się i upadł na jedno kolano. Nie zwrócił uwagi na ból, podniósł się natychmiast, pchnął drzwi na górze i pobiegł w dół ulicy, pochwa od miecza uderzała o jego nogi, poruszał ramionami. Może mijal ludzi, którzy zatrzymywali się i patrzyli za nim, ale nie był tego pewien. Ktoś chyba go zawołał, ale nie usłyszał tego.

Jego dom leżał o kilka ulic od głównej ulicy, był na tyle blisko od głównego rynku, że Betha była szczęśliwa, ale na tyle daleko, że nie mieli uczucia, jakby całe miasto tłoczyło się przy ich schodach. Ich mieszkanie nie było tak duże, jak stary dworek w Eferem, nie mieli też służby. Wszystko robili sami, dziewczęta utrzymywały mieszkanie w czystości, prały ubrania. On i Ril wykonywali remonty i prace konserwacyjne. Wszyscy dbali o ogródek z tyłu i kurnik połączony z małą stodołą, dla kilku koni i krowy. Drzwi do szafy Lizzy skrzypiały, przypomniał sobie. Miał zamiar naprawić to po powrocie. Mówiła mu, że to doprowadza ją do szaleństwa, a on nie zajął się tym. Powinien był to naprawić!

Góra domu była ciemna, tylko pojedyncze światło świeciło się w salonie poniżej. Leon przeskoczył przez schody prowadzące na werandę i przeszedł przez drzwi wejściowe, których nigdy nie zamykali. Przedpokój wewnątrz był ciemny, światło, które widział z zewnątrz, zgasło.

- Betha! – krzyknął.

Rozległy się okrzyki z salonu i jego żona od dwudziestu pięciu lat pojawiła się, w zmierzwionym ubraniu, z włosami na wpół wymykającymi się z koku i z załzawionymi, czerwonymi oczami. Popatrzyli się na siebie, a potem rzucili się sobie w ramiona, oboje płacząc i ściskając się tak mocno, że stało się to bolesne. Na drugim piętrze rozległy się kroki i pozostałe dziewczynki, w koszulkach nocnych, zbiegły po schodach wołając swojego ojca.

Cara miała dwanaście lat, włosy, zazwyczaj zaplecione warkoczyki, miała rozpuszczone. Za nią gramoliła się dziewięcioletnia Nali, z włosami ciemnymi jak u jej matki i oczami wypełnionymi łzami. Za nimi, prowadząc trzyletnią Mię, szła siedmioletnia Ralada, prawie płacząca, ale zdeterminowana, żeby zachowywać się odpowiedzialnie. Uwieszona jej ręki Mia paplała pytania, na które Leon nie wiedział jak odpowiedzieć.

Nadal przytulając swoją żonę, Leon opadł na kolana, ciągnąc ją za sobą i wyciągnął ramiona do dziewczynek. Tłoczyły się dookoła niego, a Leon zapłakał również, marząc, żeby nigdy nie był tak głupi, żeby wyjeżdżać z domu.

Pod miasteczkiem, otulony energią pozostałych bitewników, pływając w niej, jakby był jakimś rodzajem nienarodzonego dziecka, Ril utrzymywał swoją naturalną postać i spał.

A śpiąc śnił.

Rozdział 6

Ril obudził się, czując się równocześnie wypoczętym i głodnym. Luck pomogła mu powrócić do jego ludzkiej postaci. Siedział na podłodze, kiedy uważnie go zbadala, a potem zadowolona z tego co zobaczyła, poklepała go po głowie i wyszła. Spoglądając w górę na bitewnika, który trzymał go całą noc, Ril skinął głową w podziękowaniu. Dillon pozdrowił go bez słów.

Jego głód nie był podobny do głodu ludzi. Ril wstał i ziewając wyszedł z pokoju. Wokół błakali się bitewnicy, wchodząc i wychodząc z sali audiencyjnej królowej, wszyscy odziani na niebiesko- złoto. Ril spojrzał w dół na swoje pobrudzone w podróży ubranie zanim uciekł do następnej komnaty, jednej z wielu nowych. Jego własne miejsce było niedaleko wejścia, specjalnie wybrane dla niego na poziomie, do którego był łatwy dostęp. Przebrał się w swoje niebiesko- złote spodnie i białą koszulę, a na wierzchu niebiesko- złotą marynarkę. To umundurowanie było pomysłem Solie, żeby każdy, kto nie znał ich twarzy, był ostrzeżony, że ma do czynienia z bitewnikiem. Wcześniej miało miejsce kilka wypadków. W tym ubraniu czuł się sztywno i formalnie, ale nigdy celowo nie pokazywał się bez niego w mieście. Był bitewnikiem, bez znaczenia co myśleli o tym inni, albo o czym szeptali.

Ril wyprostował się dumnie, kiedy zapinał guziki marynarki, a potem ruszył w stronę powierzchni, jego myśli nie sięgały dalej niż śniadanie, czy też może lunch, poprawił się, kiedy zorientował się, że słońce jest wysoko na niebie. Niektórzy ludzie uważali za dziwne, że sylfy używają takich określeń karmiąc się od mistrzów, ale jakich innych słów mieli używać?

Szedł w dół chodnika, ludzie rozstępowali się, żeby go przepuścić. Kierował się w stronę domu Leona. Cały czas mógł wyczuć, gdzie jest jego pan, chociaż nie zawsze mógł skupić się na tym, co on czuje. Ale teraz, Ril zmarszczył brwi, Leon był smutny. Bardzo smutny. Niemalże w stanie hysterii.

Ril przyspieszył, zanim zorientował się, co robi, już biegł. Zdenerwowani ludzie gorączkowo schodzili mu z drogi. Bitewnicy ponad nim zaryczeli, wyczuwając przez swoich mistrzów jego cierpienie. Każdy bitewnik, który był na zewnątrz, zniknął, niektórzy z nich zabierając ze sobą swoich mistrzów. Ril niczego nie zauważył. Wbiegł na schody prowadzące na ganek jednym skokiem i uderzył w drzwi wejściowe. Zakolysały się na zawiasach waląc w

ścianę, kiedy Leon pojawił się w wejściu na końcu holu, z nożem w rękę. Był do połowy nagi i nie ogolony, jego oczy były oszalałe i nabiegłe krwią. Ril nie widział go w tak kiepskim stanie od dnia, kiedy został niemalże powieszony. Zahamował tuż przed swoim mistrzem, wpatrując się w niego. Za Leonem, Betha i młodsze dziewczynki siedziały przy kuchennym stole, wszyscy w nocnych koszulach.

- Co się stało? – wpatrywał się w nich Ril.

Leon przelknął ciężko, zadławił się i opuścił nóż.

- Straciliśmy Lizzy.

To nie miało sensu. Ril nachylił głowę na bok.

- Co?

- Zniknęła – powiedział nieszczęśliwy Leon. – Została porwana. Nikt nie może jej znaleźć. Nawet nie wiemy, czy jeszcze żyje.

Siedzące przy stole siostry Lizzy zaczęły płakać.

To naprawdę nie miało żadnego sensu. Z głową nadal pochyloną Ril wpatrywał się w Leona, chociaż tak naprawdę go nie widział. Był głodny energii mężczyzny, ale nie myślał, żeby ją wziąć. Lizzy? Jego Lizzy? Widział jej narodziny, strzegł jej dzieciństwa, nawet obiecał jej, że będzie jego królową, zanim Solie nie dostała go pierwsza i nie przyłączyła do swojego roju. Obiecał jej wszystko, zanim bitewnik Yanda rozerwał go na dwoje i pozostawił złamanego i nic nie wartego.

- Ril? – odezwał się Leon.

Ril odwrócił się, przeszedł w dół korytarza i wyszedł na ganek. Sąsiedzi, którzy nie wiedzieli, że Leon był w domu, widząc Rila wchodzącego do środka zgromadzili się, żeby przekazać swoje kondolencje. Ril ich zignorował, zamknął oczy. Jego Lizzy, jego piękna Lizzy! Kochał ją, chciał, żeby została jego królową, nawet błagał o jej miłość, dzięki jej niewinnemu pozwoleniu, wziął w siebie jej wzór energii, przechowując go obok wzoru Leona i Solie. Potem ignorował go przez lata, wiedząc, że nie jest już dla niej wystarczająco dobry. Żyła w mieście otoczona przez bitewników. Mogli ją chronić, powtarzał sobie. Mogli dla niej zabijać, a ona sama ułoży sobie życie. Wyjdzie za męża, będzie miała dzieci. Zapomni o nim.

Ril skupił się na wzorze sprzed lat, pozwolił, żeby go wypełnił. Potem, na oczach wpatrujących się w niego ludzi, wyciągnął rękę, obracając się powoli i wskazując coraz bardziej na południe, w kierunku krańca doliny.

- Tam – powiedział w końcu. – Ona jest tam.

Stojący za nim Leon, zszokowany, prawie wytrącił go z transu.

- Co ty mówisz?

- Jest tam – odetchnął Ril. – Mogę ją śledzić.

Leon wpychał szaleńczo ubrania do torby podróżnej, nie dbając o to, że pomną się, czy nawet porwą. Ubrania, pieniądze... Będzie potrzebował pieniędzy, żeby wynająć statek i na drugim brzegu kupić konie. Mydło i ręcznik? Czy będą potrzebne? Oczywiście, że tak, o czym on myśli. Coś dla Lizzy? Jakies ubrania? Zatrzymał się na chwilę i przyłożył trzęsącą się dłoń do załzawionych oczu. Myślał, że ją stracili, a Ril może ją wyśledzić. Jakim cudem, u licha, on może ją wyśledzić? Leon o to nie dbał. Będą ścigać jej porywaczy, zabiją ich i odzyska swoją dziecinę. Tylko on, czterdziestosiedmiolatek, zaczynający odczuwać każdą zimną noc i kaleki bitewnik. Żaden z pozostałych bitewników nie mógł pójść z nimi, nie ryzykując swoich cennych mistrzyń.

Zaplakał głośno, ale przelknął to i odepchnął te rzeczy, których nie mógł zmieścić w torbie. Ril przebierał się w sąsiednim pokoju. Mace powiedział, że zabierze ich do Para Dubh, a Solie dała im tak wiele pieniędzy, jak tylko mogła, włączając w to kilka klejnotów, które miała ukryte w obcasach butów. Lizzy najprawdopodobniej została sprzedana. Może będą mogli ją odkupić.

Zamierzają sprzedać jego małą dziewczynkę? Leon ukrył twarz w dłoniach.

Usłyszał swoje imię i spojrzał w górę, żeby zobaczyć swoją żonę stojącą w drzwiach. Nigdy nie krzyczała na niego przez cały ten czas, kiedy zostawiał rodzinę i jechał na kolejną cholerną misję, albo kiedy spędzał więcej czasu z Rilem niż z nią. Musiała cierpieć cały ten czas. Ale teraz podeszła do niego i objęła go ramionami.

- Upewnij się, że wróćcie do domu – wyszeptała. – Wszyscy. Rozumiesz? Nie wracaj bez niej!

- Nie wrócę – obiecał Leon, ściskając ją mocno. – Sprowadzę ją z powrotem.

- A potem nigdy już nie spuszczę jej z oka – dodała Betha zjadliwie.

Leon zaczął szlochać. Nic na to nie mógł poradzić, ale jego żona również zapłakała, jej palce wbily się w jego plecy, kiedy go obejmowała.

- Papa! – wrzasnęła Cara – Papa, zejdź tu na dół!

Leon odsunął się od Bethy ocierając oczy.

- Lepiej tam zejdę – powiedział, usiłując się uśmiechnąć. Oczy jego żony również lśniły od łez.

- Zrób to. Skończę za ciebie pakować, głupi mężczyzno – odwróciła go do drzwi i poklepała go po pośladku, żeby skierować go w odpowiednią stronę.

Leon wyszedł na korytarz i zszedł schodami na frontowy ganek. Na zewnątrz domu Mace siedział na huśtawce obok Wdowy Blackwell, swojej mistrzyni. Leon nie miał najmniejszego pojęcia, jak kobieta miała na imię, ale patrzyła na niego współczująco. Tak jak pozostali wiedział, że najchętniej pojechałaby z nimi, ale zajmowała się każdym urwisem i sierotą w mieście. Była ostatnią osobą, która mogła wyjechać, a to oznaczało, że Mace również nie mógł. Nie dalej niż do Para Dubh.

Myślał o niej tylko przez chwilę, zanim obrócił się w stronę frontowego dziedzińca. Większość sąsiadów nadal tu była, stojąc w grupach i rozmawiając, a wszyscy rzucali spojrzenia na młodego człowieka czekającego nerwowo przy ganku z ciężką torbą podróżną leżącą obok nóg. Justin Porter. Spojrzał na Leona, nerwowo ściskając w ręku kapelusz.

- Yyy... - zająknął się. – Jadę z wami.

- Co? – Leon zamrugał.

Chłopak wziął głęboki wdech, a Leon zastanawiał się z niechęcią, gdzie był jego ojciec. Cal Porter dostałby zawału sera, gdyby wiedział, co proponuje jego syn. To, lub zagadałby ich wszystkich na śmierć.

- To ja byłem z Lizzy, kiedy została porwana. Powinienem ją obronić, ale puściłem ją. Muszę teraz to naprawić.

- Nie jedziemy tam, żeby ocalić twoją dumę, chłopcze – odpowiedział zimno Leon.

- To nie o to chodzi.

- Nie mam na to czasu – odrzekł Leon, odwracając się, żeby wrócić do domu.

- Kocham ją! – krzyknął Justin. Leon zatrzymał się, każdy mięsień w jego ciele napiął się.

– Kocham ją - powtórzył chłopak. – Chcę ją poślubić – Leon obrócił się i zobaczył, jak przygnębiony był Justin, kiedy dodał:

- Muszę jechać. Jeżeli nie zabierzecie mnie ze sobą i tak podążę za wami. Nie dbam o to, ile to będzie kosztować, zamierzam sprowadzić ją z powrotem.

Leon wpatrywał się w młodzieńca, naprawdę wpatrywał się w niego marząc, żeby mieć chociaż raz zdolność empatii, jak Ril. Nie żeby Ril dbał o to, o myślą inni, ale właśnie tego teraz Leon zazdrościł bitownikowi.

- Dobrze – powiedział, niejasno obawiając się, że nigdy nie zgodziłby się na to, gdyby nie był emocjonalnie wyczerpany. – Ale musisz nadążyć – Leon westchnął i dodał, kiedy Justin uśmiechnął się szeroko, ogromnym i niewinnym uśmiechem. – Wejdz do środka.

Chłopak minął go, zabierając ze sobą bagaż, a Leon potarł czoło i spojrzał na Mace'a. Wielki bitownik patrzył przed siebie w ciszy, trzymając w swoich rękach rękę wdowy. Uśmiechała się.

Leon wszedł do środka, przechodząc koło Mii i dookoła Ralady. Cara i Nali w kuchni krzyczały na siebie. Kiedy szedł w dół korytarza, obie dziewczęta odwróciły się od Justina do niego.

- Ja też chcę jechać! – zażądała Cara.

- Nawet nie zaczynaj – powiedział jej i spojrzał na Justina. – Pokaż mi, co spakowałeś.

Chłopak skinął gorączkowo głową i zaczął wysypywać zawartość plecaka na stół.

Ril wszedł do kuchni. Mia ścisnęła jego nogę, kiedy próbował zapiąć płaszcz. Widząc Justina zatrzymał się, uniósł jedną brew. Justin również go zobaczył i zastygł przelitykając ślinę. Ril spojrział na Leona.

- Jedzie – stwierdził. Krocząc ciężko wyszedł z pokoju, poszedł zobaczyć, co spakowała jego żona. Po jego wyjściu Ril spojrział na przestraszonego chłopca i zawarczał. Justin cofnął się.

Po raz drugi w tym samym tygodniu Mace leciał ponad górami w stronę Para Dubh. Tym razem jedyny bitewnik, który towarzyszył mu w drodze, był pod jego osłoną, razem z dwoma mężczyznami. Byli niewygodni do trzymania, ponieważ musiał się stać na tyle bezcielesny, żeby móc lecieć, a na tyle solidny, żeby ich utrzymać w górze. Starał się nie popychać ich, ale ucieszył się, kiedy wreszcie wylądowali w dokach i mógł ich puścić. Ril zatrząsł się, spoglądając w wodę, kiedy Justin zarzucił plecak na plecy i czekał nerwowo.

- Dziękuję - Leon odwrócił się w stronę Mace'a i skinął głową.

Mace przesunął energię, żeby również skłonić się. Mógł wyrzucić swoje myśli, żeby przemówić w tej postaci, ale tylko do Solie i Lily. Był pewien, że nie chciał robić tego dla żadnego mężczyzny, ale Leon był inny. Musiał być, skoro Ril mu wybaczył. Mace nigdy nie ocaliłby swojego pierwszego mistrza, nawet gdyby Jasar nie był sadystą i podstępny zabójcą kobiet.

„Powodzenia” wysłał zamiast tego do Rila. Młodszy bitewnik odwrócił się i uniósł dłoń machając.

Mace nie mógł sobie wyobrazić, jak można żyć, będąc tak uszkodzonym, jak był Ril. Gdyby byli w swoim pierwotnym roju, Rilowi nie pozwolono by przetrwać po otrzymaniu aż takich ran, skoro sprawiały, że w następnej walce był bezużyteczny. Ale słowo Solie nadal było prawem, a Ril był bratem.

„Wracaj do nas” dodał i znów podniósł się z ziemi, wznosząc się w powietrze, żeby wrócić do Doliny. Jego obecność tylko utrudniłaby im wynajęcie statku.

„Czy nie tak zawsze robię?” przesłał na koniec Ril. „Strzeż Królowej”.

To była następna rzecz, której Mace nie mógł zrozumieć. Właściwie opuścić królową...? Ril był naprawdę dziwnym bitewnikiem. Mace zatrzepotał i wzniósł się wyżej, gorąco pragnąc wrócić do Lily i Solie, gdzie życie nie było takie skomplikowane.

Poniżej Ril patrzył na bitewnika, który był jego pierwszym prawdziwym przyjacielem w tym świecie, który stał się jego domem. Znał myśli i poglądy Mace'a. Bitewnicy nie mają sekretów przed sobą, to było coś, czego ludzie tak naprawdę nie rozumieli. Okłamywali się nawzajem cały czas, nawet tego nie zauważając. Bitewnicy tacy nie byli.

Wiedział, co czuł Mace i znów obrócił się, żeby spojrzeć na morze, ciemnoniebieską przestrzeń, za którą uprowadzono Lizzy. Czuł, że było tak głębokie jak świat i szersze od wszechświata.

Nie oglądał się.

Rozdział 7

Lizzy nie widziała, kiedy statek zadokował, ale poczuła, jak uderzył burtą o nabrzeże i usłyszała podekscytowane okrzyki mężczyzn. Wszystko nachyliło się w sposób, który był odmienny od płynięcia po falach, po czym zatrzymało się. Potem statek poruszał się tylko w górę i w dół, jakby podskakiwał.

Minęły godziny, zanim po nią przyszli. Lizzy skuliła się w kącie klatki, jedną ręką zasłaniając oczy, bo światło groziło jejślepieniem. Drzwi zagrzechotały, kiedy łańcuchy zostały odpięte, a ona kulila się głębiej w kącie, z bijącym sercem. Powinna być odważna, wiedziała o tym. Powinna z nimi walczyć. Tak zrobiłby jej ojciec. Ale wszystko co mogła zrobić, to kwilić, kiedy chwycili ją za ramiona i wywlekli z jej więzienia, śmiejąc się grubiańsko. Została skrępowana i chwycona w miejscach, gdzie nikt nigdy jej nie dotykał. To sprawiło, że krzyknęła i zapłakała, kiedy nałożyli jej żelazo, skuwając jej stopy i nadgarstki kajdanami z wiszącym pomiędzy nimi długim łańcuchem. Ciężar rwał jej nadgarstki. Ojciec mógłby uderzyć porywaczy tymi łańcuchami. Lizzy została pociągnięta przez podłogę i na drewniane schody.

Po raz pierwszy, odkąd została porwana, zobaczyła słońce. Trzymała głowę opuszczoną, zacisnęła oczy, kiedy ciągnięto ją przez pokład. Słyszała nawołujących się żeglarzy, ale nie mówili nic do niej, dla nich była tylko ładunkiem. Lizzy trzymała zamknięte oczy. Światło sprawiło ból, a i tak bała się cokolwiek zobaczyć. Ciepło panujące w tym miejscu było niemalże przytłaczające, jak ściana, która napierała na jej pierś, kradnąc jej oddech. Mogła poczuć dziwne zapachy przebijające przez woń soli, wody, odór nie mytych mężczyzn i jej własny brud.

- Jest brudna – odezwał się głos, brzmiał nieporuszony. – I chuda. Czy zadaliście sobie trud karmienia jej?

Lizzy zmusiła się do spojrzenia w górę, osłaniając oczy trzęsącą się ręką. Ponad nią, na pokładzie, stał mężczyzna, z którym Loren była tak głupia, że flirtowała. Ignorował Lizzy, zamiast tego patrzył niepewnie na kogoś innego, grubego, mocno opalonego mężczyznę, który wyglądał jak owinięty w prześcieradło i miał na sobie więcej biżuterii, niż Lizzy kiedykolwiek widziała. Był przesycony zapachem perfum.

- Jest z doliny, gdzie żyją wolni bitewnicy – powiedział jej porywacz. Lizzy nie wiedziała jak miał na imię, ale patrzył na przybyłego z wymuszonym szacunkiem. Lizzy domyślała się, że jeżeli nie przekona przyodzianego w szatę mężczyznę o jej wartości, straci wiele pieniędzy. Myśl o tym, co jej wtedy zrobi, była przerażająca. – Wie, jak oni to robią.

- Och – prychnął wyperfumowany mężczyzna. – Nie kupuję bajek. Myślisz, że jestem głupi? Wolni bitewnicy. Hmm. Wy żeglarze uwierzycie we wszystko. – Spojrzał w dół na Lizzy, mierząc ją spojrzeniem, kiedy jej porywacz belkotał gorączkowo. – Chuda, następna bez piersi. Zbyt blada, żeby dać ją na pole. Umrze z gorąca. Za bardzo blond. Nikt nie chce dziewczyn z włosami jak słoma – znów parsknął. – Zbyt północna. Będę musiał sprzedać ją daleko w głąb kraju, żeby powstrzymać dyplomatów od szukania jej i krzyków, że łamiemy umowy. Ledwie warte wysiłku.

- Chyba nie mówisz poważnie – jęknął porywacz. – Wiesz, ile poświęciłem, żeby ją tu sprowadzić?

- To nie moja wina. Nigdy ci tego nie poleciłem – Wyperfumowany mężczyzna zrobił krok w przód, przyglądając się Lizzy krytycznym wzrokiem. Poczula się jak owad. – Dwanaście sztuk złota – zdecydował.

- Dwanaście! – jęknął żeglarz.

- Jedyne, do czego mogę jej użyć, to jako ofiarę do przyciągnięcia bitewnika – Kupiec odwrócił się. – Żadnych targów. Nie potrzebuję jej.

Skierował się w stronę trapu, wracając na molo. Porywacz Lizzy rzucił jej spojrzenie pełne nienawiści, zacisnął pięści jakby myślał o uderzeniu jej, ale zamiast tego pospieszył za odzianym w szatę mężczyzną.

- Dobrze! Dwanaście! Ale to nie jest uczciwa cena!

- To dwa razy więcej niż dostałbyś, gdybyś sprzedał ją do burdelu i ty o tym wiesz – odziany w szatę mężczyzna odwrócił się, żeby rzucić Lizzy ostatnie spojrzenie zanim znów ruszył w swoją stronę. – Przyrowadź ją – rozkazał, machając niedbale w stronę malej grupy służby.

Dwóch mężczyzn i kobieta przeszli po pokładzie statku, wszyscy odziani w krótkie, niebieskie tuniki zrobione z wyjątkowo cienkich tkanin. Mieli nagie nogi, nawet kobieta, a ich

skóra była bardzo mocno opalona. Jeden z nich podał żeglarzowi tuzin monet, kiedy pozostali ściągnęli ciężkie kajdany, jakie nosiła Lizzy, zamieniając je na lżejsze, które miały łańcuch prowadzący do obroży, jaką założyli jej na szyję. Jej porywacz zignorował ją całkowicie, wpatrując się w swoje złoto, sprawdzając każdą monetę zębami w czasie, kiedy Lizzy była odprowadzana. Nigdy nie dowiedziała się jak miał na imię, ani nawet jaka była nazwa statku.

Jej nowi strażnicy prowadzili ją za sobą, kiedy szli podążając za mężczyzną, który ją kupił. Lizzy pozwoliła im ciągnąć się, potykając się na rozgrzanej ziemi nagimi stopami, idąc krótkimi krokami, na jakie pozwalały jej łańcuchy. Łzy płynęły jej po policzkach. Wiedziała, co znaczy być ofiarowaną do przyciągnięcia bitewnika. Zamierzali ją zabić.

Tatusiu! płakała cicho. Ril! Wzywała swoją matkę, czy Loren, czy każdego, kto mógłby ją ocalić. Nikt nie odpowiedział. Nie było sposobu, żeby ją tutaj znaleźli. Umrze w tym miejscu, zamordowana, żeby uwięzić bitewnika.

Lizzy łkała w ciszy, wleczona na łańcuchu po molo sięgającym więcej niż milę w głąb oceanu. Kiedyś zadziwiłaby się tym, tak jak pływającym miastem, które rozciągało się przed nią, ale teraz czuła się, jakby już była na wpół martwa i wszystko co pozostało, to ją dobić.

Rozdział 8

Południowa Tancerka poruszała się stale na południe. Wybudowana do przewożenia pasażerów, a nie ładunku, nie miała żagli. Zamiast tego trzy wodne sylfy płynęły pod nią, przenosząc statek dalej i pozostawiając pokład wolny od masztów i lin. Większość z pasażerów było zamożnymi kupcami czy szlachcicami, płynącymi do ciepłych miast na południu w interesach lub dla wypoczynku. Wydawali się przyzwyczajeni do lekkiego życia, w którym spacer wzdłuż balustrady na statku zdawał się zbędnym ćwiczeniem. Tak więc aktywność tych z przodu pokładu była naprawdę dziwna, jeżeli nie zabawna do obserwowania.

Leon ignorował tę widownię, przyzwyczajony do tego, że jest obserwowany, kiedy był dowódcą służb bezpieczeństwa w królewskim zamku Eferem. Oczywiście, wtedy obserwatorami byli studenci spragnieni nauki, a nie grupa zniewieściałych mizeraków bez elementarnych odruchów samców. W pogoni za przyjemnością wybrali się w rejs wzdłuż wybrzeża...? Czy nie wiedzieli, że na tych wodach bywają piraci? Czy o tym, że Meridal nie było jedynym królestwem, w którym praktykowano niewolnictwo i o tym, że bez znaczenia jakie składano obietnice, każdy z kontynentu na północy był zagrożony porwaniem? Król Alcor nie lubił umów z nimi, bez znaczenia jak zamożni byli południowcy. To był ten rodzaj paranoi, który Leon popierał. Południe używało sylfów w sposób, o jakim północne królestwa nawet nie śniły.

Ćwiczący naprzeciwko niego Justin był mniej wyluzowany na myśl, że będzie obserwowany. Rozglądał się nerwowo dookoła na widzów, jego ręka trzymająca długi drag, który używał do ćwiczenia walki mieczem, drżała.

- Ignoruj ich – powiedział Leon. – Atakuj mnie.

Chłopak przelknął i rzucił się naprzód, prawie potykając się o swoje własne stopy, kiedy próbował uderzyć końcem swojego kija w brzuch Leona. Leon z łatwością zszedł z drogi i przyłożył swoją własną broń w dół broni Justina, uderzając i wytrącając mu ją z rąk. Młody potknął się i wylądował twarzą na wypolerowanym pokładzie.

Leon miał powiedzieć mu wszystko, co zrobił źle, kiedy słabe, nużące laskotanie w tle jego umysłu zmieniło się w szybkie działanie. Ciężko oddychając Leon obrócił się i uniósł swój fałszywy miecz powstrzymując Rila, zanim ten zdołał uderzyć go w głowę czy w ramię. Oczy bitewnika rozszerzyły się z zaskoczenia, gdy ten nie potrafił pojąć, w jaki sposób został

zablokowany. Leon machnął mieczem dookoła, zmuszając Rila do uniesienia ramienia i cofnięcia się sprawiając, że zakolysał się. Nogi załamały się pod nim, bitewnik upadł na plecy i zorientował się, że Leon przyłożył swoją broń do jego gardła.

- Dużo lepiej – wydyszał Leon, jego serce mocno biło. Całe jego ramię zaczynało drętwieć od miejsca, gdzie przyjął uderzenie Rila. Bez względu, czy był to kij, czy też nie, bitewnik mógł strącić mu głowę. – Ale następnym razem nie uderzaj tak mocno. To powinna być kwestia wprawy.

Ril wpatrywał się w niego rozwścieczonym spojrzeniem i Leon mógł poczuć jego upokorzenie. O sześciu lat starał się przekonać bitewnika, żeby nauczył się walki mieczem. Ril nie mógł dalej polegać na swoich mocach, nawet jeżeli sam nie chciał w to uwierzyć. Przez długi czas sylf ignorował sugestie i wydawane mu niemalże wprost polecenia, ale teraz, kiedy zagrożona była Lizzy, w końcu zmienił zdanie. Chociaż jeszcze nie był w tym za dobry.

Dotarcie do Meridal przy prędkości osiągananej przez tę łódź zabierze im sześć tygodni. Każdego dnia Leon musztrował ich obu, Rila i Justyna, w walce. Justin był niezgrabny i nerwowy, podczas kiedy Ril był zły z innego powodu: poza tym, że był niechętnym uczniem, za bardzo polegał na swojej mocy i prędkości, a za mało na technice. Przede wszystkim walczył jak bitewny sylf. Leon nadal cieszył się, że próbuje. Nie chciał nigdy więcej wydawać rozkazów swojemu bitewnikowi, w rzeczywistości przyrzekł mu, że nigdy tego nie zrobi, ale żeby ocalić swoją córkę, był zdolny do wszystkiego. Ril musiał nauczyć się żyć i walczyć jak człowiek. Jeżeli kiedykolwiek będą zmuszeni do ujawnienia, że jest sylfem, będą mieli najprawdopodobniej tylko jedną okazję.

- Naprawdę nieźle ci poszło - powiedział mu Leon, ale Ril nie słuchał go. Bitewnik stanął na nogi i dumnie idąc przepchnął się przez mrużący tłum. Leon westchnął.

- Nie myślałem, że będziesz zdolny go pobić – powiedział Justin podnosząc się.

- Więc zachowaj to jako myśl – odpowiedział Leon, odwracając się i stając w pozycji do ataku. – Teraz broń się.

Chłopak jęknął i uniósł swój miecz do pierwszego uderzenia. Stęknąwszy cicho Leon dał mu kilka sekund na przygotowanie zanim znów go zaatakował. Mieli tylko kilka tygodni, zanim dotrą do Meridal. Zanim to się stanie, musi zmienić Justina w kogoś, kto nie pozwoli łatwo się zabić.

Justin usunął się z linii ataku takim samym nieskoordynowanym ruchem jak wcześniej i machnął mieczem. Leon, chcąc go ukarać, uderzył chłopaka w pośladki. Justin zaskrzeczał i zatoczył się, a widownia ryknęła zachwyconym śmiechem.

Ril zszedł do pokoju, jaki dostali do dyspozycji, znajdującego się wewnątrz statku. Nie wiedział, ile to kosztowało, chociaż widział, jak Leon płaszczył się w trakcie negocjacji. Nie mieli za wiele pieniędzy. To był pokój bez okien, z narożnymi łózkami przy trzech ścianach. Jego własne było przy ścianie naprzeciw drzwi.

Ril z jękiem opadł na łóżko. Nigdy nie chciał walczyć jak głupi człowiek, ale jaki inny miał wybór niż nauczyć się? Pierwszy raz uczył się o Meridal, kiedy jeździł na ramieniu Leona, zniewolony w postaci sokoła, więc wiedział o obecnych tam bitewnikach równie dużo jak jego mistrz. Patrolują miasta i atakują każdego, kto złamie prawo. Gdyby Ril użył swoich mocy, wyczuliby go i nie mógłby obronić się nawet przed jednym z nich. Mógł ukryć swoją aurę, jak pisklę przed atakującym rojem, a to znaczyło, że musiał nauczyć się władać mieczem, jeżeli chciał zabić tego, kto miał Lizzy. Nienawidził mieczy. Sprawiały, że czuł się słaby.

Przerzucając ramiona ponad głową zamknął oczy, czując znów kołyszący ruch statku, kiedy wodne sylfy przepychały go przez fale oceanu. Mógł je z łatwością wyczuć i słyszał jak paplały do siebie. Zachowanie ciszy nie było tym, co wymagano od sylfów, zarówno tych przywołanych na dalekiej północy, jak i na południu, więc nigdy nie milkły. Ril nie sypiał dobrze odkąd weszli na statek, przypuszczał też, że gdyby jadł normalne jedzenie, to co chwilką wymiotowałby.

Był teraz cały czas zmęczony, ale nawet mimo tych idiotycznych sylfów paplających cały czas, przynajmniej nie musiał słuchać chrapania tego głupiego chłopaka, ani czuć się, jakby był zanurzony tuż na krawędzi snów Leona. Ril nigdy nie przypuszczał, że wpadnięcie w nie mogło być niebezpieczne, zanim nie zaczął potrzebować snu w każdą cholerną noc, jak jakiś człowiek. Jak na razie nie zanurzył się na tyle, żeby dołączyć do jakiegokolwiek snu swojego mistrza, nawet nie miał zamiaru tego robić.

Odpoczywając przesunął ręce z oczu pod głowę. Oczy nadal miał zamknięte, jego rzęsy drżały, kiedy oddech pogłębiał się. Ril spał i śnił, nawet jeżeli zaprzeczał temu mówiąc sobie, że tam nie zawędruje, tak właśnie było.

Lizzy po tygodniach spędzonych w klatce, w której zazwyczaj trzymano kozy, znalazła się teraz w celi ze ścianami z jasnej cegły. Przód celi był okratowany, co przynajmniej oznaczało, że z jej kostek i nadgarstków ściągnięto łańcuchy. Chociaż pozostawiono obrozę ciężącą dookoła szyi. Cały pokój miał tylko sześć stóp szerokości⁵, ale była to ogromna przestrzeń w porównaniu do tego, co miała wcześniej.

Nie oglądała celi. Zamiast tego skuliła się w kulkę na nędznym łóżku i zacisnęła pięści unosząc je do twarzy. Wydarzyło się tak wiele, że czuła się oszołomiona. Musiała, bo w innym razie jak mogłaby przeżyć cały czas czując tak ogromne przerażenie? Zadrzała wyczerpana, nadal brudna i przerażona. Nikt niczego jej nie wytłumaczył, czuła się w środku pusta.

Kiedy sprowadzoną ją tutaj, widziała tuziny pięter, gdzie pomosty prowadziły do mnóstwa klatek z ludźmi wewnątrz: zmęczonymi, pozbawionymi języków ludźmi, którzy wpatrywali się w nią w ciszy, podczas kiedy sylfy podlatywały wszędzie, wpadały i piły ich energię. Zorientowała się, co się dzieje, wystarczająco często widząc jak jej ojciec karmił Rilę. Bitewnik mógł stać tylko z oczami na pół zamkniętymi, wyglądając jakby nic nie robił przez kilka minut, kiedy Leon czekał cierpliwie. Te sylfy tak również robiły, ale ich mistrzowie protestując krzyczeli bezdźwięcznie. Chociaż jak niewolnicy mogli być mistrzami? I dlaczego sylfy idą do następnej celi i do następnej, pijąc z trzech czy czterech różnych więźniów, zanim odlecą?

Nie dbała o to. Lizzy skuliła się jeszcze mocniej, starając się być tak mała, jak to tylko możliwe. Próbowala myśleć tylko o swoich rodzicach, siostrach i Rilę, nawet o Justinie, który porzucił ją i o Loren, której głupota spowodowała to wszystko. Musiała utrzymywać ich w umyśle, albo oszaleje, po prostu to wiedziała.

- Ril – wyszeptala, sennie opadając we wspomnienie tych na wpół przymkniętych oczu i poczucia, że sączy coś od jej ojca, biorąc coś, co mogła niemalże poczuć, jakby równie dobrze brał od niej.

Śniąc zorientowała się, że idzie po trawie rosnącej za miasteczkiem w Dolinie, ponad nią było głęboko niebieskie niebo przyozdobione ogromnymi, białymi chmurami, piętrzącymi się

⁵ ok. 1, 83 metry

jak góry. Czują na skórze zimny powiew zawiewający jej włosy na plecy. W jej stronę szedł Ril, ściągnął swój niebiesko- złoty płaszcz i rzucając go na trawę za sobą.

Lizzy ruszyła szybciej do przodu, jej palce szarpały się z guzikami bluzki, zmuszając je do przejścia przez dziurki i zrzucając okrycie z ramion, obnażając piersi i brzuch. Ril ściągnął koszulę i odpiął spodnie, nadal idąc z oczami utkwionymi w jej oczach. Lizzy opuściła spódnicę i zrobiła krok wychodząc z niej, naga, a potem nagle jego ramiona objęły ją. Przycisnęła się do jego ciepłego ciała, jej ręce sięgnęły, żeby otulić jego twarz i przesunąć przez te blond włosy, które nosił dłuższe z przodu, a krótsze z tyłu. Sapnął pod jej dotykiem, jego usta otwarły się i pochyliły, przyciskając się do jej warg.

Lizzy zalkała czując go. Na ten dźwięk Ril cofnął się z bólem, jego przerażone oczy patrzyły na nią, zaczął pękać pod jej rękami, jego twarz rozsypała się na tysiące kawałków. Krzyknęła, ale rozpadł się, zamieniając się w dym i błyskawice, tylko, że nie było go na tyle, żeby utrzymać tę postać. Rozwiał się na wietrze, rozpraszając się ponad łąką jak garść pyłu.

Ril obudził się ciężko oddychając. W pierwszej chwili nie wiedział, gdzie jest i próbował zmienić postać. Nagły ból poraził jego świadomość. Usiadł powoli, krzywiąc się. Teraz mógł poczuć kołysanie statku i usłyszeć niekończące się paplanie wodnych sylfów. Przyłożył dłoń do głowy, ledwie świadomy tego, jak bardzo trzęsie mu się ręka. Zamknął oczy, skupiając się tylko na oddychaniu. Musiał oddychać.

To nie było w porządku, stwierdził. Do tego wszystkiego teraz ma jeszcze koszmary?

Shalatar Misharol szedł w dół korytarza z celami, sprawdzając karmicieli. Było ważne, żeby utrzymać ich w zdrowiu, a on wypracował sobie uznanie cesarza wprowadzając cotygodniowe ćwiczenia i zmianę diety, która sprawiła, że byli najzdrowszymi karmicielami, jak to tylko było możliwe. Odbijało się to w pracy sylfów, którzy żyli ich energią.

To był dobry system. Każdy przywabiony sylf miał podstawowego mistrza, który wydawał mu rozkazy, a poza tym był połączony z pięcioma podmistrzami, mężczyznami i kobietami, którym wycięto języki, aby nie byli w stanie wydać jakiegokolwiek rozkazu. Żeby jeszcze ubezpieczyć się, sylfy miały jasne rozkazy, nakazujące im ignorowanie każdej próby

komunikacji ze strony karmicieli, bez znaczenia jakakolwiek by była i zaraportowaniu jej najbliższemu trenerowi. Karmiciele nauczyli się szybko, że każdy z nich, który tego próbował, skazany był na śmierć. Istnieli tylko po to, żeby dostarczać energię swoim sylfom, a mając dostęp do takiej ilości energii, każdy sylf, nawet najmłodszy i najsłabszy, mógł dokonać cudów, na które północne sylfy potrzebowałyby dwukrotnie więcej czasu, skoro był połączone tylko z jednym mistrzem.

Shalatar traktował swoje obowiązki bardzo poważnie. Sylfy były podstawą cesarstwa, ciężko pracowały. Miasta cesarstwa całkowicie unosiły się w powietrzu, tylko tysiące sylfów powietrznych było w stanie je unieść. Oczywiście, inne służyły innym celom. Dziewięćdziesiąt procent Meridal stanowiły miasta, pozostałe dziesięć musiały wyprodukować żywność, potrzebną do nakarmienia ludności, bez względu na to jak uboga była pustynna ziemia. Pięć tysięcy sylfów oznaczało dwadzieścia pięć tysięcy karmicieli. Sama ta stajnia służyła dwóm tysiącom sylfów, a Shalatar był odpowiedzialny za zdrowie i szczęście każdego z nich.

Był pierwszym, który przyznał, że zdrowie karmicieli robi różnicę. Ich szczęście to była zupełnie inna sprawa. Każdy miał swoją celę, cele były dokładnie czyszczone, ale poza cotygodniowymi spacerami po strzeżonym dziedzińcu, nigdy nie opuszczali więzienia. Mężczyźni i kobiety wpatrywali się w niego znudzeni, kiedy ich mijal. Większość z nich nawet nie poświęcała mu odrobiny uwagi. Ich cele były pograżone w całkowitym milczeniu, wyjąwszy szuranie stóp, lub odgłosy nadchodzących sylfów przybywających w regularnych odstępach czasu, żeby uzupełnić swoją energię.

Chociaż sprawdzał stajnię tylko wyrywkowo, najczęściej nie znajdował nic, poza dobrymi wynikami. Czyści karmiciele, czysta woda, czyste klatki. Zobaczył jednego mężczyznę drapiącego się po policzku i zapisał sobie notkę, żeby go ogolić. Inny drgał w spazmach, ślina wypływała z jego ust. To nie było dobre. Szalony karmiciel oznaczał niedobłą energię dla sylfa. Następna notka na liście, karmiciel musi być zlikwidowany. Był łatwiejszy do zastąpienia niż dobrze wytrenowany sylf.

Za celami karmicieli, ulokowanymi daleko pod miastem, gdzie było łatwiej utrzymać je w chłodzie, były cele ofiar. Shalatar nie miał nic wspólnego z tą częścią działalności, nie zajmował się żadnymi głupstwami związanymi z bitewnikami, poza karmieniem ich, ale jego bliźniacza siostra tak. Przyszedł tutaj, żeby ją odnaleźć.

Chowając tabliczkę pod ramię, Shalatar szedł w dół rzędu klatek, w których trzymane były kobiety. Wszystkie były piękne, ale w jakiś sposób zepsute. Były wystarczająco dobre, żeby znęcić bitewnika, ale nie dość dobre, żeby dołączyć do haremu. Poza tymi, które spędziły jakiś czas w haremie i teraz miały zostać zlikwidowane. Tak się działo, kiedy bitewnicy ignorowali je, lub jeden z nich wyjątkowo się którąś interesował. Jeżeli jakikolwiek bitewnik zaczynał łączyć się jedynie z jedną kobietą, był czas, żeby pozbyć się jej, zanim zacznie skupiać na niej więcej uwagi, niż wymaga tego powinność. Harem był po to, żeby utrzymać sylfy szczęśliwymi, nie leniwymi.

Kiedy Shalatar mijał je, kobiety wpatrywały się w niego ze strachem, lub błagały go, żeby je puścił, lub pozwolił powrócić do haremu. Ignorował je wszystkie.

Jeżeli kobieta nie kończy jako ofiara, mogłaby być sprzedana do innego miasta, jeżeli ktokolwiek chciałby kupić kobietę, która była wykorzystywana przez bitewników, lub zmieniona w karmicielkę, przez usunięcie języka. To było wszystko, do czego się nadawały, to było ich przeznaczenie. Kiedy kobieta łączyła się z bitewnikiem, nie mogła być wykorzystana jako ofiara, żeby przyciągnąć nowego. W jakiś sposób bitewnicy wiedzieli i rzadko przychodzili do byłych kochanek. Oczywiście żaden bitewnik nie miał dozwolone karmić się od kobiety, tylko pieprzyć je. Kiedyś, kobietom, które stały się bezużyteczne dla haremu, podrzynano gardła, ale to wydawało się smucić niektórych bitewników. Nie można było również wykorzystać kobiet dla sportu na arenie gladiatorów. To doprowadzało bitewników do szaleństwa. Nie, mogły być tylko wykorzystane jako karmicielki dla sylfów elementarnych... co oznaczało stratę dochodów dla sekcji bitewników. To był taki logistyczny ból głowy, że nie zazdrościł siostrze.

Oczywiście radziła sobie dobrze, tak jak dobrze radziła sobie z bitewnikami. Podczas kiedy ich mistrzowie byli mężczyznami, Rashala była słynna z kobiecej wrażliwości, która pomagała, kiedy bitewnicy przychodzili do haremu. Mogła uspokoić najbardziej oburzonego bitewnika dotykiem i słowem.

Shalataz odnalazł siostrę w sekcji kwarantanny dla nowych kobiet. Klatki były utrzymywane w idealnej czystości, ale zawsze była jakaś szansa na wystąpienie chorób, a pomysł wykorzystywania uzdrowicielskich sylfów do leczenia niewolników był niedorzeczny. Jedyne wyjątki zdarzały się na arenie, w razie gdyby walczący był wyjątkowo mężny, czy zasłużył na pochwałę od cesarza, lub gdyby sylf został w jakiś sposób ranny, co zdarzało się czasami,

choć rzadko. Raz czy dwa Shalatar wykorzystał uzdrowicielkę do uleczenia jego bólów brzucha, które jednak zawsze powracały, kiedy stawał się zdenerwowany. Nie mógł wyobrazić sobie wzywania jej, kiedy zwykła kwarantanna mogła wystarczyć na powstrzymanie wszelkich chorób.

Rashała stała na korytarzu, ponad zagrodą, patrząc w dół. Podobnie jak on, siostra Shalatar golila włosy, żeby pokazać swój status, jako niewolnicy, wyniesionej z tej pozycji przez osiągnięcia w pracy. Jej zalety dały Shaltarowi szansę na pokazanie swoich własnych, jako jej bratu, co było dobrodziejstwem, jakiego nigdy nie będzie w stanie spłacić. Wargi Rashali, były podkolorowane sokiem z jagód, stały się mocno purpurowe, a jej szata była w podobnym kolorze jak jego własna.

Shalatar podszedł do niej i położył rękę na jej ramieniu.

- Co robisz, moja siostrze? – zapytał – Mielibyśmy iść na lunch.

- Bakl kupił nową niewolnicę – odrzekła i wskazała. Shalatar spojrział w dół na szczupłą, brudną dziewczynę z włosami jak słoma i uniósł brew. – Staram się zdecydować, czy jest warta umieszczenia w haremie.

Zrobił minę. Dziewczyna była prawie biała, bez złotego odcienia skóry.

- Osiemdziesiąt Dziewięć polubi ją. Powiedziałaś mi, że szuka czegoś wyjątkowego.

- To prawda, ale potem dręczy je. Ta dziewczyna z tatuażami na całym ciele...? – Rashała potrząsnęła głową z żalem. – Ledwie ją od niego oderwaliśmy, a potem, kiedy musieliśmy sprzedać ją do innego królestwa, próbował ją zatrzymać. Zabił trzech ludzi. Nie chcę, żeby to się powtórzyło.

- Więc przeznacz ją na ofiarę.

- Będę musiała. Ale Bakl zapłacił za nią dwanaście sztuk złota. Idiota myślał, że robi dobry interes, z powodu jej żółtych włosów. Sprzedawca chciał dziesięć razy więcej.

- Sprzedawcy zawsze chcą więcej – Shalatar odwrócił się. – Zostaw to na razie. Jestem głodny. Możesz opowiedzieć mi o tym po obiedzie.

Jego siostra była rozsądna, więc wyszli, ale wcześniej Rashała zanotowała na swojej tabliczce: żółtowłosa dziewczyna będzie zabita na ołtarzu przy następnej ofierze. To lepsze niż

umieszczanie jej w haremie, gdzie Osiemdziesiąt Dziewięć zadecyduje, że jest ona miłością jego życia. To przysporzyłoby więcej kłopotów niż było warte.

Opuszczając zagrody pod latającym miastem, przeszli skrótem obok cel, w których siedzieli niewolnicy i przestępcy przeznaczeni na arenę gladiatorów. Większość z ich wyglądała posepnie, chociaż nadal mieli swoje języki i ostatnią szansę na chwilę chwały. Nie żeby kiedykolwiek mieli ją osiągnąć. Nie kiedy ich przeciwnikami na arenie byli bitewnicy.

Rozdział 9

Pchana naprzód przez trójkę wodnych sylfów, *Południowa Tancerka* kierowała się wzdłuż wybrzeża, zatrzymując się przy siedmiu nabrzeżach coraz gorętszych miast, zanim zawróciła w końcu na głębsze wody, przepychając się pod prąd w stronę odleglejszego brzegu. Żeby upewnić się, że są na dobrej drodze, na każdym przystanku Ril stawał przed statkiem w pełnym skupieniu. Za każdym razem kręcił głową, że nie. Kiedy statek oddalił się zupełnie od brzegu, tracąc go z zasięgu wzroku, Justin obawiał się, że oddalają się całkowicie od Lizzy, ale Bitewnik tak nie uważał. Gdziekolwiek była Lizzy, przysięgał, że kierują się we właściwym kierunku.

- Skąd może wiedzieć? – któregoś dnia zapytał Justin Leona. Zebrali się na lunch przy stole dla pasażerów. Ril po prostu podtrzymywał iluzję. Stał na dziobie statku, pozornie jedząc, kiedy obserwował fale rozbijające się o statek, ale naprawdę rzucając jedzenie łyżką w dół, karmiąc ryby.

- Co wiedzieć? – zapytał Leon.

- Gdzie jest Lizzy.

Leon wzruszył ramionami i wziął łyk wina.

- Nie wiem.

- Dlaczego go nie zapytasz? – zapytał Justin, trochę zdezorientowany. Gdyby to chodziło o niego, zażądałby po prostu odpowiedzi.

- Ponieważ gdyby chciał, żebym wiedział, powiedziałby mi sam.

- Ale on jest twoim b... - Justin przerwał i zarumienił się, widząc wyraz twarzy starszego mężczyzny. – Jest twój. Nie musi ci powiedzieć?

- Nie. Nie jest niewolnikiem. Jeżeli może znaleźć moją córkę, nie dbam o to, jak to zrobi.

Justin westchnął, wracając do swojego posiłku. Chciał wiedzieć wszystko, co wiedział bitewnik, ale Ril go przerażał. Tak jak i inni bitewnicy, ale pozostałych mógł unikać. Rila nie. Za każdym razem, kiedy przychodził do domu Lizzy, sylf wydawał się być tam, obserwując. Nic nie mówił, Justinowi wydawało się, że nigdy nawet nie przywitał się z bitewnikiem, ale wiedział, że ta istota go nie lubi. Doprowadzało to Justina do szaleństwa. Był zmęczony przybywaniem

z kimś, kto samym spojrzeniem mógł sprawić, że się zmoczy i zawsze życzył sobie, żeby Ril po prostu odszedł. Miał nawet kilka fantazji o wyzwaniu bitewnika do walki i pobiciu go, oczywiście przy obserwującej z uwielbieniem Lizzy. Takie myśli byłyby samobójstwem przy innych bitewnikach, ale Ril był kaleką. Dobry bokser mógłby go pobić, czego dowiódł Leon kopiąc go po prostu w tyłek. Justin musiał gryźć się w język, żeby nie żartować na ten temat.

Leon wpatrywał się w niego i Justin zaczerwienił się, spuszczać wzrok w dół na swój talerz. Chciał, żeby ten mężczyzna był jego teściem. Zraniłoby go, gdyby wiedział, jak bardzo Justin chce upokorzyć jego bitewnika.

Starszy mężczyzna obserwował najpierw jego, a potem Rila, który skończył opróżniać talerz, a teraz znów pochylał się nad balustradą wpatrując się w pusty horyzont. Leon odwrócił się z powrotem do Justina.

- Zostaw go w spokoju.

- Sir?

- Po prostu zostaw go w spokoju – Leon dokończył swoje wino. – Nie popelnij błędu uważając, że jest słaby.

Justin zaczerwienił się.

- Ja nigdy nie...

- Ty tak. Jestem tego pewien. Tak jak i on. Powiedziałeś, że chcesz poślubić moją córkę? Zanim dam ci jakiegokolwiek błogosławieństwo, lepiej udowodnij, że jesteś wystarczająco mężczyzną jak dla niej – potem Leon wstał i odszedł, zabierając swój talerz i szklanke.

Ril odwrócił się, wpatrując się w Justina, ale w końcu podążył za swoim mistrzem. Kiedy mijał stół, spojrzal w dół na Justina, a jego wargi uniosły się i bezdźwięcznie warknął. Policzki Justina zaczerwieniły się. Zrobi to, co powiedział Leon. Postara się. Ale to nie powstrzyma go od nienawidzenia bitewnika tak bardzo, jak ten go przerażał.

Leon zapisał w księgach statku obu, Justina i Rila, jako swoich synów. Justin był na tyle młody, a Ril wyglądał na wystarczająco młodego, nawet jeżeli był starszy o całe wieki. Żaden z nich naprawdę nie był podobny do pozostałych, ale przynajmniej Ril miał piaskowo blond

włosy Leona, a Justin jakimś cudem miał podobny nos. Leon dwukrotnie w ciągu dnia zabierał Rila do swojego pokoju i zastanawiał się, w jak wiele kłamstw wierzą pasażerowie i co naprawdę myślą, że się dzieje. Wątpił, żeby mieli jakiegokolwiek pojęcie prawdy.

Teraz stał w swojej kabinie, plecami oparty o drzwi. Ril przed nim, jedną ręką podparty o ścianę za głową Leona, drugą rękę położył na karku swojego mistrza. Nie często zdarzało się, żeby bitewnik go dotykał. Nie dotykał nikogo, jeżeli tylko mógł tego uniknąć, poza dziewczynkami Leona, ale jego ręka była teraz ciepła i rozluźniona. Jego oczy były na wpół przymknięte, nieskupione, jego oddech wolny, pożywał się pochłaniając energię Leona, wyzwalając naturalną energię życia. Leon nigdy tak naprawdę nie pytał, ale Ril kiedyś wspomniał, że jego energia jest jak gęsta, ciepła mgielka, wychodząca ze skóry jego mistrza. Po dwudziestu jeden latach Leon mógł poczuć osuszanie. Większość mistrzów nie mogła, nawet Solie, ale Leon zawsze był zafascynowany intymnością, jaka łączyła ich z Rilem, dowodem, że jest na tym świecie istota, która zawsze go potrzebuje.

Stając tutaj, Leon rozluźnił się. Pożywanie się Rila odczuwał jak światło przesuwające się po włoskach na jego ramieniu, ledwie wyczuwalne, ale niezaprzeczalne. Poza Solie, tylko jego energię Ril mógł przetrwać, czy wchłonać, jakiegokolwiek nie użyć by terminu. Reszta świata była dla niego trująca, chyba, że przyswoi sobie wzór energii jakiegoś innego człowieka. To dlatego zanim opuścili Dolinę, Leon zasugerował Rilowi, żeby przyswoił sobie wzór energii Justina, jako zabezpieczenie. Mace mógł bez problemu zrobić to za pośrednictwem Solie, nawet kapłani Petra mogli to zrobić. Gdyby Leon zginął, a nie mógł zlekceważyć takiej możliwości, Ril szybko umarłby z głodu. Ril po prostu zawarczał. To nie chodziło tylko o energię, Leon o tym wiedział. Chociaż więź była łatwa do zawiązania, była równocześnie niezniszczalna i sylfy były zmuszone do podporządkowania się ludziom, których wzory posiadały. Nie mieli wyboru. Ril gardził Justinem, a sądząc ze spojrzenia, jakie Justin rzucił mu przy stole, udzielenie mocy do rozkazywania bitewnikowi byłoby błędem.

Leon zastanowił się nad swoim wyglądającym na człowieka bitewnikiem. Nawet gdyby zginął, spodziewał się, że Ril nie mógłby wziąć nowego mistrza. Sam wpiery zginąłby. Co było następnym powodem, żeby pozostać przy życiu, powiedział sobie- dla jego córki i przybranego syna. I dla Justina, którego zabrał tylko z poczucia winy. Czy jego córka była zakochana w tym chłopaku? Miał nadzieję, że tak. Dla jej szczęścia miał nadzieję, że naprawdę tak jest.

Ril wziął głęboki wdech, zasysając po raz ostatni, co załaskotało Leona wzdłuż całego ramienia. Chwilę później sylf otworzył oczy, wpatrując się w swojego mistrza. Jego tęczyki były jasnoszare, jak skrawki lodu pod pochmurnym niebem, niechronione, jak zawsze kiedy karmił się. Leon widział w ten sposób duszę bitewnika, nawet wtedy, kiedy Ril był uwięziony w ciele ptaka i nienawidził go za to. Nigdy nie powiedział o tym Rilowi, ze strachu, że sylf nigdy więcej na niego nie spojrzy w podobnej chwili.

Oczy jego bitewnika były zmartwione, nawet przerażone, było to desperackie zachowanie, chociaż pokryte beznadzieją. Była tam rozpacz głęboka i prawie obezwładniająca. Ten widok łamał serce.

- Co się stało? – Wyszeptał Leon.

Na przekór sobie, Ril chciał mu powiedzieć jeszcze wtedy, kiedy się pożywał. Teraz nie było inaczej.

- Lizzy. Mogłem ją wyczuć. Była tak przerażona, mogłem poczuć ją nawet tutaj. Myślała, że umrze.

Leon poczuł napływające zimno.

- Ona nie...

- Nie – Ril odepchnął się od ściany, podszedł i usiadł na swoim łóżku, wpatrując się w twardą poduszkę. – Jej strach jest mniejszy. A przynajmniej nie mogę go już wyczuć. Cokolwiek się stało, przetrwała to.

Leon poczuł, jak jego przerażenie opada, zastąpione równocześnie przez ulgę i zaciekawienie. Justin przed chwilą zadał pytanie, w jaki sposób Ril może ją śledzić? Nie powinien. Żaden z pozostałych bitewników nie mógł, ale Ril natychmiast dokładnie wskazał jej położenie. Mimo wszystko, zważywszy na jego rany, powinien mieć mniejsze zdolności do odnalezienia jej. A mimo to...

Lizzy nie może być jego mistrzynią, nieprawdaż? Nie może. Wiedziałby o tym, prawda? Ril nie traktował Lizzy inaczej niż pozostałych córek Leona. W rzeczywistości był bardziej skoncentrowany na młodszych. Lizzy poświęcał najmniej uwagi. Nie byłoby tak, gdyby Lizzy była jego mistrzynią. W rzeczywistości, patrząc na to, jak reagują bitewnicy na mistrzynię...

Leon zmarszczył brwi myśląc. Jednego mógł być pewien, Ril nie spał z jego córką, ani też z nikim innym. Słyszał żarty i wiedział, że były prawdziwe: Ril po zranieniu prawie wcale nie interesował się kobietami. Leon bolał nad tym, ale to nie znaczyło, że chciał, żeby jego córka związała się z bitewnym sylfem. Zaslugiwała na dzieci, rodzinę i męża, który myślałby i czuł w taki sposób jak ona. Mimo iż Leon bardzo kochał Rila, jego sylf nie mógł spełnić żadnego z tych warunków. Zaslugiwała na człowieka.

Więc jego zdolność wyśledzenia jej musiała mieć coś wspólnego z tym, że Lizzy była córką Leona. Może Ril mógł śledzić wszystkie jego dzieci przez jego krew.

Sylf szarpnął się i spojrzał na niego. Znowu panował nad wyrazem swoich oczu, Leon skinął głową. Właśnie tak było, połączenie przez krew. On i pozostali nadal tak niewiele wiedzieli o sylfach. Nawet same sylfy wydawały się niewiele wiedzieć. Po prostu akceptowali i działali instynktownie. Ludzie potrzebują wytłumaczeń.

- Wiesz, co jej się stało? – zapytał.

- Nie – odrzekł Ril. – Tylko tyle, że spodziewała się zginąć, ale tak się nie stało.

Leon westchnął.

- Przynajmniej żyje. Możesz wyczuć, co teraz się z nią dzieje?

- Nie.

Leon podszedł bliżej, wyciągając rękę, żeby przesunąć ją przez miękkie włosy bitewnika. Ril spojrzał w górę w milczeniu.

- Spróbuj – powiedział Leon, jego uczucia były pomieszane. Chciał pocieszyć i ośmielić, ale nie zorientował się, że nieumyślnie wydał rozkaz.

Przerażenie Lizzy był bardzo rzeczywiste i obezwładniające. Leżała naga z rozłożonymi rękami na kamiennym stole ciemnym od krwi, w ustach miała knebel, a jej nogi i ręce były związane. Mężczyzna stał nad nią z zakrzywionym nożem, wystarczająco ostrym, żeby odciąć jej głowę. Ponad nimi lśniły wrota.

Wiedzieli, że był tam bitewnik, węszący po drugiej stronie, tak powiedziane było przez uzdrowicielskiego sylfa, który nie wyglądał na skłonny żeby ocalić Lizzy, nawet jeżeli

odciąłoby jej głowę. Była tak przerażona, że wrzeszczała w umyśle, płacząc za matką, ojcem, Rilem, Justinem czy kimkolwiek. Ubrudziła się, a jej serce waliło, jakby miało pęknąć i oszczędzić jej tego wszystkiego.

Pomimo tego nic się nie wydarzyło. Bitewnik okrążył wrota, a ona poczuła, że patrzy na nią, ale nie przeszedł. Obserwował ją przez chwilę, w końcu zniknął, pozostawiając mężczyznę, który miał nadzieję związać go, krzyczącego na kapłanów, którzy odprawiali ceremonię. Najwyraźniej to nie miało się zdarzyć.

Ostatecznie mężczyzna wyszedł, nadal przeklinając, tak jak i kapłani. W końcu Lizzy została rozwiązana i wróciła do celi, rzucono jej do ubrania prostą bawełnianą szatę i zostawiono samą. Upadała oszołomiona trzęsąc się. Możliwe że zemdląła na chwilę, lub straciła poczucie czasu, bo kiedy ocknęła się, kobieta nie mająca na głowie włosów ani brwi stała na zewnątrz jej celi patrząc i rozmawiając z muskularną kobietą po jej stronie.

- Nie ma sensu umieszczać jej tutaj i znów składać w ofierze – bezwłosa kobieta skrzywiła się, patrząc się na Lizzy, jakby ta naraziła ją na okropne nieprzyjemności.

- Chcesz wysłać ją do zagród karmicieli? – zapytała druga kobieta.

Pierwsza skrzywiła się jeszcze bardziej.

- Wtedy będzie dla mnie całkowicie bezużyteczna. Nadal chcę odzyskać swoje dwanaście sztuk złota – lysa kobieta odwróciła się. – Umieść ją w haremie.

- Tak, mistrzyni.

Kiedy druga kobieta płaszczyła się, kłaniając się nisko, lysa kobieta spojrzała na Lizzy po raz ostatni, zanim wyszła. Lizzy cofnęła się do kąta, zastanawiając się, co teraz z nią się stanie.

Oczyścili ją. Lizzy została umyta, kiedy jej wyrok śmierci został uchylony, ale teraz została wykąpana w perfumowanej wodzie, jej włosy wymyto szamponem i uczesano, zanim skręciły się w loki na całej głowie. Służące, które to robiły, cmokały nad odcieniem jej skóry i spędziły godziny, szarpiąc się ze światłem, żeby dobrać dla niej idealny makijaż. Potem została ubrana w suknię wykonaną z nieznanego jej materiału, który był jasnozielony i całkowicie prześwitujący.

Nie potrzeba żadnego makijażu, zdecydowała. Była zbyt czerwona na twarzy, żeby mógł być użyty którykolwiek z tych, jakie jej pokazano.

- Chyba żartujecie – oddychała z trudem, spoglądając na swoje odbicie w lustrze na ścianie. Próbowwała się okryć, ale nosiła cienkie łańcuchy na nadgarstkach, a strażniczki przypięły jej ręce z daleka od ciała.

- Jest za chuda – zdecydowała kobieta, która kierowała jej przemianą. Druga kobieta, która trzymała łańcuchy i jej ręce z daleka od ciała, zachichotała zgadzając się. Lizzy zamknęła oczy nie chcąc patrzeć jak wyśmiewają się z niej.

- Jesteś dziewicą? Dziewczyno! – Oczy Lizzy otwarły się po nagłym uderzeniu w policzek. – Jesteś dziewicą?

- T-tak.

- Przynajmniej to im się spodoba – westchnęła kobieta. – Jeżeli Osiemdziesiąt Dziewięć przyjdzie po nią pierwszy, wtedy jednak odciągniemy ją. Nie chcę, żeby zabił następną dziewczynę.

- Nie możecie tego zrobić – sapnęła Lizzy. Zaczęły ciągnąć ją naprzód, a ona opierała się, próbując zapierać się nagimi stopami o śliską podłogę. – Nie chcę iść.

- Zamknij się, dziewczyno – parsknęła kobieta. – Jedynym powodem, dla którego zachowałam język, jest to, że niektórzy bitownicy lubią krzyki.

Lizzy walczyła z nimi przez całą drogę w dół korytarza i w górę kilku schodów. Nie było tu okien, ale światło dochodziło skądś, lśniąc przez otwory w suficie. Podłoga i ściany były w tym samym jasnym kolorze glinianych cegieł, ale drzwi przed nimi były z hebanu, bogato rzeźbione. Strzegły ich dwie kobiety z włóczniami. To zniweczyło jakiegokolwiek nadzieje Lizzy na wydostanie się stąd. Każda z pięciu kobiet wyglądała na silniejszą niż ona, a nie było widać nigdzie wyjścia poza tym, którym weszła.

Pomimo jej szamotaniny wystarczyło, żeby trzymała ją jedna, podczas kiedy pozostałe otworzyły drzwi. Zza drzwi doszły ją krzyki i zapach perfum.

- Och, bogowie - wyszeptła Lizzy tuż przed tym, zanim pchnęły ją do środka.

Ogromny pokój był pięknie oświetlony i ozdobiony, na podtrzymywanym przez kolumny suficie udrapowany był przeźroczysty jedwab. Podłoga była pokryta poduszkami, na wielu z nich leżały kobiety ubrane nie lepiej niż Lizzy, o ile w ogóle były ubrane. Pozostałe tańczyły, lub grały na instrumentach. Pokój był szeroki na pięćdziesiąt stóp⁶, długi na setki stóp, rozciągający się daleko. Mniejsze drzwi widniały daleko, na odległym, przeciwstawnym końcu.

Długie ściany miały tuziny mniejszych bram, pokrytych przeźroczystymi zasłonami. Zza wielu z nich dochodziły jęki, a tuż na środku pokoju, przerażona, zobaczyła mężczyznę biorącego kobietę, klęczącą i podpartą na kolanach. Mężczyzna wysoko unosił pośladki i pompował w nią szaleńczo. Lizzy stała się nawet jeszcze czerwiejsza niż była wcześniej i wydała z siebie zduszony jęk.

- Witamy w dom rozpusty dla bitewników – zaśmiała się jedna ze strażniczek, odpinając jej łańcuchy. Pchnęła, kładąc rękę na plecach Lizzy. Lizzy wpadła do pokoju, upadając na podłogę. Drzwi zatrzasnęły się za nią.

Bitewnik na środku natychmiast spojrzal na nią nie przerywając tego, co robił, Lizzy nie była w stanie wymyśleć wystarczająco wulgarnego określenia na jego zachowanie. Był wielki i pękaty, jego skóra miała oliwkowy odcień, a jego nogi wyginały się do tyłu od kolan, stopy i ręce miał długie i zakończona szponami. Oczy i nos były normalne, ale jego podbródek był absurdalnie długi i nie miał ust. Był cały nagi. Na piersi miał wytatuowany numer 408.

Cztery-Zero-Osiem spojrzal na nią niepewnie, potem w dół na kobietę w której był. Potem z powrotem na nią, jakby próbował zdecydować, czy ma skończyć, czy przerwać.

Lizzy wygramoliła się na nogi i uciekła do najbliższej ściany, trafiając prosto na jedno z wejść i wpadając do alkowy, gdzie zobaczyła innego bitewnika z leżącą pod nim kobietą. Sapnął na Lizzy serdecznie, ale tak naprawdę nie był zainteresowany, a ona cofnęła się, uciekając i przesuając się cały czas wzdłuż dłuższej ściany głównego pokoju.

Komnata była prawie trzy razy większa od rynku w ich miasteczku, wystarczająco wielka, żeby setka lub nawet więcej kobiet, a wydawało się jej, że tyle tu było, miało wystarczająco miejsca żeby rozłożyć się, lub szukać odosobnienia w rogu z którymkolwiek bitewnikiem, który okazał zainteresowanie. Wydawało się, że nigdzie nie ma schronienia od

⁶ 15,24 metra

bitewników, chociaż było tam też siedem łazienek. Łazienka była umiejscowiona co dziesiątą alkową i Lizzy szybko zamknęła się w jednej z nich.

Dobiegło pukanie do drzwi.

- Zamierzasz wyjść? – zapytał kobiecy głos.

- Nie – sapnęła Lizzy. Wiedziała, jakie bitewnicy mają podejście do seksu. Nie było możliwości, żeby stąd wyszła.

Kobiecy głos westchnął.

- Słuchaj, jeżeli tutaj zostaniesz, strażniczki wyciągną cię na zewnątrz, a być karmicielem to dużo gorsze. Poza tym, to jedyna łazienka, w której prysznic jest naprawdę gorący, w pozostałych jest ledwo ciepły.

- Nie wyjdę stąd – powiedziała Lizzy.

- Zamiast tego zrobią z ciebie karmiciela.

- Czym są karmiciele?

- Pozbawieni języków niewolnicy, którzy spędzają całe życie będąc wysysanym z energii przez sylfy. A tutaj przynajmniej możemy mówić.

Lizzy zadrżała i powoli wyciągnęła rękę i otworzyła drzwi. Na zewnątrz stała starsza od niej kobieta z długimi czarnymi włosami i opaloną skórą, spoglądająca na nią z ciekawością. Była ubrana w przeźroczystą, jedwabną szatę, nawet bardziej przeźroczystą niż ta Lizzy.

- Jakie dziwaczne włosy – powiedziała.

- Czy jest bezpiecznie? – wyszeptała Lizzy, rozglądając się dookoła. Niedaleko grupa kobiet grała w karty, co wydawało jej się dziwaczne, ale zasłony dookoła pobliskiej alkowy trzęsły się i mogła usłyszeć histeryczny krzyk kobiety dobiegający z drugiej strony. – Czy wszystko w porządku?

Czarnowłosa kobieta spojrzała przez ramię.

- Z kim? Z Ap? Pewnie. Ona zawsze krzyczy w ten sposób. Bitewnicy uwielbiają to. A ona jest tutaj dłużej niż ktokolwiek – kobieta znów spojrzała na Lizzy. – Mam na imię Eapha. A ty?

- Lizzy. Czy jest jakiś sposób żeby się stąd wydostać?

- Nie. Jest tylko jedno wejście, a bitewnicy wchodzą przez wejście w suficie. Ludzie przez tamto wejście nie mogą się przedostać. Znam parę dziewcząt, które próbowały – Eapha przesunęła rękami przez włosy. – Słuchaj, możesz przyzwycząić się do takiego życia. Bitewnicy są fantastycznymi kochankami.

Lizzy słyszała to przez ostatnie sześć lat swojego życia. Nie dbała o to.

- Nie chcę! – zapłakała, a pozostałe kobiety zacmokały współczująco, chociaż kilka z nich zaśmiało się.

- To nie ma znaczenia – powiedziała jej Eapha. – Nawet jeżeli chcesz powiedzieć nie, rozleją w twoją stronę tak wiele pożądania, że stracisz kontrolę. Zaufaj mi. To wsiąka w twoje kości. Po pierwszym razie będziesz się zastanawiała, czemu wcześniej się obawiałaś.

Lizzy potrząsnęła głową, cofając się. To było szalone. Nie chciała spędzić reszty życia, jako pewnego rodzaju seks zabawka, która ma na celu utrzymać grupę bitewników szczęśliwymi.

Za Eaphą krzyki Ap w końcu ucichły, przechodząc w zaspokojony jęk. Kotary poruszyły się i wyszedł następny bitewnik. Miał postać dokładnie taką, jak dwaj pozostali, oliwkową skórę i zginające się do tyłu nogi. Najdziwniejsza ze wszystkiego była bezusta twarz. Wyszedł, jego erekcja kołysała się przed nim. Na piersi miał wytatuowany numer 391. Spojrzał przelotnie w ich kierunku, potem przeszedł przez całą długość pokoju, aż klepnął kiwającą na niego palcem kobietę, która poszła do alkowy. Trzy-Dziewieć-Jeden podążył za nią.

- Zazwyczaj potrzebuje dwóch, albo trzech – powiedziała Eapha Lizzy. – Nie dowiedziałabyś się tego od Ap, ale jest bardzo delikatny. Większość z nich takimi jest.

Lizzy zauważyła sposób, w jaki podkreśliła słowo „większość”.

- I to wszystko co tu robią? – zapytała nieszczęśliwie.

- Pewnie. Przychodzą tutaj, żeby się odprężyć. Naszym zadaniem jest utrzymywanie ich w szczęściu – Eapha westchnęła i wzięła Lizzy za rękę. – Chodź – kiedy Lizzy uchyliła się, obawiając się, gdzie ta ją zaprowadzi, kobieta uśmiechnęła się. – Nie zamierzam zaciągnąć cię do jednego z nich.

Lizzy niechętnie pozwoliła się prowadzić. Eapha poprowadziła ją obok alkowy, w której zniknął Trzy-Dziewięć-Jeden, na odległy koniec korytarza, mijając roztertargionych bitewników obserwujących trzy tańczące kobiety. Ku swojemu przerażeniu naliczyła piętnaście istot.

- Jak wielu jest ich tutaj?

- Bitewników? Setki. Widziałas numery na ich piersiach. Wydaje mi się, że najwyższy numer jaki widziałam to siedemset dwa.

- A jak wiele jest kobiet?

- Wiele. Tutaj jest około stu, a są jeszcze dwa, czy trzy haremy w których nigdy nie byłam. Bitewnicy są dopuszczeni tylko do jednego haremu. Dzielą się nami, ale nie lubią tego.

- Więc może nie będę musiała sypiać z żadnym, jeżeli jest nas tu setka do wyboru – Lizzy poczuła przypływ nadziei.

Eapha spojrzała na nią ze współczuciem.

- Nie rób sobie nadziei. Przeciętnie odwiedzają pięć kobiet. Ale widziałam kilku, którzy wybierają sobie spośród dwudziestu, a nawet więcej.

Lizzy znów poczuła się źle.

- Jesteśmy – Eapha otworzyła wyglądające normalnie drzwi z tyłu komnaty i wprowadziła Lizzy do spartańsko wyglądającego pokoju wypełnionego rzędami trzypiętrowych łóżek. – Strażniczki sprawdzają, czy nikt się tutaj nie ukrywa, ale bitewnicy zazwyczaj nie wchodzi tutaj. To tu śpimy, chociaż jeżeli któreś nie ma na zewnątrz, bitewnicy przychodzą nas tu szukać. I tak nie ma wystarczająco łóżek dla nas wszystkich naraz. Może spróbujesz się zdrzemnąć?

Lizzy skierowała się do jednego z niezajętych posłań, drżąc z wyczerpania nerwowego. Nie zdołała nawet powiedzieć dziękuję, zanim wpełzła na nie, owijając się drapiącym kocem i kładąc głowę na poduszkę. Zasnęła w sekundę.

Eapha potrząsnęła głową i skierowała się do wyjścia. Wiedziała jak czuje się Lizzy. Nie minęło wiele czasu, kiedy sama była przerażoną nowoprzybyłą. Chociaż szybko przystosowała się. Pewnie z nową dziewczyną będzie tak samo.

Rozdział 10

Dolina Sylfów obchodziła Święto Plonów od czasu, kiedy założono miasto. Kilka pierwszych obchodów było skromnych, żniwa były niewielkie. Społeczność może nie głodowała, niezupełnie, ale wszyscy zaciskali pasa. Potem żniwa stały się obfite, a tańce i świętowanie trwało do późna w nocy. Lizzy uwielbiała każdy bez wyjątku festiwal, w jakim tylko mogła wziąć udział. Od kiedy była starsza, musiała zajmować się siostrami, zostając z nimi w domu w wieczory, kiedy inne dziewczęta spędzały na tańcach.

Kiedy miała szesnaście lat z oburzeniem odkryła, że oczekiwania jej rodziców nie zmieniły się. „To nie jest w porządku!” płakała przy kuchennym stole, chcąc pokazać swoją rozpacz, dzięki czemu puściliby ją. Nie pomogło. Jej ojciec sączył kawę, wyglądając na nieporuszonego, podczas kiedy jej matka patrzyła na nią z irytacją.

- Życie nie jest w porządku – taka była odpowiedź Bethy. – To twój obowiązek zająć się młodszymi.

- Aha – dodała Cara. Ojciec trzepnął ją po głowie i wrócił do picia mleka.

Lizzy zignorowała siostrę.

- A kiedy pójdą do łóżka? Wtedy zaczynają się tańce. Chcę iść na tańce.

- Nie zamierzam puścić cię samej na tańce, gdzie będą chłopcy.

Lizzy wpatrywała się z rozpaczą w matkę. To były najlepsze tańce w roku i każdy w jej wieku pójdzie. Będzie okropnie nie iść.

- Może mógłbym zaopiekować się nią – zasugerował Leon. Wzruszył ramionami, kiedy żona rzuciła mu spojrzenie.

Takie rozwiązanie było jeszcze gorsze niż okropne. Nikt nie zwróci na nią uwagi, jeżeli będzie tam jej ojciec! Lizzy spojrzała na krzesło obok niej, gdzie siedział Ril, z jednoroczną Mią na kolanach. Cierpliwie karmił ją papką z rzepy, ignorując całą rodzinną rozmowę.

Impulsywnie Lissy zarzuciła mu ramiona na szyję, a on drgnął, prawie upuszczając i łyżeczkę i dziecko.

- Ril mnie zabierz! – prosiła. – On mnie ochroni – przycisnęła swój policzek do jego, ramiona zacisnęłam na jego szyi. – Proszę, Ril – wyszeptala, a on zadrzał. Kiedy to poczuła, jej serce zaczęło mocniej bić. Był bardzo ciepły, zauważyła. Jak również to, że wydawał się nie oddychać.

- Co powiesz na to Ril? – zapytał Leon.

Bitewnik zawahał się.

- Proszę - poprosiła znów Lizzy, przyciskając się do niego, kiedy zacisnęła uścisk. – Proszę!

- Okey – wymamrotał.

- Puść tego biednego człowieka – warknęła jej matka. – Udusisz go.

Lizzy puściła sylfa, uśmiechając się do niego promiennie, z rumieńcem na twarzy. Ril odwzajemnił spojrzenie, wydawał się niepewny, a ona nie mogła nic poradzić na to, że zaczęła zastanawiać się, dlaczego jego oczy są tak rozszerzone.

Ril był bitewnikiem jej ojca dłużej, niż żyła Lizzy. Przez większość tego czasu był ptakiem, porozumiewającym się z nią układaniem słów z liter na kartach. Utraciła te karty, wraz ze swoimi zabawkami, kiedy opuszczali stolicę Eferem, ale nie zauważyła tego, w zdumieniu, kiedy zobaczyła go jako mężczyznę. Kochała go jako ptaka. Kochała go nawet mocniej jako człowieka, całą namiętnością dwunastoletniego serca. Chociaż on wydawał się nie odwzajemniać tej miłości. Miłował ją, wiedziała o tym, ale miłował również Carę, Nali, Raladę i Mię. Kiedy miała trzynaście lat, złamał jej serce. Jako szesnastolatka miała to już za sobą.

Teraz, kiedy szła z nim na tańce, ubrana w najlepszą sukienkę, a Ril w niebiesko- złote umundurowanie, zastanawiała się, czy coś z tej namiętności powróci. Jako szesnastolatka wiedziała, że jest już za stara na głupiutkie tulenie się, ale to było tak wspaniałe uczucie udawać, że przyszła z nim. Więc ścisnęła jego ramię, paplając i machając do przyjaciół i ciągnąc za sobą bitewnika, gdziekolwiek szła. Ril pozwalał jej na to, nie mówiąc nic, kiedy przeszli dookoła stołów, na których leżały plony. Lizzy śmiała się, kosztując jedzenia i uśmiechając się drwiąco do chłopców. Nie miała pojęcia, co wyczuwał od nich i nie pytała.

Bitewnik przy jej ramieniu, jak odkryła, ściągnął na nią więcej uwagi chłopców, niż kiedy byłaby sama. Upojeni słodkim ponczem i hormonami, wyzywali bitewnika rozmawiając z Lizzy, udając, że wcale ich nie przeraża. To ekscytowało ją nawet jeszcze bardziej.

- Nie odstraszaaj ich – Lizzy ostrzegła Rilę, obserwując grupę chłopców idących w jej stronę. Trel Mils i Justin Porter byli pomiędzy nimi. Obaj byli o rok starsi. Ich uwaga sprawiła, że jej serce mocno biło.

Ril westchnął.

- Leon nie chciał, żebyś cokolwiek robiła.

- Czy rozkazał ci mnie powstrzymać? – parsknęła. – Nie zrobił tak, prawda? – Jej ojciec nigdy nie wydawał Rilowi rozkazów. – To, że ty nie lubisz dziewcząt, nie oznacza, że inni też nie lubią.

- Lizzy...

- Nic się nie stanie – zapewniła go. – Chcę się tylko trochę zabawić. I nie śmiej mówić ojcu!

Ril nie odpowiedział.

Chłopcy podeszli, a ona zapomniała o tuleniu się. Paplając pozwoliła Trelowi i Justinowi przynieść sobie szklaneczkę ponczu i jakieś przekąski, delektując się zazdrością innych dziewcząt tak bardzo, jak i poświęcaną jej uwagą. Była piękną dziewczyną, wiedziała o tym i przynajmniej teraz nie była otoczona przez trzy młodsze siostry, które lubiły sprawiać jej problemy. Kiedy zespół zaczął grać, może nie za dobrze, ale z entuzjazmem, pozwoliła znów prowadzić się po ścieżce, tam i z powrotem, do skrawka ziemi, który był wykorzystywany jako parkiet do tańca. Wydawało się, że wszyscy chłopcy chcieli wykorzystać swoją kolej.

Ril stał z boku, obserwując bez wyrazu... co ją martwiło, to dziwne, bo właśnie przeżywała najlepsze chwile w życiu. Był bitewnikiem, aseksualnym, złamanym. Odrzucił ją! Nie, zrobił nawet mniej. Ignorował ją, aż straciła wszelką nadzieję. Dlaczego więc czuła się winna?

Lizzy niemalże słyszała jego głos w swoim umyśle. Wydawał się mówić jej, że ci chłopcy chcą jedynie pokazać swoją odwagę tańcząc z nią. Chcą móc powiedzieć przyjaciółom, że

tańczyli z nią, na przekór jej strażnikowi. Lizzy odrzuciła to z wściekłością. Chłopcy lubią ją. Spojrzała na Rila i odwróciła się do niego plecami, zwracając swoją uwagę na chłopaka, z którym właśnie tańczyła.

Justin Porter wydawał się niemalże bać położyć rękę na jej biodrze, kiedy prowadził ją, potykając się w tańcu. Był wysoki i szczupły, jego jabłko Adama podskakiwało w górę i w dół. Na twarzy miał trądzik, a jego włosy potrzebowały strzyżenia. Rękawy jego koszuli były za krótkie. Lizzy spojrzała na niego z uwagą. Był kimś, kogo знаła tylko trochę, ale był zawsze miły dla niej i był starszy. Dla niej starszy, oznaczało lepszy. Nie był tak okropnie stary jak Ril, chociaż nie miała pojęcia, jak wiele wieków ten żył.

Bitewnik nadal obserwował ją z dezaprobatą, wiedziała o tym. Impulsywnie, Lizzy uniosła się na palce i przycisnęła swoje wargi do warg Justina.

To był jej pierwszy pocałunek. Usta Justina były mokre, jego wargi cienkie, a on sam wydawał się być zaszokowany dotykiem. Fizycznie przypominało jej to trochę całowanie kawałka ciepłego mięsa, ale w chwili, w której to zrobiła, usłyszała okrzyki i klaskanie. Każdy to widział i zachęcał. Lizzy zaczerwieniła się.

Chwilę później Ril trzymał ją w ramionach. Warknął na Justina, który ledwie zdawał sobie sprawę, że był tam bitewnik. Chłopak po prostu wpatrywał się w Lizzy z wyrazem nagłej miłości na twarzy. Potem bitewnik jej ojca ściągnął ją z parkietu do tańca, mimo jej protestów wlekąc ją przez tłum i oddalając się.

- Przestań! - krzyknęła Lizzy, kiedy ciągnął ją przez ciemne i suche pole z powrotem w stronę miasteczka. – Puść mnie!

Ril puścił, w ciemności zwracając na nią swoje oczy. Ledwie mogła widzieć jego twarz, ale mogła wyczuć jego gniew.

- Co jest z tobą? – krzyknęła.

- Co jest z tobą? – odparował. – Mogłem wyczuć tych chłopców. Wszyscy chcieli pokazać, jacy są odważni, tańcząc z dziewczyną bitewnika – wskazał na nią. – Nie kochają cię!

Jej policzki zapłonęły i była szczęśliwa, że nie mógł tego zobaczyć w ciemności.

- Może o to nie dbam! Pomyślałeś o tym?

- Pocałowałaś go!

- Więc? – wrzasnęła. Ruszyła na Rila zmuszając go do cofnięcia się o krok. – To nie jest twój problem!

- A jak myślisz, po co tu przyszedłem? Twój ojciec...

- Nie mieszaj w to mojego ojca! – Uderzyła ręką o jego twardą pierś. – Nie dbam o to, co myśli mój ojciec! Jeżeli chcę kogoś pocałować, to mogę!

- Nie pozwolę ci!

Brzmiał tak oburzony, jego spojrzenie paliło zza tej długiej blond grzywki. Zawsze chciała zsunąć mu włosy z oczu, od kiedy pierwszy raz go zobaczyła. Przybrał wygląd jednej z postaci w jej ulubionej dziecięcej książce, którą ojciec czytał jej, kiedy leżała w łóżku, a Ril odpoczywał na poduszce obok jej głowy, często gładząc jej włosy, kiedy zasypiała.

Zaśmiała się. To było absurdalne. Czego spodziewała się po nim, ludzkiej reakcji?

- A jak zamierzasz to zrobić? – zapytała. – Będziesz strzegł mnie przez resztę mojego życia?

- Jeżeli będę musiał.

Myśl o Rilku, podążającym za nią i odstrasającym chłopców przez resztę jej życia, rozbawiła ją nawet bardziej, jej gniew zniknął ot tak, po prostu.

- No cóż. Nie martw się. Tak czy inaczej, to był okropny pocałunek – tak było. Otarła usta żalując, że to zrobiła, że próbowała rozzłościć Rila, kończąc na kłótni z nim. – To był mój pierwszy pocałunek. Czy wszystkie są takie złe?

- Nie wiem – odpowiedział. – Sprawdźmy – pochylił się i pocałował ją.

Lizzy zabrakło tchu, a jej serce niemalże przestało bić. Kiedy pocałunek Justina był jak całowanie kawałka ciepłego mięsa, wargi Rila były suche i pełne, i tak ciepłe, że przeszło ją drżenie, które przeszło od ust przez całe ciało aż do czubków palców u stóp. Jej oczy zamrugaly i zamknęły się. Stała tam po prostu, z ustami przyciśniętymi do jego ust i nie robiąc nic, poza czuciem. To było cudowne odczucie, tak cudowne, że w tej chwili miała wrażenie, że znów się w nim zakochuje.

Potem Ril odsunął się, jego oddech był ciężki, kiedy cofnął się w ciemność. Lizzy zachwiała się, odzyskała równowagę i spojrzała na niego.

- Ril? – powiedziała.

Ale on odsunął się, mówiąc jej, że to nigdy się nie stało, że nie zrobili tego, że on nigdy tak nie postąpi, nie dotknie jej, czy nawet nie spojrzy na nią. Tak właśnie było. Lizzy przypomniała to sobie, nawet kiedy zorientowała się, że śni o czymś, co zdarzyło się dwa lata temu. Ale tym razem Ril nie uciekł od niej. Zamiast tego zrobił krok w przód. Jego ubranie zniknęło zastąpione przez proste, brązowe ubranie podróżne, a jego twarz była wyczerpana i napięta z wysiłku.

- Lizzy! – krzyknął, chociaż jego głos był ledwie słyszalny. Wyciągnął do niej rękę, a jego postać zafalowała. To przypomniało jej inny sen, jaki miała, kiedy pocałował ją i nagle rozsypał się w nicłość.

- Ril! – odkrzyknęła. – Jestem tutaj! – pobiegła w jego stronę, ale nie mogła się do niego zbliżyć. Bez znaczenia jak szybko biegła, on nadal był o pół tuzina stóp od niej, wyciągając beznadziei po nią rękę. – Ril!

- Lizzy! Jedziemy po ciebie. Nie poddawaj się. Znajdziemy cię!

Oczy Lizzy rozszerzyły się i łzy pociekły jej po policzkach.

- My...my?

- Twój ojciec i ja. Leon... - nagle Ril przyłożył rękę do swojego czoła, krzywiąc się i scena zmieniła się z nocnego pola, po którym dawno temu wracali z tańców, na kuchnię w domu jej rodziców. Ril zadrżał i spojrzał za nią. – Leon.

Lizzy odwróciła się. Stojąc w drzwiach, ubrany w miękkie bawełniane spodnie i koszulę, w których zawsze spał, jej ojciec wpatrywał się w nią, jego włosy były rozczochrane, a oczy rozszerzone.

- Lizzy? – sapnął. – Dziecinko?

- Tatusi! – Lizzy rzuciła się na przód, płacząc. – Ocal mnie, tatusiu!

- Czekał... - zaczął Ril.

Lizzy wpadła w ramiona ojca, ale zamiast poczuć jego uścisk, upadła w nicość, drżąc z przerażenia, kiedy sen rozwiął się. Ril krzyknął i zniknął razem z nim. Chwilę później obudziła się, mrugając. Jej serce biło szybko. Była w powrotem na łóżku, na którym zasnęła, w pokoju obok głównego haremu.

Ukryła twarz w poduszce i jęknęła.

Leon obudził się, dysząc. Śnił, że jest z powrotem w domu, gotowy żeby iść na górę, żeby, z jakiegoś powodu, zanieść żonie roślinę doniczkową. Nagle sen zmienił się. Oboje, Ril i Lizzy byli obecni, wizerunek bitewnika falował, chociaż jego córka wydawała się solidna i rzeczywista. Sen był tak prawdziwy, ale kiedy Lizzy dotknęła go, obudził się. Przez chwilę wpatrywał się w sufit pokoju, oddychając ciężko. Ten sen był tak rzeczywisty, ale jak...?

Doszedł go cichy krzyk, tuż obok jego głowy i coś uderzyło w ścianę. Leon przeturlał się na bok i sięgnął do lampy oliwnej, podkręcając światło na maksimum. Na łóżku naprzeciw niego jęczał Justin. Ril leżał drżąc na bliższym łóżku, w drgawkach uderzając o ścianę. Zamigotał, próbując zmienić się w dym i błyskawice. Jeżeli bitewnik zmieni się, bez Luck utrzymującej go w całości, zginie.

- Ril! – wrzasnął Leon, gramoląc się z łóżka, podczas kiedy Justin usiadł, wyglądając na przestraszonego. Leon chwycił bitewnika, jego palce wbily się głęboko w ramiona sylfa i potrząsnął nim. – Ril, obudź się!

Przez sekundę myślał, że bitewnik nie posłucha, że Ril rozwieje się, aż nic nie pozostanie. Sylf wciągnął powietrze, mimo, że zadławił się, jego oczy otworzyły się, przerażone i blade.

- Co się dzieje? – załkał Justin.

Leon zignorował go, wpatrując się prosto w oczy Rila, kiedy odsunął ręce z jego ramion i przybliżył cztery palce pomiędzy ich nosami, na linii wzroku, żeby Ril miał na czym skupić spojrzenie.

- Ril, nie zmieniaj postaci. Wróć do postaci ludzkiej. To wyraźny rozkaz: wróć do postaci człowieka.

Ril zadrzał, niezdolny do myślenia, ale nie mogąc nie wypełnić rozkazu. Jego postać stężała, jego skóra pod ręką Leona stała się bardziej solidna. Wciągnął głęboki wdech i zaczął krztusić się, jego oczy zacisnęły się. Ktoś w sąsiedniej kabinie uderzył w ścianę, krzycząc na nich, żeby się zamknęli.

- Czy powiecie mi, co się dzieje? – zapytał Justin.

- Nie teraz – Leon usiadł na swoim łóżku, zasłaniając usta drżącą dłonią. Cała jego uwaga była skierowana na bitewnika, kiedy Ril znów zadrzał i powoli usiadł. Dygocząc przesunął się na jego kolana, patrząc na niego, pochylił się do przodu, ramionami obejmując swojego mistrza za szyję. Kiedy Ril całym ciałem opadł na niego, Leon poczuł jak bitewnik zaczyna ciągnąć jego energię, desperacko uzupełniając siły.

- Co się dzieje?

- Bądź cicho, Justin – rzucił Leon. Ril ciągnął tak mocno, że nie musiał się odprężyć, żeby to poczuć. Ostatnim razem miało to miejsce, kiedy sylf przyniósł całą rodzinę z Eferem do Społeczności, wyprzedzając powietrznego sylfa o tysiąc lat starszego od siebie. Wyczerpał się tak bardzo, że obawiał się, że zabije oboje, Solie i Leona, ciągnąc energię od nich. Mace upewnił się, że tak się nie stanie.

- To byłeś ty, prawda? – wyszeptał tak, żeby Justin go nie usłyszał. – To ty połączyłeś nasze sny?

Nadal drżąc, Ril skinął.

- Nie wiem jak – odszeptał w odpowiedzi. – Po prostu to zrobiłem.

- Dlaczego? – zapytał Leon. Widzieć znów swoją córkę, nawet tak przelotnie, było czymś cudownym, ale Ril prawie zabił się, robiąc to.

- Powiedziałeś mi, żebym to zrobił – odrzekł Ril.

Leon zeszywniał.

- Nie miałem na myśli...

- Wiem – Ril odsunął się i otarł usta. – Nieważne.

Spojrzał przez pokój na Justina, który siedział na swoim łóżku wpatrując się w nich i warknął.

Justin skulił się.

- Hej! Co zrobiłem?

- Patrzysz na mnie.

- Spokojnie – Leon położył rękę na ramieniu bitewnika. – Uspokójcie się, obaj. Nadal przed nami daleka droga.

Ril wzruszył ramionami, kładąc się jakby nic się nie wydarzyło, odwracając się plecami do obu. Leon nie wiedział, czy z nim wszystko w porządku, ale nie mógł pytać. Za bardzo chciał, żeby Ril znów połączył ich sny, żeby odszukać jego córkę i upewnić się, że wszystko z nią w porządku. Podniósł się i naciągnął na siebie ubranie, odnajdując buty, zanim wyszedł na zewnątrz, żeby oczyścić umysł.

- Co się dzieje? – zapytał Justin podążając za nim na pokład statku.

- Nic, czym musiałbyś się martwić – odpowiedział mu Leon. Byli nadal o trzy porty od Meridal. Kiedy przybędą, będą zbierać się na tyle długo, żeby rozładowano statek i zabrano nowych pasażerów i żeby mogli zmienić swoją opowieść, jeżeli mieliby nadal podróżować na południe. To zależało od Rila, czy pozostaną tak długo na statku. Leon miał nadzieję, że nie. Chciał coś zrobić. Chciał, żeby Lizzy była w tym mieście, najlepiej czekając na niego przy dokach.

- Muszę wiedzieć – odezwał się za nim Justin. Leon westchnął i obrócił się. Justin był mężczyzną, przypominał sobie i martwił się o Lizzy tak bardzo jak i oni. On również ryzykował swoje życie.

- Nie wiem, co się stało – przyznał Leon. – Wydaje mi się, że Ril przyłączył swój sen do mojego i Lizzy.

- Nie wiedziałem, że bitewnicy mogą zrobić coś takiego – sapnął Justin.

To tak jak i Leon. Ale Ril był jedynym bitewnikiem, który regularnie sypiał, jedynym, który śnił.

- Nie nazywaj go tym słowem – powiedział zamiast tego. – Nie tutaj.

Justin objął się ramionami.

- Czy on może to zrobić mnie? Zajrzeć do mojej głowy?

- Nie wiem.

Justin spojrział niepewnie na kabinę, najpewniej marząc, żeby wcale nie potrzebowali Rila, ale w końcu westchnął i odwrócił się.

- Czy z Lizzy w porządku?

- Wydaje się, że tak – przynajmniej w tym im ulżyło.

Justin uśmiechnął się, jego ramiona odprężyły się i opadły dalej od uszu.

- Zastanawiałem się. Nad tym, co będzie później. Chciałbym, żeby ziemny sylf mojego ojca, Stria, wybudował nam dom niedaleko jeziora, tam gdzie rosną krzaki czarnych jagód. Mój ojciec obiecał mi połowę swojego stada, kiedy się ożenię, więc będziemy mieć pieniądze. To nie jest wielkie stado, ale będę się nim zajmował – jego ramiona znów uniosły się. – Jeżeli nie sprzeciwisz się.

Leon zdołał uśmiechnąć się. Justin nie był pierwszą osobą, którą wybrałby na swojego zięcia, ale nie mógł zarzucić chłopakowi braku odwagi. Nikt inny nie zgłosił się na ochotnika do tej wycieczki.

- Nie wydaje ci się, że musisz zapytać Lizzy?

- Yyy, ale, no cóż, najpierw powinienem poprosić o twoje błogosławieństwa, prawda? Czy mam twoje błogosławieństw? Żeby poślubić twoją córkę?

Jego córka, małżeństwo. Wnuki. Leon uśmiechnął się lekko.

- Jeżeli ona powie ci tak, to masz moje błogosławieństwo.

Justin uśmiechnął się szeroko.

Rozdział 11

Kiedy śniadanie najwyraźniej nie nadchodziło, Lizzy wytknęła głowę z pokoju, w którym spała i rozejrzała się nerwowo, na wypadek, gdyby coś czekało, żeby ją chwycić. Eapha była na zewnątrz, chichocząc szaleńczo, razem z pół tuzinem innych kobiet, które biegały wokół stołu w głównym pokoju, uciekając przed bitewnikiem z wytatuowanym na piersi numerem 200. Miał na sobie spodenki zasłaniające mu pośladki i wydawał się świetnie bawić, próbując je chwycić. Sylf złapał Eaphę dookoła pasa, przycisnął ją do piersi i wtulił twarz w jej szyję wężąc, kiedy pisnęła. Pozwolił jej uciec, rzucił się za następną kobietą, jego szponiaste nogi uderzały po marmurowej podłodze, kiedy gonił ciemnowłosą dziewczynę w dół sali. Lizzy musiała zachichotać. Wiedziała jak szybcy byli bitewnicy. Ten bawił się.

Eapha pospieszyła do niej.

- Dzień dobry, śpioszku. Spałaś całą noc.

Naprawdę? Lizzy przypomniała sobie swój sen i uśmiechnęła się.

- Wydaje mi się, że byłam zmęczona. Czy oni kiedykolwiek nas karmią?

- Oczywiście. Zostawiają jedzenie na drugim końcu. Większość jest już najpewniej zjedzona, ale coś powinno zostać.

Dziewczęta były więc zmuszone przejść przez całe pomieszczenie, jeżeli chciały zjeść, zorientowała się Lizzy. Zadrzała, ale wyszła z sypialni. Jej brzuch burczał i nie mogła ukrywać się wiecznie. Eapha tylko zaśmiała się i chwyciła ją za rękę prowadząc, jak wtedy, kiedy po raz pierwszy oprowadzała ją. Lizzy podażyła za nią, owijając się ciasniej swoją muślinową szatą i starając się wygładzić palcami zmierzwione od snu włosy.

Mimo, że rozglądała się, nie zauważyła Dwieście, który pojawił się za nią, aż do chwili kiedy objął ją ramionami, położył ręce na jej piersiach i przyciągnął ją plecami do siebie. Lizzy krzyknęła.

Eapha obróciła się dookoła, oczy miała rozszerzone.

- Lizzy – wysapała. – Wszystko w porządku! Nie zrań go!

Zranić go? Jak ona spodziewała się, że to zrobi? Lizzy zastanawiała się, nawet kiedy Dwieście wtulił się w jej kark, zaciągając się głęboko jej zapachem. Znieruchomiał i chwilę

później puścił ją. Lizzy spojrzała na niego i zobaczyła, że patrzy na nią ze zmieszaniem. Pochylił się nisko i znów powęszył. Potem spojrzał na Eaphę i za siebie. Cicho, wykonał dyskretną serię ruchów ręką i wyprostował się.

- C-co? – wyjąkała Lizzy.

Eapha patrzyła zakłopotana.

- Nikt nie będzie jej chciał? – strach przeszedł jej twarz ciemnowłosej kobiety. – Muszą! – rzuciła spojrzenie na Lizzy i na bitewnika. Potem spojrzała za niego w górę, na ściany aż do sufitu. Zanim Lizzy odwróciła się, żeby zobaczyć na co patrzy, z wymuszonym wybuchem śmiechu Eapha chwyciła ich oboje za ręce i pociągnęła ich do najbliższej alki.

Pomieszczenie było małe, obite jedwabiem, z miękkim materacem położonym na podłodze. Eapha opadła na niego, ciągnąc za sobą bitewnika i odwracając swoją twarz na Lizzy.

- Jeżeli nikt nie chce cię, zmieniają cię w karmiciela.

- Co?

Eapha spojrzała na Dwieście.

- Muszą z nią spać!

- Nie, nie muszą! – pisnęła Lizzy.

Eapha chwyciła bitewnika za ramię.

- Obetną jej język, Tooie! Muszą!

Tooie spojrzał znów na Lizzy i z powrotem na Eaphę. W ciszy pokręcił głową.

- Więc... udawajcie!

Tooie zastanowił się i w końcu skinął głową, jego oczy zaiskrzyły się. Ułożył się na materacu i zaczął podskakiwać w górę i w dół. Materac zaskrzypiał głośno. Wyglądał na rozbawionego.

Lizzy zakłopotana spojrzała na Eaphę.

- Co się dzieje?

Eapha przechyliła się.

- Mówiłam ci. Zatrzymują tylko dziewczęta, które mają seks z bitownikami. Jednak Tooie mówi, że nikt nie będzie chciał ciebie. W tym miejscu to niemalże wyrok śmierci.

- Hmmm. To nie tak, że chcę, ale... dlaczego nie?

Eapha wzruszyła ramionami i obróciła się, wykonując do Tooie serię ruchów ręki. Ku zaskoczeniu Lizzy, odpowiedział jej. Eapha wykonała ich więcej i w końcu skończyli.

- Mówi, że pachniesz, jakbyś już była związana. Naprawdę nie rozumiem. Będzie udawał, tak jak udaje z większością kobiet. Treserzy uważają, że jest bardziej aktywny, niż naprawdę jest. Nie będą zważać na jeszcze jedną.

- Nie rozumiem - odrzekła Lizzy.

Eapha zarumieniła się ładnie.

- Nie powinnam ci tego mówić. Ledwo cię znam... ale czułabym się okropnie, gdyby zmienili cię w karmicielkę, a Tooie chce, żebym zapytała się o tego partnera. Kiedy on czegoś chce, no wiec... - chwyciła się za włosy, szarpiąc z jękiem. – Nienawidzę tego! Lepiej żebyś nie była szpiegiem. Nie, nie możesz być szpiegiem. Tooie wiedziałby.

Tooie wykonał więcej gestów do niej, kiedy podskakiwał i w końcu Eapha westchnęła i założyła ręce.

- To treserzy. Są złem. Znam Tooie od lat. Kocha mnie i nie chce być z kimś innym poza mną, ale treserzy nie chcą, żeby bitownicy zakochiwali się. Gdyby wiedzieli, że mnie kocha, zaraz zmieniliby mnie w karmiciela. Więc żeby to ukryć udaje, że śpi z całą gromadą kobiet.

Lizzy otworzyła buzię, nawet mimo tego, że miała sześćioletnie doświadczenie w postępowaniu z bitownikami. Jeżeli dalo się im wybór, wszyscy z nich woleli monogamię.

- Naprawdę?

Eapha spojrzała znów na Tooie, a uczucia widoczne na jej twarzy sprawiły, że Lizzy ścisnęło się gardle.

- Tak. Jest grupa pomiędzy nami i bitewnikami, którzy chcą mieć wyłączność. Tooie udaje, że śpi z nami wszystkimi. Tak jak i pozostali bitewnicy. Tylko jakiś tuzin z nich wie, jak to działa, chociaż planują, kto będzie z kim. Uwierz mi, większość bitewników nie rozmawia z sobą wcale. Naskakują na każdego, kto się nimi interesuje.

Lizzy zauważyła, że Eapha nie powiedziała nic na temat, czy jakkolwiek z tych bitewników okazał zainteresowanie nią.

- Jak z nim rozmawiasz? – zapytała zamiast tego.

- Gestami – Eapha wykonała kilka ruchów ręką. Tooie odpowiedział jej. – Każdy coś znaczy. Jedna z kobiet, która była tu kilka lat temu, miała głuchego brata. Nauczyła gestów kilka dziewcząt i kilku bitewników. Niewielu z nas wie, jak to robić, trzymamy to w sekrecie – jej twarz stwardniała. – Nauczę cię znaków, ale proszę, nie wykorzystuj ich poza alkową, jeżeli tylko możesz i uważaj, kto to widzi. Tooie nigdy nie powinien robić tego na zewnątrz, ale zaskoczyłaś go. Mnie również. Treserki obserwują nas przez odpowietrzniki w suficie. Gdyby wiedziały, co robimy, zmieniłyby nas wszystkich w karmicieli. A Tooie i pozostałych spotkałoby coś nawet gorszego. Oni nie powinni wcale mówić. Trenerki nie mają pojęcia. Nie widzą, co dzieje się w alkowach, a zazwyczaj tylko tam mówimy. Proszę, bądź ostrożna. Uważamy, że niektóre dziewczęta szpiegują dla trenerek i jest wielu bitewników, którym nigdy nie zaufałam.

Za nimi Tooie nadal podskakiwał na łóżku, za każdym podskokiem uderzając rękami o sufit. Lizzy obserwowała go przez chwilę, zanim spojrzała znów na Eaphę. To byli przyjaciele, nie pozwoliła sobie na wątpliwości. A w tym miejscu potrzebowała przyjaciół. Teraz miała dwójkę.

- Czy ktokolwiek kiedykolwiek uciekł? – zapytała.

- Nie. Znam kobiety, które próbowały, ale jedyne wejście jest przez drzwi, a one są zamknięte i strzeżone – Eapha zauważyła, że Lizzy patrzy na Tooie i zaśmiała się gorzko. – On nie może nam pomóc. Jest pod wpływem rozkazów, które nie pozwalają nas uwolnić. Bitewnicy nie mogą sprzeciwić się swoim mistrzom, wiedziałas o tym?

Lizzy skinęła głową. W domu nikt nie znęcał się nad powiazanymi z sobą sylfami. Słyszała o jednym mężczyźnie, który znęcał się nad swoim ogniowym sylfem, ale bitewnicy wyczuli jej cierpienie i powiedzieli Solie. Dała sylfowi nowego mistrza, a oprawcę wyгнаła. Miał

szczęście, że bitewnicy go nie zabili. Chcieli. Również jej ojciec bardzo uważał, żeby nie wydawać rozkazów Rilowi, wiedząc, że w tym przypadku Ril nie ma innego wyboru, tylko posłuchać.

Myśląc o blond bitewniku, o ciepłe jego warg Lizzy zaczerwieniła się. Przybywali po nią, Ril i jej ojciec. Powiedział jej tak we śnie. Ale czy to było możliwe? Lizzy chciał wierzyć w każdy okrusz nadziei, jaki jej pozostał, ale tak niewiele jej pozostało po tygodniach zamknięcia w ciemności, a teraz w tym miejscu, z jego miękkimi draperiami i niekończącą się żądzą.

Mogła poczuć to teraz, kiedy odpoczęła i uspokoiła się: potrzeba bitewników roznosiła się po całym w haremie, zmieniając zahamowania kobiet w niekontrolowane pożądanie. Jeżeli kobieta nie była chętna, oni sprawiali, że nabierała ochoty. To miejsce pomiędzy nogami Lizzy załaskotało, nawet kiedy otuliła się ramionami, starając się ukryć widok swojej nagości przed oczami Eaphy i Tooie. Nie żeby któreś z nich na to zważało. Jak ktokolwiek w tym miejscu mógłby chociażby udawać skromność? Chociaż nie opuściła ramion. Jeszcze nie. Miała nadzieję, że nigdy. Nie chciała nigdy stać się użyteczna w tym miejscu.

Proszę, Ril, pomyślała. Nie pozwól, żeby to był tylko sen.

- Co teraz? – wyszeptala.

Eapha wzruszyła ramionami.

- Śniadanie?

Rozdział 12

Życie Lizzy ukształtowało się we wzór, o którym wiedziała, że doprowadzi ją do szaleństwa, jak dzikiego ptaka uwięzionego w domu, który bije skrzydłami o ściany dotąd, aż się połamią. Mogła skończyć jak kobieta, którą widziała siedzącą w rogu haremu, kobieta tylko siedziała, nie odzywała się i nie reagowała na nic. W końcu nawet bitewnicy unikali jej. A potem przyszły treserki.

Lizy szybko nauczyła się nienawidzić tych wysokich strażniczek tak bardzo, jak pozostałe kobiety. Nauczyła się zwłaszcza nienawidzić Rashali Misharol, która oficjalnie dowodziła nimi. Łysa kobieta była złośliwa jak wąż i tak samo zimna. Pośrodku drugiego tygodnia w haremie Lizzy obserwowała, jak Rashala rozkazała zabrać jedną z kobiet do cel karmicieli, wycięto jej język, zanim ją tam zabrano. Lizzy bała się, że zrobią to na miejscu, ale treserki najpierw ją wyciągnęły. Rashala odeszła nawet bez jednego spojrzenia. Nie potrzebowała, zorientowała się później Lizzy, żadna z pozostałych mieszkanek haremu nie próbowała nic zrobić. Sto kobiet przeciwko trzem. A żadna z nich nawet się nie poruszyła.

Przynajmniej teraz była bezpieczna, chociaż bezpieczeństwo było w haremie delikatnym pojęciem. Nadal też była dziewicą. Tooie i jedenastu innych bitewników podobnych do niego zabierali ją do alkowy, zazwyczaj po prostu podnosząc ją i zanosząc tam, gdzie pozostawali przez godzinę lub więcej, udając że robią to, co Lizzy uważała za coraz mniej przerażające, skoro była cały czas przez to otoczona. Nie spałaby z żadnym z nich, nawet gdyby byli nią zainteresowani, ale sam pomysł nie był już tak odrażający. Lizzy, dziewczyna, która pocałowała się tylko dwa razy, teraz chodziła bez mrugnięcia obok kobiet uprawiających seks na samym środku haremu. Jedynym efektem było delikatne pobudzenie w środku, które nigdy nie odchodziło.

- Gdzie jest Tooie? – wymamrotała do Eaphy, jednego ranka, kiedy siedziały jedząc proste, ale jadalne śniadanie złożone z sera i chleba. Większość z serów była jej nieznaną, niektóre w dziwnych kolorach i różnych zapachach, ale wszystkie pyszne. Raz w tygodniu dostawały do jedzenia mięso i ryby, pocięte na małe kawałki dla kobiet, które nie miały sztućców w haremie, a już na pewno nie miały noży. Tooie pokazywał się zazwyczaj zaraz jak się obudziły, chociaż nie były pewne, czy to jest rano. Pozostawał przez pół dnia, bawiąc się z różnymi kobietami, ale w jakiś sposób zawsze znajdując czas dla Eaphy. Potem znikał,

zmieniając się w dym i błyskawice, przechodząc przez jeden z otworów w suficie. Resztę dnia spędzał pracując, to wiedziała, ale zazwyczaj nie zaczynał tak wcześnie.

Eapha włożyła do ust mały owoc i przeżuła go.

- Powiedział mi, że w tym tygodniu walczy dla cesarza na arenie.

- Czy to nie jest niebezpieczne? – zapytała Lizzy. Lubiała Tooie. Był naprawdę bardzo słodki i uczył ją ich języka gestów za każdym razem, kiedy byli sami w alkowie. Nie, żeby udało mu się ją za wiele nauczyć, na pewno nie na tyle, żeby mogła odpowiedzieć na jego pytanie o swojego partnera.

Eapha uśmiechnęła się.

- Nie walczy z innymi bitownikami. Nikt nie jest taki głupi. Walczy tylko z przestępcami. Właściwie dokonuje egzekucji. Dla niego nie jest to niebezpieczne.

Zabrzmiało to, jakby dla przestępców było to bardzo niebezpieczne. Lizzy nie pytała, jaki rodzaj przestępstw ludzie popełnili, żeby zostać skazanym na taki wyrok. Zamiast tego, sięgnęła po ostatni kawałek chleba.

Rozległ się dźwięk dzwonka. Jeden z tych, w które uderzali bitownicy, żeby dostać się do haremu. Ich przejścia brzmiały dzwonekami, ostrzegając kobiety wewnątrz i co ważniejsze, treserki, które obserwowały z zewnątrz. Lizzy nie była pewna, jak wiele było tam treserek, ale nauczyła się dostrzegać ich judasze, cienie szczeliny w ścianie, umieszczone w regularnych odstępach. Nie mogły obserwować w alkowach, nie mając dostępu do ścian pomiędzy nimi, ale widziały prawie wszystko inne. Judasze były nawet w sypialni i łazience. Lizzy nigdy nie sądziła, że przyzwyczajai się do bycia obserwowaną, ale tak było. Chociaż nigdy o tym nie zapominała. Zgodnie z tym, co mówiła Eapha, ta co zapominała, kończyła jako karmiciel.

Pośrodku sufitu, o jakieś trzydzieści stóp dalej, dymna postać z błyskawicami wpłynęła w dół na podłogę. Bitownik w swojej naturalnej postaci przypominał innych bitowników, ale Lizzy nauczyła się rozpoznawać większość z nich. Była zdolna robić to przez lata w domu. Nigdy nie widziała Rila w jego naturalnej postaci, ale zawsze była zdolna rozpoznać Mace, Heyou i pozostałych. Tego jednego nie poznawała wcale, błyskawice w nim błyszczaly jak połamany lód.

Spłynął w dół, zmieniając się w oliwkowo cieniowaną postać, jaką wszyscy mieli nakazane przybierać, kiedy odpoczywali. Lizzy nie wiedziała, jakie były inne dopuszczalne formy, ale najwyraźniej bitewnicy w tym kraju przyjmowali specyficzne, zatwierdzone postacie do różnych zadań. W haremie przynajmniej, zawsze byli bezustymi istotami z nogami zginającymi się do tyłu, jak wtedy, kiedy zobaczyła je po raz pierwszy, różniące się od siebie tylko tatuażem, jaki nosili.

Ten jeden miał numer 89.

- Och, nie – wyszeptała Eapha. – Tooie musiał zająć jego miejsce na arenie.

Cofnęła się, nagle znajdując coś ciekawego w stercie zużytych talerzy, jakie położono przy drzwiach, do zwrotu.

Inne kobiety, które zaczęły jeść, również się obejrzały, jedna z nich popędziła szybko do pobliskiej zajętej alkowy. Lizzy usłyszała krzyk kogoś, kto tam był. W tym samym czasie następny bitewnik, ten z numerem 417, jeden z tuzina udających, że z nią śpią, podobnie jak Tooie, zaprzestał udawania znudzonego. Chwycił kobietę, której włosy pieścił, kiedy jadła, zrobił dwa kroki i chwycił kobietę, której na imię było Kiala, będącą jego aktualną kochanką. Cztery-Siedemnaście poniósł obie do alkowy.

Osiemdziesiąt-Dziewięć nie wydawał się zareagować, chociaż wypuścił płomień gniewu do innego bitewnika, który się w niego wpatrywał. Obaj wzdrygnęli się, ale nie nastąpiła bliższa konfrontacja, bitewnicy mieli zabronione walk pomiędzy sobą, tak jak rozmawiania. Osiemdziesiąt-Dziewięć obelżywie skinął głową drugiemu i powrócił do oglądania tych kobiet, które nie zdołały się ukryć.

Zauważenie Lizzy, z jej długimi blond włosami, nie zajęło mu dużo czasu. Zobaczyła, jak jego oczy rozszerzyły się, a potem nagle rzucił się w jej stronę tak szybko, że aż stał się niewyraźny. Eapha jęknęła z bólem w głosie.

Lizzy nie miała czasu zareagować. Osiemdziesiąt-Dziewięć chwycił ją, jego szpony były boleśnie blisko rozszarpania jej skóry i pociągnął ją. Nie kłopotał się nawet, żeby zabrać ją do alkowy, zamiast tego cisnął ją w dół na plecy, pośrodku podłogi. Jego oczy lśniły od podniecenia, które wycisnęło z niej dech. Uderzył w nią swoją żądzą, z niezaprzeczalnej potrzeby, żeby rozszerzyć jej nogi i dźgnąć w nią, pompując znów i znów, aż ją rozerwie. Ta moc, to zwierzęca przyjemność uderzyła w nią, była przytłaczająca i w tej pierwszej sekundzie,

kiedy jej płuca starały się oddychać, a jej umysł próbował nad tym zapanować, Lizzy doznała orgazmu.

- Trzymaj się z daleka od Osiemdziesiąt-Dziewięć – ostrzegła ją Eapha. Nawet treserki ostrzegali ją w swój określny sposób. Bitewnicy byli empatami: odczuwali przyjemność swojego partnera w równym stopniu jak swoją własną. Osiemdziesiąt-Dziewięć nie. Dawał przyjemność, właśnie tego doświadczyła, choć on nadal miał na sobie swoje spodnie, ale nie mógł przestać. Zabijał kobiety swoją żądzą. Przez trzy, czy cztery dni gwałcił kobietę, nie zważając na to, czy nadal żyje, czy już nie.

Przyjemność wstrząsnęła jej ciałem, aż zadrżała z podniecenia, kiedy jedną ręką odpinał swoje spodnie, drugą targając jej szatę. Ten orgazm jeszcze nie połączył się ze zgwałceniem Lizzy. Ale nikt nie przybywał, żeby ją uratować, bitewnicy mieli to zabronione, kobiety nie śmiały. Nawet ci, którzy byli w kręgu Eaphy i Tooie. To ten ostatni ocenił, że była już związana, a miała dużo czasu, żeby nad tym pomyśleć. Wszystko, czego doświadczyła w swoim życiu, to dwa pocałunki, jeden dany w tańcu, w chwili rozdrażnienia, a drugi otrzymany w sekrecie, chwilę później. Jeden był mokry i tak przeciętny, że gdyby chłopak, który w nim uczestniczył, nie narzucił się jej, już dawno by o nim zapomniała, zresztą porzucił ją w dokach na pastwę handlarzy niewolników. Drugi pocałunek sprawił, że zakrzywiły jej się palce u stóp, jej suki nabrzmiały, a serce przyspieszyło na samo przypomnienie tego, co było dwa lata wcześniej. Ril kochał ją. Zapomniała o tym, w obliczu tego, jak bardzo nienawidził siebie.

Osiemdziesiąt-Dziewięć ściągnął swoje spodnie z błyskiem radości w oczach i tym, była tego pewna, co byłoby krzykiem triumfu, gdyby tylko miał usta. Teraz zamierzał zgwałcić ją przy wszystkich, lekceważąc jakiegokolwiek zasady, jakich przestrzegali bitewnicy. Więc...

Lizzy odrzuciła go. Wprawdzie nie fizycznie, skoro jej nasiąknięte żądzą ciało ociekało pod nim, a jej nogi były tak szeroko rozrzucone, że aż bolą ją pachwina. Nawet gdyby była wystarczająco silna, rozciągnięta w ten sposób nie mogła się bronić. Odrzuciła go zamiast tego swoim umysłem, wiedząc, że jest empatą. Pomyślała o Rilku i uderzyła w Osiemdziesiąt-Dziewięć wspomnieniami o nim. Ril siedzący na jej ramieniu jako ptak. Ril sylabizujący swoją miłość do niej za pomocą kart z literami. Niosący ją i jej rodzinę na ten klif, gdzie schroniła się Społeczność, zagoniony prawie na śmierć, ale nadal tulący ją tak delikatnie, pozwalający jej jechać ponad jego powłoką, żeby mogła widzieć. Wchodzący do jej pokoju, w nocy, kiedy mała zły sen i siedzący tam, żeby ją pilnować, w jakiś sposób zawsze wiedzący, czego potrzebuje.

Całujący ją na polu po tym, jak właśnie zdradziła go, całując Justina. Przybywający, żeby odnaleźć ją wtedy, kiedy zdecydowała, że nie jest dla niej. Kiedy pozwoliła Justinowi przypuszczać, że może on jest. Justin, który ją zostawił. I Ril który ją kochał, który zawsze ją kochał i w jakiś sposób oznaczył ją jako swoją nawet w tym miejscu, gdzie kobiety znaczyły mniej niż nic, jako uciecha dana bitewnikom.

Osiemdziesiąt-Dziewięć zawahał się, jego obce oczy wpatrywały się w jej, kiedy spoglądała i wmuszała te obrazy w niego. I ten jeden: Nie. Chcę. Ciebie. Osiemdziesiąt-Dziewięć zawył bezgłośnie, a jego pięści uderzyły na podłogę obok niej, rozwalając płytki. W jego oczach było szaleństwo, ale jego erekcja zaczęła więdnąć, nawet wtedy, kiedy jeszcze leżał przyciśnięty do niej i Lizzy wiedziała w tej chwili, że wygrała. Może zabije ją w następnej chwili, ale wygrała.

Zwycięstwo było bolesne. Osiemdziesiąt-Dziewięć zawył i znów położył się na niej, mocno. To bolało, potarł ją od środka ud w górę, aż do krocza, ale był miękki i nie mógł jej spenetrować. Pchnął znów i zszedł z niej, wyrzucając z siebie gwałtownie falę nienawiści. To przepędziło ostatnią odrobinę żądzę, jaką wmusił w Lizzy i sprawiło, że pozostali bitewnicy wysłali falę swojej własnej nienawiści. Kobiety krzyczały, kuląc się, ale Osiemdziesiąt-Dziewięć uniósł się w powietrze, zmieniając się w nieregularny dym i błyskawicę. Zniknął w jednym z szybów, a jego nienawiść podążyła za nim.

Lizzy leżała tam przez chwilę, tylko dysząc. Jej krocze okropnie bolało, tak jak jej głowa, a w tym bólu mogła usłyszeć krzyk Rila. Czuł jej cierpienie i był przerażony. Nie wiedziała, że może być przerażony.

- Wszystko ze mną dobrze – wyszeptala posyłając mu tę myśl. *Wszystko ze mną dobrze. I kocham cię.* Nie miała pojęcia czy usłyszał.

Eapha pochyliła się nad nią.

- Lizzy? – wydyszała. – Wszystko w porządku?

Lizzy spojrzała ze znużeniem i usiadła z przerażającą powolnością. Jej pachwina bolała tak bardzo, że przeraziła ją myśl, jakby się czuła, gdyby nie udało jej się powstrzymać Osiemdziesiąt-Dziewięć. Jej suknia była przeźroczysta i bezużyteczna, ale nadal próbowała owinąć ją dookoła siebie, pragnąc przynajmniej odrobiny skromności.

- Wydaje mi się, że... - zaczęła, nadal oszołomiona i naprawdę pragnąca jedynie skulić się i zasnąć. Już nie czuła Rila. Wszystko co mogła czuć, to zadrapania, a one wydawały się być głębokie.

Drzwi do haremu otwarły się tylko o tuzin stóp od miejsca, gdzie jadły śniadanie. Obie, Eapha i Lizzy wpatrywały się w nie w przerażeniu. Treserki obserwowały. Widziały Osiemdziesiąt-Dziewięć, który rzucił się na nią, a potem uciekł. Lizzy miała nagle przerażającą wizję kobiet zabierających ją i zmieniających w karmiciela, ponieważ Osiemdziesiąt-Dziewięć pokazał zainteresowanie, tak jak obiecywali.

Eapha zapiszczała, wstała na nogi i uciekła do jednej z alkow. Lizzy poczuła, jak jej usta i język stają się suche, ale zmusiła się do wstania. Zastygła, kiedy żeglarze ją porwali. Była bezsilna, kiedy Rashala posłała ją na ołtarz ofiarny, a potem walczyła nie dość mocno, kiedy umieścili ją tutaj. W końcu obroniła się i powstrzymała Osiemdziesiąt-Dziewięć, ale jak to się skończy?

Cztery strażniczki weszły do pokoju, Rashala za nimi. Wpatrywała się w Lizzy zdezorientowana, najwyraźniej zastanawiając się, co się dokładnie wydarzyło. Lizzy cofnęła się, nie chciała tym razem tak po prostu pozwolić się zabrać. Nie znów.

Ramię owinęło się dookoła niej i jakiś nos zaczął węszyć przy jej szyi. Lizzy zeszywniała, nagle pewna, że jej obrona nie była wystarczająca i Osiemdziesiąt-Dziewięć powrócił po tym wszystkim. Pociągnięta z nóg, obrócona dookoła, schowana pod ramię i wniesiona szybko do alkowy, zanim zdołała zrobić coś więcej, niż tylko zaczerpnąć wdech do krzyku, opadła na stopy, zanim puszczono ją. Potem zobaczyła Eaphę. Kobieta stała obok niej z dwoma pozostałymi, które zabrał Cztery-Siedemnaście. Siedząc u jej stóp bitewnik tylko mrugnął do niej, a potem zaczął podskakiwać w górę i w dół na łóżku.

Lizzy spojrziała na Eaphę i zaczęła płakać, zdając sobie sprawę, co zrobiła. Druga kobieta przesunęła się, żeby ją uściskać i również zaczęła płakać.

Rashala zmarszczyła brwi w zamyśleniu, kiedy wyszła z haremu. Nie zdecydowała się, żeby przeszkodzić bitewnikowi podczas spółkowania, zwłaszcza, że był to jeden z tych, którzy nie preferowali żadnej specjalnej kobiety, z tego co ona widziała. Ale nadal było coś dziwnego w tym, co właśnie się wydarzyło.

Po prawej stronie, w dół korytarza, było miejsce do zebrań dla kobiet, które pracowały z bitownikami. Jedna z nich podążyła za Rashalą wychodząc z haremu: Melorta, kierująca treserkami, niewolnica. Rashala wybrała ją na targu dziesięć lat temu i teraz polegała na Melorcie jak na sobie samej. Kobieta zaczynała tak jak Rashala, jako kochanka w haremie i, jak Rashala, Melorta miała naprawdę niesamowity talent do uspokajania bitowników. Co ważniejsze, meldowała o każdej z pozostałych kochanek, które próbowały złamać zasady, nawet zdemaskowała plan kilku uciezek, które mogły się udać.

- Masz jakiegokolwiek teorie na temat tego, co się właśnie stało? – zapytała Rashala.

Melorta potrząsnęła głową, zakolysały się jej włosy, które nosiła splecione w warkocz pokazujący jej status niewolnicy. Wzruszyła ramionami.

- Osiemdziesiąt-Dziewięć stracił zainteresowanie.

- Naprawdę? – zastanawiała się Rashala na głos. Nie widziała samego ataku, została zaalarmowana przez kogoś, kto widział. Kiedy przybyła, było już po wszystkim.

Melorta znów wzruszyła ramionami. Wąski pobliski korytarz dzielił ścianę z haremem i chociaż to pomieszczenie zajmowało cały poziom, co dziesięć stóp stała drabina aż do krat, więc treserki mogły podglądać i obserwować. Regularne wchodzenie do haremu było zbyt niebezpieczne, ponieważ kobietom mógł przyjść do głowy pomysł zaatakowania, obie Rashala i Melorta obawiały się tego. Również utrata dobrej treserki była kosztowna, zupełnie jak bitewnego sylfa, a treserki zmienione w kochanki również nie przetrzymywały za długo.

Wspiąwszy się na najbliższą drabinę spojrziała przez kraty i westchnęła.

- Chciałabym widzieć, co się dzieje w tych cholernych alkowach – ale to zmartwiłoby zbyt wielu bitowników. Wydawali się potrzebować odrobiny prywatności, zupełnie jak inne istoty, więc alkowy pozostały nietknięte. Podglądała przez chwilę przez kraty, w końcu spojrziała na swoją mistrzynię i dodała.

- Odrzuciła go.

Rashala wolno pokiwała głową. Nie widziała tego, ale tak jej się wydawało. Malorta widziała atak, a sądząc po tym jak go opisywała.

- Podporządkowała jego wolę.

Kobieta, która mogła narzucić swoją dominację bitewnikowi i zmusić go, żeby zrobił to, co ona chce, nawet bez rozkazów...? Ta umiejętność wyprowadziła je obie z haremu, ale to nie zawsze działało w ten sposób. Kobieta z takimi umiejętnościami, która nie chciałaby do nich dołączyć, mogła stać się w rzeczywistości poważnym zagrożeniem. Awans Melorty wziął się z odkrycia właśnie takiej kobiety, zanim zdołała zaatakować z armią utworzoną z setek nieświadomych i nieuzbrojonych kobiet. Całe zdarzenie było zawstydzające, a rezultatem tego była czystka w całym haremie. Czterech bitewników, których tam posłano, oszalało po tej rzezi.

- Obserwuj ją – zdecydowała Rashala. Dziewczyna nie odpracowała jeszcze tych pieniędzy, jakie na nią wydano, więc to nadal było marnotrawstwo. Nie mogła również zostać treserką, będąc tak dziwną i obcą. Nigdy nie mogliby jej zaufać.

- Tak, proszę pani – zgodziła się Melorta, znów podglądając przez kratę. Musiały być cały czas czujne. Obie to wiedziały, ale wiedziały również, że mogło być dużo gorzej.

Osiemdziesiąt-Dziewięć przeszedł przez wrota z tego samego powodu co pozostali. Wylęgął się w roju z tysiącem bitewników, a tylko jedną królową. Tylko kilku szczęśliwców zyskiwało jej łaskę, a jeszcze mniej utrzymywało ją na dłużej. Jak pozostali, Osiemdziesiąt-Dziewięć bez efektu usiłował przyciągnąć jej uwagę. Kiedy napotkał wrota, które otworzyły się niedaleko trasy jego patrolu, był już prawie oszalały. Bez wahania dał przyciągnąć się płodnej kobiecie, tylko po to, żeby zobaczyć jak zostaje zamordowana i zostać przywiązany do mężczyzny, którego widywał tylko wtedy, kiedy ten wydawał mu rozkazy: strzeż ulic, strzeż murów, walcz na arenie. Miał setki różnych zadań, dzielonych z pozostałymi bitewnikami, zupełnie tak, jakby był z powrotem w roju.

Tylko tym razem były tu kobiety, setki kobiet, z którymi mógł się łączyć, jakby były królowymi, kobiet, dzięki którym mógł zlagodzić to przerażające napięcie, tę przerażającą potrzebę, tym gorszą, że mógł mieć tylko ich ciała. Z królową łączyła ich więc nie tylko fizyczna, ale też umysłowa, ale nie mógł znaleźć każdego mentalnego powiązania z kobietą, którą pieprzył. Zamiast tego miał mentalne powiązanie z męskim mistrzem, którego nie mógł dotknąć, parodia więzi, która pozostawiła go pustym przez wszystkie te lata. Żeby zapomnieć, zwracał się ku kobietom, pompując w nie, szukał tej ekskluzywnej, naturalnej więzi i stawał się coraz to bardziej rozzłoszczony, kiedy jej nie znajdował, zmuszając się mocniej do zagłębiania

się w niej, aż kobieta pod nim stawała się martwa, lub złamana, ale nadal nie mógł niczego znaleźć.

Teraz już od dawna szalony i nie zdający sobie z tego sprawy, szukał wyjątkowych kobiet, mając nadzieję, że jakieś dziwne fizyczne właściwości będą oznaczać mentalną więź, jakiej pożądał. W końcu znalazł je w żółtowołosej dziewczynie, ale ku jego przerażeniu to nie była więź dla niego. Zamiast tego odepchnęła go swoją więzią z innym. W jej duszy i umyśle wygrawerowany był wzór kogoś innego, niezaprzeczalny dotyk bitewnika pokrywał się z sednem jej kobiecości. Bitewnik, który mógł dotknąć jej umysłu, tak jak i jej ciała, kiedy kochał się z nią, bitewnik, który mógł zrobić z niej swoją królową gdyby warunki były odpowiednie. Osiemdziesiąt-Dziewięć pragnął tego również, pragnął tego tak bardzo, że mógł rozerwać ją na kawałki i wyrwać go z niej, ale miała miejsce tylko na jeden wzór. Bitewnik mógł przyjąć w siebie wiele wzorów, Osiemdziesiąt-Dziewięć miał sześciu mistrzów, jednego, który wydawał mu rozkazy, pięciu, którzy nie mieli języków i mogli tylko go karmić, ale ta dziewczyna mogła być mistrzynią tylko dla jednego.

Jednego! Dlaczego nie mogłaby być jego mistrzynią? Osiemdziesiąt-Dziewięć zapłakał bezdźwięcznie, jego umysł wirował w poczuciu całkowitej nieuczciwości. Pragnął kobiecej mistrzyni, z kobiecym umysłem i kobiecym ciałem. Chciał być z nią powiązany. Ale nie mógł sam przyjąć sobie mistrza. To musiało być zrobione przez kapłanów, a żaden z nich nigdy nie dał mu kobiety. Mógł żyć tysiąc lat i pieprzyć milion kobiet, a nadal nie będzie miał królowej. Teraz mistrzyni innego bitewnika leżała pod nim, mówiła mu nie, a on nie mógł nawet rościć sobie do niej praw.

Osiemdziesiąt-Dziewięć porzucił dziewczynę i uciekł do kanału, który zaprowadził go na powierzchnię, nadając swoją nienawiść i ból jaki czuł. Powinna być jego. Powinna być jego! Obracał się w skręcającym tunelu, skręcał za zakręty i przez wejście, które było szerokie tylko na stopę. Wzniósł się o pięćdziesiąt stóp, od miejsca ukrytego głęboko pod ziemią, przez cały budynek, wychodząc w końcu na dachu.

Wynurzył się na gorące pustynne powietrze, nadal krzycząc bezdźwięcznie. Poniżej niego, na ziemi, rozciągało się Meridal z jego targowiskami i sklepami, z domami kupców z klasy średniej w centrum. Niewolnicy i niższa klasa mieszkała dalej, w slumsach, które utworzyły się w większości na opartych na ziemi budynkach, przed utrzymywanymi przez sylfy polami na północy, które dostarczały tej żywności, jakiej nie dostarczało morze, ale

zasłanianymi częściowo przez unoszące się wyżej latające wyspy, na których mieszkała arystokracja. Pod nimi były powietrzne sylfy, które z mozołem utrzymywały wyspy unoszące się w górze. Wodne i ziemne sylfy uprawiały roślinność, która nie wyrosłaby w innym przypadku w tym suchym, gorącym klimacie.

Osiemdziesiąt-Dziewięć zignorował te okoliczności, tak jak ignorował ogromny mur odcinający port od reszty miasta, powstrzymujący obcokrajowców od chodzenia po świętych piaskach cesarza. Nie, żeby cesarz sam chodził po piaskach, zamiast tego przebywał cały czas na swojej latającej wyspie, poza chwilami, kiedy bawił w colloseum.

To tam skierował się Osiemdziesiąt-Dziewięć. Pędził w stronę colloseum, jego nienawiść rozpalila złość setek innych bitowników strzegących przestrzegania wielu praw Meridalu. Ci co zignorowali przepisy cesarza, byli zabierani tutaj, na arenę, rzućni bez procesu na piasek, żeby bronić się przed bitownikami. Dobry wojownik mógł zostać oszczędzony jako kaprys cesarza i mógł żyć jako niewolnik, lub może nawet jako gladiator walczący z innymi ludźmi w otwartych walkach. Ale żaden z nich nie przetrwał walki przeciwko Osiemdziesiąt-Dziewięć, nigdy wcześniej i na pewno nie dzisiaj.

Wtłoczył się w dół następnego tunelu na dach budynku obok areny, na stajni poniżej. Smród przerażonych ludzi dobiegający stamtąd tylko karmił jego gniew. Pozwolono, żeby należał do mężczyzn takich jak oni, a nie do kobiety. Żadna kobieta poza treserkami nie była dopuszczana do stajni przy arenie, a żadna z nich nigdy nie zeszła na piasek, gdzie ci mężczyźni mogli zginąć. I ginęli. Osiemdziesiąt-Dziewięć w tym miesiącu odpracował swój czas na arenie. Spodziewał się, że spędzi wolny czas w haremie, żeby uspokoić się i przygotować do następnych walk. To przede wszystkim w tym był dobry. Od lat nie wypełniał obowiązku patrolowania ulic, odkąd stał się ulubieńcem cesarza. Osiemdziesiąt-Dziewięć zamierzał później wrócić do haremu, ale teraz chciał walczyć i zabijać.

Wylądował na kamiennej podłodze, mężczyzna, który wypuszczał do walki różnych wojowników, wpatrywał się z zażenowaniem jak zmieniał postać. Nie stał się istotą, jaką był w haremie. Na arenę miał wyjątkową postać, jak każdy bitownik. Powiększył się, żeby się takim stać, jego szczęka otwarła się z rykiem, który mógł być słyszany przez okrzyki i rozległ się ponad nimi. Usłyszał jak okrzyki cichną na chwilę, a potem wzrastają nawet głośniejsze. Arena była jedynym miejscem, gdzie Osiemdziesiąt-Dziewięć mógł wydać z siebie jakiegokolwiek rodzaj głosu, a cały tłum rozpoznał go.

Ignorując treserów jak i pozostałych bitewników, którzy warczeli i kłapali na niego zębami, Osiemdziesiąt-Dziewięć odwrócił się i popędził na podjazd prowadzący na arenę. Jego ciężkie nogi gwałtownie uderzały o ziemię. Przeszedł szybko, ledwie prowadząc swoje cielsko przez szerokie przejście, ale zastał bramę opuszczoną. Miało to zapobiec ucieczkom zawodników i umieraniu w miejscach niewidocznych dla cesarza. Osiemdziesiąt-Dziewięć uderzył w nią ramionami. Metal zadźwięczał dźwiękiem zbyt podobnym do płaczu kobiety.

Szarżował na arenę, rozkopując piasek dookoła siebie. Na otaczających arenę trybunach tysiące widzów zerwało się na nogi krzyżąc, podczas gdy ich cesarz pochylił się do tyłu opierając się o swoje siedzenie.

Osiemdziesiąt-Dziewięć zignorował ich wszystkich, rycząc znów. Cały był skupiony na dwóch mężczyznach kucających pośrodku areny, wpatrujących się w niego z przerażeniem. Wcześniej było ich sześciu, zostali zabici przez bitewnika w niezgrabnej, podobnej do ogra postaci, z numerem 200 widocznym wyraźnie na jego piersi. Dwieście patrzył zdecydowanie na Osiemdziesiąt-Dziewięć, był ostrożny. Postać przybierana na arenę przez Dwieście była nudna, był ledwie dwukrotnie większy od ludzi, których zabił. Osiemdziesiąt-Dziewięć był tak wielki, jak tylko bitewnik mógł się stać, a jego gniew był nieograniczony. Nawet w zwyczajny dzień Dwieście nie podzielał na arenie tego gniewu, a dzisiaj Osiemdziesiąt-Dziewięć czuł się oszalały.

Osiemdziesiąt-Dziewięć ruszył naprzód, obniżył głowę, otworzył szczęki. Ludzie wrzasnęli i próbowali uciekać, ale Dwieście był wystarczająco szybki, żeby zagrozić im drogę. Osiemdziesiąt-Dziewięć zgarnął jednego szczękami i przegryzł potrząsając głową. Połowa niefortunnego kryminalisty przeleciała przez arenę, a druga połowa upadła na piasek. Tłum zawył z aprobatą.

Drugi człowiek, lkając z przerażenia, uciekł na rampę, przez którą wszedł Osiemdziesiąt-Dziewięć. Osiemdziesiąt-Dziewięć machnął ogonem, posyłając go w powietrze. Dookoła okrągłych ścian areny były wolno stojące ściany. Więzień roztrzaskał się o jedną z nich, zanim uderzył o ziemię, każda kość w jego ciele zmieniła się w niekształtną miazgę.

To nie wystarczyło. Osiemdziesiąt-Dziewięć odwrócił się warcząc głośno, kiedy spojrzał na Dwieście. Drugi bitewnik przykucnął, a jego ostrzegawczy warkot rozniósł się echem w przedłużającej się ciszy. W umyśle Osiemdziesiąt-Dziewięć Dwieście był słaby i powalony na plecy, ale nie był głupi. Inny bitewnik mógł zmienić postać lub uderzyć energią, Osiemdziesiąt-

Dziewięć ekranował się. Walcząc przeciwko prostemu człowiekowi nie martwił się, ale przeciwko bitewnikowi...? Minęło wiele czasu, kiedy ostatnio miał taką sposobność.

Obniżył głowę, wysunął się do przodu, jego stopy zatrząsły ziemią, a jego syk był niemalże śmiechem. Dwieście przykucnął niżej, rozłożył szeroko ramiona, gotowy do ruchu. Widownia była bardzo cicho, ale teraz zaczęły rozlegać się szepty. Bitownicy nie wchodzili na arenę z innymi bitownikami. Ich rozkazy były jasne, nie mogą walczyć na ulicach i w haremie. Nikt dokładnie nie powiedział, że nie można tutaj walczyć pomiędzy sobą. Normalnie Osiemdziesiąt-Dziewięć nie byłby wpuszczony na piasek z innym bitownikiem. Byli bitownicy, którzy walczyli w zespole, ale nie przeciwko sobie. Byli tacy, którzy udawali tylko, że walczą, w ostrożnie wyreżyserowanym tańcu. Osiemdziesiąt-Dziewięć nigdy nie był jednym z nich. Kiedy zabijał, to było na poważnie.

Zabije Dwieście, zdecydował, rozerwie go na strzępy i będzie obserwował, jak jego energia wsiąka z piasek. Może wytarza się w nim, lub sprawdzi, czy może wypić tę energię. Może to uspokoi ten krzyk w nim. Nie może zabić nieznanego bitownika, który związał ze sobą blondynkę, ale może zabić tego. Jego warkot narastał do bolesnego poziomu, kiedy przygotowywał się do wypadu.

- Przestań.

Obaj bitownicy zatrzymali się. Każdy miał pół tuzina mistrzów, ale tylko jednego, który miał język, żeby wydawać im rozkazy, ale ich rozkazy były wyraźne. Przede wszystkim mają słuchać cesarza.

Żaden z nich nie chciał, ale uklonili się nisko, do ziemi, mężczyźni w pozłacanej łoży górującej nad areną. Tuzin bitowników osłaniało go, a uzdrowicielski sylf stał obok, pod postacią kobiety piękniejszej, niż mogłaby być jakakolwiek ludzka kobieta. Cesarz był odziany w jedwab, spoglądał w dół na nich, rozbawiony, ale z miną wyrażającą znudzenie.

- Nasz Osiemdziesiąt-Dziewięć wygląda na nieszczęśliwego – powiedział, jego głos był cichy, ale akustyka fantastyczna. – Jesteśmy niezadowoleni – uniósł dłoń. – Dajcie mu więcej zabawek do zabawy, a Dwieście niech wróci do twojej zagrody. Niech Osiemdziesiąt-Dziewięć ma swoje zajęcie, jeżeli tak mu go brakowało.

Osiemdziesiąt-Dziewięć opuścił głowę i ryknął, wzbudzając okrzyki wśród tłumu. Dwieście odwrócił się i poszedł w stronę rampy, wyraźnie nie mając nic przeciwko odesłaniu

do haremu. Tylko Osiemdziesiąt-Dziewięć nie sprzeciwiał się, że zostanie. Zawsze byli więźniowie do zabicia. Może w końcu mu wystarczy.

Zmusili pierwsze spanikowane ofiary do wejścia na arenę, jeszcze kiedy Dwieście zniknął w dole rampy. Osiemdziesiąt-Dziewięć odwrócił się do nich sycząc, nie czekał aż miną wewnętrzną ścianę, zanim zaatakował.

Rozdział 13

Ril wiedział, że byli blisko, zanim statek zadokował przy nabrzeżu Meridal. To było miasto, do którego sprowadzono Lizzy, Ril był pewien. Powiedział to Leonowi, który już wcześniej miał swoje podejrzenia, widząc jak Ril stał na dziobie statku i bez przerwy wpatrywał się przed siebie. Teraz każdej nocy śnił o Lizzy, o podążaniu do niej. Nie rozmawiali wiele. Wiedział, że była pod ziemią i że była wystarczająco bezpieczna. W tych snach, często krótkotrwałych, po prostu siedzieli razem, lub spacerowali. Niestety, ostatnia wizja, jaką Ril miał o jej bezpieczeństwie, sprawiła, że była trudniejsza do osiągnięcia. Rozczarowany tym, co to może oznaczać, Leon w końcu zdecydował, że to dobry znak, że teraz mają mniejszy kontakt.

Przybywszy do Meridal, trójka ratowników rozejrzała się dookoła. Leon i Ril- żeby zorientować się w topografii terenu, a Justyn- ponieważ było tu tak niezwykle. Leon nie wiedział za wiele o tym miejscu, chociaż był pewien, że od kiedy stało się to częścią jego pracy i tak wiedział więcej, niż ktokolwiek w ich ojczyźnie. Przypomnił sobie na przykład, że społeczeństwo Meridal było jeszcze bardziej klasowe niż w Eferem. Korzystano z niewolników, natomiast cudzoziemców uważano za coś jeszcze gorszego od niewolników, nieczystego. Meridal nie dopuszczało cudzoziemców do serca ich miasta, dopuszczano ich tylko do zewnętrznych dzielnic. Leon wiedział, że będą musieli iść dalej.

Teraz stali w dolnej części *Południowej Tancerki*, obok trapu prowadzącego na molo, które miało dziesięć stóp⁷ szerokości i huštało się w górę i w dół zalewane przez wodę i nawet przez nią wyglądało na kamienne. Wychodziło z brzegu prawie na milę, a nie było jedynym. Widać było setki mol wbijających się w wodę, na tyle odległych, żeby pozwolić na przycumowanie statkom o największym zanurzeniu. Nie było żadnej chroniącej je zatoki, więc Leon spodziewał się, że powietrzne i wodne sylfy zapewniały statkom bezpieczeństwo. Para Dubh było słynne na północnym kontynencie Arador ze swojego ogromnego portu. Przy tym miejscu było jednak nie warte wzmianki.

- Jest ogromny – sapnął Justin rozglądając się dookoła szeroko otwartymi oczami. Z przodu, gdzie wszystkie mola łączyły się z ziemią, rozciągało się miasto, wspinając się na zbocza, było większe niż jakiegokolwiek miasto, jakie Leon kiedykolwiek widział. Ponad nim

⁷ ok. 3,05 m

unosily się ogromne okrągłe płyty, przy ich brzegu widać było drzewa i budynki. Za nimi rozciągała się biała pustynia.

Było niesamowicie gorąco, więc oddychanie sprawiało niemalże ból. Mężczyźni rozebrali się do podkoszulków, Leon i Justin z desperacji, a Ril żeby potwierdzić przebranie. Nie było to idealne, w żadnym razie. Leon miał nadzieję, że nikt nie zauważy, że bitewnik nie poci się.

- Jest ogromne – zgodził się Leon, zwątpienie przeszło przez niego. Sam nie miałby szans odnaleźć córki. Ale miał Rila.

Bitewnik zignorował jego spojrzenie, wpatrując się w miasto przed nimi. Ledwie odczekał na tyle, żeby pozostała dwójka zarzuciła na ramiona bagaże podróżne i ruszył, przepychając się przez tłum kłębiący się ma molo. Leon i Justin podążyli za nim bojąc się, że go zgubią.

Na molu roiło się od ludzi i zwierząt, nawet tak głęboko w morzu. I było głośno. Ryki setek różnych rodzajów zwierząt górowały nad wszystkim, a do tego unosił się straszliwy smród. Za nimi *Południowa Tancerka* prawie odbijała do następnej części podróży, wysadziła już więcej niż połowę pasażerów. Większa grupa kłęła, ponieważ byli zmuszeni do przepychania się pomiędzy klasą niższą, dla nich to było brutalne przebudzenie. Leon wiedział, że tutaj niższą klasą był każdy, kto nie był Meridalczykiem. Lub kto był niewolnikiem.

Spojrzał znów na statek. *Południowa Tancerka* powróci tutaj jutro rano, w drodze powrotnej. Jeżeli wydostaną Lizzy na czas, będą mogli wrócić do Para Dubh. Jeżeli nie, będzie musiał znaleźć inny statek. Miał nadzieję, że uda im się zdążyć. Mieli dużo szczęścia z *Południową Tancerką*. Nie było gwarancji, że w najbliższym czasie będzie płynął jakiś inny statek, a nawet jeżeli tak będzie, to może nie chcieć zabrać na pokład niewolnicy. Leon nie miał pojęcia, jak miejscowi zareagują na to, co planuje i nie miał ochoty dowiedzieć się. Jeżeli będą musieli, powędrują wybrzeżem do następnego miasta, żeby tam znaleźć transport, ale najlepszym rozwiązaniem byłoby wrócić tak, jak przyплыли.

Ril kierował się na nabrzeże, prowadząc ich. Zanim dotarli do końca, minęło dwadzieścia minut. Wtedy bitewnik zaczął się przepychać przez plac targowy. Chociaż nie znali miasta, Ril skupił się na Lizzy.

Pocąc się pod swoimi ubraniami i uchwytami toreb podróżnych zrobionymi z grubego materiału, Leon podążał za Rilem trzymając się tylko kilka stóp z tyłu. Justin trzymał się za nimi, trzęsąc się nieco na nogach przyzwyczajonych do morza.

- Czy on wie, jak daleko jest Lizzy? – zapytał podniecony chłopak.

Leon potrząsnął głową. Była blisko, jedynie tego mógł się domyśleć. Coraz bliżej. Ril wydawał się węszyć w powietrzu, prowadząc ich przez boczne uliczki pomiędzy zniszczonymi budynkami. Ludzie opaleni na ciemno od słońca przechodzili we wszystkich kierunkach, ale było tu wystarczająco wiele bladokórych ludzi, więc się nie wyróżniali.

Mimo, że wszyscy Meridalczyki podobno byli zamożni, to miasto było wyraźnie biedne, ludzie wyraźnie cierpieli. Leon minął pół tuzina żebraków, kilkoro kalek, widać było oznaki chorób. Wszędzie były śmieci, odchody zwierząt, a nawet ludzi. Wyspa unosząca się powyżej, rzuciła cień na połowę miasta, sprawiając, że temperatura była bardziej znośna, ale równocześnie zabijając wszystko, co mogło tu wyrosnąć. Było tu bogactwo, Leon je widział, ale poza zasięgiem. Na szczęście Lizzy nie była poza zasięgiem.

Ril z końca zawahał się przy rogu jednej z uliczek, pozwalając Leonowi dogonić się.

- Bitewnik – wymamrotał pod nosem odwracając się.

Leon popatrzył naprzód. Za rogiem, nie poruszając się, stała wysoka postać ubrana w spodenki. Najwyraźniej męska, miała oliwkowo zieloną skórę i stała na tylnych nogach, które były podobne do psich, odchyłały się do tyłu w kolanach, a przy biodrach znów do przodu. Jego ręce i stopy miały pazury, chociaż jego głowa była bardziej ludzka w kształcie, nie miał ust, ale za to absurdalnie długi podbródek. Na jego piersi był wytatuowany lub wypalony numer 640. Obserwował tłum i tych, którzy go mijali, szybko i posłusznie. Niedaleko niego nie było żadnych żebraków.

Rilowi wyraźnie nie spodobał się jego widok. Leon wiedział, że bitewnicy zazwyczaj nie ukrywają przed sobą swojej obecności. Sprawiali, że ich obecność była widoczna dla obcych samców, żeby w ten sposób chronić rój, pokazać swoją siłę i liczebność, jako rodzaj pogroźki. Wszystkie zagrażające sylfy były zabijane lub wciągane do roju po śmierci ich królowej. Ich wzory zmieniano siłą, tak jak Mace i Heyou zrobili Rilowi dla Solie. Ale Ril nie mógł tego tutaj zrobić. Bitewnicy słuchali swoich mistrzów, a mężczyźni z Meridal na pewno mieli rozkazy co do postępowania z najeźdźcami. Leon został ostrzeżony jeszcze na pokładzie *Południowej*

tancerki, że żaden obcy sylf nie był tutaj dopuszczany. Tylko tym, które pracowały na statkach, można było przybywać w dokach, ale nie mogły wchodzić do miasta. Takie naruszenie było karane śmiercią każdej istoty, która złamała to prawo.

To było najwyraźniej najgorsze, co mogło się stać. Leon skrzywił się, myśląc o Ril uwięzionym i wciągniętym, stojącym na rogu jak inni bitewnicy, strzegącym miasta przez wieczność. Ale to najpewniej nie wydarzyłoby się. Uszkodzenia jakie miał, zabiłyby go. Miał bardzo mało energii, żeby osłaniać się w prawdziwej walce.

Jeżeli ukrywanie się martwiło go, Ril nie okazał tego. Minął o kilka stóp innego bitewnika, przechodząc zatłoczoną ulicą. Sylf spojrzął na nich, ale chwilę później odwrócił spojrzenie. Leon postarał się nie dopuścić do siebie uczucia triumfu czy ulgi, wiedząc, że bitewnik mógłby wyczuć to tak łatwo, jak usłyszeć słowa i podążyć za nim. Justin pospieszył się kilka stóp za nimi, drżąc w przerażeniu, ale to wcale nie było takie dziwaczne. Większość ludzi mijających bitewnika czuło to samo.

- Czy to był bitewnik? – wyszeptał młody do ucha Leona, kiedy skręcili za inny róg, droga prowadziła pod wzgórze, chociaż nie pod takim ostrym kątem, jak w Para Dubh.

- Tak – powiedział Leon. – Cicho teraz.

- Ale nie zorientował się, że Ril...

Leon uderzył go mocno łokciem w bok.

- Powiedziałem: bądź cicho!

Chłopak skrzywił się, ale powstrzymał język. Nie miał żadnego pojęcia o intrygach i po raz pierwszy Leon naprawdę pożałował, że go zabrał. Jeżeli Justin nie będzie uważał, to ich wszystkich przez niego zabiją.

- Patrz – dodał Leon mówiąc szeptem, kiedy obeszli dziwaczny kształt z garbem na plecach, twarzą jak krowa i wyolbrzymionymi wargami. Leon nie mógł odgadnąć, jakim był rodzajem sylfa, ani z jakiego powodu przyjął taką postać. Justin wpatrywał się, jakby obawiał się, że to następny bitewnik.

- Kiedy pójdziemy wydostać Lizzy, chcę, żebyś został przy naszych bagażach.

Młody patrzył się na niego z otwartą buzią.

- Co? Nie! Chcę iść z tobą! – jego głos stawał się coraz głośniejszy i piszczący. – Muszę!

- Cicho! - Syknął Leon. – Chcesz, żeby nas złapali?

Justin potrząsnął głową, przestraszony, ale również zdesperowany.

- Nie! Nie możesz zostawić mnie z tyłu! Lizzy będzie moją żoną!

Idący z przodu Ril zatrzymał się i obejrzał się, niedowierzając. Zazwyczaj Leon nie odczuwał zbyt wielu emocji dochodzących od niego, chociaż jako jego mistrz mógł. Ril nie lubił się dzielić, a Leon nie wtrącał się. Ale teraz poczuł szok i zaskoczenie dobiegające od bitewnika, a ponad tym okropny, wprawiający w zakłopotanie ból.

- Ty? – zdołał powiedzieć bitewnik. – Poślubić Lizzy?

Justin był blady, ale zmusił się do uniesienia podbródka.

- Tak. Tak szybko, jak tylko dotrzemy do domu.

Ril wpatrywał się w chłopaka, nagle jego emocje zniknęły, wszystkie. Leon poczuł pustkę tak całkowitą, jakby bitewnik umarł.

- Dobrze – odwrócił się i ruszył nie szybciej niż wcześniej, nawet jeżeli kilka sekund później minął następnego bitewnika. Nie obejrzał się za siebie.

Leon wpatrywał się w plecy Rila, zastanawiając się, czy nie przeoczył czegoś ważnego. Coś tutaj było, coś, co powinien zauważyć... coś czego nie mógł zobaczyć, lub nie chciał zobaczyć, ale było blisko, coś jak...

Justin szarpnął jego koszulę.

- Idę z tobą – zażądał młody. – Nie dbam o to, co powiesz. Zamierzam uratować Lizzy.

- Dobrze – ustąpił Leon, powtarzając za Rilem. Z wyrazu twarzy chłopaka wnioskował, że ten podąży za nim, nawet jeżeli będzie próbował zostawić go z tyłu. Jeżeli tak, to będzie bezpieczniej trzymać go przy sobie. – Ale nie rób niczego, zanim ci nie powiem.

Podczas kiedy Justin uśmiechał się promiennie słysząc to, Leon marzył, żeby poczuć się trochę bardziej pewnym siebie.

Mieli ledwie dzień, żeby odnaleźć i ocalić jego córkę, a nie mieli pojęcia, jak i gdzie była przetrzymywana. Na razie znaleźli miasto, w którym była przetrzymywana i szli tak szybko, jak Ril prowadził ich do niej. To było dużo więcej, niż Leon się spodziewał w ciągu kilku pierwszych godzin po odkryciu jej porwania.

Ril szedł prosto przez ulicę, omijając ludzi i śmieci, jego ramiona odprężyły się, jakby szedł przez rynek w swoim mieście. Ale kiedy doprowadził ich za następny róg, zatrzymał się. Przed nimi wyrastał mur, wysoki na pięćdziesiąt stóp⁸ czy może więcej, wykonany ze zwykłych kamieni. U podstawy muru, przez bramę przechodzili mężczyźni i kilka dziwnych kobiet, ciemno opalonych, w luźnych miejscowych ubraniach. Wielu z mężczyzn miało tatuaże na piersi i ramionach. Na straży stał bitewnik obserwując każdego, kto go mijal.

Leon znieruchomiał, zaklął pod nosem. Nikt nie zwracał teraz na nich uwagi, ale nie miał wątpliwości, że to zmieni się natychmiast, jeżeli będą próbowali przejść przez bramę. Tutaj nawet próba wejścia przez cudzoziemca była karana śmiercią. Najwyraźniej Lizzy tam weszła, pomyślał Leon gorzko. Ewidentnie co do niewolników mieli inne zasady.

Ril wpatrywał się w bramę przez długą chwilę, a potem spojrzał nad ramieniem na Leona. Odwracając się poszedł w lewo, wzdłuż muru. Leon bez słowa podążył za nim, Justin również.

Bitewnik prowadził ich przez więcej niż milę, z daleka od zatłoczonego głównego wejścia, do kraty, która była zamknięta, ale niestrzeżona. Po drugiej stronie widać było pusty park, ozdobiony kamieniami i piaskiem w różnych kolorach, kilka rozmieszczonych roślin pustynnych wyrastało pośrodku każdej aranżacji. Byłby piękny, gdyby rośliny nie były martwe od braku słońca i gdyby park nie był usiany śmieciami. Ril przeszedł obok.

Justin położył rękę na jednym z prętów i pchnął. Krata była solidna.

- Możesz ją złamać? – zapytał.

Bitewnik rzucił mu zjadliwe spojrzenie.

- I sprowadzić nam na kark tysiąc bitewników? Jesteś głupi? – w chwili kiedy Justin zaczerwił się, Ril podszedł do bramy i wszedł nią.

⁸ ok. 15, 20 metra

Jego nogi ledwie pasowały, nie było sposobu, żeby zmieścić głowę i ramiona przez pręty, nawet małe dziecko miałoby z tym problemy. Pomimo tego Ril przycisnął ramiona do przerwy między prętami i chwilę później nieznacznie się zmienił. Jego ramiona przeszły pierwsze, potem jego biodra, jego ubranie i ciało zafalowało, kiedy przeciskał się na drugą stronę. Leon zobaczył ból na twarzy sylfa, ale Ril nie przestawał. Jego uwarz unosiła się, jakby próbował utrzymać się na powierzchni wody. Ril przepchnął twarz, wzdychając raz ciężko, kiedy był już po drugiej stronie, zmieniając głowę do normalnej postaci, podobnie jak pierś. Na samym końcu przeciągnął drugą nogę i stanął po drugiej stronie.

- Jej – sapnął Justin.

Ril nie odpowiedział. Stał tam przez chwilę, tylko oddychając, a potem zatoczył się w przód.

Stojąc obok wrót, Leon ledwie był w stanie widzieć mechanizm otwierający, koła zamachowe i łańcuch, które obracało kilku mężczyzn. Ril chwycił je i zaczął ciągnąć. Łańcuch napiął się, kiedy sylf ciągnął go z całej siły, owijając się wokół kół i unosząc kratę na drżących zawiasach.

- Pospiesz się – ostrzegł Leon, mając nadzieję, że nikt nie usłyszy tego okropnego pisku. Był przerażająco głośny, rozlegał się pośród ciszy popołudnia.

Kiedy wrota były wystarczająco otwarte, Leon opadł na brzuch i przycisnął się pod spodem, uważając na ostre końce tuż nad jego plecami. Kiedy był po drugiej stronie, skoczył na równe nogi i odwrócił się do Justina... który właśnie wzdrygnął się patrząc się z przestraszaniem na sztaby poniżej i martwy park za nimi. Leon nie czekał.

- Przechodzisz teraz, lub zostawiamy cię tutaj – ostrzegł. Nie było czasu czekać.

Młody przelknął gwałtownie i gramolił się przez bramę, która była teraz na tyle wysoko, że mógł się prawie przeczołgać. Ril zawrócił koła zamachowe, pozwalając im odkręcić się z głośnym zgrzytem i dudnieniem. Pospieszył do nich, cofając się, co było samo w sobie świetnym kamuflażem. Gdyby stał sam przy kole mogliby zorientować się, że podniósł bramę sam, czego nie mógł dokonać żaden człowiek.

Strażnicy i tak uderzyli najpierw w niego, ale jak potem zorientował się Leon, to uratowało mu życie, a także życie jego i Justina, skoro atakujący nie zabili ich od razu, a stałoby

się to tak, gdyby wiedzieli, czym jest Ril. Pierwsza zielona postać, która uderzyła, trafiła bitewnika w tył głowy. Ramiona Rila uniosły się, jakby próbował poddać się, poleciał na przód, upadając nieprzytomny na ziemię, na tyle mocno, że gdyby był człowiekiem wypadłyby mu wszystkie zęby. Dwudziestu innych bitewników wylądowało wezwanych, Leon nie wiedział, czy przez zgrzyt bramy, głuchy odgłos jej zamykania, czy bicie serc trzech ludzi, nie będących Meridalczykami, znajdujących się w miejscu, do którego nie należeli. Nie miał czasu pomyśleć o tym, ponieważ chwycili go za gardło i uderzyli nim o ziemię. Usłyszał krzyzącego Justina, a potem obaj leżeli obok Rila i to było ostatnie, co zobaczył.

Rozdział 14

Piasek pod ich stopami był drobny i piaszczysty, jasnobrazowy, w niektórych miejscach ciemniał aż do czerni. Arena była owalnego kształtu i na tyle duża, że mężczyzna musiałby zrobić tysiąc kroków, żeby przejść ją w najwęższym miejscu. Na krańcach oddzielało ją od głównego muru pięć grubych na stopę ogrodzeń, sięgających przynajmniej na wysokość dwóch mężczyzn, wznosiły się na dwadzieścia stóp w powietrze, ciągnąc się z drugiej strony na trzydzieści, pozornie dając komuś osłonę. Główne ściany były wysokie na pięćdziesiąt stóp, ustawione warstwami siedzenia pięły się w górę tuzinami rzędów ze trzech stron. Wszystkie siedzenia na arenie były wypełnione, widzowie byli rozbawieni. Cztery wrota prowadziły do kompleksu pod spodem.

Leon zauważył to wszystko, kiedy był prowadzony z pozostałymi na rampę z więzienia i wyprowadzony przez jedną z tych bram. Jego nadgarstki były skute łańcuchami, a mężczyźni, którzy ich strzegli, byli uzbrojeni. Leon patrzył na Rila. Bitewnik również był skuty, jego oczy zwężyły się.

Poczekaj, pomyślał Leon, tak mocno jak tylko mógł. Poczekaj.

W więziennej strefie, w której się ocknęli, byli bitewnicy. Powiedzieli im tam, że ich wyrokiem jest walczyć z bitewnikami o swoje życie na arenie. Ponad ich głowami również unosili się bitewnicy, strzegąc ozdobionej łoży na jednym końcu owalu. Przeciwna strona areny była pusta, najpewniej po to, żeby nikt nie mógł patrzeć na wysoko postawioną osobę w łoży.

Jakkolwiek było, po nich spodziewano się, że będą walczyć, Leon i jego towarzysze musieli poczekać na rozkucie, żeby uciec. Może mogliby uciec przez mur, po przeciwnej stronie niż łoża, lub może przez nią. Może przez jedno z wrót. Może jeżeli wygrają, zostanie im darowana wolność, chociaż Leon wątpił w to. Nie miał wielkich oczekiwań co do ich losu, ale nie zamierzał się poddawać. Miał nadzieję.

- Co się dzieje? – zalkał Justin za nimi. – Dlaczego oni tak krzyczą? – Spojrzał na strażników. – Dlaczego to robicie?

Strażnicy nie odpowiedzieli, a Leon nie mógł. Jeszcze nie. Z kimkolwiek będą walczyć, muszą być gotowi. Raczej on i Ril muszą być gotowi. Leon nie spodziewał się żadnej pomocy od Justina. Strażnicy poprowadzili ich na środek areny, prawie wlekąc Justina. Ril szedł

swobodnie obok Leona, rozglądając się spokojnie dookoła. Spojrzał na dół, na nasiąknięty krwią piasek i z powrotem na swojego mistrza.

Uciekaj, kiedy tylko będziesz miał szansę, przesłał mu. Lizzy jest na południe stąd, może ze trzy mile, pod ziemią.

Leon spojrział na swojego bitewnika i potrząsnął głową.

Zrób to. Posłuchaj mnie chociaż raz. Uciekaj i ocal Lizzy.

Leon znów potrząsnął głową. Wszyscy muszą się stąd wydostać. Leon walczył mieczem odkąd skończył piętnaście lat i wiedział, że Ril, nawet osłabiony, może pokonać każdą grupę uzbrojonych mężczyzn. Mogli to przetrwać.

Leon, tłumaczył Ril, to miejsce pachnie bitewnikami. To właśnie z nimi mamy walczyć.

Na środku areny strażnicy rozkuli ich z łańcuchów i pozostawili tam trójkę więźniów, odchodząc rzucili trzy miecze. Justin gorączkowo chwycił jeden z nich, rozglądając się przestraszony, kiedy tłum zaczął skandować.

- Osiemdziesiąt-dziewięć! Osiemdziesiąt-dziewięć! Osiemdziesiąt-dziewięć!

Leon spojrział na Rila ignorując tłum

- Co?

Postaram się go rozproszyć. Ocal Lizzy. Proszę.

Skandowanie wzrosło do ryku, tłum zerwał się na nogi i krzychał. Naprzeciwko nich, na dłuższej części owalu, uniosła się brama podobna to tej, przez którą weszli. Justin spojrział i zaczął uciekać krzyżąc, żeby schronić się za jedną z wolno stojących ścian. Leon i Ril stali sami.

Horror wszedł przez wrota, ziemia drżała, kiedy szedł. Był w niemalże absurdalnym kolorze jasnoniebieskim, nie miał włosów i skóry, a czubek jego głowy był prawie tak wysoki, jak ściany areny. Stał na czterech nogach, masywne szpony wbijały się w ziemię, jego ciało było okrągłe i nabrzmiące, a jego głowa unosiła się w górę na cienkiej i długiej szyi. Jego długi ogon uderzał w ziemię. Oczy bestii były malutkie, a jego pysk wypełniony był taką ilością kłów, że szczęki nie mogły się zamknąć. Wszedł na arenę, obrócił się, jego ogon chłostał jak biczem.

Co to za chory żart? Zastanawiał się Leon. Czy on naprawdę spodziewają się, że będą walczyć mieczami z tym czymś?

Ignorując miecze pozostawione na piasku, Ril ruszył w stronę potężnej istoty. Leon zaklął i sięgnął po ostrza, chwytając w każdą rękę jedno i ruszył za swoim bitewnikiem.

Ril poruszał się przez arenę tak szybko, że wrzask tłumu zmienił się w zdumienie. Niebieskie monstrum zawarczało i odwróciło się do niego twarzą. Kłapnęło zamasyście szczęką, ale Ril zszedł mu z drogi, przeturlał się i chwycił za ogon potwora. Gwałtownie wyrzucony do tyłu, trzasnął w jedną z pojedynczych ścian tak mocno, że dookoła niego poleciał gruz.

- Ril! – wrzasnął Leon. Co on sobie myśli?

Potwór ryknął i zaatakował, otwierając szeroko pysk. Ignorując Leona ruszył na Rila, najwyraźniej chcąc dokończyć to, co zaczął, więc Leon zaklął i pobiegł w stronę monstrum. Ril chciał, żeby pobiegł na rampę i spróbował uciec, ale Leon nie mógł go tak zostawić. Nawet dla Lizzy nie mógł go opuścić. Nie w ten sposób.

Na wpół pogrzebany w murze, Ril zakaszlał z bólu i obserwował Leona okrążającego wielkiego bitewnika. Idiota! Dlaczego nigdy nie słucha? Gdyby świat był sprawiedliwy, to mistrzowie słuchaliby rozkazów swoich bitewników.

Krzywiąc się, wydostał się od ściany, opadając na jedno kolano na piasek. Tłum myślał, że zginął od uderzenia, więc zaryczał widząc, że się porusza. Tak samo jak ogromny bitewnik. Rozmiar i postać ograniczały jego szybkość. Ril skoczył na nogi i odbiegł od potwora i Leona. Nadal ukrywał swoją energię. Przeciwnik nie zorientował się, czym jest. Dzięki czemu, nawet jeżeli nie starczy mu energii na jedno prawdziwie mocne uderzenie, potwór stworzy mu jakąś dogodną szansę. Monstrualny sylf był fiutem, przyzwyczajonym do łatwych zwycięstw.

Odwrócił się za nim na tyle szybko, żeby mógłby złapać uciekającego człowieka. Poruszył się, żeby złapać go swoją paszczą. Ril był szybszy, chociaż poślizgnął się i pysk zamknął się tuż za nim. Potem Leon, który nie jest na tyle szybki, żeby uciec potworowi, wbiegł pod niego i ciał go w udo.

Bitewnik wrzasnął. Jego prawa noga wykrzywiła się, ścięgna przerwały się. Odchylił głowę do tyłu i ryknął, aż całą arena wypełniła się jego krzykiem. Próbował odwrócić się

i ugryźć Leona, ale spowalniał go okaleczony tył. Zostawiając jeden miecz w przebitej nodze, Leon uciekł pod ogromny brzuch.

Bitewnik uderzył w niego nienawiścią, ale Leon nosił Rila na ramieniu przez piętnaście lat. Aura bitewnika była czymś, co już dawno nauczył się ignorować. Nawet nie zwolnił. Tnąc drugim mieczem, przeciął dokładnie ścięgna drugiej nogi. Cały tył potwora opadł i bitewnik usiadł ciężko, szaleńczo próbując chapnąć uchylającego się człowieka, który nadal skakał koło jego ogona i pleców.

Ta walka i ucieczka w końcu zabije jego mistrza. Pozostawanie w pobliżu również może oznaczać śmierć. Ril skręcił i pobiegł prosto w stronę monstrum, przyspieszając tak bardzo, jak tylko mógł. Uwaga potwora była skupiona na Leonie, więc nie widział, że Ril nadchodzi, ale usłyszał wrzaski tłumu obwieszczające jego nadejście. Szaleńczo próbował obrócić się.

Ril włożył całą swoją siłę w bieg i skok, przelatując ponad głową potwora. Bezpieczny od jego zębów, przez chwilę całkowicie wirował, obracając się o prawie trzydzieści stóp w powietrzu. Z ciszy, która rozległa się, kiedy stanął, zorientował się, że ujawnił, czym był, co oznaczało, że nawet jeżeli zabiją tego stwora, tuzin bitewników unoszących się ponad nimi zajmie się nim. Mimo to musiał przetrwać. Jeżeli obaj, on i Leon zginą, Lizzy nigdy nie zostanie uwolniona.

Przekręcił się w powietrzu ponad bitewnikiem, zmuszając go do obrócenia się, więc opadł na plecy potwora, pomiędzy jego ramionami. Głowa wystrzeliła w górę, ryk zaskoczenia, lub może rozpoznania zagrzmiał w jego gardle. Ril nie dał mu żadnej szansy, żeby obronić się. Nie miał zapasów energii, żeby ciąć przez osłonę. Zamiast tego dźgnął w dół rękami i zaatakował całą swoją mocą nie trzymając się pleców.

Bitewnik wrzasnął, jego krzyk nie był już dłużej arogancki, czy nawet przestraszony. Był to krzyk śmierci, kiedy energia Rila rozerwała go, rozrywając powłokę potwora. Fizyczna postać sylfa eksplodowała, rozrzucając kawałki ciała, które zniknęły w nicości, zanim dotknęły ziemi. Wrzask zanikł, aż do szlochu, a potem bulgotu, a potwór stał się energią, która rozeszła się migoczącymi drobkami światła.

Ril przeturlał się po piasku, wdychając ozonowe wyziewy pochodzące ze znikającego ciała przeciwnika. Jego własna postać, tak okropnie słaba, drżała od bólu przywołanego przez ciemność, która ponagliła go, żeby opuścił ciało i rozproszył się, stał się sam energią i

zapomniał o myślach, zapomniał o życiu. Ale zwalczył to pragnienie śmierci, zmuszając się do klęknienia i zastanowienia się, czy ryk jaki słyszał, to był tłum, czy też minęła cisza, jaka zapadła na widok śmierci ich zwycięscy. Słyszał Leona krzyczącego do niego. Nie mógł zrozumieć, co mówi mężczyzna. Przypuszczał, że to dobry znak. Oznaczało to, że nie musiał martwić się, że zostanie mu wydany rozkaz, żeby się zatrzymał.

Uniósł znów swoje ramię, dłoń skierował w stronę z przeciwną kraniec areny, ten bez rzędów siedzeń. Mógł wyczuć, że mur był tam cieńszy, z otwartą przestrzenią za nim. Ril zebrал wszystko, co mu pozostało i wykorzystał. Ból, jaki później w niego uderzył, był większy niż cokolwiek, co do tej pory doświadczył. Ale mur eksplodował w gradzie skal.

Ril upadł na plecy, piasek rozburzony jego upadkiem rozsypał się dookoła niego. Poczul jakby część piasku dostała się do jego oczu. Poczul jakby część piasku dostała się do jego ciała, jakby jego ciało zaczęło łamać się, jakby miał odlecieć, ulecieć w nicość. Ale przynajmniej już nie bolało, zauważył z rezerwą. Nie zobaczy znów Lizzy, ale dla bitewnika śmierć w walce to dobra śmierć.

Ręce chwyciły go, podciągając go i przyciągając do czegoś ciepłego, czegoś z bijącym sercem, rozpoznał mentalny dotyk, który znał równie dobrze jak własny. Czy Leon nie powinien biec? Otworzył przejście, żeby mężczyzna mógł uciec. Tak miało być.

- Pij – usłyszał. Leon przysięgał nigdy więcej nie wydawać Rilowi rozkazów, ale właśnie to zrobił. Jego mistrz rozkazał mu odnaleźć Lizzy we śnie, chociaż nie zdawał sobie sprawy, że to zrobił. Rozkazał Rilowi powrócić do swojego ludzkiego ciała, zamiast zabić się w próbie powrotu do swojej pierwotnej postaci, po tym jak obudził się ze snu. Teraz rozkazał mu pić i ocalić się, tylko jak on miał uciekać, skoro karmił Rila? Może zabrać każdą odrobinę życia, jaką miał Leon i nadal umierać.

Nie, żeby jego zmartwienia miały jakieś znaczenie. Nie miał wyboru, tylko wykonać rozkaz. Pić. Energia Leona parowała dookoła niego, ciepła, podobna do miodu. Ril dotknął jej i pochłoniął, wciągając głęboko. Zaczęła wypełniać jego rezerwy, wewnątrz niego, wypływając od wzoru, który Leon wytłoczył w jego duszy tak dawno temu, a potem w palącą otchłań, która sam stworzył wraz z jego atakiem. A to spowodowało, że powrócił ból i zapłakał nawet wtedy, kiedy ciągnął energię swojego mistrza. Był tak spragniony, że zarysy jego postaci zaczęły się rozciągać i poszerzać.

- Wyglądasz jakbyś składał się z kawałków puzzli – wyszeptał Leon. Jego twarz pokryta była smugami brudu i potu.

- Biegnij – wyszeptał Ril. – Nie ocalisz nikogo, jeżeli cię pojma.

- Nie chcę cię zostawić – powiedział mu Leon. – Obaj się wydostaniemy.

Nie wydostaną się z tego. Nie w tym miejscu. Ril poczuł ciemność unoszącą się za bólem i nie wiedział, czy to śmierć, czy sen. Nie miało to znaczenia. Nie mógł już walczyć, a skoro tak, Leon musiał uciekać przejściem, które dla niego stworzył.

- Południe – przypomniał swojemu mistrzowi. – Trzy mile. Pod ziemią. Znajdź ją.

- Ril...

Energia Leona nadal wciekała w niego, zalewając ciało, które pchnął za daleko. Ril zamknął oczy, nie czekając na uczucie bólu czy słabości. Czy energię Leona, ponieważ ciągnąłby ją, aż obaj zginęliby. Zbędny. Był zbędny. Pozwolił, żeby ciemność go wypełniła, mając nadzieję, że Leon podda się i posłucha go chociaż raz.

Leon poczuł, jak bitewnik staje się bezwładny w jego ramionach, a przerażające krzyżące zasysanie ustalo. Głowa Rila opadła na bok, jego rzęsy wydawały się ciemne przy bladej twarzy. Skóra sylfa była pokryta głębokimi bruzdami, o których Leon w jakiś sposób wiedział, że prowadzą do jego rdzenia.

Ocal Lizzy.

Leon słyszał ostatnie słowa bitewnika i chciał ich posłuchać. Nie chciał go opuszczać, ale wydawało się, że nie ma za dużego wyboru. Wygadało na to, że Ril rozpadnie się na kawałki, jeżeli Leon będzie próbował go ponieść.

Dookoła niego minęły tylko sekundy. Plamki światła, będące wszystkim co pozostało po ogromnym niebieskim bitewniku, nadal unosiły się dookoła nich, a tłum zerwał się na nogi i krzychał. Strażnicy bitewnicy unosili się ponad nimi, okrążając ozdobioną lożę, znajdujący się tam człowiek coś ogłaszał, ale Leon nie słyszał co, przez wrzask w jego uszach i ból jego serca. Tylko kilka tuzinów stóp dalej widać było dziurę w murze areny, widział ulicę za murem. Nie było tu nikogo, kto mógłby go zatrzymać.

Ale nie mógł zostawić Rila.

Ale jeżeli nie ucieknie, będzie to oznaczać, że jego sylf zginął za nic. Tylko, że jego bitewnik nie umarł, gdyby tak było, stalby się plamkami światła rozchodzącymi się wokół. To, że ich nie było, nie oznaczało, że Leon może go ocalić. A nadal może ocalić swoją córkę.

Delikatnie Leon położył bitewnika na piasku, odsuwając włosy w oczu Rila i kładąc ręce sylfa na jego piersi. Starł odrobinę kurzu z policzka sylfa i wstał chwytając miecz. Dysząc, prawie płacząc, chcąc płakać, odwrócił się i pobiegł do dziury w murze i chmury dymu.

Na zewnątrz były slumsy. Na placu za areną wszystkie budynki, jakie widział, były zrujnowane, a ich ściany szare od sadzy. Wszędzie były śmieci, a powietrze śmierdziało śmieciami i moczem. Biedacy błakali się, niektórzy stojąc w małych stoiskach ze zwiędłymi owocami i mięsem pokrytym muchami, inni z garnkami czy odzieżą. To było targowisko, zorientował się Leon, tylko dla rozpaczliwie biednych.

Każdy gapił się na dziurę w murze areny. Kiedy Leon pojawił się, z nagim mieczem w dłoni, z rozszerzonymi oczami i blond włosami pozlepianymi krwią, krzyknęli z przerażenia i uciekli.

Leon biegł w dół ulicy. Nikt nie skoczył za nim, nikt nie pojawił się w górze muru areny. Doskoczył do pierwszego straganu z ubraniami. W większości był wypełniony dywanami, ale było tam też kilka szat, luźnych, falujących ubrań, które miały za zadanie zatrzymać piasek z daleka.

Ale ta szata mogła go też ukryć. Zasłonić blond włosy, brodę i jego bladość, inaczej byłby za bardzo widoczny. Leon szybko chwycił jedną i ubrał. Szata była rozgrzana i przylgnęła do jego zapoconego ciała, ale nie zważał na to i pobiegł w dół ulicy, ukrywając swój miecz pod ubraniem. Nic dobrego nie przyniosłoby mu niesienie go tak otwarcie, nie przy tak wielu bitewnikach.

Trzy mile na południe i pod ziemią. Leon znów skupił się na swojej córce, trzymając się cienia i starając się znaleźć na zaludnionym terenie, żeby wmieszać się w tłum. Nie mógł iść szukać Lizzy, zanim nie upewni się, że nikt go nie śledzi. Starł się zapanować nad swoimi myślami tak jak się nauczył, uspokoić się i zrelaksować, tak żeby żaden bitewnik go nie wyczuł. Dopiero bardzo późno w nocy, w kryjówce którą znalazł sobie w brudnej alei, pozwolił sobie na żal. Sam, tylko z kilkoma kotami, które go ignorowały, płakał aż do świtu.

Rozdział 15

Cesarz był bardzo zadowolony. Rashala żalowała, że nie widziała walki. Najwyraźniej była niezwykła. Potrząsając głową kobieta szła w dół zdobionego korytarza, z bratem idącym obok. Bitewnicy byli jej specjalnością, ale karmiciele jego, a teraz będą potrzebowali karmicieli.

Przeszli przez bramę strzeżoną przez bitewnika z numerem 52 i weszli do ogromnej komnaty z miękkimi dywanami i oknami otwartymi szeroko na delikatny wietrzyk. Bitewnik, który pokonał Osiemdziesiąt-dziewięć, leżał na wyścielanej leżance, pochylała się ponad nim osobista uzdrowicielka cesarza. Tylko dzięki niej przetrwał, choć może lepiej byłoby powiedzieć, że przetrwał dla zadowolenia cesarza. Co znaczyło to samo.

Ciało rannego bitewnika, położone nieprzytomne na leżance, pokryte było głębokimi liniami niknącymi teraz, kiedy uzdrowicielski sylf trzymał nad nim swoje ręce. Sylf spojrzał spokojnie na Rashalę i jej brata.

- Karmiciele? – odezwała się.

Było dziwne usłyszeć, że sylf mówi, ale pozwalano jej na to z powodu jej pracy.

Karmiciele. Skoro każdy z nich był powiązany tylko z jednym sylfem, to oznaczało nowych. Bez znaczenia, co myśleli o tym miejscowi, znalezienie karmicieli nie było ani proste, ani tanie. A karmicielami dla bitewników musieli być mężczyźni. Nie zazdrościła pracy swojemu bratu. Minęła ledwie godzina, od kiedy otrzymali wiadomości.

Spojrzała pytająco na Shalatarę.

- Idą – powiedział. – Będą tutaj za kilka minut.

- Jak znalazłeś ich tak szybko? – zapytała Rashala.

- Nie było czasu, żeby jakiegoś kupić, więc musiałem zabrać kilku z areny. Nie są idealni, ale są pod ręką. Właśnie usuwają im języki.

Skinęła głową, oglądając się do tyłu na nieprzytomnego bitewnika.

- Co z nim? – zapytała uzdrowicielki.

Poza liniami jego postać była bezbłędnie ludzka, chociaż blada i żółta, dziwnie przezroczysta. Rashala mogła być prawie przekonana, że widziała na wylot przez tę istotę.

Został okropnie ranny w tej walce, chociaż Rashala słyszała, że otrzymał tylko jeden cios. Właściwie, Osiemdziesiąt-dziewięć również dostał tylko jeden cios. To była strata, ale Rashala nie mogła udawać, że była nieszczęśliwa z powodu odejścia tego szalonego, marnującego kobiety potwora.

Uzdrowicielka znów pochyliła się ponad bitewnikiem, pracując swoją magią.

- Jest uszkodzony – oznajmiła w końcu. – To bardzo stara rana. Jest krańcowo ograniczony w tym, co może robić. Zmianie postaci jest dla niego agonią i nie może przybrać swojej naturalnej postaci, bo umrze – spojrzała do góry. – Prawie zabił się sam.

Rashala zmarszczyła brwi. Nie może być użyteczny dla nich będąc kaleką, ale był najnowszym ulubieńcem cesarza.

- Czy możesz go uleczyć?

- Nie.

Rashala z westchnieniem potrząsnęła głową. Obcy bitewnik. Chciałaby wiedzieć, jak dostał się do miasta bez niczyjej wiedzy, skoro był kaleką! Jak dostał się tutaj i kto był jego mistrzem? Rashala słyszała o nim. Plotki głosiły, że odciął nogi Osiemdziesiąt-dziewięć, chociaż według niej było niemożliwe, żeby w to uwierzyć. Wierzyła, że uciekł, chociaż bitewnicy, którym wyznaczono obowiązki straży, otrzymali rozkazy, żeby go odnaleźć. Tak więc daleko nie ucieknie. To wszystko było prawie przerażające. Chociaż z całą pewnością nie był to początek inwazji. Żaden wróg nie posłałby szpiega, który byłby tak okaleczony. Rashala patrzyła na jego żółte włosy i uderzała w wargi palcem, myśląc o pewnej słomianowłosej konkubinie w haremie.

- Są już – powiedział Shalatar w końcu, zadowolony spoglądając w stronę drzwi, a Rashala obróciła się, żeby zobaczyć pięć par strażników, każdy z nich podtrzymywał ogłuszonego mężczyznę.

Karmiciele byli nadal w ubraniach, jakie mieli nosić na arenie. Ich oczy były rozszerzone z szoku i bólu. Śmierdzieli potem i brudem. Rashala nie była zaskoczona, biorąc pod uwagę, że każdy z nich miał właśnie wycięty język, a ich rany przypalono. Żaden karmiciel nie miał dozwolone mówić, żeby nie mógł przejąć kontroli nad bitewnikiem. Nawet z nieprzytomnym

bitewnikiem, jak ten, nie mogli ryzykować. Rashala naprawdę była nieszczęśliwa, że jego mistrz uciekł.

Jej brat podszedł do przodu. Karmiciele opadli na kolana w rzędzie przed leżanką i leżącym na niej bitewnikiem. Dwaj byli starsi, siwowłosi. Pozostałych trzech było młodszych, najmłodszym był chłopak, który był pojmany razem z bitewnikiem- jak wyjął jej brat. Bardzo źle stało się, że nikt nie pomyślał, żeby go przesłuchać, zanim wycięto mu język. Chłopak patrzył z oczami rozszerzonymi przerażeniem, nadal próbując mówić, chociaż nie miał już języka. Łzy płynęły mu po twarzy i sięgnął po bitewnika, jakby chciał go obudzić. Bitewnik nie poruszał się, poziom jego energii był tak niski, że tylko uzdrowicielka podtrzymywała go przy życiu.

Shalatar zaczął monotonicznie śpiewać, odprawiając rytuał, który wiąże mężczyzn z bitewnikiem. Rashala stała spokojnie obserwując, jak wiąże ich razem, wtłaczając w bitewnika wzory tych mężczyzn tak, żeby mógł karmić się ich energią. To zajęło jakiś czas, ale Shalatar był ekspertem. Zawiązał więź bez budzenia bitewnika, a potem cofnął się i otarł czoło.

- Ładnie zrobione – powiedziała mu Rashala.

Uzdrowicielka skinęła na pierwszego mężczyznę, który został pchnięty w przód przez strażników. Położyła swoje ręce na obojgu, mężczyźnie i bitewniku. Energia przepłynęła, a mężczyzna prawie zemdlął, zanim skinęła po następnego. Powtórzyła cały proces, pozostawiając karmicieli osuszonych, białych i drżących. Wszystkich poza jednym. Potem, chociaż linie na ciele bitewnika zniknęły, a ta dziwna przezroczystość minęła, uzdrowicielka dotknęła chłopaka i wzięła energię również od niego. Młody cały czas wpatrywał się w bitewnika, łzy nadal płynęły po jego policzkach, a wyraz jego twarzy Rashala rozpoznała jako nienawiść. To nie miało znaczenia. Większość karmicieli nienawidziła swoich podopiecznych.

W końcu skończyli. Karmiciele zostali wyprowadzeni. Shalatar dopilnuje, żeby byli nakarmieni i zajmie się nimi, więc będą mogli dostarczać energii bitewnikowi. Nie, żeby Rashala wiedziała, do czego będzie służyła ta istota. Może cesarz zamierzał zatrzymać go jako maskotkę. Już widziała problemy, skoro nie mógł zmienić postaci. Jak chociażby dostanie się do karmicieli? Nie mogła sprowadzać ich do haremu. To po prostu nie było możliwe.

Skończywszy uzdrowicielka cofnęła się, pozdrowiła ich spokojnie i wyszła z pokoju. Brat i siostra pozostali sami z bitewnikiem.

- Co z nim zrobimy? – Zapytał Shalatar, kiedy Rashala wpatrywała się w leżącą istotę. Naprawdę wyglądał jak człowiek, co było ohydne, ale przynajmniej był łatwy do zauważenia. W każdym razie podczas snu oznakowała go.

Spojrzała na brata.

- Zanim wysłedzą jego mistrza? Niewiele. Kto wie, jakie może mieć rozkazy – musieli znaleźć uciekiniera bez znaczenia w jaki sposób. Zanim on nie zginie, jego rozkazy będą miały pierwszeństwo przed jakimikolwiek innymi mistrzami. Bitewnik musi być zamknięty, tak na wszelki wypadek. Rashala obawiała się, że cesarz pośle po niego, ale jeżeli tak się stanie, porozmawiają na temat wszystkich rodzajów niebezpieczeństwa.

- Przynajmniej jest słabszy niż pozostali.

- To prawda – zgodziła się Rashala. – Nie może za wiele zrobić.

Westchnęła. Aż rozwiąże się ta sytuacja, zrobi z nim to, co zawsze robią z nowymi bitewnikami, żeby zlikwidować ich nienawiść i bunt: pozwoli mu poznać miejsce stworzone dla nich, najszcześniejsze w ich życiu.

- Umieść go w haremie.

Czteryście-Siedemnaście szedł w dół ulicy, jego pazury stuknęły na kamieniach. Szedł prosto środkiem ulicy, nie zważając na zwierzęta i ludzi rzucających się gorączkowo, żeby zejść mu z drogi.

To nie powinna być jego kolej na wykonywanie obowiązków strażnika, nie znów. Wypełnił już swoje obowiązki, chociaż w większości z dokach i miejscach, gdzie mogli przebywać cudzoziemcy. To sprawiało, że był wyjątkowy, jak mówili treserzy, próbujący jak zawsze mu schlebić. Był również jednym z tych bitewników, którzy sprowadzili obcego bitewnika i jego mistrza. Będzie zdolny znów odnaleźć tego mistrza. Więc odciągnęli go od Kiali i skierowali z powrotem do pracy, pomimo że spodziewał się teraz odpoczynku.

Był zmuszony do zachowania milczenia i związany tak wieloma zasadami, że ledwie mógł funkcjonować, ale Czteryście-siedemnaście nie był głupi. Wiedział, że to, że został wyciągnięty z haremu było karą za sprowadzenie bitewnika i nierozpoznanie czym był. Wszyscy

bitewnicy wplątani w zdarzenia tego dnia teraz byli na mieście, szukając. Ale jak on miał poznać, że ta istota była bitewnym sylfem? Sylfy nieczęsto ukrywały swoje wzory. Ten pojmany nie wydawał się być inny od pozostałych kryminalistów w ciągu tamtej połowy sekundy, którą zabrało pokonanie go. Oczywiście, żaden z nich nie miał szansy wytłumaczyć się. Nigdy nie mieli. Czterysta-siedemnaście westchnął milcząco i przeszedł przed parą wielbłądów, które przewracały oczami i kulily się ze strachu, chociaż nie przed nim.

Teraz znów był z dala od Kiali i nienawidził tego. Był jej, oboje byli członkami tego samego kręgu, co Eapha i Tooie. Nie było tutaj żadnego z pozostałych bitewników, którzy do niego należeli, więc nie mógł nawet wyrazić współczucia językiem znaków, jakiego się nauczył. Nie, żeby rozmawiał za dużo z innymi bitewnikami z kręgu. Nie, jeżeli mógł tego uniknąć. Ale teraz tylko podążał za rozkazami: znaleźć mężczyznę, który przybył z schwytanym bitewnikiem. Im szybciej to zrobi, tym szybciej będzie mógł wrócić do Kiali.

Zaczął od ogromnej dziury w murze areny, którą ziemne sylfy pozostawiły z tego szczególnego powodu, wszyscy bitewnicy zaczęli tutaj, wpatrując się w siebie rozzłoszczonym spojrzeniem, zanim rozdzielali się. Ale nie mając najmniejszego pomysłu gdzie poszedł człowiek, Czterysta-siedemnaście podążył za emocjami. Obcy mężczyzna zniknął w mieście, podczas kiedy obaj jego towarzysze byli uwięzieni? Czterysta-siedemnaście szukał strachu, tak jak szukał bladej cery i jasnych włosów. Znajdź przerażenie, a znajdziesz mężczyznę. Może również nienawiść.

Problemem, który Czterysta-siedemnaście odkrył z niezadowoleniem, było to, że tu było za dużo strachu. Gdziekolwiek poszedł, tam był strach. Tutaj chodziła tylko niższa klasa: biedni i niewolnicy, niedotykalni i chorzy. A każdy z nich wiedział dobrze, że sprzeciw oznacza śmierć na arenie. Lub los karmiciela. Czterysta-siedemnaście nie mógł wysledzić niczego, przez uporczywy strach.

Zmienił uczucie, jakiego szukał: gniew, nienawiść, determinacja, którekolwiek z nich. Z pewnością mężczyzna odczuwał którąś z tych emocji. Jak mógłby nie czuć nienawiści, kiedy utracił tak wiele? To właśnie tak zawsze znajdował buntowników. Strach lub gniew. Któreś z tego zawsze odczuwali.

Czterysta-siedemnaście poszedł w dół ulicy i przez skrzyżowanie, rozglądając się na boki. Był teraz w bardziej zamożnej dzielnicy, większość śmieci zniknęła. Były tutaj restauracje i targowisko, ludzie setkami wchodzili na nie i wychodzili. Większość z nich było lepszymi od

niewolników, ale nie na tyle bogatymi, żeby mieszkać na wyspie. Patrzyli na Czterysta-siedemnaście ze strachem, ale nie z przerażeniem. Nadal schodzili mu z drogi.

Nienawiść poczuł z jednego ze straganów. Czterysta-siedemnaście obrócił się i spojrzał na ciemnoskórego mężczyznę i sprzedawcę wody, obaj zbledli z przerażenia. Czterysta-siedemnaście podszedł bliżej, wpatrując się i wężąc, aż mężczyzna cofnął się do swojego straganu i puścił mu pęcherz. Padając na kolana, kupiec zaczął belkotać z przerażenia.

Nowy gniew wzrósł za nim, więc Czterysta-siedemnaście odwrócił się, zwłaszcza że towarzyszył mu ból. Zapominając o sprzedawcy wody, przebiegł przez targowisko, gdzie mężczyzna uderzał żonę, a teraz wrzeszczał na nią, że jest głupia, nie zważając na to, że jest obserwowany. Nie było przepisu przeciwko biciu żon. W Meridal kobiety miały mniej praw niż sylfy. Ale było prawo przeciwko biciu się, a większość mężczyzn, którzy bili swoje żony, kończyła na arenie za złamanie tego właśnie prawa.

Podczas kiedy kobieta, pięknie zaokrąglona, nadal kulila się przed gniewem swojego męża, Czterysta-siedemnaście rzucił się i chwycił go, jego pazury wbiły się w ramię mężczyzny podnosząc go z ziemi. Mąż zawył z przerażenia, próbując wyrwać się, ale Czterysta-siedemnaście tylko chwycił go pod ramię i pospieszył w stronę więzienia przy arenie. Nie było tu żółtowołosego mężczyzny, więc rzucił im tego i nadal będzie się rozglądał. Wiedział, że nawet jeżeli nie znajdzie obcego, w końcu odeślą go do Kiali. Nikt nie chce, żeby bitownicy byli smutni. Musi po prostu jeszcze trochę tym się zająć.

Za plecami oddalającego się bitownika bita kobieta złękła się nie rozumiejąc, co się właśnie stało. Widząc jak jej mąż jest wleczony, sapnęła, uniosła ręce do ust.

- Wszystko w porządku? – usłyszała.

Spojrzała. Za nią stał mężczyzna w prostej brązowej szacie, jego włosy były brudne od sadzy, a skóra była brudna. Wydawał się pocić ciemnym brudem.

- Wszystko w porządku? – zapytał znów.

Pochyliła głowę. Kobiety nie rozmawiały z obcymi, jeżeli chciały być uważane za lepsze niż kobiety w haremie bitowników. Nie kochała swojego męża, ale teraz była sama, mając jeszcze mniej perspektyw niż kiedykolwiek. Rozgniewana i zmartwiona o przyszłość, rzuciła się

do ucieczki, nie oglądając się za siebie. Dopiero później zorientowała się, że mężczyzna, który odezwał się do niej, miał niebieskie oczy.

Lizzy uczyła się tańca od Eaphy i innych dziewcząt, chichocząc kołysała biodrami z boku na bok, podczas kiedy inni uderzali w mały bębenek. Tooie obserwował to z wielkim zainteresowaniem, siedząc na poduszce. Ale kiedy otworzyły się główne drzwi, Lizzy obejrzała się już się nie śmiejąc, ponieważ to nie był czas na przyniesienie jedzenia. Dwoje odzianych na brązowo treserów weszło niosąc ciało, jeden niósł je pod nogami, a drugi za ramiona.

Patrzyła ze zdumieniem, kiedy zobaczyła te nogi. Były zdecydowanie męskie, odziane w długie spodnie i buty, podobne do odzieży z jej rodzinnych stron. Cofnęła się za Eaphę, która stała z otwartymi ustami, ale nie miała szansy odezwać się, ponieważ Rashala szła za treserami dając im wskazówki cichym głosem, jakiego zawsze używała, kiedy była w pobliżu bitewników. Para treserów zaniósł swój ciężar do najbliższej alkowy, poruszając nim najdelikatniej, jak tylko mogli.

Lizzy zobaczyła przelotnie blond włosy i poczuła, że miękną jej nogi. Upadła na kolana, jedną ręką zakrywając usta. To sprawiło, że Rashala spojrzała prosto na nią, ale Lizzy ledwie była świadoma tego, że kobieta jej się przygląda. Nie widziała wyraźnie twarzy mężczyzny, ale wiedziała, kto to był, jedyny mężczyzna, który to mógł być. Którym musiał być.

Straże wniosły go do alkowy, a Rashala podążyła za nimi pozwalając, żeby zasłona opadła za nimi. Grupa była tam przez kilka minut, podczas kiedy wszystkie kobiety zaczęły szeptać, a bitewnicy węszyć w powietrzu, bardziej agresywnie. Eapha opadła na kolana obok Lizzy, pytając, czy wszystko w porządku, ale Lizzy mogła tylko potrząsać głową, obawiając się przemówić. W końcu treserzy wyszli, kierując się do drzwi. Rashala wynurzyła się za nimi, wpatrując się w Lizzy przez długą chwilę. W końcu jednak podążyła za pozostałymi. Drzwi zamknęły się za nią, zamykając się na zamek.

Wszyscy rzucili się do alkowy, poza Lizzy. Nawet bitewnicy chcieli rzucić okiem na nowoprzybyłego.

- To mężczyzna! – krzyknęła jedna kobieta. – Ma włosy jak Lizzy.

Wszyscy spojrzeli na nią. Lizzy powoli wstała na nogi i potykając się ruszyła naprzód, jej gardło było tak ściśnięte, że ledwie mogła oddychać. Głowę miała lekką, palce drżały tak, że zacisnęła je razem, a kobiety i bitownicy rozstąpili się, pozwalając jej przejść. Weszła do alkowy dobrze wiedząc, że Rashala pewnie obserwuje przez wizjer, ale nie mogła się powstrzymać.

Mężczyzna z krótkimi blond włosami i długą grzywką leżał na materacu, z głową przechyloną na jedną stronę. Jego oddech był płytki, ale w haremie było teraz tak cicho, że z łatwością to słyszała. Był blady, ale poza czerwonym pomarszczonym piętnem na jego nagiej piersi, które pokazywało numer 703, był dokładnie taki, jakim go pamiętała. Lizzy zorientowała się, że znów płacze.

Zakwilila i opadła na kolana na łóżko tuż obok niego, wymawiając jego imię. Odwrócił się w jej stronę we śnie, poruszając się tam, skąd dochodził jej głos. Pochyliła się nad nim, przyciskając swoje czoło do jego, otulając rękami jego policzki.

- Och Ril – wyszeptala i zaczęła płakać.

Kiedy następnego dnia temperatura wzrosła jeszcze bardziej, Leon w końcu upewnił się, że bitownicy z Meridal nie są zdolni go wytropić. Powrócił do alei, którą znalazł poprzedniej nocy i spróbował przespać się. Stres związany z przeszukiwaniem miasta, ich pojmanie, jego ucieczka, wszystko to wykończyło go, a karmienie Rila zwiększyło jego wyczerpanie. Intensywne gorąco tylko pogarszało sprawę, aż zaczął obawiać się, że naprawdę zemdleje. W tym stanie nie mógł pomóc Lizzy.

Skulił się w niewygodnej wnęce, owinał się luźno szatą i próbował z całych sił nie myśleć o pozostawieniu bitownika leżącego na ziemi na tej arenie, czy o Justinie, którego również pozostawił. Starał się nie myśleć o niczym, a tym samym kontrolować swoje emocje. Bitownicy nadal go szukali, co do tego nie miał wątpliwości.

Fizycznie mógł się ukrywać względnie łatwo. Po tak wielu latach przebywania na świeżym powietrzu jego cera była opalona, a dzięki tygodniom morskiej podróży był wystarczająco ciemny, by z pomocą odrobiny brudu mógł wyglądać na miejscowego. Skoro to samo słońce rozjaśniło jego włosy, sadza ukradzioną na tyłach piekarni wystarczała, dopóki nie znajdzie czegoś lepszego. Jedyne, czego nie mógł ukryć to swoje niebieskie oczy, więc naciągnął kaptur i szedł pochylony udając, że jej dużo starszym, schorowanym człowiekiem. Nikt nie

zwrócił na niego uwagi, włączając w to patrolujące bitewne sylfy. Musiał tylko uważać, żeby panować nad emocjami.

Szczerze mówiąc, to akurat było łatwe. Leon był tak oszołomiony, że ledwie mógł czuć, czy myśleć. Tylko ślepa determinacja sprawiła, że wstał, kiedy w popołudnie ochłodziło się, owinał się zbyt grzejącą szatą i przygnębiony wrócił na ulicę. Nie myślał o utraconym przyjacielu i zaginionej córce, ani o tym, jak wielu bitewników mijal, a wszyscy go szukali. Jego jedyną myślą było: *Południe, trzy mile, pod ziemią*. Tam mogła być jego córka i tam pójdzie. Nie miało znaczenia, ile czasu mu to zajmie, ani co tam znajdzie. Tam zamierzał się udać.

Przeszedł przez miasto powoli przydzierając się przez tłum, aż doszedł do placu, na którym znajdował się mały budynek, nie większy niż szopa, pokryty małą kopułą z pozłacanymi wejściami przypominającymi usta. Kiedy stał tam, z jednego otworu wystrzelił bitewnik, unosząc się na wietrze jak drżąca chmura. Ludzie wchodzili i wychodzili przez drzwi w małym budynku, tylko kobiety, a Leon stał z boku na rogu ze skrzyżowanymi nogami i obserwował. Nadal nic nie czuł. Tylko obserwował i czekał, aż zobaczy coś, co będzie sposobnością.

Leżąc na arenie i umierając, Ril nie sądził, że się znów obudzi. Był skupiony tylko na ocaleniu życia swojemu mistrzowi i na Lizzy.

Kochał ją przez tak długo, w rzeczywistości od tej samej chwili, kiedy się urodziła, chociaż dopiero kiedy Lizzy miała siedem lat, zorientował się, jak samemu zmienić wzór energii wewnątrz siebie, żeby dopasować go do niej. Nie było to łatwe. Nie była jego królową, a on nie miał żadnej pomocy. Musiał sam to zrobić, wbrew wszelkiemu rozsądkowi i próbując sprawił sobie tak straszny ból, że aż Leon był pewny, że bitewnik jest chory i odpuścił mu jego obowiązki, żeby mógł wypocząć. To ułatwiło trochę sprawę Rilowi, kiedy zagnieździł się na posłaniu z koca, które Leon zrobił dla niego w pokoju córki, na co nalegała słysząc ptasi płacz Rila. Przez tygodnie pozostawał przy boku Lizzy odpoczywając, skupiając się i walcząc, cały czas walcząc, próbując zmienić swój wzór w sposób, które powinien być niemożliwy.

Pragnął tego, pragnął, żeby była jego mistrzynią w miejsce tego mężczyzny, który kochał go szczerze, ale którego miłość nie mogła być odwzajemniona. Leon pozostał z nim od początku do końca, śpiąc w pokoju swojej córki. Głaskał Rila po głowie, podczas kiedy Ril

ostatkiem sił nadal próbował wymusić zmianę. Oboje, on i Lizzy byli tam, pieszcząc go i spodziewając się, że umrze.

- Powinnaś wyjść – powiedział Leon córce patrząc to na nią, to na gniazdo z koców, ale ona tylko żywo pokręciła głową. Jedną rękę miała położoną na łapie Rila, jej palce owinięte były dookoła jego szponów. Trzymał ją obawiając się, że wyjdzie. Czuł się, jakby spadał, nawet leżąc tam.

Po sugestii Leona, jego uścisk zacieśnił się. To było wszystko, czym mógł poruszyć. Upadł na bok, skrzydła opadły mu luźno dookoła niego, a głowa zawisła krzywo na gnieździe. Oddychał ochryple przez dziób i ledwie widział przez na wpół zamknięte oczy, ale zmusił się, żeby wydać z siebie zduszony dźwięk sprzeciwu.

Lizzy przygryzła wargi i pogladziła jego szyję, głowę i miejsce ponad oczami.

- Nie wyjdę – powiedziała.

- Lizzy...

- Nie wyjdę! On nie chce, żebym wyszła!

Ril drżąc wydał z siebie następny jęk na znak zgody. Skupił się na niej wszystkim, czym był i poczuł jakby miał pęknąć, gdyby wyszła. Był bliski rozdarcia się, nawet gdyby tego nie zrobiła. Był tak blisko... Mógł poczuć jej istotę tuż ponad jej uściskiem, ale również czuł Leona i to dużo wyraźniej. Mężczyzna cierpiał, martwił się nim, ale on tego nie chciał. Ril pragnął Lizzy, dlatego spróbował po raz ostatni.

Nie udało się. Wydając z siebie cichy syczący dźwięk, jakby życie z niego uciekało jak para z czajnika, zadrżał znów, złamany. Leon przelknął, jego dłoń na piórach Rila powróciła.

Lizzy zaczęła płakać. Pochyliła się nad jego ciałem, obejmując go ramionami i przytulając do siebie.

- Nie odchodź, nie odchodź, proszę nie odchodź!

I to była różnica. Łzy wsiąkły w jego pióra, ale co więcej jej umysł dotknął jego, jej desperacka potrzeba, żeby zmusić go do życia pozostawiła jej istotę otwartą. Ril poczuł jej nieograniczoną miłość, sięgnął po nią w desperacji i wziął ją w siebie. W tej chwili zauważył swój poprzedni błąd- potrzebował jej pomocy, żeby zawiązać więź, jej świadomego poddania

się. A kiedy zdał sobie z tego sprawę, poczuł głęboko w sobie coś, co zmieniało się, dokonywało... i nagle byli razem związani. Ona była jego mistrzynią, jego miłością. Ril znów zadrżał i przycisnął swój dziób do niej, kwiląc. Lizzy zaczęła płakać jeszcze mocniej, a jej ojciec uściskał ich oboje. Najgorsze minęło.

Pelen powrót do zdrowia zajął Rilowi tygodnie. Zorientował się wtedy, że połączenie z Leonem jest nadal nienaruszone. Tej jednej więzi nigdy nie złamie. Ale to nie miało znaczenia. Miał Lizzy i mógł ją czuć, więc kiedy została porwana, mógł ją wysledzić. Leon nigdy nie zapytał go o to, dlaczego tak się stało, tak jak nigdy nie zapytał, co wydarzyło się w tych miesiącach, kiedy myślał, że jego bitewnik umrze. Leon zawsze pozwalał zatrzymywać mu swoje sekrety, włącznie z jego ukrytym samoobrzydzeniem, które sprawiło, że odwrócił się od tej więzi z Lizzy i udawał, że nigdy wcale jej nie kochał. Jednak Rilowi udało się coś niemożliwego, pomimo tego, jak to wszystko się skończyło, zanim bitewnik Yanda rozdarł jego powłokę, pozostawiając go niekompletnego. Nawet jeżeli nigdy wcześniej już tego nie zrobił, przez tamtą jedną chwilę wybrał swoje własne przeznaczenie.

Teraz myślał, że wybrał śmierć, żeby ocalić Leona i przez niego Lizzy. Zamiast tego otworzył oczy i spojrzał w górę na pokryty muślinem sufit. Czuł zapach kadzidła, słyszał kobiece śmiechy. Mógł dobrze wyczuć bitewników, wszystkich związanych, bez królowej, z tuzina lub więcej różnych rojów, ale w jakiś sposób zadowolonych wbrew wszystkim wrodzonym zasadom. Oczywiście, pomyślał mgliście, byli z kobietami. Nie musieli walczyć ze sobą, jeżeli mieli wokół siebie tak wiele kobiet, z którymi mogli się kochać.

Na jego lewym ramieniu poczuł coś ciężkiego, kobiecy oddech laskotał go w szyję. W całym jego długim życiu nigdy wcześniej mu się to nie zdarzyło. Ril obrócił głowę, nadal oszołomiony bliskością śmierci, czując w sobie więcej energii, niż się spodziewał. Obok niego leżała Lizzy, śpiąc, jej włosy w nieładzie rozrzucone były na twarzy.

Była to ostatnia rzecz, jakiej kiedykolwiek mógł się spodziewać. Czegoś takiego nie widział nawet podczas swoich najbardziej szalonych snów, podczas tych drzemek, do których był teraz zmuszony. Był złamany, zdruzgotany, gorszy. Nie dość dobry dla żadnej kobiety, a już zwłaszcza dla tej, którą kochał tak bardzo. Zadrżał równocześnie z zachwytu i przerażenia.

Jej oczy otwarły się. Powoli uniosła głowę, żeby spojrzeć na niego. Patrzył na nią. Drżąc, jej wargi zaczęły wyginać się, zmieniając się w uśmiech, potem na wpół leżała na nim, jej ramiona owinęły się ciasno dookoła jego szyi.

- Och Ril! Przyszedeś!

Ril myślał, że oszaleje czując ją. Nie mógł oddychać, ale jego ramiona podniosły się i owinęły, przyciskając ją mocno do niego. Było z nią dobrze! Była żywa, bezpieczna i tutaj. Znalazł ją, zamiast spodziewanej śmierci.

Zaśmiała się, objęła go mocniej, a potem odsunęła się, żeby przycisnąć swoje wargi do jego w krótkim pocałunku, który poruszył jego wnętrze. Potem odsunęła się, nadal go trzymając i uśmiechając się.

Jej uczucia były przytłaczająco szczęśliwe. Z tej odległości nic nie mógł poradzić, że czuł je wyraźnie. Była pełna zachwytu, a on zdołał uśmiechnąć się do niej drżącym uśmiechem.

- Masz się dobrze? – wyszeptał.

Skinęła głową.

- Tak. Tak dobrze jak mogę tutaj. A ty? Jak się tu dostałeś? – wykrzywiła się. – Gdzie jest mój ojciec?

Ril zawahał się, nagle samemu zastanawiając się nad tym. Czy Leonowi udało się ucieczka drogą, jaką mu przygotował? Zamknął oczy, skupił się i poczuł przeblyski bólu, żalu, ale również wolności. Potrząsnął głową, nadal zbyt oszołomiony, żeby to objaśnić.

- Żyje – powiedział jej. – Jest wolny. Nie jestem pewien gdzie, chociaż... Potrzebuję kilku minut.

Właściwie to czuł się, jakby potrzebował kilku dni. Może nawet lat. To wszystko było takie nierzeczywiste.

Lizzy tylko zaśmiała się, znów go ściskając, a potem usiadła zakładając włosy za ucho, patrząc na niego z zachwytem. Ril wpatrywał się w nią zmieszany. Była zdrowa, dobrze karmiona, czuła się szczęśliwa. Jej włosy były lśniące, a jej oczy błyszczały. Ubrana była w szatę w kolorze połyskującej zieleni, opadającą kaskadami w dół jej ciała, ale na tyle przeźroczystą, że nie ukrywała zupełnie niczego.

Oczy Rila rozszerzyły się. Wylągl się jako chmura wypełniona błyskawicami, ale spędził bardzo wiele czasu wśród ludzkich kobiet.

- Co...?

Lizzy spojrziała w dół na siebie i zaczerwieniła się, nagle zasłaniając swoje ciało rękami i kuląc się na miękkim posłaniu.

- To nie moja wina! – zapłakała. – Tylko to dają nam do ubrania!

Ril potrząsnął głową i usiadł. Klujący ból sprawił, że spojrzal w dół na siebie i zobaczył piętno na swojej piersi. 703 odczytał z szokiem i wcale niemalym gniewem.

- Co to jest?

- Robią to wszystkim bitownikom – powiedziała mu Lizzy żałośnie.

- Mnie tego nie zrobią – warknął i spróbował zmienić swoją pierś. Tylko tę małą część. Zadrzał, ból przeszedł przez niego, ale ku jego przerażeniu znak nie zniknął. Pozostał wyraźny i czerwony.

- Eapha mówi, że wykorzystują innego bitownika, który robi ten znak i on nie schodzi.

Co oznaczało, że wytłoczyli go na jego powłoce sprawiając, że był nieusuwalny tak, jak wszystkie jego pozostałe rany. Ril przeklął i zmusił się do wstania.

- Chodź, nie zostajemy tutaj.

Lizzy podniosła się, ale kiedy zrobił krok, żeby wyjść z alkowy, chwyciła jego nadgarstek obiema rękami i pociągnęła go z powrotem. Spojrzal znów na nią zaskoczony.

- Musisz wiedzieć coś o tym miejscu – powiedziała mu. – Są zasady, które musimy spełnić, żeby tu pozostać.

- Chcesz tu pozostać? – zapytał.

- Nie, ale są gorsze miejsca – wytłumaczyła i opowiedziała mu o karmicielach, kochankach i jak utrzymują w Merdial bitowników szczęśliwymi.

Gniew Rila wzrósł nagle, kiedy to usłyszał, na samą myśl o jego słodkiej Lizzy w ramionach kogokolwiek. Nagła wściekłość ogarnęła go, jego nienawiść prawie krzyczała w wyzwaniu, ale ona znów szarpnęła jego ramię, tak mocno jak tylko mogła.

- Nikt z nich mnie nie dotknął – krzyknęła. – Powiedzieli, że jestem już połączona, więc poza zasięgiem! – Jej głos opadł do szeptu. – Dlaczego oni tak uważali, Ril?

Stał zamrożony, jego emocje wyrwały mu się spod kontroli, wiedział, że Lizzy może je wyczuć. Wiedział, że również Leon może je wyczuć, gdziekolwiek był, a także, że mężczyzna skoczył na nogi, krzycząc z zaskoczenia, sięgając po bitewnika z całym nędznym ludzkim wyczuciem, jakie miał.

Leon! Posłał myślą, kiedy patrzył w dół na dziewczynę, dla której był bezużyteczny.

Nie, nie dziewczynę. Kobietę. Niewinną kobietę. A ona poczuła wyraźnie to, co zrobił, wyraźniej nawet niż jej ojciec, ponieważ była tuż obok i była jego mistrzynią, jedyną którą świadomie sobie wybrał. Wyciągnęła rękę i położyła ją na jego piersi, tuż poniżej blizny. Drżała, jej ulga na jego widok była wielka, jej zrozumienie wszystkich tych rzeczy, których nie mógł przed nią ukryć po przebyciu połowy świata, było zdumiewające. Ril zadrżał tym bardziej, że zsunęła swoją luźną bluzkę z ramion i zrzuciła na podłogę, a potem pchnęła go na miękkie łóżko.

- Nigdy nie uważałam cię za bezużytecznego – wyszeptała i pochyliła się, żeby go pocałować.

Rozdział 16

Ril i Lizzy kochali się w małej alkowie w haremie bitewników. Nie mógł jej powstrzymać, nie chciał jej powstrzymać, ale również jak przekonała się, potrzebował, żeby przejęła kontrolę. Potrzebował, żeby była jego mistrzynią.

Pchnęła go na dół i położyła się na nim, jej miękkie piersi przez muślin jej sukni przycisnęły się do jego klatki piersiowej, jej wargi poruszały się delikatnie na jego wargach. Ril odwzajemnił pocałunek, jego język wślizgnął się do jej ust. Potem przesunął wargi wzdłuż jej policzka, a ona powędrowała swoimi ustami w stronę jego ucha. Jej ręce pieściły boki jego ciała. Poczul wybuch jej przyjemności, kiedy zbliżył się do ucha dziewczyny, więc zaczął je skubać wargami.

Czując, że jej oddech staje się nieregularny, kiedy dotknął jej bioder, podciągnął jej suknię na tyle, żeby wsunąć pod nią ręce i pieścić nagie ciało Lizzy. Westchnęła, wzdychając prosto do jego ucha. To było wszystko, o czym marzył, wszystko czego pożałował przez setki lat swojej samotności. Dla tego wszystkiego przeszedł przez bramę i zostało mu to odmówione. Teraz było to jego, w postaci tej pięknej kobiety, która miała zamiar mu się oddać.

Ril usiadł i pociągnął Lizzy za sobą, jej nogi otaczały jego odziane w ubranie kolana. Pociągnął jej sukienkę w górę, a ona uniosła ramiona ponad głowę, już dłużej nie będąc nieśmiałą. Rzucił muślinowe coś do rogu. Potem pieścił językiem jej nagie piersi, pozostawiając ją bez tchu, wygiętą do tyłu, jej dłonie zagłębiły się w jego włosach, przyciągając go bliżej, ośmielając go, więc nawet gdyby nie był empatą, wiedziałby po jej zachowaniu, że sprawia jej przyjemność.

Z trudem zataił to przed Leonem. Jej ojciec nie musiał tego czuć. To było dla ich dwojga, samych w tym miejscu. Ril wiedział, że na zewnątrz byli bitewnicy, ale nie mieli znaczenia, tak jak pozostałe kobiety. Przestał zwracać na to uwagę. Był teraz ze swoją mistrzynią, kochając ją. Skrzywdzi każdego, kto im przeszkodzi.

Lizzy przyciągnęła do siebie głowę Rila i pocałowała go gorączkowo, przyciskając swoje piersi do jego poszukujących rąk. Tygodnie wszechogarniającego pożądania, które zawsze wypełniało harem, przepłynęło przez nią, tylko że teraz czuła się właściwie. Kochała Rila, zawsze go kochała i teraz mogła poczuć, że on też ją kocha. Treserki mogły nadejść w każdej

chwili, mogły zabrać ją, żeby stała się karmicielką, lub jego, żeby stał się niewolnikiem, więc nie mogła marnować czasu na nieśmiałość. Nie po prawie dwóch latach, które miałyby, gdyby tylko nie była taka niemądra. Na wypadek, gdyby nie dostała następnej szansy, chciała mieć go teraz... i było to wspaniale.

- Chcę cię poczuć – wyszeptwała.

Przesunął się pod nią, jego pocałunki nie zwalniały, kiedy ściągnął spodnie w dół skopując je i odrzucając. Jego gorliwość przyprawiała ją o oszołomienie, podczas kiedy siedziała przy jego erekcji, czując jak twardy jest przy jej fałdkach, nagle znów zaczerwieniła się, pomimo swojego zdecydowania.

Ril leżał na łóżku i wpatrywał się w nią w szoku, jego zazwyczaj zimne, szare oczy wypełnione były zdumieniem. To pomogło odgonić strach. Lizzy uśmiechnęła się i prześlizgnęła się nad nim, pokrywając go swoją wilgocią, aż zakał drząc. Czula jego przyjemność, która przeszła drzeniem przez nią, jak jej własna.

- Dlaczego mogę czuć cię w ten sposób? – wyszeptwała, znów głaszcząc go swoim ciałem. – Jesteś bitewnikiem mojego ojca.

- Jestem twój – poprawił. - Twój przez całe twoje życie – uniósł się, żeby ją pocałować – Byłabyś moją królową, gdyby Solie nie stała się nią wcześniej – przelknął. – I gdybym nie został złamany.

Położyła palce na jego wargach

- Ciii. Nigdy nie mów do mnie, że jesteś złamany, rozumiesz? Nigdy nawet tak nie myśl.

- Tak, Lizzy – zgodził się.

Uśmiechnęła się i pieściła jego twarz i policzki. Ril zamknął oczy z zaskoczonym uśmiechem na ustach, więc przesunęła się w dół, patrząc jak jego oczy otwierają się szeroko, kiedy chwyciła dowód jego pobudzenia. Obserwowała zafascynowana jak sapnął, jego usta otwarły się, a głowa odchyliła do tyłu, ale w inny sposób nie poruszył się, pozostawiając jej całą kontrolę.

Jego oczy nie odrywały się od niej. Potrzebował, żeby przejęła prowadzenie, domyśliła się. Żeby powstrzymać go od przekonywania się, że jest nic nie wart. To sprawiło, że poczuła

się potężna, uniosła go, przesuwając jego pleć pomiędzy swoje nogi, tuż przed wejściem do swego ciała. Biorąc głęboki wdech usiadła, pozwalając, żeby grawitacja wepchnęła go do środka.

Przez krótką chwilę to bolało, ale potem Ril zalkał, a jego przyjemność była o wiele potężniejsza od jej własnego krótkiego bólu. Lizzy odchyliła się do tyłu i wyplakała radość do sufitu, nie zważając na to, kto może usłyszeć. Uniósł się naprzeciw niej i chwilę później poruszali się zgodnie, ciało ocierało się o ciało, przyjemność mieszała się z przyjemnością, aż żadne z nich nie było pewne, gdzie jedna się kończy, a druga zaczyna, czy to w ciele, czy w duszy. Wkrótce Ril trzymał Lizzy przy sobie, lkając, lub może to ona lkała, albo oni oboje. Razem obejmowali się, poruszając się, pchając, tańcząc w ogniu, o którym nie wiedziała, że może go poczuć i nigdy nie chciała go poczuć z kimś innym. Ril był jej. Był jej bitewnikiem, jej kochankiem, ona było jego więzią z tym światem i powodem, dla którego tu przybył... była również tą, dla której przetrwał i pozostał. Wszystko dla niej, zawsze dla niej, a sławienie tego było czymś wspaniałym. Wybuchło w nich, niosąc ich razem wyżej i lepiej niż byliby w stanie poczuć to sami.

Tooie obserwował alkowę Lizzy z większym zainteresowaniem niż zazwyczaj okazywał innemu bitewnikowi mającemu seks. Ale ten bitewnik, złamany i ograniczony w tym, czym może być, miał wzór tej dziewczyny, zawiązany głęboko w jej duszy. Zazdrość, jaką wewnątrz siebie Tooie odczuwał do tej dwójki, była bliska furii. Co jeszcze bardziej rozwścieczało go, to to, że nowoprzybyły miał w sobie wzór królowej.

Kochał Eapnę, kochał ją od chwili, kiedy znudzony po raz pierwszy zabrał ją do alkowy i przez przypadek polaskotał, a ona zaśmiała się. Był tak podekscytowany, że polaskotał ją znów. A ona uderzyła w niego poduszką. W tej chwili był już stracony, chociaż nie łączyła ich więź. Wzory w nim należały do mężczyzn, a jego uwielbienie dla Eaphy było ograniczone wyłącznie do jej ciała. Ten nowoprzybyły kochał swoją panią łącząc się z jej umysłem, więc Tooie i wszyscy bitewnicy na zewnątrz obserwowali z żądzą i wściekłością, ale również strzegli pary, jakby dzięki temu mogli uczestniczyć w ich rozkoszy i pragnieniach.

Gdzieś w innym miejscu Leon stał u wylotu alei, z peleryną owiniętą dookoła głowy i brudnym od sadzy potem spływającym mu do oczu. Patrzył nieruchomo, a jego wargi wykrzywił uśmiech.

Jego bitewnik nadal żył.

Rashala odwróciła się od wizjera, przez który patrzyła do haremu, zmarszczyła brwi i złączyła razem dłonie. Tak jak się spodziewała, żółtowłosa cudzoziemka niewolnica poszła prosto do nowego bitewnika.

Normalnie uznałaby to za niepokojące. Bitewnicy mogą być niebezpieczni, nawet dla swoich mistrzów, jeżeli przywiązywali się do szczególnej kobiety. Z tego powodu, znane jest w historii królestwa tuzin przypadków, kiedy musiano ich skazać. Ale spojrzała na Melortę, która ze zmarszczonymi brwiami uderzała swoją pałką o nogę i pokręciła głową. Tym razem, zdecydowała, sytuacja działała na ich korzyść.

Z mistrzem pozostającym na wolności, ten bitewnik był nieprzewidywalny. Był słaby i niezdolny do zmiany kształtu, ale jednak zdołał zabić Osiemdziesiąt-dziewięć i wybić wielką dziurę w kamiennym murze grubym na trzy stopy. Może zniszczyć całkowicie to miejsce. Rashali nie podobało się to. Gdyby nie kaprys cesarza, zniszczyłaby tę istotę. Zamiast tego nadeszły rozkazy: zawiązać z nim więź i natychmiast doprowadzić go do cesarza, chociaż jego wcześniejszy mistrz nadal przebywał na wolności.

Nic podobnego nigdy wcześniej nie wydarzyło się, więc nawet Rashala nie wiedziała, co może się zdarzyć, jeżeli bitewnik usłyszy polecenia od dwóch różnych ludzi. Zazwyczaj widzieli swojego mistrza tylko raz, po tym jak zostali związani i zanim zostali odesłani do cechów, którym służyli. Było to po tym, jak zostali poinformowani, że mają słuchać rozkazów wydawanych tylko przez określone osoby, takich jak mistrz areny, cesarz, czy treserzy i gdy już określono hierarchię, w jakiej mają słuchać rozkazów. Było to bardzo wyraźnie uporządkowane i tylko cesarz nie miał ograniczeń w wydawaniu im rozkazów. Na przykład treserzy nie mogli wydać bitewnikom rozkazu, żeby zaatakować. Żaden sylf nigdy nie miał dwóch mistrzów, którzy rozkazywali mu w tym samym czasie, tym niemniej wszystkie te zasady były tworzone, żeby zapobiegać takim zdarzeniom.

Nie, nikt nie był w stanie przewidzieć, co by się stało. Rashala nienawidziła niepewności, ale wiedziała również, że nie do niej należało wątplenie w cesarza. Chociaż miała zamiar trzymać Siedemset-Trzy rozproszonego tak długo, jak tylko się dało. Z tego powodu, aż do śmierci jego wcześniejszego mistrza, powinien mieć tę dziewczynę, jeżeli jej pragnął. Jeżeli utrzyma go szczęśliwego, to wszystko będzie dobrze. Kiedy człowiek, który uciekł z areny zostanie odnaleziony i zabity, blondynka najprawdopodobniej będzie musiała zostać sprzedana, ale to było w porządku. Dzięki temu Rashali powinno udać się odzyskać dwanaście sztuk złota.

Lizzy leżała po swojej stronie łóżka, delikatnie gładząc włosy Rila. Były delikatniejsze niż jej, a trochę ciemniejsze i mocniejsze. Potem oczy sylfa otwarły się, spojrzął na nią znów z zachwytem, zanim podniósł się, żeby ją pocałować, westchnęła w jego usta.

- Dlaczego czekaliśmy tak długo? – zapytała.

Pocałował czubek jej nosa.

- Czekałem na ciebie, aż dorosniesz – przyznał. – I tak nie mogłem nic zrobić jako ptak. Potem, kiedy byłem zdolny zmienić postać, nadal byłaś za młoda, a ja... zostałem ranny – wzruszył ramionami, nie patrząc jej w oczy.

Był zawstydzony, nawet gdyby nie była zdolna wyczuć jego uczuć, Lizzy wiedziałaby. Jak długo ukrywał to przed nią i jej ojcem? Czy ojciec cokolwiek podejrzewał?

- Czy dotknąłbyś mnie kiedykolwiek, gdybym ja tego nie zrobiła? - Zapytała zamiast tego. Wyraz twarzy Rila był wystarczającą odpowiedzią. – Pozwoliłbyś mi przeżyć całe życie i nigdy nic nie powiedział?

- Gdybyś była szczęśliwa to tak.

Zrobiła minę. Właśnie teraz nie mogła wyobrazić sobie innego życia niż spędzone z nim, chociaż przede wszystkim dlatego udała się na tę przerwana wycieczkę do Para Dubh, żeby zdecydować, co zrobić ze swoim życiem.

- Gdyby nie wydarzyło się to wszystko, najprawdopodobniej wyszłabym za mąż za Justina – przyznała.

W oczach Rila zabłysło coś, co można uznać za nienawiść.

- Przyjechał z nami. Poprosił Leona o błogosławieństwo, żeby cię poślubić.

Lizzy zapatrzyła się.

- Co? Justin? Zostawił mnie w dokach z tymi mężczyznami! Nie chcę go poślubić! – Nie po tym, a już na pewno nie teraz. Poślubić mężczyznę, który opuścił ją, kiedy była w niebezpieczeństwie? Poczowała mdłości na samą myśl, nawet jeżeli przypomniawszy sobie fakt, że przybył po nią z jej ojcem i Rilem. – Czy tata się zgodził?

- Tak – powiedział Ril. – Ale później porozmawiam z nim o tym.

- Jak?

Ril wzruszył ramionami.

- Powiem mu, że jeżeli Justin będzie próbował chociaż dotknąć się, urwę mu głowę i rzucę jego jaja świniom na pożarcie.

Kiedy patrzyła się na niego z otwartą buzią i zaczęła chichotać, uśmiechnął się nieśmiało i pogładził jej policzek.

- Jestem twój, Lizzy – dodał. – Nic, co Leon powie, tego nie zmieni, nawet jeżeli wyda mi rozkaz. Bitewnicy są zaborczy. Oszaleję, jeżeli teraz ktoś cię dotknie.

Powiedział to takim tonem, że Lizzy uściskała go, myśląc o bitewnikach tutaj i o tym jak udają obojętność, żeby uchronić swoje kochanki od odcięcia i okaleczenia.

- Musimy się stąd wydostać – wyszeptwała. – Wszyscy. Nie mogę znieść myśli o tym, że Eapha i pozostali zostaną tutaj. To straszne, co ich spotyka.

- Wiem – zgodził się z nią Ril, chociaż nie wiedział. Nawet nie wiedział, kim była Eapha. Ale troszczył się, wiedziała o tym, przytulając głowę do jego piersi i myśląc o czymś, co jej ojciec kiedyś powiedział: Sylfy nie były stworzone do samodzielnego myślenia. Zostały urodzone i wychowane do wykonywania rozkazów i potrzebowały wskazówek.

Przy całej swojej inteligencji, Ril nie był inny. Był prawie zawsze przy boku jej ojca, który podejmował decyzje. Sylf mógł zachowywać się jak chciał i czasem tak robił, ale tylko wtedy, kiedy został do tego zmuszony. Lizzy mogła być jedyną osobą, która była w stanie wymyślić jak uciec. Ta myśl była przerażająca, marzyła, żeby ojciec był tutaj.

- Powinniśmy porozmawiać z Eaphą – oznajmiła. Nie opracowywali wcześniej planów ucieczki, ale teraz mieli Rila, a jemu nie wydano żadnych głupich rozkazów, powstrzymujących go od pomocy w ucieczce, tak jak innym bitownikom. Gdyby był zdrow, wysadziłby drzwi, dach i wszystko inne, i byłiby wolni... ale odsunęła od siebie te myśli. Ril mógł zrobić, to co mógł, jak mówił zawsze jej ojciec. Nie potrzebowali niczego więcej.

Ril skinął głową i podniósł się, ubierając się. Kiedy podniosła muślinową szatę, jaką nosiła, jego wargi wykręciły się i z milczeniem sięgnął po jej koszulkę. Lizzy uśmiechnęła się i naciągnęła ją.

- Chodź – powiedziała mu, prowadząc go na zewnątrz, starając się mocno nie wyglądać, jakby była z nim. Musiał udawać jak pozostali, a ona naprawdę miała nadzieję, że będzie.

W głównym pokoju wiele kobiet tańczyło, występując przed grupą bitowników. Lizzy zobaczyła, że brwi Rila uniosły się, ale w ciszy podążał za nią przez pokój, przechodząc obok przedstawienia, podczas kiedy ona szukała przyjaciółki. Kilka kobiet odwróciło się, kiedy je mijal, dziwiąc się jego wyglądowi, ale to bitownicy wpatrywali się w niego, przesuwając się od tancerek.

Ril zasyczał, zatrzymując się. Lizzy zrobiła kilka niepewnych kroków, oglądając się za ramię. Mogła wyczuć jego i ich nienawiść. Bitownicy z tyłu należeli do tego samego roju i wszyscy się znali. Zapomniała, jak bardzo zazwyczaj nienawidzili obcych bitowników.

- Ril? – zawołała. Nigdy nie widziała, żeby tak bardzo warczał na innego sylfa.

Ponad nimi dwaj bitownicy przeszli przez przejście, zmieniając postać na humanoidalną, kiedy wylądowali. Mieli numery 14 i 683. Kilka kobiet zawołało ich, ale zostały zignorowane. Zamiast tego nowoprzybyli zaatakowali.

Ril ryknął, jego aura zapłonęła mocą, ale oni byli już na nim, przewracając go. Lizzy krzyknęła, podczas kiedy pozostałe kobiety spanikowały, starając się uciec, ona przepychała się żeby pomóc Rilowi. Wszyscy bitownicy skoczyli na nogi, ich aury zapłonęły prawie tak, jakby krzyczeli, a ich nienawiść przepłynęła przez umysły ludzi. To wystarczyło, żeby większość kobiet upadła na kolana, krzycząc i płacząc.

Lizzy poczuła aury, ale starała się przepchnąć, jej serce uderzało szaleńczo, jej brzuch ścisnął się tak bardzo, że myślała, że zwymiotuje. Prawie potknęła się o prądy mocy otaczające trzech bitewnych sylfów, ale Tooie chwycił ją dookoła pasa, odciągając w bezpieczne miejsce.

Dwaj nowoprzybyli mieli Rila w uścisku, Czternaście trzymał go za jedno ramię, a Sześćset-Osiemdziesiąt-Trzy za drugie. Pchnęli go na dół, zmuszając go do opadnięcia na plecy z nogami podwiniętymi pod nim. Lizzy krzyknęła, szarpiąc się przy Tooie, ale była bezsilna wobec jego siły. Ril patrzył na nią, jego twarz stwardniała. Walczył o nią, zorientowała się, bez względu na to, jaki będzie tego koszt.

- Nie! – krzyknęła, kiedy jego postać zamigotała przy zmianie. Zmiana kształtu wyczerpie go, zrani, a Czternaście i Sześćset-Osiemdziesiąt-Trzy są wypoczęci i mocni. Żeby uwolnić się z ich uścisku musi stać się bezcielesny, a tego nie przetrwa.

- Ril, nie!

Zadrzał i znów stał się bardziej solidny.

- Lizzy!

Drzwi otwarły się. Przeszła przez nie Rashala, kobieta której obawiały się wszystkie mieszkanki haremu. Za nią było jeszcze trzech bitewników, dwie treserki i Melorta, ich dowódca. Rashala rozglądnęła się po nich wszystkich, po bitewnikach, którzy odpoczywali i po tych dwóch, którzy trzymali Rila.

- Przyrowadź Siedemset-Trzy – rozkazała.

Czternaście i Sześćset-Osiemdziesiąt-Trzy podnieśli Rila w górę, ciągnąc go pomiędzy sobą do drzwi. Nie rozglądając się Rashala wyszła na zewnątrz, jej łup był przed nią. Pozostali bitewnicy podążyli za nią, potem strażę. Melorta zatrzymała się w progu, patrząc się niepewnie na Lizzy, zanim zatrzaskała drzwi.

Tooie puścił Lizzy. Zatoczyła się o krok, a potem odwróciła się, uderzając go.

- Dlaczego mu nie pomogłeś? – Krzyknęła, chociaż było oczywiste, że nie było sposobu, żeby to zrobił. Chwilę później była tu Eapha i Lizzy opadła w jej przyjacielskie ramiona, płacząc. Nie mogły nic zrobić.

Ril był wleczoney w dół korytarza na zewnątrz haremu, szamocząc się przy każdym kroku, ale utracił wiele ze swojej wcześniejszej siły, a tu było za wielu strażników. Krzyczał na nich, kłął, ale to nie było dużo bardziej efektywne niż jego próby uwolnienia się.

Poza przyciągnięciem uwagi Leona. Po ponad dwudziestu latach razem, więź łącząca mężczyznę z nim była mocna i Ril czuł zaniepokojenie Leona w tyle swojego umysłu. To nie było nic więcej poza niejasnym uczuciem, Leon nie był telepatą, ale Ril wyczuł zaniepokojenie swojego mistrza, nawet mimo nowej energii, jaka paliła go po przebudzeniu.

Szli w dół korytarza, a potem przez następną komnatę i następną, przez drzwi i w końcu weszli do ogromnej komnaty, większej nawet od haremu. Była wypełniona od podłogi aż do sufitu tuzinami poziomów klatek, ścieżek i przejść, a Ril na chwilę przestał się szamotać, żeby popatrzeć. Mężczyźni i kobiety wypełniali te klatki, puści, przygnębieni. Ledwie spojrzeli, kiedy był wleczoney. Było ich tysiące, ich emocje były przygniatające. Chociaż podłoga była wyszorowana, to miejsce nadal przesiąknięte było ich potem i rozpaczą.

Były tu elementarne sylfy. Podlatywały tu i tam, zatrzymując się przed niektórymi klatkami i pijąc energię z ludzi znajdujących się w środku. Byli tu również bitewnicy. Ril widział jak karmili się od mężczyzn, który nie spoglądali w górę i nie protestowali. Jedynym głosem tutaj był jego krzyk protestu.

- Co to za miejsce? – wyszeptał w końcu.

Nie dostał odpowiedzi od lysej kobiety, która prowadziła i Ril zrozumiał, że nigdy jej nie dostanie. Nie był dla niej wystarczająco inteligentny. Przemówi do niego wyłącznie wtedy, kiedy będzie wydawać mu rozkaz. Krzyknął obrażony tym, próbując znów się uwolnić, żeby móc z nią walczyć, z nimi wszystkimi, ale ona była kobietą. Nie mógł przekonać swojego mózgu do pomysłu skrzywdzenia jej, a rozkaz Lizzy powstrzymał go, kiedy jeszcze miał swoją szansę. Bitewnicy, którzy go trzymali, byli teraz odgradzeni ścianą energii. Żadna energia, jaką mógłby uderzyć, nie mogła ich dosięgnąć.

Ciągnęli go w dół rzędu i przez całe piętra klatek. Ludzcy więźniowie patrzyli, gdy ich mijali, ich ciała wychudły od braku ruchu, włosy mieli długie i poskręcane. Byli czysti, ale milczący.

Poza zagrodami były następne drzwi, prowadzące do mniejszej komnaty, długiej na sto lub więcej kroków. Ril zobaczył zakrwawiony ołtarz na środku i zeszywniał, przypominając

sobie inny. To była pierwsza rzecz, jaką zobaczył, kiedy przeszedł przez wrota do tego świata, przyciągnięty przez energię kobiety, o której nie wiedział nic poza tym, że została zabita. Tym, kto ją zamordował, był Leon, uderzył tak szybko, że zginęła, zanim zauważyła, co się dzieje, nawet zanim Ril zorientował się, że była w niebezpieczeństwie. W końcu wybaczył to swojemu mistrzowi, ale nie rozmawiali o tym nigdy. Ril nie chciał, a spodziewał się, że Leon też.

Zobaczył ołtarz znów, jak ten... cieszył się, że pojechali do Yed i ocalili Gabralinę, cieszył się, zabijając tych kapłanów, którzy próbowali wykorzystać ją, żeby uwięzić bitewnika. Chociaż teraz krzyczał, aż jego głos stał się ochrypnięty i nieludzki, ale bitewnicy nadal ciągnęli go w stronę ołtarza.

- Możesz go uciszyć? – zapytał mężczyzna. Stał obok ołtarza, równie lisy jak Rashala i z podobnie jak ona wydatnym nosem. Wykrzywił się.

- Wiesz, że nie mogę, bracie. Lecz... - odwróciła się i wyciągnęła cieniutką apaszkę z kieszeni. – Zaknebluj go - powiedziała jednemu z porywaczy Rila.

Bitewnik przesunął się za Rila. Ril próbował go kopnąć, ale sylf uchylił się i owinał apaszkę dookoła ust Rila, zaciskając ją i odchylając mu głowę do tyłu, aż Ril pomyślał, że za chwilę pęknie mu kark. Przestał krzyczeć, ledwie zdolny oddychać.

- Lepiej – pochwaliła Rashala. - Masz dla mnie człowieka, Shalatar? Cesarz chce go widzieć w ciągu godziny.

- Jeżeli Jego Ekscelencja były łaskawy poczekać dwie godziny, wtedy mógłbym powiedzieć tak. Obawiam się, że muszę to zrobić.

Wpatrując się w sufit, jak był zmuszony, Ril nie mógł widzieć wyrazu twarzy Rashali, ale usłyszał jej jęk.

- Ale Shalatar!

- Nic na to nie poradzę. Nic innego nie jest możliwe.

- Ale ty nie jesteś w stanie być mistrzem jeszcze kogoś.

- To trudny problem przy mojej pracy. Wiesz, że Pierwszy i tak rozkazuje im wszystkim. Siedemset-Trzy nie będzie mnie widział po tym, jak wydam mu polecenia. Nie żałuj mnie, Rashalo. To nie jest ważne. Teraz chodź, pospiesz się. Czas biegnie.

- Dobrze, bracie.

Zmuszony do klęknienia na podłodze, wpatrywania się w sufit, z apaszką owiniętą boleśnie dookoła jego ust, Ril usłyszał początek rytualnej pieśni i wydał z siebie zduszony krzyk. Czuł rytuał sięgający w niego i zmieniający go.

Pletli zakłęcie ich dziwacznej ludzkiej magii, które szyderczo naśladowało więź z królową. Pojmali go i wszystko czym był, nakrywając wzór, który był już w nim. Ril walczył z tym tak bardzo, jak kiedyś walczył z Leonem dawno temu, ale tak jak przy Leonie był bezsilny. Pojmali go i przerobili tak, że kiedy bitewnicy w końcu go puścili, nie mógł zaatakować tak, jak tego desperacko pragnął.

- Siedemset-Trzy – stanowczo odezwał się do niego Shalatar. – Jestem twoim mistrzem i będziesz wykonywał moje polecenia.

- Tak – wyszeptał Ril. Nie miał innego wyboru, tylko posłuchać.

Rozdział 17

Leon był okropnie spragniony, kiedy wpatrywał się w kopułę, która, jak spodziewał się, była wejściem do miejsca, gdzie przetrzymywana była jego córka. Minęły dwa dni od ich przybycia i Południowa Tancerka już dawno odpłynęła. Gorąco znów narastało nie do wytrzymania, nawet w cieniu latającej wyspy i w końcu będzie musiał odejść i poszukać wody, zanim zemdleje. Znajdywanie jej zajmowało nienaturalnie wiele czasu. W domu mógł zanurkować w którejkolwiek z beczek na deszczówkę, lub pożyczyć wiadro ze studni, z niczym więcej niż dziękuję na odchodnym. W tym suchym kraju woda była dużo cenniejszym towarem. Dzień wcześniej próbował napić się wody przeznaczonej dla koni, ale koniuszy zobaczył go i przegonił pejczem. Leon nie chciał znów w ten sposób ściągać na siebie uwagi, a nie widział żadnych wiader czy beczek. Chociaż nie wyglądało, jakby tutaj padał deszcz w ciągu ostatnich pięciuset lat.

Zamiast tego tym razem skierował się do restauracji. Ponad nią nie było zajazdu, było to miejsce dla miejscowych. Schodząc z ulicy i wspinając się na kilka stopni, na kamienny taras z dachem, podtrzymywanym przez tuziny spiralnie rzeźbionych słupów, Leon miał nadzieję, że nie będzie musiał postać tam na długo. Pomiędzy słupami ustawione były stoły, wiele z nich zajętych, a wejście do wnętrza restauracji było po drugiej stronie. Leon nie wiedział, dlaczego ktokolwiek chce siedzieć tutaj, na tarasie było prawie tak samo gorąco jak na ulicy i zaczynał czuć się słabo zarówno przez noszone ubranie, jak i odwodnienie. No i od tego, że ostatnio nie spał za dobrze.

Wpatrując się w podłogę, usiłował wyglądać jak znużony mieszkaniec, Leon wszedł do budynku i nagle zorientował się, dlaczego taras był pełen. Wewnątrz było jeszcze goręcej i jedynymi ludźmi w środku byli pracownicy. Poczul zapach gotowanego jedzenia, ale nie mógł nawet wyobrazić sobie, jak może być w kuchni. Ugięły się pod nim kolana i gorące powietrze przyprawilo go o mdłości.

Pojawiła się kobieta, klaniając się. Była młoda i nosiła lekką szatę podobnie jak większość kobiet w Meridal, ramiona miała nagie, a włosy upięte na głowie tak, że szyję miała obnażoną. W tym miejscu sposób uczesania wydawał się wskazywać na warstwę społeczną. Warkocz oznaczał, że ktoś był niewolnikiem. Ogolona głowa - służącego, który wydawał się stać kilka stopni wyżej w hierarchii. Rozpuszczone włosy zarezerwowane były dla dziwek. Włosy upięte, czyli najpraktyczniejsze uczesanie, oznaczało wolnych ludzi.

Kobieta była spocona, ale wyglądała lepiej, niż Leon się czuł.

- Mogę panu pomóc? – zapytała.

Nie powinien wchodzić do środka, zorientował się Leon, miejscowi nie zrobiliby tego w tym gorącu. Zwrócił tylko uwagę na siebie, widział jak przypatrywała się jego grubej szacie, którą nosił na bawełnianych spodniach i co gorsze, jego butom. Obsługująca kobieta miała sandały jak wszyscy inni, a jej paznokcie były pomalowane na jasnoniebiesko.

- Proszę pana?

- Wody – wychrypiał Leon. Potrzebował jej za bardzo, żeby wyjść, co również wyglądało dziwnie. Bitownicy mogą zainteresować się czymś dziwnym w równym stopniu, co przemocą. W Dolinie tłoczyli się dookoła wszystkiego nowego, każda dziecięca gra przyciągała przynajmniej jednego.

- Trochę wody – powtórzył. – Będę na zewnątrz.

- Tak, proszę pana.

Ukloniła się, a Leon wyszedł, prawie zszokowany, jak zimne wydawało się powietrze na zewnątrz w porównaniu do wnętrza. W ciągu ostatnich dwu dni wydawało się, że cała wilgoć została z niego wyssana. Nawet więzienie niewolników, w którym przebywał przed tą katastrofą na arenie, nie było aż tak gorące. Ani sama arena. Musiały tam być powietrzne sylfy utrzymujące powietrze chłodniejszym, chociaż nie wydaje się, żeby było to dla wygody walczących.

Usiadł na krześle, chociaż właściwie to opadł na nie i po prostu oddychał. To wszystko było jego winą. Nie przewidział, że zostaną porwani tak szybko, ale to właśnie on dowodził. Nie zaplanował tego dobrze. Teraz obaj, Ril i Leon byli uwięzieni razem z Lizzy, a ci dwaj dlatego, że ich zabrał ze sobą. Ril nie miał wyboru, bitownik był uosobieniem odwagi, ale Justin...? Nigdy nie powinien był pozwolić, żeby poczucie winy chłopaka zmieniły jego zamiary. Widział, jak uciekł przez bitewnikiem na arenie... i teraz Leon nie był nawet pewien, czy młody jeszcze żyje.

Obsługująca kobieta wyszła, zmieniając gorąco w delikatny wietrzyk, kiedy przyniosła glinianą butelkę i szklanekę. Zmęczony i wypalony, Leon spojrzał na nią w górę, pytając o cenę i

zobaczył jej spojrzenie. Cholera. Najpewniej wcześniej nigdy nie wiedziała niebieskich oczu. Jej własne były ciemne jak smoła.

- Pięć miedziaków – powiedziała mu.

- Dobrze – musiał dać jej srebrną monetę, nie mając miedziaków, ale nic na to nie powiedziała, ani na temat dziwnego nominału, ani na temat niego samego. Czekał tylko aż odejdzie, starając się nie rozlać wody, kiedy pił i nawet bardziej starając się uspokoić swoje myśli. Nie zamierzała pobiec do bitewników. Nie mogli wyczuć jego myśli na otwartym na trzy strony tarasie. Nic się nie stanie, poza tym, że ukoji to przerażające pragnienie i znajdzie nowe miejsce do spania. Potem, kiedy jego myśli oczyściły się, mógł zastanowić się nad sposobem uratowania każdego, o kogo się troszczył.

Obsługująca kobieta wróciła. Len wpatrywał się z zaskoczeniem na miedziaki, jakie położyła na jego dłoni. Nie spodziewał się reszty.

- Czy chciałby pan coś zjeść? – zapytała.

- Tak – odrzekł, mając nadzieję, że nie była tu pułapka, żeby mogła wezwać bitewników, ale wiedział, że nie ma innego wyboru, teraz mógł wyczuć, jak rozpaczliwie potrzebuje jedzenia.

- Dziękuję.

- Bardzo proszę, sir – orzekła i zniknęła z powrotem w gorącej kuchni.

Mniej niż dziesięć bloków dalej, wiedząc, że Leon był żywy i wolny, ale nie gdzie był, Ril podążał za swoim nowym panem na zewnątrz małego budynku z kopułą, stojącego na środku placu. Wewnątrz nie było nic więcej poza schodami, podobnymi do tych wydrążonych we wzgórzu, które społeczność wzmocniła podczas pierwszej zimy, tam gdzie po raz pierwszy spotkał Solie i otrzymał wolność.

Teraz szedł za Shalatarem, nadal w tych samych, pokrytych kurzem spodniach i butach, w których został pojmany. Lizzy miała jego koszulę, ale próbował nie myśleć o niej. Nie żeby nie chciał, zatraciłby się we wspomnieniach o niej, a teraz nie mógł sobie na to pozwolić. Nie, jeżeli miał się zorientować, jak się stąd wydostać.

Uczciwie to nie wiedział jak. Shalatar związał go głębiej niż kiedykolwiek wyobrażał sobie, że to jest możliwe. Ril podążał za mężczyzną, zawsze o trzy kroki za nim, jak miał rozkazane. Nie mówił, nie był w stanie. Jak rozkazano. Tysiące rozkazów wypełniały jego umysł, wszystkie wydane mu przez brata i siostrę, pospiesznie, ale bez żadnej pomyłki. Leon wydał mu dziesięć rozkazów, kiedy go związał, a on poczuł się uwięziony. Ci ludzie dali mu setki, a ani jeden nie sprzeciwiał się innemu. Mieli wieki na udoskonalenie tej litanii, tego był całkowicie pewien.

Chociaż Shalatar był jego mistrzem, Ril miał całą listę ludzi, których teraz miał słuchać, cesarza, Pierwszego, który kontrolował sylfy, Pierwszego Bitewnego Sylfa, który szczegółowo rozkazywał bitewnym sylfom, przelożoną harem, którą była Rashala, wszystkich treserów i strażników, którzy pilnowali jego. Zastępcę więzienia karmicieli, gdzie żywili się bitewnicy i pozostałych według potrzeb. Czas posiłków, czas parzenia się, zasady harem, zasady więzienia, wszystko odbijało mu się echem w głowie. Zasady, kiedy ma słuchać poszczególnych osób, a także w jakim czasie. Czuł, jakby nie było sposobu, żeby to zapamiętał, ale wiedział, że rozkazy były tam, nieusuwalną częścią jego.

Shalatar skończył powtarzać zasady po drodze z komnaty przywołania. Mistrzowie nie byli tutaj tym, czym w Eferem. Ril najprawdopodobniej nigdy nie zobaczy już tego człowieka. Zamiast tego będzie kłaniał się innym ludziom, a oni będą mu rozkazywać, zgodnie z wcześniejszym rozkazem Shalatar. Mógł wyczuć emocje mężczyzny wyraźniej, niż kogokolwiek, kogo mijali, tak jak mógł wyczuć każdego swojego mistrza. Właśnie teraz Shalatar czuł się... zaniepokojony.

Ril krzyczałby, ale oczywiście, to było niedozwolone. Zamiast tego czekał. Ostatnim razem, kiedy został związany, oszalał, będąc niepoczytalny, aż zobaczył narodziny Lizzy i odnalazł się kochając ją. Tym razem nie mógł pozwolić sobie na szaleństwo. Musiał martwić się o Leona i Lizzy, jakiegokolwiek pozostałe rozkazy wydali mu jego porywacze, dali mu zgodę na odwiedzanie harem i przebywających w nim kobiet. Znów ją zobaczy i zatraci się w niej, a do tej chwili wszystko, co musi zrobić, to przetrwać.

Shalatar wyprowadził go z placu, który otaczał schody. Ril nie czuł gorąca w sposób, w jaki czuł go Leon, ale zamrugał w jasnym świetle i rozejrzał się, żeby zobaczyć co schodzi w ich stronę. Wyglądało na zdobiony tor saneczkowy, tylko bez saneczkarzy. Niewidzialny powietrzny sylf utrzymywał go w górze, jej energia wirowała dookoła tego, zmniejszając się

lekko przy ziemi, przed nimi. Prowadzący, mężczyzna równie łysy jak Shalatar, uklonił się głęboko i otworzył drzwi.

Shalatar wszedł do środka i usiadł. Ril podążył za nim, ale przykucnął na podłodze przy nogach mężczyzny. Dla takich jak on nie było siedzeń. Normalnie podążyłby w swojej naturalnej postaci, ale oczywiście nie mógł już więcej tego robić i musieliby udzielić mu zezwolenia. Było szczęściem, że myśleli, że wcale nie może zmienić kształtu. Ril miał nadzieję, że będzie w stanie wykorzystać to przeciwko nim, jeżeli tylko znajdzie lukę w litanii służebności.

Teraz musiał kuć jak posłuszny czy pełen nienawiści pies u nóg swojego pana, a sanie unosiły się w powietrze, lecąc gładko i szybko ku miastu. W powietrzu było więcej sań, pędzących dookoła jak wielokolorowe pszczoły, a Ril spoglądał na ich dobrze odzianych pasażerów z pogardą. Oni wszyscy widzieli go jak coś gorszego niż nic, tylko towar, tak samo jak widzieli Lizzy jako kogoś, kto mógł zostać porwany i sprzedany, a potem wykorzystany jak dziwka, wbrew swojej woli.

Myśl o Lizzy przypomniła mu dotyk jej miękkiej skóry, jej zapach, ale odsunął to. Nie mógł zagubić się w myślach o niej, nie jeżeli chciał ponownie połączyć się z nią. Dźwięk jej zadyszanego sapnięcia do jego ucha odbił się w jego umyśle, jednak Ril przygryzł wargi, ściskając brzeg sań, aż drewno zaczęło odłamywać się.

- Uspokój się – powiedział Shalatar spoglądając na niego łagodnie. W mężczyźnie nie było strachu. Ril chciał uderzyć w niego swoją aurą nienawiści, ale zasady były surowe. Nie mógł wykorzystać swojej aury nienawiści, chyba, że na arenie. Ril zamknął oczy i próbował się odprężyć. Bez aury nienawiści, żeby zamaskować swoje emocje, Shalatar mógł je wyczuć.

Kiedy starał się uspokoić gniew i strach jakie czuł, mężczyzna wyciągnął rękę i rozczochrał jego włosy, głaskając go jak psa.

- Dobry chłopczyk – powiedział.

Lizzy była w jednej z alków, podskakując na łóżku i próbując nie martwić się. Mimo, że bardzo jej się to nie spodobało, zmusiła się do odrzucenia koszuli Rila i powrotu to swojej

muślinowej sukni. Jej piersi boleśnie odbijały się w niej, więc podtrzymywała je rękami, kiedy podskakiwała.

Tooie podskakiwał obok niej, wymachując rękami do tyłu i naprzód, obserwując. Lizzy dojrzała, więc jego spojrzenie, tak jak innych bitewników nie wprawiało jej w zakłopotanie. Poza tym, ciężko jej byłoby teraz nazwać się niewinną. Nie po tym, jak czuła usta Rila na swoich piersiach, jego ręce na udach, a jego wspaniałą jedwabną długość wsuwającą się głęboko w... Zadrżała i zauważyła, że Tooie wpatruje się w nią. Mógł wyczuć o czym myślała, przypomniała sobie i zaczerwieniła się.

- Przepraszam.

Jedna brew uniosła się, a jego oczy zaiskrzyły się śmiechem. Nie podskakując już dłużej, wykonał kilka wolnych gestów rękami i ramionami. Lizzy zatrzymała się również skupiona. Uczyla się ich języka gestów tak szybko, jak tylko mogła, ale nadal było wiele, czego nie rozumiała.

Tooie pokazywał prosto.

- Nie. Dobrze – odczytała. Powtórzył jeden z gestów i dodał drugi. – Nie. Przepraszam... Och, „Nie przepraszaj, to dobrze”?

Skinął głową.

Lizzy zaśmiała się, nadal mimo wszystko trochę zmieszana. Przygryzła wargi.

- Jak myślisz, co z nim zrobią? – zapytała.

Wzruszył i pokazał.

- Nie. Wiem. Pieniądze.

Pomyślała. To była prawda. Ril był dla nich wart zbyt dużo pieniędzy, żeby go zranili. Przygryzła wargi, nienawidząc tego tak bardzo, jak nienawidziła tego, że jest niewolnicą. Nic dziwnego, że Społeczność odeszła i odnalazła Dolinę Sylfów. Ludzi mogli czuć emocje swoich sylfów. Jak ktokolwiek nie mógł zrozumieć tego, co myślą, żyjąc właściwie? Oczywiście, ona była z ich gatunku, a zrobili jej to.

- Ludzi są okropni.

Tooie przekrzywił głowę na bok i uniósł ramiona, poruszając nimi w sposób jaki zrozumiała.

- Nie. Wszyscy. Ona. Dobrze.

Lizzy uśmiechnęła się.

- Naprawdę kochasz Eaphe, prawda?

Tooie skinął głową.

- Chcę. Jej. Jak. Ty. Jego.

Lizzy nie była pewna, co to miało oznaczać. Eapha i Tooie byli ze sobą od lat, a ona i Ril dopiero odnaleźli się. Może coś zgubiło się w tłumaczeniu.

- Dobrze - powiedziała z wymuszonym uśmiechem. – Upewnijmy się, że nie będą mieć powodu, żeby was rozdzielić – powiedziawszy to zaczęła podskakiwać znów na materacu, a po chwili on do niej dołączył.

Leon podążał za młodą kobietą z tawerny nie dlatego, że wyczuwał jakiegokolwiek zagrożenie z jej strony, a na pewno nie dlatego, że sam zamierzał ją skrzywdzić. Nie przypominała mu jego żony, ani żadnej z jego mnóstwa córek. Podążał za nią mając przeczucie i ponieważ potrzebował dowiedzieć się więcej o tym, jak działała tutejsza społeczność.

Skończyła swoją zmianę dobrze po tym, jak się ściemniło i skierowała się z restauracji w dół suchej kamienistej ulicy, zmieniającej się prawie natychmiast w długą, wąską aleję, prowadzącą pomiędzy budynkami. Brak słońca, które sprowadzało przerażające gorąco w ciągu dnia, teraz przyniósł lodowato chłodne powietrze i sprawił, że tylko kilkoro ludzi było jeszcze na zewnątrz. Młoda kobieta owinęła się szalem, kiedy szła, poruszając się tak szybko, jak tylko mogła, nie biegnąc.

Droga, jaką wybrała, była jedną z tych, przy których Leon zawahałby proponując ją komuś, kto nie był uzbrojony, ale pospieszył za nią po części dlatego, żeby nad nią czuwać. Ale ona jeszcze szybciej zagłębiła się w labirynt, który biegł do krańca miasta. Wkrótce podążał za nią, jak za jedyną możliwością wydostania się stąd. Co kilka stóp ukazywały się ciemne bramy, każda na tyle głęboka, żeby mógł ukryć się w niej człowiek, ale nikt nie skoczył na nią, nie w

tym miejscu. To musiało być z powodu obecności bitewników, zdecydował Leon. Mógł ich wyczuć wzlatających ponad nimi, obserwujących, wyczuwających i wiedział, że mogą zejść na dół w ciągu sekund, najprawdopodobniej żeby znaleźć wojowników na ich arenę, pomyślał nieprzyjaźnie. Ale miał powody, żeby być niemilym. W ciągu tych krótkich chwil, jakie spędził w więzieniu, porozmawiał z pozostałymi czterema ofiarami. Jeden ukradł trochę chleba. Drugi uciekł z klatek karmicieli, zanim wycieli mu język. Trzeci rzucił piasek na arystokratę, a czwarty nawet nie wiedział, dlaczego tu jest.

Dziewczyna doszła do przedmieść miasta, gdzie były zniszczone i sponiewierane mury, które utrzymywały z dala pustynię. Piasek przesypywał się górą, tnąc po oczach i bez trudu dostając się pod ubranie. Znała drogę, żeby przedostać się przez mury, kierując się na zewnątrz miasta. Leon w milczeniu podążył za nią, widząc po drodze, że nie była sama. Inni ludzie kierowali się również na pustynię, również z twarzami owiniętymi szalikami dla osłony.

Kiedy miasto lśniło za nim światłami i życiem, zauważył kilka chałup tak nędznych, że Leon nie miał pojęcia, jak przetrwały. Skulił się na myśl, że są też pewnie siedliskiem chorób. Rozglądając się tak daleko, jak tylko mógł w ciemności, zobaczył tuzin mieszkań zbudowanych ze stosu kamieni i postrzępionych tkanin, wiele budynków opierało się o większe budynki, więc przynajmniej były schowane przed wiatrem. Ogień unosił się nad otwartymi paleniskami, a ludzie zebrali się dookoła niego gotując i rozmawiając. Nie było tu wiele dzieci, ale Leon zobaczył kilkoro, biegających i bawiących się mimo późnej godziny.

Zawahał się na skraju światła obserwując, jak kobieta za którą podążał, dołącza do pozostałych, wyglądających jak rodzina. Wielu ludzi rzeczywiście tutaj mieszkało, nadchodząc z terenu miasta. Leon obserwował jak kobieta oddała swoje napiwki rodzinie, a potem wyciągnęła butelkę z wodą, która przeszła dookoła wzbudzając podniecenie. Widząc Leona jeden z nich zamachał do niego, żeby do nich dołączył.

Wzruszając ramionami, Leon zrobił to.

Ril leżał podobnie jak Shalatar, zgięty w pokłonie, na kolanach, pochylony z czołem na podłodze i ramionami wyciągniętymi obok. Podłoga była zrobiona z połyskującego marmuru, wypolerowanego tak, że mógł widzieć swoje własne pełne nienawiści odbicie, wpatrujące się w

niego, nie mając pozwolenia na uniesienie głowy i spojrzenie na kogokolwiek innego. Czuł jak cesarz idzie dookoła niego, skóra na karku zaswędziała go.

Fakt, że Shalatar był w tej samej pozycji dawał mu niewielkie pocieszenie. Mężczyzna był zadowolony z leżenia na twarzy w ten sposób, nawet zaszczycony. Ril pomyślał, że jeżeli pozostanie zbyt długo w tej pozycji to oszaleje, wziął głęboki wdech przytrzymał powietrze, a potem powoli je wypuścił. Nie był skłonny do działania w gniewie, nigdy nie był. Zastanawiał się powoli, planując pewne rzeczy i działał, kiedy był pewien. Znajdzie sposób wydostania się z tej sytuacji, wymyśli jakieś wyjście. Musi.

- Nie wygląda jakoś specjalnie imponująco, prawda? – Odezwał się cesarz do nikogo, skoro nikt nie ośmielił się odpowiedzieć. Był w średnim wieku, zbliżając się do chudości, równie lisy jak Shalatar, chociaż ponad uszami miał obwódkę z włosów. Szata, jaką nosił, była dużo bogatsza. Chociaż nie potrzebował tak wiele ubrania w tym gorącu. Powietrze w pałacu, do którego sprowadzono Rila, było delikatne jak w wiosenny wieczór w domu. Przynajmniej pół tuzina powietrznych sylfów było potrzebnych, żeby utrzymać taki chłód. Ril widział miejsce, do którego zastał sprowadzony. Było ogromne, sufit były o setki stóp ponad głowami i wszystko zbudowane było z marmuru i złota. Miejsce było ostentacyjnym, brzydkim i ogromnym marnowaniem przestrzeni. Wolał Dolinę Sylfów z ich komnatą bitewników, gdzie mógł spać w swojej naturalnej postaci, otoczony przez jego rój.

Nie myśl o tym, powiedział sobie. Nie myśl o tym, nie myśl o Lizzy. Nie myśl o rozerwaniu tego człowieka na strzępy, ponieważ Shalatar może to wyczuć, a cesarz ma kontrolę nad nim. Ten mężczyzna może rozkazać każdemu sylfowi w Meridal, żeby zrobił wszystko, a porównywanie do królowej sylfów sprawiało, że Ril chciał zaśmiać się gorzko. Kontrola cesarza była żartem, ale nadal utrzymywała Rila leżącego w pokłonie na podłodze, przyciśniętego do zimnego marmuru jak pies, o którym myśleli, że był.

- Nadal... - cesarza podszedł, dalej okrążając Rila. Zatrzymał się, a Ril poczuł pantofel mężczyzny na jego plecach, naciskający na niego, jakby chciał zobaczyć, czy upadnie na bok. – Było wspaniale obserwować go na arenie. Chcę zobaczyć go znów. Chociaż nie przeciwko bitewnikom. Postaw go przeciwko gladiatorom i zobaczymy, jak mu pójdzie. Tak – odsunął swój pantofel i znów okrążył Rila zanim wrócił do swojego tronu.

Kraniec jego szaty musnął twarz Rila, a Ril zasyczał pod nosem. Nie pozwalano mu mówić, ale nadal mógł wydawać niektóre dźwięki i zobaczył, że cesarz zatrzymał się

z zaskoczenia. Jako zwycięstwo było to nędzne, więc Ril nadal leżał spodziewając się kary, wiedząc że nadejdzie.

I nadeszła. Cesarz zrobił gest i na plecy Rila opadł pejcz. Gdyby to był normalny pejcz, nawet by tego nie poczuł, ale ten był utworzony przez bitewnika i uderzył go głęboko, wyrywając z niego jęk. Bicz opadł znów. A on znów jęknął.

Został uderzony tuzin razy zanim pojął lekcję, jaką chcieli mu wpoić. Właściwie nauczył się jej po czwartym uderzeniu, ale odmawiał przyjęcia tego w milczeniu, aż do dwunastego, kiedy poczuł, że jego energia krwawi mu z boku i zaczął obawiać się, że zginie tu, pobity na śmierć bez powodu. Kiedy pejcz opadł po dwunastym razie, Ril nie wydał żadnego dźwięku, nic. Wtedy zawahali się, a on nadal nie wydawał z siebie żadnego dźwięku, wpatrując się w swoje własne puste odbicie. – Dobrze – powiedział i powrócił na swój tron. – Możesz odejść.

Ril musiał być wywleczony.

Rozdział 18

Ludzie, których Leon spotkał po tym, jak podążał za Zalią z restauracji, byli najbiedniejszymi ludźmi, jakich kiedykolwiek widział. Mieszkali w swoich prowizorycznych rudrach, żyli w ciągłym strachu przed burzami piaskowymi, a także jadowitymi węzami i pajakami. W ciągu dnia gotowali się w gorącu, a zimno nocy powodowało choroby. Byli brudni, spoceni i śmierdzeli... najwyraźniej byli podstawą klasy pracującej Meridal. Byli zapomnianymi służącymi i robotnikami, których nikt inny nie widział.

Wielu z nich było uciekinierami z latającego miasta. Trzech mężczyzn, których Leon spotkał tej pierwszej nocy nie miało języka. Przynajmniej dziesięć kobiet było gwałconych w haremach, a potem zaprowadzonych do sprzedania jako niewolnice, a skoro nie zostały kupione, wygnano je na pustynię, żeby same przetrwały. Jak inni wygnani, niemile widziani w mieście, które samo było niemalże slumsami, dołączyli do obozujących poza murami, którzy wracali codziennie do miast, do pracy lub żebraniny. W każdym razie przebywanie poza granicami miasta sprawiało, że uniknęli zainteresowania władz miasta, czy bitewników. Najprawdopodobniej cieszyli się większą wolnością, niż mieszkańcy miasta.

Grupa przypomniała Leonowi kobiety i mężczyzn, którzy utworzyli Dolinę Sylfów. Najpierw byli biedakami z Para Dubh, zebraniymi razem, którzy wyruszyli do doliny Shale, żeby ułożyć sobie życie. Chociaż mieli tę przewagę, że mieli sylfy. Nawet bez przywództwa i załamani, idąc głęboko w pozbawioną życia Dolinę Shale, na początku zimy, która zapowiadała się na wyjątkowo ostrą, mieli więcej niż ci ludzie. Tutaj Leon widział takie choroby, od których odpadały nosy, tak ogromne rany na ludzkiej skórze, że zatracone były rysy twarzy. Dzieci wyglądające jak szkielety, a widział bardzo niewiele.

Mimo to powitali go. Każdy, kto przyszedł do rudr, był mile widziany tak długo, dopóki nie sprawiał kłopotów i Leon stał przy jednym z ognisk, grzejąc ręce, teraz zadowolony, że ma cieplejsze ubranie.

Spojrzał na kobietę, za którą szedł. Była jedną z nielicznych, która miała pracę.

- Więc pracujesz w mieście, żeby pieniędzmi wspomagać każdego?

Pochyliła głowę, zaczerwieniona, ale starszy mężczyzna obok niej odpowiedział.

- Przynosi nam wystarczająco, żeby starczyło na wodę i odrobinę jedzenia. To dobra dziewczyna - uśmiechnął się do niej.

Leon zastanawiał się, jak udaje jej się pozostać na tyle czystą, żeby wpuścili ją rankiem do restauracji.

- Bitewnicy nie poświęcają wam uwagi?

- Nie, proszę pana. Nie mają pozwolenia na wychodzenia poza mury. Żaden sylf tu nie przyjdzie.

To było interesujące. Jeżeli udało mu się wydostać pozostałych tą drogą, mógłby okrążyć miasto i wrócić do oceanu. Leon zastanowił się nad tym, już tworząc plany, potem westchnął. Plany na nic się nie zdadzą, jeżeli nie wydostanie przyjaciół.

- Skąd pan pochodzi? – zapytała Zalia. Była piękną dziewczyną, to najpewniej dlatego znalazła pracę, jednak nie na tyle piękną, żeby trafić do haremu.

- Z daleka – opowiedział jej. – Z miejsca tak daleko na północy, że w zimie pada tam śnieg – zobaczył wyraz ich twarzy, ale po tym jak im wytłumaczył, nadal nie był pewien, czy bardziej byli zdumieni myślą o śniegu, czy o padającym deszczu. Wszyscy używali tego samego podstawowego języka, ale nie wszystkie słowa były uniwersalne. Leon był pewien, że mieli dużo więcej słów określających piasek, niż kiedykolwiek wcześniej słyszał. – Moja córka została porwana i sprowadzona tutaj – ciągnął. – Umieścili ją w jednym ze swoich haremów.

Ojciec Zali wykrzywił się ze współczucia.

- Przykro mi to słyszeć. Może przeżyjesz, żeby znów ją zobaczyć.

Zrobił skomplikowany gest, który wydawał się życzyć szczęścia.

Twarz Leona stwardniała.

- Zobaczę ją znów, ponieważ zamierzam ją stamtąd wydostać.

Ludzie dookoła niego znieruchomieli w zdumieniu. W ich świecie nikt nie sprzeciwiał się cesarzowi. Leon nie miał wyboru, nie jeżeli jeszcze kiedykolwiek chciał zobaczyć swoją rodzinę.

Może ci ludzie mogliby mu pomóc. Nie w wejściu do haremu, do Rila i Lizzy, nie narażałby nikogo innego na ryzyko, nawet gdyby uważał, że to coś pomoże, ale ze swoją znajomością miasta mogliby go oprowadzić. Mogliby mu również wytłumaczyć jak to miejsce działa. Potem może uda mu się pokonać system.

Zalia i jej ojciec wyglądali na pełnych wątpliwości, kiedy zaczął zadawać pytania, ale to nie miało znaczenia tak długo, jak byli w stanie dostarczyć mu informacji i być jego przewodnikami. To było wszystko, czego teraz potrzebował. To i miejsce do spania. Mieszkanie tutaj było okropne, ale czasami zdarzało mu się sypiać w gorszych miejscach. A potem przypomniał sobie, gdzie śpi jego córka i przestał dbać o swój własny los.

Lizzy uniosła głowę z poduszki, kiedy usłyszała, że po drugiej stronie haremu otwierają się główne drzwi. Natychmiast wyskoczyła z łóżka i pobiegła, zmuszając się do zwolnienia do spaceru od niechcenia, kiedy wyszła z komnaty sypialnej do właściwego haremu. Bez względu na to, co tam się działo, musi zachowywać się tak, jakby jej na niczym nie zależało.

To nie był Ril. Lizzy zobaczyła jak wykładany jest wieczorny posiłek i westchnęła idąc w jego stronę z kilkoma innymi mieszkankami haremu. Dzisiejszej nocy było wielu bitewników, tak więc wiele alkierzy było zajętych, zasłony trzęsły się. Jeden bitewnik nawet brał swoją rozkosz na środku haremu, nie zważając na to kto patrzy, a może dlatego, że wołał właśnie tak.

Lizzy obeszła kopulującą parę, udając jak wszyscy inni, że nic się nie dzieje. Gdyby ona była na jej miejscu, a nie miała wątpliwości, że gdyby nie dziwna ochrona Rila, tak by się wydarzyło, wolałaby, żeby nikt na nią nie patrzył.

Nadal nie rozumiała, co takiego zrobił, żeby powstrzymać z daleka innych bitewników, chociaż stało się to, zanim znalazła się w tym miejscu. Nazwał ją swoim mistrzem, kiedy kochali się, ale jak to jest możliwe? Jej ojciec był jego mistrzem, zawsze nim był, a Ril zawsze zachowywał się, jakby tak było, nawet kiedy był jeszcze wolny.

Chociaż nigdy nie mógł uwolnić się od Leona. Mistrzowie byli mistrzami na całe życie, bez znaczenia jak wielu miał bitewnik, Leon zawsze będzie podstawowym, chociaż oczywiście Solie przewyższała go jako królowa. Ale nic z tego nie zrobiło z Lizzy mistrzyni, tak jak

kochanie się z nią. Potrzeba zaklęcia, żeby związać się z sylfem. Widziała je, nie były układane przez sylfy, nawet kiedy te przebywały w obecności królowej, nie rzucały tych zaklęć na siebie. Robili to kapłani z całym tym opracowanym szczegółowo kręgiem i pieśniami. Lizzy widziała to nie raz, czasami w obecności Rila, ale on nie mówił, ani nie robił niczego szczególnego. Ale w jakiś sposób zrobił z niej swoją mistrzynię. Zapewnił jej tutaj bezpieczeństwo. Sprawił, że czuła się bezpieczna. W rzeczywistości sprawił, że czuła się cudownie.

Pojawiła się Eapha, ciepło uśmiechnięta. Na jej wargach była wilgoć, a zapach jej skóry sprawił, że Lizzy zaczerwieniła się. Tooie był z nią dopiero co, a ona promieniała.

- Wiesz, kiedy wróci Ril? – zapytała Lizzy szeptem.

Eapha podeszła do stołu, wybrała sobie słodką bułeczkę i kilka owoców.

- Nie. W końcu wróci. Co innego mogliby z nim zrobić?

Lizzy wzięła miskę owsianki, ale nie powiedziała nic więcej, aż znalazły się w bezpiecznej odległości. Żadna z pozostałych kobiet przy stole nie była w kręgu uświadomionych bitewników i ich kochanek, więc byłoby głupie ryzykować, że ich sekrety zostaną odkryte. Nikt do tej pory nie zdradził kręgu, ale Eapha ostrzegła Lizzy, że pozostałe kobiety mogły zdradzić, żeby zyskać wolność. Mówiono, że Melorta, dowódca treserek, właśnie w taki sposób zyskała awans.

Doszły do rogu czarnej ściany. Ap krzyczała gdzieś niedaleko, jakiś bitewnik kochał się z nią. Kobieta uczciwie radowała się seksem. Lizzy była zdziwiona, że nigdy nie ochrypla.

- Rozmawiałam z Tooie – stwierdziła Eapha. – Mówi, że jesteś mistrzynią Rila. Był tego bardzo ciekawy, ale nie może porozmawiać z tobą, skoro twoje słownictwo nadal jest takie ubogie – uśmiechnęła się, wysoko na jej policzkach pojawiły się dołeczki.

Lizzy zaśmiała się zaczerwieniona.

- To wasza dwójka znalazła czas na rozmowę?

Eapka lekko ją pacnęła.

- Bądź miła. Mówię poważnie. Był naprawdę zainteresowany. Nie wiedziałam, że kobieta może być mistrzynią.

- Och, pewnie – powiedziała Lizzy, orientując się nagle, że nigdy nie rozmawiała z Eaphą o Dolinie Sylfów. Kobieta nie pytała. W tym miejscu nikt nie pytał nikogo o przeszłość. Tooie musiał rzeczywiście być bardzo tym zainteresowany, że Eapha zaczęła rozmowę.

- Bitewnicy wołają kobiety jako mistrzów – wytłumaczyła Lizzy. – W mnie w domu, wszyscy mają mistrzynie. Ril jest wyjątkiem. Jest bitewnikiem mojego ojca. Nigdy tego nie mówił, ale wszyscy wiedzą, że kocha mojego ojca – i mnie, ale tego nie dodała. – Ale wszyscy inni mają kobiety. Choć inne sylfy, nie bitewnicy, wydają się nie dbać o to, jakiej płci jest ich mistrz.

- Jak dziwnie – stwierdziła Eapha.

- Nie mamy również żadnych haremów. Bitewnicy śpią tylko ze swoimi mistrzyniami. Poza Rilem – dodała po zastanowieniu.

Eapha zaśmiała się.

- To rzeczywiście byłoby bardzo dziwne. Więc, nie jesteś mistrzynią Rila?

- Nie, przynajmniej nie świadomie. Ale mogę wyczuć, co Ril teraz czuje, a widziałam wszystkich. Nie chcą mnie. Ril chce.

- Więc o co chodzi Tooie? Strasznie narzeka, że brakuje mu słów – Eapha westchnęła. – Głupiutki chłopak. Spędził połowę naszego czasu pytając o to. Mogłabym urwać mu ucho – obie, ona i Lizzy zaśmiały się. To było świetne uczucie.

- Sama się temu dziwię – przyznała. Temu i tym snom... Miała tak wiele pytań, ale nie pozwalała sobie myśleć o tym, tak bardzo martwiła się o bezpieczeństwo Rila.

- Zapytasz Rila, kiedy wróci?

Lizzy zgodziła się gorliwie, nie zauważywszy, że po tym wszystkim może sobie nie poradzić.

Po audiencji u cesarza Ril został zabrany do uzdrowicielki. Nie krzyczeli na niego za jego bunt. Pewnie nie sądzili, żeby miało sens krzyczenie na psa? Uzdrowicielka położyła ręce na jego plecach, a on westchnął, kiedy zniknął ból.

Shalatar wyszedł w którejś chwili podczas uleczenia, a wraz z odległością, która zaczęła ich dzielić, świadomość jego osoby opadła, Ril łatwiej wyczuwał Lizzy, ponieważ ją kochał i Leona, po ponad dwudziestu latach zażyłości. Lizzy była rozbawiona, a Leon zdeterminowany, ale chociaż ich wyczuwał, nie mógł do nich przemówić. Nie z takiej odległości.

Co właściwie było w porządku. Nie chciał, żeby wiedzieli, co robił, kiedy wstał ze stołu, na którym leżał. Bez słów, opadł na kolana, pochylił się kłaniając się Pierwszemu bitewnych sylfów, mężczyźnie, którzy dowodził wszystkimi bitewnikami.

Pierwszy prychnął, rozbawiony gniewem Rila.

- Trochę odpuść – powiedział.

- Nowi często tak robią – odpowiedział pierwszy głos.

- No cóż, trudno powiedzieć, żeby był nowy. Czy ktoś znalazł jego mistrza?

- Nie, mój panie.

- Podwoić zespoły poszukujące. Chcę, żeby ten mężczyzna został znaleziony i zabity.

Kiedy Pierwszy obchodził go dookoła, Ril krzychał w cichym proteście przeciwko temu rozkazowi, piszcząc w złości do swojego pierwszego mistrza, próbując dosięgnąć go niewidzialną siłą swojego gniewu. Niebezpieczeństwo, myśliwi, uciekaj.

- Więc to on jest przeznaczony na arenę? Nie wygląda na takiego.

Wiem, głos Leona wydawał się dochodzić prawie zza niego. Jego spokój był uspokajający, a to zerwało kontakt między nimi.

- Zabierz go na karmienie – ciągnął Pierwszy. – Potem umieść go w haremie. Wypróbujemy go jutro wieczorem w walce, po tym jak inni bitewnicy poradzą sobie z najnowszymi więźniami. Może przed wyreżyserowaną walką pomiędzy bitewnikami. Tak, to będzie dobre wprowadzenie do tego układu, który wyćwiczyli Osiemnaście i Pięćdziesiąt-Dwa. Upewnij się, że karmiciele będą przygotowani dla niego zaraz po walce. Cholera, ten to będzie logistycznym koszmarem. Nie mam mężczyzn, którzy będą oprowadzać go cały czas, skoro nie może latać.

- Tak, mój panie.

Po wyjściu Pierwszego, Ril spojrzal na kobietę stojącą przed nim. Patrzyła na niego, ubrana w brąz z rzeźbionym wisiosem dookoła szyi. Zgodnie z rozkazami Rila, miała możliwość rozkazywania mu na kilka sposobów. Pierwszy miał więcej kontroli, ale ona miała jej wystarczająco, żeby zrobić co potrzebowała.

Ril skupił się na jej naszyjniku i wstał. Ponury, spojrzal na treserkę, która wpatrywała się w niego i potrzasała głową, mamrocząc coś o bezbarwnej skórze.

- Chodź – rozkazała w końcu, a Ril podążył za nią.

Poszli do cel karmicieli, Ril szedł o trzy kroki za nią. Treserka nie odzywała się, ale oglądała się do tyłu co jakiś czas, kiedy prowadziła go do specjalnej sekcji cel, wystawionych w kształcie sześciokąta, niedaleko wejścia do sali. W każdej celi znajdował się mężczyzna, a Ril wpatrywał się w nich z zaskoczeniem. Mógł żywić się nimi jak łatwo jak Leonem i Lizzy. Byli jego mistrzami, a on nawet o tym nie wiedział, rzucił zakłopotane spojrzenie na treserkę.

- Pożyw się – rozkazała brzmiać na znudzoną.

Nie brał tego pod uwagę. Nie spodziewał się, że będzie karmił się od Shalatar, chociaż mógł karmić się od Lizzy, gdyby było to niezbędne. Jednak tych sześciu mężczyzn... mógł wyczuć różnorakie smaki ich energii wypływające z nich, odbijające się wewnątrz jego pustego ciała.

Zranienie i późniejsze uleczenie pozbawiło go większości energii, więc zrobił krok w przód i przykucnął przy pierwszej celi i sięgnął na tyle, żeby położyć rękę na policzku karmiciela. Nie znał wcale tego mężczyzny, więc było mu łatwiej ciągnąć energię przy fizycznym kontakcie. Pił. Karmiciel patrzył na niego martwymi oczami. Jego energia również była martwa i w końcu Ril odsunął się, nie będąc pełnym, ale nie chciał dotykać już tego mężczyzny. Karmiciel nic nie czuł, jakby każda odrobina energii została z niego wyssana i pozostało tylko ciało. To było jak ususzanie śmierci i Ril splunął, zanim odsunął się.

Następny był młodszy, ale nie był dużo lepszy. Ril spróbował i zemdlilo go, zastanawiał się, czy to będzie go czekało do końca życia, pić pozbawioną życia energię, od pozbawionych życia mężczyzn w miejscu gdzie traktowano ich jak psy i bydło. Łyknął od trzeciego i odszedł, prawie już pełen, ale był pewny, że nie pozwolą mu przestać, aż pobierze energię od wszystkich.

Czwarty był najstarszy, jego energia była najbardziej pozbawiona smaku ze wszystkich i Ril poczuł mdłości na myśl o karmieniu się tą energią. Leon zawsze smakował tak kremowo i ciepło, a Lizzy świeżo. Zamiast tego musiał karmić się tymi cholernymi mężczyznami. Sprawiali, że cierpła mu skóra.

Przeszedł dookoła klatek, podchodząc od piątej, a wtedy zatrzymał się. Z drugiej strony krat wpatrywały się z niego brązowe oczy z równym rozpoznaniem i z obrzydzeniem. Justin siedział w celi, wściekły.

Ril był tak zaskoczony, że po prostu patrzył się, obaj byli cicho.

Potem Justin poruszył się, przesuając się na przód, wyrzucając pięść przez kraty prosto w nos Rila. Zszokowany Ril upadł za siebie, a jego treserka przeklęła, gwałtownie rzucając się do przodu. Kobieta była wystarczająco szybka, zanim Ril wstał, rozwścieczony, energia zamigotała boleśnie dookoła niego, uderzając Justina, jego klatkę, każdą inną klatkę w środku zmieniając w popiół.

- Na dół! – krzyknęła, uderzając Ril w plecy krótkim biczem, który trzymała. To był rozkaz. Energia Rila ulotniła się i jego czoło uderzyło o podłogę, z powrotem w tej samej upokarzającej pozycji, w jakiej leżał przed cesarzem.

Treserka skrzyła bicz w obu rękach i zaczęła krzyczeć na Justina nazywając go tysiącem głupców. Drzwi celi otworzyły się i Ril usłyszał, jak bije chłopca, nadal krzycząc, a Justin wrzeszczy, tak jak tylko może nie mając języka. Potem drzwi w końcu zamknęły się i Ril został chwycony za włosy i pociągnięty. Justin leżał skulony w klatce, z opuchniętą twarzą, jego nienawiść zastąpiona została przez przerażenie Rilem i kobietą, która go uderzyła. Nawet widząc dokładnie co zrobiono chłopcu, Ril nie czuł współczucia. Zadowolony wstał i wyszedł z cel karmicieli nie oglądając się do tyłu.

Jego treserka prowadziła go schodami i w dół korytarza, gdzie bitewnicy byli trzymeni we własnych celach, do strzeżonej komnaty przed haremem. Straże spojrzwały z ciekawością i kilkoro z nich ruszyło, żeby otworzyć drzwi haremu. Ril przeszedł przez nie natychmiast, a treserka zamknęła je za nim, nadal zirytowana. Nie żeby Ril o to dbał. Mógł wyczuć zapach kobiet i seksu, a także energię wielu bitewników. Instynkt podpowiadał mu, żeby z nimi walczył.

Zajęło mu chwilę zauważenie Lizzy. Siedziała z grupą kobiet grając w karty z trzema bitownikami wydającymi się ściągać z nich ubranie tam gdzie tylko mogli sięgnąć i ledwie na niego spojrziała. Nie wyczuwał w jej emocjach obojętności, jednak zrobił krok w przód.

- Witam wspaniały – powiedziała kobieta, obejmując go za ramiona i uśmiechając się uwodzicielsko. Zanim Ril zdołał zorientować się, co się dzieje, wciągnęła go do najbliższej alkowy, gdzie natychmiast go puściła. Jej twarz stała się nagle poważna.

- Lizzy mówiła, że nie miała szansy wyjaśnić ci, jak działa to miejsce, więc ja to zrobię, a jeżeli nie chcesz jej stracić, lepiej mnie wysłuchaj.

Ril otworzył usta, żeby zapytać ją, o czym mówi, ale nic z nich nie wyszło. Zirytowany chwycił się za gardło.

Kobieta westchnęła.

- To tyle, jeżeli chodzi o pytanie cię, jak udało ci się sprawić, że dziewczyna jest twoim mistrzem. Domyślam się, że zabronili ci mówić. Mam tylko nadzieję, że jesteś dobry w nauce mowy znaków – obejmując się ramionami powiedziała stanowczo. – Posłuchaj mnie. Mam na imię Eapha i mam ci wiele do powiedzenia.

Rozdział 19

Stał się ulubieńcem areny. Podczas dnia Ril walczył z ludzkimi gladiatorami, jakich posyłali przeciwko niemu, zabijając każdego przy okrzykach tłumu. Na noc jedna z treserek zabierała go z powrotem do haremu, gdzie spędzał czas z kobietami z kręgu Eaphy, kobietami włączonymi w tajemnicę, która zapewniała im wszystkim bezpieczeństwo. Tylko raz w tygodniu zabierał Lizzy do łóżka, wyciągał ją nonszalancko z grupy, jak robili to bitewnicy. Starał się nie myśleć, jak niebezpieczne było jego zachowanie, tak jak próbował nie myśleć o tym, co powiedziałby jej ojciec, gdyby się dowiedział.

Ale och, jak to było poczuć ją pod sobą! Lizzy płakała i lkała, jej uda zaciskały się dookoła jego bioder, wciągając go głęboko, kiedy całowała go, przyciągając do siebie z całą siłą jaką miała, żadne z nich nie chciało odejść. Och, to było wspaniale. Ciche, tak, ciche przy nim, skoro zabroniono mu mówić, ale równocześnie wspaniale. To, że mógł zapomnieć na ten czas o pozostałej męczarni, tylko na ten krótki czas, o którym wiedział, że zabraliby mu go, gdyby tylko wiedzieli, ile znaczy. Przelotny stosunek? Tak, na to mogli pozwolić. Ale miłość? Miłość tylko odciągałaby go od jego obowiązku.

Ten obowiązek stał teraz przed nim: trzech mężczyzn w przepaskach na biodrach i hełmach, owiniętych łańcuchami dookoła ciała, żeby ich chronić. Jeden miał sieć i włócznię, jeden miecz, a jeden halabardę.

Ril był nieuzbrojony, ubrany tylko w skórzane spodnie i buty. Mimo tego tłum krzyczał dla niego. Krzyczeli, a on mógł wyczuć ich ekscytację. Podekscytowanie tłumu sprawiło, że krew w nim zagotowała się, ale on wcale o to nie dbał. Jedyne czego chciał, to miękkiego ciała Lizzy pod sobą i jej przyjemności wyplakanej do jego ucha. Pół tuzina razy w miesiącu miał ją, ale nadal nie znalazł sposobu, żeby stąd uciec. Lizzy była jego ukochaną i jego mistrzynią, ale teraz miał tuzin mistrzów i żadnego sposobu, żeby ich nie posłuchać.

Trzej gladiatorzy rozdzieli się, okrążając go. Ril obserwował wiedząc, co mogą zrobić. Nie bali się, byli wyćwiczeni i doświadczeni w tym, czym byli, ale ich intencje były oczywiste dla kogoś, kto mógł wyczuć ich emocje, kto wylęgnał się i wyrósł specjalnie do walki. Nie byli dla niego zagrożeniem, ale jego mistrz o to nie dbał. Pierwszy rozkazał Rilowi zabić ich, ale dopiero po jakimś czasie, zadać cios gdy poczuje, że podniecenie tłumu osiągnęło szczyt. Ril wolalby zabić ich od razu, przeklinając zasady, a najchętniej ignorując je całkowicie. Chociaż to

nie było jego zdanie, zlorzeczył, że rozkazano mu stać się mordercą. Bo właśnie tym to było, morderstwem bez powodu, poza czymś chorym pragnieniem, było to kpina z tego, czym naprawdę był. Ril nienawidził tego, ale nie mógł nie posłuchać Pierwszego, tak jak i Shalata, chociaż nie widział go już więcej po tym pierwszym dniu.

Gładiatorzy otaczali go, a Ril pozostał na swojej pozycji, czekając. Mężczyzna z halabardą zaatakował, uderzając swoją bronią prosto w pierś Rila. Ril zszedł z drogi, zamachnął pięścią, uderzając w podstawę ostrza na tyle, żeby roztrzaskać ją. Tłum zawył z aprobatą.

Mężczyzna z siecią obrócił się i wyrzucił ją, ale Ril łatwo odskoczył. Wylądował blisko trzeciego gladiatora, który zamachnął się włócznią. Ril odchylił się, włócznia minęła jego kręgosłup tylko o cale, a kiedy gladiator machnął nią starając się uderzyć w jego nogi ostrym końcem włóczni, skoczył na krótko stając na rękach, a potem z powrotem opadł na nogi. Tłum to uwielbiał.

Ril nienawidził walczyć w ten sposób. Gdyby wszystko było normalnie, po prostu rozkrwawiłby wszystkich trzech uderzeniem fali, ale nie wiedział, czego spodziewali się po nim dzisiaj. Mógł zmienić postać na bardziej skuteczną, lub zmienić rękę w broń, ale to kosztowałoby go wiele wysiłku, a ci ludzie nie wiedzieli, że jest zdolny zmienić postać. Był tego pewien, ponieważ nie nakazali mu tak jak innym bitownikom żeby utrzymał tą postać. Ril nie wiedział, kiedy wykorzysta tę przewagę, ale nie chciał stracić jej na zwykłą walkę na arenie.

Ta szczególna walka przypominała mu wszystkie treningi z Leonem na Południowej Tancerce. Jak łatwo mężczyzna powalił go, pomimo wielkiej szybkości Rila i jego siły. Po tych wszystkich łatwych zwycięstwach, które osiągnął, kiedy zaczął walczyć na arenie, jego porywacze podwyższyli stawkę. Ci mężczyźni byli prawie tak dobrzy jak Leon. Mimo to Ril nie czuł strachu. Ten był zarezerwowany dla tych, o których troszczył się, nie dla niego.

Mężczyzna z halabardą znów do niego dobiegł, odwrócił swoją broń i teraz rozkolysał ciężką metalową kulę, znajdującą się po przeciwnym końcu niż ostrze. W tym samym czasie człowiek z włócznią uderzył w nogi Rila. Każda broń uderzyła z przeciwnej strony, a on podskoczył wysoko, przeskakując ponad przeciwnikami i lądując bezpiecznie, podczas kiedy tłum nadal krzyczał z aprobatą.

To był ten sam trik, jaki wykorzystał przeciwko Osiemdziesiąt-Dziewięć, a kilka razy we wcześniejszych walkach, Ril wyczuł ich pewność siebie, kiedy lądował, więc natychmiast

zanurkował na bok. Sieć gladiatora uzbrojonego w miecz opadła dokładnie w miejscu gdzie stalby. Natychmiast skoczył na równe nogi, warcząc i cofając się.

Trzymając się blisko siebie, na tyle, żeby Ril nie mógł przebić się przez nich, gladiatorzy przesuwali się w przód, zaganiając go w tył, w stronę jednej z wolno stojących ścian. Ril wyczuł to i zawarczał, jego wargi odsunęły się ze zbyt ludzkich zębów i uderzył swoją nienawiścią.

Wyrzucił z siebie swoje całkowite obrzydzenie do nich i usłyszał krzyki tych na trybunach, którzy byli na tyle blisko, żeby to wyczuć, ale gladiatorzy nie zatrzymali się. Mógł wyczuć ich spokój i ich skupienie, a także pewność, że jeżeli nie pokonają go, zginą. Przy doświadczeniu jaki mieli, jego nienawiść nic nie znaczyła.

Ril rzucił krótkie spojrzenie na łożę cesarza. Mężczyzna obserwował niewzruszenie. Nie przejmie się, jeżeli Ril zginie. Po prostu znajdzie nowego ulubieńca areny.

Ril syknął i skoczył za mur. Uderzył w środek ramionami tak mocno, jak tylko mógł. Kamienie zadudniły, ale mur nie upadł, więc uderzył w niego znów, czując jak coś w jego ramionach przesunęło się, kiedy ciężkie kamienie upadły. Ale nawet kiedy rozbiły się upadając na piasek z ogłuszającym grzechotem, przez pył jaki poszedł na trzech gladiatorów, przebiła się broń. Mieli wystarczająco czasu, żeby cofnąć się.

Ril odskoczył do tyłu, a jego plecy uderzyły w drugą ścianę na arenie.

Wyjąc, ludzie ponad nim rzucali w niego jedzeniem i piciem, a to było już za wiele. Ril ryknął z nienawiści i skupił się. Ściana mocy wybuchła przed nim, rozsadzając cel przed sobą jak niewidzialna pięść olbrzyma. Uderzyła w mężczyznę z halabardą, który rozpadł się, rozlewając wszędzie krew i wnętrzności. Jego głowa, nadal w helmie, odbiła się dalej kończąc na piasku, twarzą w górę, wpatrując się w niebo.

Ale wykorzystanie energii wyczerpało Rila. Mimo, że tłum oszalał, upadł na jedno kolano z przenikliwego bólu. Dwaj pozostali gladiatorzy zawahali się, ale Ril ledwie mógł ruszać się i nie mógł uderzyć w nich ponownie. Gdyby nie odskoczyli, trafiłby w ich wszystkich.

Nie pozwól im się zbliżyć.

Ril wzdrygnął się, kiedy słaby głos rozległ się w jego głowie. Tylko jedyna osoba знаła go na tyle dobrze i długo, żeby mówić wprost do jego umysłu bez niego, jako rozpoczynającego rozmowę, a i on mógł to robić tylko wtedy, kiedy był niedaleko. Ril przesłał

swoją świadomość mężczyźnie, ale nie słowami. Te zostały zapomniane, nawet w jego umyśle. Ril mógł tylko wysłać emocje, a tą którą przesłał, była ulga.

Biegnij, powiedział głos.

Ril pomknął. Odrzucając dumę pobiegł, sieć gladiatora wylądowała tuż za nim, za drugim razem prawie łapiąc jego nogi. Przebiegł za murem z niesamowitą prędkością, nie mając pojęcia, co właściwie robi.

Walcz z nimi z odległości, rozkazał Leon.

Ril przesłał mu znak rozzłoszczenia. Jak on spodziewał się, że to zrobi? Nie miał żadnej mocy, żeby w nich uderzyć, a ta ucieczka pozbawiała go resztki sił. Dwaj ocalali gladiatorzy wrócili do głównej części areny, trzymali się w takiej odległości od siebie, żeby nie stanowić pojedynczego celu. Ril przebiegł dookoła ściany areny, będąc teraz daleko od nich, zaczynał już słabnąć. Jego ramię bolało, jakby coś w nim zostało potłuczone jak w mózdzierzu.

Uderzaj w nich kamieniami, dotarła do niego sugestia Leona.

Ril spojrzal na mur, który rozwalil. Lezał rozwalony na tuzin części, na krańcach pokruszył się gruz, który mógł być wystarczająco mały. Nigdy nie walczył z nikim rzucając w niego czymś masywnym, ale mógł sobie przypomnieć lata wcześniej, jak Mace uderzył w niego kamieniem tak mocno, że przebił mu skrzydło. Prawie o tym zapomniał. Leon najwyraźniej nie.

Skręcając oderwał się od muru, pomknął przez arenę w stronę rozbitej ściany i dwóch gladiatorów. Przygotowali się, a ten z siecią zarzucił ją, ale Ril przebiegł zygzakiem dookoła tego z włócznią. Gladiator uderzył ostrzem, a Ril zasyczał czując ciecie na biodrze. Coś, co nie było zupełnie krwią popłynęło mu po boku, ale ciecie nie było głębokie, więc minął ich, zatrzymując się przy murku. Tłum wyl, wszyscy stali na nogach.

Mur nie był jednak rozbity na odpowiednie kawałki. Ril podniósł kawałek, rozkruszając go na części odpowiedniego rozmiaru, kiedy gladiatorzy zaatakowali może domyślając się, co chce zrobić. Ril nie dbał o to. Podniósł odłamek wielkości dłoni, zamachnął się i wyrzucił go tak mocno, jak tylko mógł. Uderzył w mężczyznę z mieczem i siecią z taką siłą, że kamień przeszedł przez jego pierś i wyszedł z tyłu zrzucając go z nóg i powalając na piasek.

Gladiator z włócznią nadal atakował, a drugie uderzenie Rila trafiło w piasek u jego stóp. Mężczyzna skoczył i pchnął krzycząc, ale Ril zszedł z drogi i obrócił się. Przez chwilę stali

obok siebie, Ril odskoczył w tył, jego przeciwnik rzucił się w przód uderzając włócznią. Zobaczyli się nawzajem kątem oka, a potem Ril warcząc uderzył łokciem, miażdżąc helm mężczyzny i wszystkie kości w jego twarzy. Kości rozprysły się, wbijając się do jego mózgu i oczu, a gladiator upadł.

Ril zatrzymał się dysząc. Czuł się okropnie, ale zmusił się do spojrzenia na ryczący tłum. Nie dbał o nich, ani o cesarza, który powoli klaskał, nadal zadowolony ze swojego ulubieńca. Zamiast tego sięgnął po Leona i w końcu zobaczył go na najtańszych miejscach, ciasno owiniętego szatą. Wyczuł od niego ulgę.

Ril wpatrywał się w swojego mistrza, przesyłając mu swoją wdzięczność. Wiedział, że Leon żył, nie było sposobu, żeby tego nie wyczuł, ale nie wiedział nic więcej. Teraz, biorąc pod uwagę swoje spełnione fantazje dotyczące córki tego mężczyzny... zaczerwienił się.

Chociaż Leon nie wydawał martwić się nim. Wyglądał dobrze. *Wszystko z tobą w porządku?* przesłał mężczyzna, jego głos był dużo wyraźniejszy teraz, kiedy Ril skupił się.

Ril potrząsnął głową. Wszystko, co mógł przesłać, to uczucie znużenia.

Wrota areny otwarły się, wyszły treserki, żeby go zabrać. Melorta, dowódca treserek, szła pierwsza promieniując aprobatą. Oddychając ciężko Ril pozwolił, żeby grupa otoczyła go, wszyscy uklonili się cesarzowi sprawiając, że musiał pokłonić się na ziemi, zanim poprowadzili go w stronę cel, gdzie zostanie nakarmiony i odpocznie przed następną walką, jeżeli taka będzie. Ril miał nadzieję, że nie.

Ril, mam plan, żeby cię wydostać, przesłał Leon. *Nadal pracuję nad uwolnieniem Lizzy. I Justina. Nie wiem nawet czy on nadal żyje.*

Marszcząc brwi, Ril przesłał tak krótki wizerunek jak tylko mógł, Justina w klatce z wyciętym językiem. Wiedział, że udało mu się, a przynajmniej częściowo, ponieważ wyczuł przerażenie Leona. Potem wszedł pod ziemię w chłodne powietrze cel i połączenie zostało przerwane.

Rampa obniżała się ostro, więc musiał odchylić się do tyłu, żeby utrzymać równowagę. Potem znalazł się w ogromnej stajni wykorzystywanej jako dom dla bitewników. Kilku z nich rozpoznawał z haremu, ale żaden z nich nie był tutaj w takiej samej postaci, w jakiej pojawiał się tam. Ril zobaczył Tooie w postaci czegoś w rodzaju ogra, ciężkiego i odrażającego,

spokojnie mijającego go, kiedy kierował się w stronę rampy. Chociaż oznaczało to, że jego walki na ten dzień zakończyły się, nie pozwolił sobie na ulgę. Nie będzie zdolny odczuwać ulgi, aż przybędzie Leon i walki skończą się na zawsze.

Wprowadzono go do jego celi, ekskluzywnej celi ze ścianami zrobionymi z ciężkiego drewna przywiezionego zza oceanu, ale sięgającego tylko na dwadzieścia stóp w górę. Mógłby z łatwością wspiąć się i przejść przez nią, gdyby nie było mu to zakazane. Cella była kwadratem dużym na jakieś trzydzieści stóp, zrobiona żeby zrobić miejsce dla większych form bitewników, jakie przybierali zazwyczaj na arenie. Tooie był uważany za małego ze swoimi dziesięcioma stopami. Ril był malutki. Osiemdziesiąt-Dziewięć, jak domyślał się musiał być w tym miejscu ściśnięty. Podłoga była marmurowa, ale zdrapana pazurami, Ril czuł się tam tak, jakby był jakimś rodzajem konia.

Wszedł do środka ignorując trzygłowego bitewnika w następnej celi. Przynajmniej przynieśli mu łóżko, skoro nauczyli się, że musi przespać się prawie po każdej walce. Po ciężkim pojedynku pozostawiali go na całą noc. Oczywiście, czasami następnego dnia szedł do haremu, a Lizzy była niespokojna. Nie wiedziała, gdzie Ril szedł, kiedy ją opuszczał, a on nie chciał, żeby wiedziała. Chociaż nic nie mógł poradzić, że musiał spać. Nawet teraz ledwie mógł utrzymać otwarte oczy.

Ale najpierw musiał zrobić coś innego. Trzy klatki karmicieli były umieszczone po jednej stronie jego celi, ze skulonymi mężczyznami w środku. Zanim zdołał do nich dojść, otwarły się drzwi i weszła niewolnica z ręcznikami i ubraniem. Spojrzenie miała utkwione w podłodze, a za nią szedł wodny sylf. Wszystkie sylfy elementarne w tym miejscu przybierały postać kolumny, czy czymkolwiek były, nawet bez numerów na nich, żeby odróżnić je jeden od drugiego. Były zmuszone do pracy bez przerwy, nawet bez złudnego poczucia wolności, jakie bitewnicy otrzymywali w haremach.

Emocje tego sylfa były przepelnione przygnębieniem i samotnością, kiedy czekała na niewolnicę, aż ta ściągnie z niego ubranie, potem oplukała go swoją wodą, podgrzewszy ją jedynie tyle, żeby nie zmrozić jego mięśni. Ril zamknął oczy i cieszył się tym, rozkładając ramiona, podczas kiedy niewolnica obmywała jego ciało i włosy pachnącym szamponem. Delikatnie czyściła jego skórę.

Kiedy był czysty, sylf oplukał go, a niewolnica natarła go pachnącymi olejkami. Ril ziewnął, bardziej niż gotowy żeby zasnąć. Wszyscy bitewnicy byli tak traktowani, a on nie chciał

przyznać, jak bardzo to lubi. Potrzebował tego, skoro nie mógł dłużej zmienić się w dym i błyskawice i powrócić czystym i uzdrowionym, jakby nigdy nie walczył.

Kiedy był już nasmarowany olejkiem, niewolnica nałożyła balsam na ranę na boku Rila i na ramionach. Pomogła mu ubrać nowe ubrania, pachnące kwiatami pustyni i opadające luźniej niż te skórzane, w których walczył. Były zrobione z jedwabiu, widniał na nich znak cesarza, pokazujący jego troskę o swojego ulubieńca. Klaniając się głęboko, niewolnica cofnęła się, za nią wodny sylf. Słoma pokrywająca podłogę nawet nie zamokła.

Ril otrząsnął się, czując się bardziej normalnie, ale nadal wyczerpany, podszedł do klatek karmicieli. Czasami wstrzymywał się i czekał na Lizzy, tylko udając, że karmi się energią mężczyzn, ale teraz był za bardzo zmęczony, żeby dbać o to, jak jałowo smakują. Klękając przy klatce pierwszego sięgnął ręką przez kraty i położył dłoń na ramieniu mężczyzny. Pił porządnie, zgarniając energię i wciągając ją w siebie. Zazwyczaj jeden wystarczał mu, ale dzisiaj był wyczerpany, a jego ramię nadal bolało, więc podszedł do następnego, jeszcze bardziej żałując odżywczej energii Leona po tym, jak usłyszał jego głos. Jego mistrz będzie próbował go ocalić, wiedział to, ale szczerze mówiąc nie wiedział, jak Leonowi może się to udać. Wypił od drugiego karmiciela, a potem, chociaż zazwyczaj tego nie robił, tym razem podszedł do trzeciego.

Justin. Oczy obwiedzione na czerwono i gorzkie spojrzenie, chłopak wpatrywał się w niego z nienawiścią. Jego energia również była gorzka, ale Ril zmusił się, żeby i tak ją wypić, nie pozwalając sobie na warczenie. Justin był więźniem tak samo jak i on, o ile nie bardziej. Ril powiedziałby mu o Leonie, gdyby mógł, ale skoro nie mógł, podszedł do łóżka. Opadł na nie i natychmiast zasnął.

Mając nakazane pozostawić go w spokoju kiedy śpi, treserki pozwoliły mu odpocząć. Ril był nieprzytomny przez resztę dnia i noc.

Z tyłu jego zagrody wycięte było szerokie okno. Za opłatą pensa, ludzie mogli zejść na dół i oglądać zamkniętych bitewników. Przybywały tłumy, żeby zobaczyć dziwnego nowego sylfa, podglądać go przez brudne szkło, ale podczas kiedy podobala im się jego kąpiel, zwłaszcza kobietom, nie zainteresował ich śpiący mężczyzna. Inni bitewnicy byli dużo bardziej wstrząsający.

Jeszcze tylko jeden mężczyzna wpatrywał się przez chwilę w Rila, kaptur miał naciągnięty na farbowane włosy i spokojną twarz. Przypatrywał się bitownikowi i trzem karmicielom uwięzionym najbliżej. Potem wyciągnął rękę i uderzył w okno. Dźwięk rozległ się głośnym echem po celi.

Najbliższy karmiciel spojrział i jego oczy rozszerzyły się. Leon szybko położył palec na ustach i wskazał w stronę swojego bitownika, chcąc dodać Justinowi nadziei. Nic więcej nie mógł zrobić w tej chwili. Poza... korytarz którym przeszedł był pusty, zwiedzający poszli obserwować Dwieście, który zabił najnowszą grupę więźniów. Ich krzyki rozlegały się w korytarzu, rozchodząc się echem przez wentylatory wycięte w kamieniach, więc Leon miał szansę kilkakrotnie głośno zawołać „Ril!”

Jego sylf nie obudził się, ale poruszył się, przesuwając się przez sen bliżej w stronę wołania. Ril nadal odpowiadał na niego, pomimo rozkazów, których musiał teraz słuchać. Leon uśmiechnął się szeroko i odszedł, z oczami wbitymi w ziemię, jak inne osoby niższej klasy. Wyszedł z areny, tuż obok strażników bitowników, który nie zwrócili uwagi na jego spokojne, zrelaksowane myśli. Przepuścili go, nawet mimo tego, że był poszukiwany, a on powoli szurał nogami w swoich starych, pożyczonych sandałach, ani trochę się nie spiesząc.

Idąc na peryferia miasta, wkrótce znalazł się tam, gdzie żyli zapomniani, a sylfy nigdy nie docierały.

Rozdział 20

Sylf znany poza haremem jako Dwieście, a jako Tooie przez bliskich mu ludzi, nie musiał wypełniać obowiązków strażnika. Było wystarczająco wiele sylfów, które robiły tylko to, pozostawiając jemu jako jedyne zadanie walkę na arenie. Dzięki temu jego rozkazy były trochę inne. Nigdy nie powiedziano mu, żeby szukał niebieskookiego, blondwłosego mężczyzny, blakającego się po wewnętrznej części miasta. Mógł przyjść i odejść, kiedy chciał, pod warunkiem, że przybędzie na arenę i do haremu w wymaganym czasie, a to pozostawiało mu trochę wolnego czasu. Tylko troszeczkę.

W środku nocy Tooie podniósł głowę z łóżka, które dzielił z Kiałą, jedną z kobiet z kręgu i kochanką Czteryście-Siedemnaście. Czteryście-Siedemnaście był w innej alkwie z Lizzy. Eapha spała samotnie w głównej komnacie sypialnej.

Tooie uniósł się w ciszy i podszedł do kotary. Ostrożnie, żeby nie obudzić Kiali, która pochrapywała ze stróżką śliny spływającą jej po podbródku, wyrztał na zewnątrz, ale nie zobaczył nikogo. Wszyscy pozostali bitownicy byli w alkowach, a kobiety były z nimi, lub spały. W tym miejscu nie było prawdziwego dnia i nocy, ale wszyscy wydawali się i tak zwalniać w późnych godzinach. Włączając w to treserki. Tooie nie mógł wyczuć żadnej z nich podglądającej przez wizjery.

Wykorzystał sposobność. Przybierając swoją naturalną postać, chmurę energii z czerwonymi oczami i ogromnym pyskiem pełnym utworzonych z błyskawic zębów, rozszerzył swoje ogromne skrzydła, ale nie poleciał jak jakikolwiek ptak na tym świecie. Zamiast tego wznosił się w górę, wciskając delikatnie do szybu, który mógł wyprowadzić go z haremu. Wszedł do niego wyjątkowo ostrożnie, były tam umieszczone dzwonki, które rozlegały się u treserek, żeby zapowiedzieć jego odejście.

Alarm pozostał cichy, kiedy go mijal, Tooie stał się całkowicie bezcielesny. Spiesząc się, przeleciał spiralą w górę, przez zagięte przejście, przez które mogłyby przedostać się szczury, ale nie kobiety, chociaż znał kobiety, które próbowały. Żadne nie przedostała się za dzwony. Eapha sugerowała to samo, ale odradził jej to. Nigdy nie wydostałaby się ta droga. A co gorsze, gdyby próbowała, zgodnie z jego rozkazami musiałby ją powstrzymać.

Tooie przedostał się przez półmilowy tunel, minął odgałęzienie, które zaprowadziłoby go do cel karmicieli, a zamiast tego wydostał się na zewnątrz. To była jego luka czasowa, musiał

być na arenie i w haremie w pewnym określonym czasie, ale do cel karmicieli mógł udać się, kiedy tylko chciał, nie było żadnych ograniczeń co do tego, jak długo tam pozostanie. Ani nie miał dokładnych rozkazów, zmuszających go do udania się dokładnie tam. A skoro karmił się dzisiaj, nie był nieposłuszny rozkazom. Nie wiedział, ilu bitewników korzystało z tej drogi i nie dbał o to. Ale jednego był pewien, że jeżeli jeden z nich wyda ten sekret, rozkazy ich wszystkich ulegną zaostrzeniu. Nie stanie się to, jeżeli nikt go nie zobaczy, więc uniósł się w ciemność bardzo ostrożnie, starając się, żeby zarówno z nieba i ziemi widać było tylko jego ciemną powłokę. Wielka latająca wyspa, cytadela unosila się w górze, zasłaniając gwiazdy tak jak zasłaniała słońce. Przeleciał w jej cieniu, mijając inne sylfy, wypełniające własne zadania. Kilka z nich знаło go, zamigotali, ale żaden z nich nie próbował zatrzymać go, czy porozmawiać. Nie było to dozwolone. Chociaż mógł wyczuć ich niedolę. Ale nawet gdyby mógł, nie chciał z nimi porozmawiać. Nic nie mógł pomóc.

Po siedemdziesięciu latach przyzwyczaił się nie mówić. Język znaków, którego nauczył się, był wystarczający, ale teraz marzył, żeby móc mówić, lub żeby ten Siedemset-Trzy mógł używać znaków i powiedział mu jak sprawił, że Lizzy była jego mistrzem. Lub kto to dla niego zrobił. Ludzie tutaj robili mistrzów z tych, których zmieniali w karmicieli, po zniszczeniu ich tak, że nie byli w stanie wydać żadnego rozkazu, ale żaden z karmicieli, który służył bitewnikom nie był kobietą. Nikt nie związał dziewczyny z jednym z nich. Takie było prawo. Jak więc Siedemset-Trzy to zrobił? I skąd wziął się w nim wzór królowej? Oni wszyscy utracili tą więź, kiedy przekroczyli bramę, a Tooie nawet nie wyobrażał sobie jakiegokolwiek królowej, która przeszłaby tu sama.

Przypatrywał się bliżej Siedemset-Trzy, starając się rozwiązać zagadkę, analizował wzory drugiego bitewnika, aż znalazł je równie dobrze jak własne. Analizował też ten jeden w Lizzy. Nie mógł zorientować się, jak został utworzony, co doprowadzało go do szaleństwa. Gdyby tylko mógł zrozumieć Siedemset-Trzy, zmusić go do powiedzenia jak tego dokonał, to Tooie mógłby zrobić z Eaphy swojego mistrza. Chociaż nie mógł porozmawiać z Siedemset-Trzy. Rozkazy tego zabraniały, a jego wrodzony wstręt... Za każdym razem, kiedy dwóch bitewników zbliżyło się do siebie, odzywała się ich wrodzona nienawiść do siebie nawzajem. Leciał przez miasto, zły na Siedemset-Trzy i zły na siebie za swoje własne ograniczenia. Tak wiele pragnął, a tak mało mógł. Takie było właśnie życie wszystkich bitewników. Przynajmniej miał miłość, powiedział sobie. Ale to nie wystarczało. Był jej tak głodny, że nigdy nie miał dosyć.

Obniżył lot przez noc, unosząc się nad krajem miasta, lękając się upaść na mur, który oznaczał początek pustyni. Dalej, przy światłach małych ognisk majaczących w ciemności, mógł zobaczyć wzory energii w zwykłym obozie włóczęgów, tak wyraźnie jakby szli w świetle dnia. Nie mógł iść do nich i nie miał zamiaru. Wzdłuż muru, na piasku, rosły kwiaty. Kwiaty, które kochała Eapha. Zdobywał je dla niej, kiedy tylko mógł, chociaż musiała na nie bardzo uważać, niszczyć je, zanim ktokolwiek je zobaczy, ale zbieranie kwiatów było zawsze warte tej chwili jej radości.

Tooie znalazł trzy rosnące za murem. Sięgnął po nie macką i ostrożnie przyciągnął je do tej części swojej powłoki, gdzie przechowywał spodniki. Jednak chciał dać jej lepszy bukiet. Tak więc sięgnął swoimi zmysłami, przeszukując życie na piasku. Odnalazł prawie śpiące skorpiony i węże. Senną jaszczurkę. Dzieci, kobiety, mężczyzn...

Wyczuł kwiaty prawie na skraju obozu i znów sięgnął macką, żeby je zerwać. Nie mógł opuścić miasta, ale też nie zamierzał. Po prostu sięgał najcieńszą częścią siebie, nawet nie zmieniając kształtu, żeby tego dokonać, skoro było to zabronione. Dosięgając kwiatów, owinał je swoją macką, wyciągając je z piasku i cofnął. Tutaj oderwał korzenie i kwiatek dodał do pozostałych.

Przydałby się jeszcze jeden, zdecydował i rozejrzał się znów, szukając swoimi zmysłami. Nie było ich wiele. Ten teren oczyścił już dokładnie, a i same dzieci w obozie też lubiły zrywać kwiaty. Może przeoczyły jeden, pomyślał i zalał cały obóz swoją świadomością.

To wtedy go wyczuł. Tooie drgnął, myśląc gorączkowo przez jedną chwilę, że Siedemset-Trzy był w tym obozie, a potem że była tam Lizzy. Ale żadna z tych rzeczy nie miała sensu. Skupił swoje instynkty bitownika i dopiero wtedy wyczuł wyraźnie wzór. To był mężczyzna, którego wyczuł wewnątrz Siedemset-Trzy. Więż była mocniejsze niż ta z Lizzy i odrobinę słabsza niż więz z królową. Z pewnością mocniejsza niż jakakolwiek więz z karmicielami wewnątrz Tooie. Tooie nigdy nie czuł czegoś takiego. Nagle zaczął zastanawiać się, czy to ten mężczyzna związał Siedemset-Trzy i Lizzy. A jeżeli tak, to może ten obcy będzie mógł zrobić to dla niego i Eaphy.

Tooie nie mógł wejść na piasek, ale sięgnął macką po ten wzór. Atakując smagnął na oślepiec przez ciemność.

Leon zamyślony siedział i sączył kawę, którą kupił. Przed nim siedział Xehm, ojciec Zali z ustami wykrzywionymi z błogości. Leon domyślał się, że minęło wiele czasu odkąd Xehm kosztował kawy, czy chociażby żywności takiej, jaką mu przyniósł.

Nie kupił wiele. Leon miał tylko klejnoty i monety, które dała mu Solie. Ocalały, ponieważ miał je ukryte w bucie, kiedy ich pojmano. Strażnicy najwyraźniej zamierzali ściągnąć ubranie ze zwłok, skoro nawet ich nie obszukali. Część musiał zaoszczędzić, żeby móc opłacić powrót do domu, ale nie mógł pozostawić tak tych ludzi. Nawet kiedy tak wielu z nich pracowało, byli bliscy głodowania. Nie podobał mu się pomysł pozostawienia ich w nędzy, ale musiał być realistą. Nic nie mógł zrobić. Musiał skupić się na swoich własnych problemach i mieć nadzieję, że znajdzie rozwiązanie.

Żeby być uczciwym, pomyślał, to dzięki ludziom Xehma miał więcej wiadomości o tym cesarstwie, niż kiedykolwiek odkryłby sam, włączając w to fakt, że Ril większość czasu każdego dnia spędzał w miejscu, do którego miał dostęp! Chodzenie na arenę było ryzykowane, ale to ryzyko musiał podjąć po to, żeby samemu zobaczyć Rila, a także by określić stan bitewnika. Wiedział, że sylf był bardzo ograniczony. Pytanie było tylko jak bardzo.

Teraz Leon znalazł rozwiązanie swoich problemów, a jeżeli mylił się, zginie. To dlatego Xehm i pozostali rozglądali się po całym mieście robiąc mapy, których potrzebował Leon, na papierze jaki kupił i obserwując arenę, ucząc się koniecznych rozkładów. To dlatego kupił im jedzenie i kawę, chociaż nie było to konieczne. To byli dobrzy ludzie, oni również stracili rodziny na rzecz niewolnictwa, cel karmicieli czy haremów. Byli zdesperowani, pomyślał i marzył, żeby móc zrobić więcej.

- Dobrze? – zapytał Xehma.

- Och, tak – odetchnął mężczyzna. – Nie piliem kawy od dwudziestu lat – głęboko wdychał zapach z kubka. – Jaka dobra!

Leon zaśmiał się. Pozostali, którzy siedzieli z nimi opowiadając sobie historie uśmiechnęli się szeroko.

Większość kobiet, w tym Zalia poszła już spać. Musiały wstać wcześniej. W tym kraju większość kobiet miała zatrudnienie służąc jako służba domowa i kelnerki. Większość prac wykonywanych przez mężczyzn wykonywanych było przez sylfy. Były niektóre męskie zajęcia, ale tylko krótkoterminowe i zazwyczaj brutalne. Xehm pracował w rzeźni, zabijając zwierzęta

na targowisko, to była jedyna praca, jakiej nie wykonywały sylfy, chociaż byli niektórzy bitewnicy, którzy mogliby. To Zalia utrzymywała rodzinę. Jej matka dawno temu została wzięta do haremu, a jej młodsza siostra zachorowała i umarła. Wszyscy ci ludzie mieli podobną historię.

Leon zadrzał w zimnym nocnym powietrzu, a Xehm wydawał się tego nie zauważać.

- Będziecie wszyscy trzymać się jutro z daleka od areny? – zapytał Leon. Jeżeli pomylił się, nie chciał, żeby komukolwiek z nich stała się krzywda.

Postać mężczyzny tańczyła w świetle ognia, kiedy wpatrywał się zachwycony w swój kubek.

-Dobrze – powiedział. – Chociaż drzwi, których będziesz potrzebował, muszą zostać otwarte – Dzięki Zali i kilku innym kobietom i mężczyznom.

- Dziękuję. Po prostu upewnij się, że nikt tam nie pójdzie.

- Nie. Zostaniemy w domu - Xehm uśmiechnął się swoim bezzębnym uśmiechem. – Zobaczymy się później.

Leon znów uśmiechnął się, chociaż mógł nie wrócić. Nie jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem. Oczywiście ten plan włączał Rila, odwiedzającego go we śnie po rozkazy. Leon czekał na to od wielu dni, ale tak się nie stało. Teraz skoro Ril zobaczył go, była duża nadzieja, że sylf przybędzie dzisiejszej nocy. Ale Leon nie mógł czekać dłużej, wkrótce będzie musiał przyjąć inne sposoby działania. Już udowodnił, że może prowadzić Rila na arenie, więc mógł zaryzykować powrót tam i powiedzenie co ma zrobić, ale... Ril nie będzie szczęśliwy z tego powodu.

- Nikt nie powinien cię kłopotać – Leon powiedział Xehmowi. – Nie mogę tego przyrzec, ale nie ma powodu żeby podejrzewali...

Wąska czarna macka w ciszy przeleciała nad piaskiem. Zatrzymując się przez chwilę, nadęła się i wyciągnęła, stała się cieńsza, podczas kiedy poruszyła się do przodu, ponad skałą, na której Leon siedział i owinęła się dookoła jego nogi. Zacisnęła się i pociągnęła. Leon krzyknął, kiedy został szarpnięty z siedzenia, prawie ładując twarzą w ognisku i pociągnięty prosto w ciemność. Za nim, Xehm wskoczył na równe nogi, krzycząc z przerażenia, a pozostali poderwali się również krzycząc. Więcej krzyków rozległo się z ruder.

Leon chwycił piasek, który rozrywał mu ubranie i skórę, gdy był ciągnięty jak ryba na żyłce. Odbił się wysoko ponad krawędzią, dysząc i prawie tracąc oddech, kiedy opadł w dół i obrócił się na piasku, ciągnięty nieubłaganie w stronę przetykanej błyskawicami chmury unoszącej się tuż ponad murami miasta. Wpatrywała się w niego czerwonymi oczami, szczerząc ogromne zęby.

- Niech to szlag – przeklął Leon, w jakiś sposób udało mu się wyciągnąć sztylet, który kupił przy okazji, gdy kupował papier. Siadając i czując, jak jego spodnie rozdierają się pod nim, chlasnął czarną linę owiniętą dookoła jego nóg. Odpadła, a on poślizgnął się zatrzymując.

Bitewnik zaryczał z bólu. Wstając na nogi, Leon zaczął uciekać.

Pojawiło się na raz pół tuzina macek, owijając się dookoła jego ramiona, nóg, pasa szyi i Leon przez chwilę zobaczył przerażenie na twarzy stojącego na brzegu obozowiska Xehma, zanim został poderwany z nóg i szarpnięty do tyłu.

Ziemia po prostu oddaliła się. Bitewnik unosił się, zorientował się Leon, leciał niewiedomo na jakiej wysokości, zabierając go ze sobą. Leon zobaczył błysk spodu latającej wyspy cesarza, a potem bitewnik owinał go kompletnie, wciągając go do środka swojej powłoki. Ciepło i ciemno, na tyle solidnie, żeby ustrzec Leona od wypadnięcia.

Leon leciał już tak wewnątrz Rila, jeszcze zanim Ril utracił zdolność zmiany kształtu. Chociaż nie widział powodu, żeby powiedzieć wtedy swojemu bitewnikowi, teraz wiedział po tamtej wycieczce, jak podatny na ciosy ze strony pasażerów stawał się sylf. Leon utracił swój sztylet, ale wyciągnął teraz miecz, mając zamiar rozciąć na wylot przez przednią część ciała bitewnika, w której ta istota utrzymywała swoją świadomość. Nie był pewny, czy byłby z stanie zabić w ten sposób tą istotę, tak jak nie był pewien, czy w ten sposób nie zabije siebie, kiedy bitewnik zniknie dookoła niego, ale im dłużej czekał, tym większe ryzyko.

To zapach powstrzymał go. Ze wszystkich rzeczy, wewnątrz bitewnika wyczuł zapach kwiatów. Sięgnął w dół, macając po podłodze, aż poczuł lodygi i miękkie płatki. Bitewnik natychmiast odsunął je delikatnie, jakby obawiając się, że je uszkodzi.

Leon oparł miecz o ramię. Trudno uderzyć w bitewnika, jeżeli ma coś takiego.

- Nie porywasz mnie, prawda? – zapytał.

Nie było odpowiedzi, ale poczuł wahanie istoty.

Leon przycisnął wolną rękę do boku powłoki, która go podtrzymywała.

- Naciśnij raz na tak, a dwa na nie.

Bitewnik nacisnął dwukrotnie o jego dłoń.

- Nie. Nie, nie porywasz mnie, czy nie, porywasz mnie?

Leon prawie usłyszał jak bitewnik wzdycha.

To nigdzie nie prowadziło. Leon obniżył miecz.

- Porywasz mnie?

Dwa naciśnięcia.

- Zwrócisz mnie?

Dwa naciśnięcia.

Czego mógł chcieć od niego bitewny sylf, jeżeli nie zamierzał go zwrócić?

- Jesteś przyjacielem Rila? -zapytał.

Najpierw chwila zawahania, potem dwa powolne naciśnięcia. W pewnym sensie nie?

- Jesteś przyjacielem Lizzy? – zapytał powątpiewając.

Jedno gwałtowne naciśnięcie.

Oczy Leona rozszerzyły się, zapomniał o mieczu.

- Czy wszystko z nią w porządku? Przysłała cię, żebyś mnie poszukał?

Jedno naciśnięcie, po chwili dwa.

Leon zmusił się do uspokojenia. Jakikolwiek był powód działania tego bitewnika, nie miał pozwolenia na mówienie o tym, lub nie mógł wcale mówić. To nie będzie łatwe.

- Proszę, postaw mnie na ziemi – poprosił Leon.

Bitewnik poszybował niżej, przesuając się. Leon poczuł jak jego nogi uginają się pod nim i zdołał wylądować prawie na wyprostowanych na drodze niedaleko końca miasta, chociaż daleko od miejsca, w którym byli wcześniej. Nie widział ognisk obozu wygnańców. Kwiaty

upadły na ziemię obok niego, a Leon pochylił się i podniósł je. Wyciągając rękę podał je bitewnikowi.

- Proszę.

Macka owinęła się dookoła lodyżek kwiatów i wciągnęła je do wnętrza chmury.

Leon stał na drodze, wpatrując się w bitewnika. Ciało bolało go w miejscach, w których otarł się o piasek. Bitewnik był niemalże rozmiaru małego domu, lśniące czerwone oczy wpatrywały się w niego. Usta miał zamknięte, ale mimo to mógł dostrzec błyskawice. To połyskujące światło poruszało się szybko, nauczył się już, że jest to oznaka cierpienia.

- Nie możesz mówić, prawda? – zapytał Leon.

Chmura cofnęła się, wyrzucając dwie macki tak grube jak ramiona. Szybko wykonał serie gestów.

- Czekaj – powiedział Leon. – Nie rozumiem. - Czy to był jakiś rodzaj języka gestów? Jeżeli tak, nie miał czasu nauczyć się go. – Próbujesz do mnie przemówić, prawda?

Bitewnik sięgnął macką i uderzył go w obojczyk na tyle mocno, żeby pchnąć go o krok w tył.

Tak? Dobrze.

- Czy to język sylfów? – zapytał Leon.

Dwa stuknięcia. Leon spodziewał się, że rankiem będzie cały posiniaczony.

- Czy Lizzy rozumie ten język?

Dwa powolne uderzenia. Niezupełnie.

Leon popatrzył na istotę, jego myśli wirowały.

- Jeżeli Lizzy nie rozumie, to czy jest ktoś kto rozumie? Ktoś kto może powiedzieć Lizzy co ty mówisz?

Jedno bardzo gwałtowne uderzenie. Leon skrzywił się i roztarł ramię poruszając ręką.

- Proszę, postaraj się mnie nie zabić – rozejrzął się. – Chodź za mną.

Bitewnik podążył za nim jak jakiś rodzaj ogromnego, demonicznego zwierzęcia. Leon poszedł wzdłuż wewnętrznych murów miasta w stronę obozu. Zajęło mu to prawie dwadzieścia minut. Miał szczęście, że bitewnik nie skierował się do środka miasta, domyślał się, że kiedy chcą mogą poruszać się przerażająco szybko, musiałby wtedy przejść przez miasto. Wtedy którykolwiek z setek bitewników patrolujących miasto mógłby go zauważyć. Leon domyślał się, że bitewnik chwycił go impulsywnie i po prostu szukał cichego miejsca, żeby porozmawiać. Ale na pewno tego nie wiedział.

Powrócił do obozu, w którym nadal było zamieszanie. Przekroczył pokruszone mury Meridal.

- Zaraz wrócę – obiecał bitewnikowi i skierował się prosto przez piasek, mając nadzieję, że istota nie będzie niecierpliwa. Zaczynał robić się za stary, żeby być wleczonym tam, gdzie ten stwór chce.

Kiedy wszedł w okrąg światel ognisk, oczy Xehma rozszerzyły się ze zdziwienia, a Zalia pobiegła z krzykiem.

- Żyjesz!

- Tak – Leon uniósł rękę, starając się wymyśleć jakieś wytłumaczenie, które nie zajmie mu godziny, a w końcu opuścił ją. – Dajcie mi kilka minut, dobrze? Muszę coś zrobić.

Podszedł do swojego plecaka i wyciągnął kartkę papieru, którą kupił żeby przygotować mapę, razem z rysikiem. Zabierając jedno i drugie, skierował się prosto do muru. Xehm i kilku pozostałych podążyło za nim, ale na widok bitewnika zareagowali paniką. Leon miał nadzieję, że nie uciekną od niego kiedy wróci.

Bitewnik obserwował jak Leon wspina się na mur i siada z papierem na kolanach.

- Możesz przysunąć się bliżej? – poprosił. Kiedy stwór zrobił to, blask błyskawic pozwolił Leonowi zobaczyć list który pisał do swojej córki, proszący żeby zapytała dokładnie, o co chodzi bitewnikowi. Nie napisał jej o swoich planach, ani nie podpisał się, ale Lizzy pozna jego pismo. Kiedy skończył, owinał papier dookoła rysika.

- Zabierz to do Lizzy – powiedział bitewnikowi. - Napisze mi to, o co chcesz mnie zapytać. Oddasz mi to. Będę tutaj jutrzejszej nocy. Rozumiesz?

W odpowiedzi bitewnik prawie zepchnął go z muru. Stworzenie odleciało, w podnieceniu zabierając papier.

Leo usiadł, wyraźnie pewien, że jest poraniony, obtarty i pełen piasku. Ale Lizzy będzie w stanie przesłać mu pytania tej istoty. Może będzie zdolna odpowiedzieć mu na inne pytania o rzeczy, których musi się dowiedzieć.

Wydaje się, że Ril będzie musiał poczekać jeszcze jeden dzień na ratunek. Miał tylko nadzieję, że tych jeszcze jednych dni nie będzie zbyt wiele. Leon westchnął, wstając sztywno, ruszył w drogę powrotną do obozu.

Tooie skierował się z stronę haremu, płonąć od nadziei. Nie był w stanie porozmawiać z mężczyzną, przez chwilę wściekł się na myśl, że nie może się porozumieć, ale obcy też był zdeterminowany, żeby im się udało. Teraz musiał wytłumaczyć Eaphie na tyle, żeby Lizzy mogła napisać jego pytania. Nigdy nie rozumiała, co próbował jej wytłumaczyć, ale może ten człowiek zrozumie. Może był na tyle mądry, żeby domyśleć się, o co chodzi, cokolwiek zostanie napisane. Tooie miał nadzieję.

Dotarł do budynków sylfów i wleciał w dół tunelu, uważając nawet teraz, żeby nie poruszyć dzwonami. Najpierw poleciał do cel karmicieli, nie miał wyboru, musiał wypełnić dane mu rozkazy, ale ledwo łyknął energii od śpiącego mężczyzny, zanim powrócił do haremu. Unosił się przy krawędzi rury, czekając. To był okropny czas, zanim ostatnia kobieta chwiejąc się opuściła łóżko w alkowie, a treserki obserwowały jej drogę. Potem Tooie opuścił się w dół do dążąc do swojego celu.

Czteryście-Siedemnaście uniósł głowę, kiedy Tooie przybył do alkowy i zawarczał, budząc Lizzy, ale Tooie zignorował syczącą złość innego sylfa. Zmieniając postać na humanoidalną, podał swoją przesyłkę dziewczynie, gestami nakazując jej czytać, podczas kiedy w drugiej ręce trzymał bukiet dla Eaphy. Czteryście-Siedemnaście ogłuszony wpatrywał się w nich oboje. Papier nie był czymś często widzianym w haremie, skoro większość dziewcząt nie umiała czytać, ani pisać. Dodatkowo mógł być wykorzystywany do zapisywania planów ucieczki, ale ten list tylko pytał o więź Lizzy i Rila. Nie było tam nic, co podchodziłoby pod rozkazy zapobiegania ucieczkom kobiet, a przynajmniej Tooie w to wierzył, starając się za

bardzo o tym nie myśleć. Czteryście-Siedemnaście spoglądał powątpiewająco, ale Tooie zignorował go. Z zasady nie lubił Czteryście-Siedemnaście, ale drugi sylf nie był głupi. Skoro wiedział, co się stało, mógł chcieć pomóc, jeżeli połączy się go tą samą więzią z Kiałą.

Mrugając sennie oczami, Lizzy wzięła pergamin i usiadła, jej oczy rozszerzyły się. Obaj bitownicy poczuli jej nagłą radość, kiedy rozpoznała pismo i patrzyli ze zdziwieniem, jak zaczęła płakać.

Rozdział 21

Drżąc Lizzy czytała list. Nie był podpisany i nie był dokładnie zaadresowany do niej, ale znalazła pismo swojego ojca. Rozpoznała pętelkę w każdej literce l i s. Wydawało się, że nie jest w stanie pisać w prostej linii. Tekst zmniejszał się ku końcowi kartki, aż literki na końcu stawały się bardzo małe, żeby pomieścić wszystko.

Ten, który przyniesie ci ten list, ma jakieś pytanie, na które chce uzyskać odpowiedź, ale nie może mnie spytać. Dowiedz się, o co chodzi i napisz mi na drugiej stronie. Napisz mi również gdzie jesteś i jak tam jest. Jak wielu ludzi cię strzeże. Jak wiele jest tam kobiet. Jakich rozkazów bitewnicy muszą słuchać. Wszystko, co przyjdzie ci do głowy. Nawet najmniejszy szczegół może być ważny.

A najważniejsze, powiedz Rilowi, żeby odwiedził mnie w swoim śnie. Muszę z nim porozmawiać.

Nigdy nie zapomnij, że cię kocham i nie zostawię cię tutaj. Nigdy.

Lizzy zapłakała. Ojciec przyszedł po nią.

Skoczyła na nogi, objęła ramionami szyję Tooie i pocałowała go mocno w rozciągniętą skórę w miejscu, w którym powinny być usta. Natychmiast Czteryście-Siedemnaście zaczął machać ramionami, pokazując, że on też chce pocałunek, jakby pocałunki można było wręczać, więc pocałowała również jego. Mogła pocałować każdego bitewnika tutaj, tak dobrze się czuła. Marzyła, żeby Ril przyszedł dzisiejszej nocy, żeby mogła mu powiedzieć.

- To mój ojciec – poinformowała obu bitewników, ocierając łzy z oczu. – On i Ril przybyli, żeby mnie odnaleźć. Jestem taka szczęśliwa – popatrzyli na siebie nawzajem, a Tooie wskazał na list i wykonał serię gestów, których nie rozumiała. Czteryście-Siedemnaście również zrobił kilka, tak jak Dwieście. Jego ruchy były bardziej gwałtowne i obaj zaczęli wykonywać coraz to bardziej rozszoszczone gesty.

- Przestańcie! – powiedziała Lizzy, zanim zdarzenia wydostaną się spod kontroli. – Nie rozumiem żadnego z was. Potrzebujemy Eaphy.

Tooie skinął głową. Skierował się ku wyjściu z alkowy, czekając przez kilka minut przy kurtynie, wystawiając głowę. Kiedy odszedł, Lizzy przeczytała jeszcze raz list od ojca, podczas kiedy Czteryście-Siedemnaście zaglądał jej przez ramię.

- Umiesz czytać? – zapytała.

Potrząsnął głową.

- Ril umie. Nauczyłam go, kiedy nie mógł mówić. To tak rozmawialiśmy ze sobą – znów wytarła oczy. – Jestem taka szczęśliwa, że ojciec jest tutaj – Czteryście-Siedemnaście trochę niezgrabnie poklepał ją po ramieniu, a ona uśmiechnęła się do niego.

Tooie wślizgnął się z powrotem do alkowy, prowadząc za sobą Eaphę. Kobieta pocierała oczy, a jej włosy były zmierzwiłone od snu.

- Co się dzieje? – zapytała niewyraźnie

- Mój ojciec przysłał mi list – wytłumaczyła Lizzy. – Tooie go przyniósł.

Eapha zamrugła i popatrzyła na bitewnika ze zdziwieniem. Wzruszył ramionami i wykonał długą serię gestów, a na końcu wręczył jej bukiet kwiatów. Oczy Eaphy zamglily się. Przycisnęła nos do kwiatów wachając je. Tooie rozpromienił się szczęśliwy, a Lizzy ukryła uśmiech.

Podnosząc głowę, Eapha usiadła na kolanach Tooie, nadal trzymając swoje kwiaty i objęła go ramionami za szyję. Czteryście-Siedemnaście uspokoił się trochę i usiadł za Lizzy, więc ona też mogła usiąść. Przeczytała list cichym, pełnym zdziwienia głosem. Jej ojciec był tutaj, tak silny i niezrażony jak zawsze. Zawsze była pełna szacunku dla niego, kochała jego siłę, tak jak jego delikatność. Był zdolny zrobić wszystko. Tak zawsze myślała jako mała dziewczynka i teraz to uczucie wróciło. Jej ojciec mógł ocalić ich wszystkich.

Jednak nie przeczytała całego listu, pamiętając co Eapha powiedziała jej o rozkazach bitewników, dotyczących kobiet próbujących ucieczki. Opuściła wszystko, co ojciec napisał jej o informacjach dotyczących haremu i strażników. Gdyby to przeczytała, obaj Dwieście i Czteryście-Siedemnaście musieliby zwrócić się przeciwko nim, bez znaczenia jak bardzo złamałoby to ich serca. Przekazała tylko wyrazy miłości od ojca i jego pierwszą prośbę.

- Jakie Tooie ma pytanie? – zapytała na końcu.

- Nie wiem – Eapha odchyliła się, żeby móc widzieć ręce Dwieście, a on przez długi czas wykonywał gesty, czasami poprawiając siebie i okazując frustrację. Czteryście-Siedemnaście próbował dopytać się o jedną rzecz, ale Tooie zamachnął się na niego.

Eapha położyła rękę na jego ramieniu i spojrzała na Lizzy.

- Ciężko to wytłumaczyć. Nie ma na to znaków, ale próbował mnie już wcześniej o to spytać, po tym jak Ril znalazł się tutaj. Nie mogłam mu odpowiedzieć.

- O co chodzi? – zapytała Lizzy.

Eapha poklepała usta i spojrzała w dół z westchnieniem, gładząc płatki kwiatów.

- Chce wiedzieć, w jaki sposób stałaś się mistrzynią Rila. To zrozumiałam, ale później chce wiedzieć skąd Ril ma... więcej niż mistrza? Na to nie ma słowa.

Lizzy zamrugła.

- Nie jestem mistrzynią Rila – ale on twierdzi że jest. Ale sądziłam, że mówi w przenośni.

Tooie wykonał serię rozzłoszczonych gestów.

- On mówi, że jesteś – przetłumaczyła Eapha. – Mów, że Ril kocha się z tobą prosto przez twoją duszę.

Lizzy zaczerwieniła się.

- Podsluchujecie?

Tooie i Czteryście-Siedemnaście spojrzeli na nią wzrokiem, który nie potrzebował żadnego tłumaczenia: byli empatami, oczywiście, że podsluchiwali. Lizzy przyłożyła dłoń do płonącego policzka.

- Jeżeli jestem mistrzynią Rila, to nie wiem jak to się stało – ale mogła wyczuć, co on czuł. A on mógł odnaleźć ją we śnie i wysledzić ją. – Nie wiem!

Czteryście-Siedemnaście zrobił kilka gestów.

- A co z więcej niż mistrzem? – zapytała Eapha.

Lizzy nie miała najmniejszego pojęcia o co chodzi, ale próbowała się domyśleć. Czy mieli na myśli jej ojca? Nie wydawało jej się. Był mistrzem Rila, tak jak karmiciele, nawet jeżeli nie byli w stanie wydawać rozkazów.

- Może chodzi im o królową? – powiedziała zamiast tego.

Obaj bitewnicy wpatrywali się w nią, ich oczy rozszerzyły się, a każdy mięsień ich ciała napiął się. Eapha spojrzała na nich, najwyraźniej zdziwiona. Powoli, Tooie skinął głową.

- To Solie – wytłumaczyła Lizzy. – U mnie w domu, to znaczy tam skąd pochodzę, jest dziewczyna o jakieś cztery lata starsza ode mnie. Miała być poświęcona, żeby zawiązać więź z bitewnikiem, tak jak przy was dwóch, ale udało jej się uwolnić, a Heyou, to jej bitewnik, skończył zamiast tego związany z nią. Za pierwszym razem kiedy kochali się, wszystkie sylfy w pobliżu stały się częścią wielkiego roju. Ril został do niego wciągnięty później. To ona musi być tym więcej niż mistrzem, jakiego wyczuwasz w Ril. Ona kontroluje wszystkie sylfy w dolinie.

- Mówisz poważnie? – sapnęła Eapha.

Dwaj bitewnicy byli wyraźnie wstrząśnięci. Tooie nawet drżał, jego ręce zacisnęły się pod brodą. Czteryście-Siedemnaście wpatrywał się w sufit, nie poruszając się.

- Tak – Lizzy patrzyła to na jednego, to na drugiego, przypominając sobie, jak szaleni na punkcie Solie byli bitewnicy w domu. Koło niej był zawsze więcej niż jeden, a pozostali sprawdzali co jakiś czas, czy wszystko z nią w porządku. Lizzy uważała, że ją doprowadziłoby to do szaleństwa. – Jest naprawdę miła, ale jej rozkazy mają pierwszeństwo. Sylfy słuchają jej, nawet przed swoimi mistrzami.

Słyszac to Tooie pochylił się naprzód, prawie zrzucając Eaphę z kolan. Chwycił na chwilę Lizzy za ramiona, a potem puścił ją, żeby wykonać kilka gestów. Jeden z nich rozpoznała: Jak.

Jak to zrobili? domyśliła się. To tego chciał się dowiedzieć. To chciał wiedzieć od początku, nie będąc zdolny zapytać. Jak sprawili, że stała się królową?

Lizzy patrzyła się na niego, a potem na Eaphę. Dwaj bitewnicy drżeli, ich piersi ciężko unosiły się. Pozostali bitewnicy odciągnęli zasłonę, zaglądając do alkowy, przyciągnięci przez ich cierpienie. Kobiety również przyszły, skoro bitewnicy podnieśli się i przybiegli.

Jak wiele treserek było świadomych tego zdarzenia? Jak wiele przychodzi może w tej chwili?

- Nie wiem – sapnęła Lizzy. – Może ojciec wie. On wie prawie wszystko. Może Ril wie, ale nigdy mi o tym nie mówił. Nie może mówić, a ja nie mam żadnych bloczków, żeby go zapytać – ukryła twarz w dłoniach. – Nie mam żadnych bloczków.

Leon szedł powoli przez piasek w stronę miejsca w obozie wygnańców, które wybrał sobie, kiedy chciał, żeby zostawiono go samego, miejsca gdzie mógł przez chwilę odpocząć. Wszystko go bolało. Bitewnik pozostawił mu poranione nogi i bok. Miał zdartą skórę i posiniaczony policzek. Poczul nawet smak krwi w ustach.

Piasek czuł wszędzie, więc wszedł głębiej na pustynię, gdzie położył pozostałe zakupione przez siebie rzeczy, rozebrał się ostrożnie, krzywiąc się z bólu i otrząsnął swoje podarte ubranie. Następnie wziął butelkę wody, jaką dał mu Xehm i zamoczył róg koca. Zwilżonym kawałkiem oczyścił się tak porządnie, jak tylko był w stanie w półmroku. Świtało już, słońce było widoczne na krawędzi piaskowych wydm, ale powietrze nadal było zimne.

Leon zasyczał, kiedy ubranie zadrapało jego rany, większość z nich były to zadrapania, chociaż kilka z nich było głębokich. Kamyk wbił się w jego biodro, więc musiał użyć miecza, żeby go wydostać. Następne cięcie przy żebrach wyglądało kiepsko i nie chciało przestać krwawić. Mając nadzieję, że wypłukał cały brud, Leon odciął długi kawałek koca i zabandażował ranę. Wkrótce nie pozostanie mu za wiele z koca.

W końcu oczyściwszy się jak tylko mógł, ubrał się i położył, powoli opuszczając się na piasek. To, co pozostało z jego koca, złożył i podłożył sobie pod głowę jak poduszkę. Wydma piasku, koło której leżał, osłoni go przed słońcem przez większość poranka, a kiedy nie będzie go już osłaniać to i tak będzie musiał wstać.

Zaburczało mu w brzuchu, ale zamknął oczy. Bitewnik poranił go i podrapał, a on nadal czuł mdłości po uderzeniu adrenaliny do jego organizmu. W pierwszej chwili był całkowicie przerażony, nawet jeżeli nie stracił nad sobą kontroli, bał się nawet teraz. Czego chciała ta istota? Bitewnicy woleli nie zadawać się z mężczyznami, chyba że był to mężczyzna, którego

znali i któremu ufali, lub jeżeli nie mieli innego wyboru. Tylko Heyou u nich w domu szczerze lubił mężczyzn, rozmyślnie wybierając byłego trapera Galwaya, żeby został jego mistrzem, obok Solie. I Ril, oczywiście. Zawsze Ril.

Leon wziął głęboki wdech i rozluźnił się, piasek z wydmy lekko unosił się obok niego. Myślał o swoim bitewniku, kiedy zasypiał, śnił o Ril i zorientował się, że stoi wierzchołku góry otaczającej Dolinę Sylfów. Góry, które oddzielały dolinę od Para Dubh, wznosiły się za nim, purpurowe i błękitne.

Ziemia pod jego stopami była jałowa i kamienista, przetykana tylko uschłymi szarymi roślinami, ale sama Dolina, która właściwie była kanionem wykutym w masywie Shale Plains była bujna i zielona.

Rozciągały się przed nim łąki i pola z pszenicą i kukurydzą. Było tam kilka drzew, ale były małe, nie miały więcej niż sześć lat. Nawet jezioro lśniło na jednym końcu.

Kiedyś to miejsce było jałowe, jak reszta okolicy, zniszczone wieki temu w wojnie, której nikt nie pamiętał, skoro nikt jej nie przetrwał. Sylfy elementarne doprowadziły dolinę znów do życia, pracując razem w sposób, o jakim nigdy nie śnili mistrzowie z Eferem czy Para Dubh. Mistrzowie ci byli nauczeni, że sylfy to tylko mądre zwierzęta, zainteresowane służeniem ludziom i nie tworzące żadnej społeczności. Jak bardzo było to mylne! Niewłaściwie osądzali swoich niewolników, odmawiając im praw do myślenia za siebie, cały czas obawiając się utraty kontroli. Leon sam bał się utraty kontroli. Chciał, żeby jego bitewnik służył mu chętnie, kochając, jeszcze kiedy utrzymywał Rila w zniechęconej niewoli.

Opuściłby cię, gdybyś tego nie robił, wyszeptano jego serce. Ril opuściłby go i Leon nie zniósłby tego. Spędził cudowny czas jako mistrz sylfa czując, jak jego esencja nieusuwalnie wsącza się do duszy. Tylko najbardziej pozbawiony serca gnojek mógł ignorować to połączenie i znać się nad swoim sylfem... tylko że sylfy zazwyczaj były dawane właśnie gnojkom bez serca. Kiedyś Leon był właśnie taki, zimny, wystarczająco brutalny, żeby zasłużyć na szacunek króla Eferem i możliwość zniewolenia Rila. Nadal byłby taki, gdyby nie Betha, którą zawsze kochał i jego dziewczynki. Może to również zasługa samego Rila, który zakradł się do tej części jego, która nie była zajęta przez dumę i ambicję, aż Leon zapomniał, czym były duma i ambicja, i odnalazł siebie, przede wszystkim jako zwyczajnego człowieka.

Rozległ się piskliwy krzyk. Leon rozejrzył się i zobaczył ptaka podobnego do jastrzębia, krążącego ponad nim, unoszącego się w ciepłym powietrzu ponad doliną. Ptak krzyknął znów, a Leon uniósł rękę, gwizdząc. Natychmiast ptak zanurkował w dół, rozkładając skrzydła i wyciągając zjadliwie ostre szpony. Wylądował na nagim ramieniu Leona.

Był ciężki, ale Leon był przyzwyczajony do tego. Ril złożył skrzydła, wpatrując się w niego wyczekująco. Nie było tu nienawiści. Zawsze wcześniej, kiedy Ril był uwięziony jako ptak, uderzał w Leona swoją nienawiścią, tak jak robili to inni bitewnicy, nie tylko żeby wyrazić swoją pogardę dla niewoli, ale żeby ukryć swoje prawdziwe emocje. Ale czasami Ril zapominał o tym, lub też Leonowi tak się wydawało i przez chwilę mógł wyczuć, co Ril czuje. Nigdy nie pozwolił, żeby ptak zorientował się w tym, bojąc się, że to się więcej nie powtórzy. Czuł, jak Ril cieszy się, gdy jest uczepiony jego pięści, a wiatr pieści jego pióra, kiedy Leon pospiesza konia do galopu. Czuł, jak Ril kocha jego córki, równie mocno jak on sam, a czasami jak Ril cieszy się z tego, że jest głaskany, zanim nie przypomni sobie, że nie powinien.

Leon wyciągnął rękę i pogłaskał głowę swojego bitewnika, pieszcząc cienkie piórka dookoła głowy ptaka, pocierając przy brzegu oczu. Ril pozwolił mu na to, wyginając się pod dotykiem, a Leon gładził palcami pod piórami, aż wyczuł kości pod spodem, jego ręka otuliła gardło bitewnika. Ril pozwolił mu na to, zamknął oczy, ufając mu.

Dobry chłopiec, chciał powiedzieć Leon, ale oczywiście Ril nie był jakimś rodzajem zwierzaka. Był osobą, a to był sen. Czy to był jeden z tych snów, kiedy Ril był naprawdę obecny? zastanawiał się Leon. Skąd mógł wiedzieć, że to jest sen, skoro się nie obudził.

W jakiś sposób wiem, pomyślał. Wiedział też, że gdzieś tam, gdzie był, Ril również spał, myśląc o nim, a ten sen był dla nich obu. To było to, na co czekał.

- Mów do mnie – powiedział cicho, pewien, że wypowiedział to jak rozkaz, w wypadek gdyby zasady Rila zakazywały mu tego nawet w trakcie snu.

Oczy drapieznika otwarły się, spoglądając na Leona ponad pieszczącą go dłoń.

A co tu jest jeszcze do powiedzenia? zapytał sylf, jego słowa odbiły się cichym echem w umyśle Leona. Chociaż większość sylfów elementarnych odzywało się tylko mentalnie, Ril robił to rzadko. Leonowi wydawało się, że przeszkadzała mu intymność, jaka była z tym związana.

Znów zmienili mnie w niewolnika.

Leon poczuł jak zaciska się mu gardło i znów zaczął pieścić głowę Rila. Tym razem ptak odsunął się, przesuwał się, aż balansował na pięści Leona.

- Wydostanę cię stamtąd, Ril. Obiecuję. Ciebie, Lizzy i Justina. Nie zostawię żadnego z was.

Zawsze masz tak wiele obietnic. Jak mnie wydostaniesz? Mam teraz tuzin mistrzów. Nie mogę nawet uwolnić Lizzy.

Głos Rila był pełen goryczy. Kiedy Leon znów wyciągnął do niego rękę, ptak syknął na niego. Niezrażony nadal sięgał, a dziób Ril minął o milimetr jego palce, sprawiając, że Leon zastanowił się, czy gdy obudzi się, będzie miał kilka palców mniej. Ale w końcu jego ręka dotknęła piór i pogłaskał bitewnika po głowie.

- Wydostanę cię, jeżeli mi zaufasz, Ril – uniósł ptaka, aż ich oczy spotkały się. – Musisz poddać mi się. Całkowicie. Tym razem nie możesz niczego kryć przede mną. Kiedyś oddałem ci wolność. Musisz znów mi zaufać. Kiedy przyjdę do ciebie, nie możesz mi się opierać.

Ril odsunął się, zaalarmowany, rozszerzając skrzydła uniósł się w niebo, uderzając ciężko w powietrze pod nim. Dookoła nich znikał krajobraz. Ril budził się ze snu.

- Zaufaj mi Ril – krzyknął Leon za swoim sylfem, ale słowa zawirowały jak zamieszane w kociołku mieszanym przez jakąś szaloną wiedźmę. Ril uciekł unosząc się wysoko i odlatując, a Leon pozostał na dole.

Ich połączony sen zniknął. Tego poranka nie miał już żadnych snów.

Budząc się roztrzęsiony, Ril leżał na łóżku w więziennej celi. W swoich własnych klatkach nadal spało dwóch karmicieli, ale Justin usiadł tam wpatrując się. Ril mógł wyczuć nienawiść chłopaka. Mógł wyczuć wszystkie emocje ludzkie, a z językiem czy bez, Justin był jego mistrzem, co tylko sprawiało, że emocje chłopaka były silniejsze. Co gorsze Justin mógł wyczuć Rila.

Natychmiast wyrzucił swoją nienawiść, żeby ukryć strach. Treserzy na zewnątrz cel krzyknęli ostrzegawczo. To dlatego mistrzowie najczęściej trzymali się z daleka od bitewników, to dlatego karmiciele zazwyczaj byli trzymani osobno, a przede wszystkim to dlatego stworzono haremy. Obrzydzenie Rila wypełniło stajnie, a bitewnicy czekający tutaj na swoje

poranne walki wyrzucili swoją własną nienawiść, ich własna niechęć uniosła się sprowokowana. Mężczyźni krzyknęli.

Pozostali dwaj karmiciele w celi Rila obudzili się, drżąc w milczeniu z przerażenia, kiedy Justin skulił się, z rękami ponad głową, jego emocje uderzały w Rila.

Przestań. Przestań!

Prawie usłyszał te słowa w swoim umyśle, prawie jakby było to takie połączenie jakie mieli z nim Leon czy Lizzy, przemawiając do jego duszy i zobaczył w tym rozkaz, rozkaz któremu musiał być posłuszny, bez znaczenia jak bardzo z tym walczył, bez znaczenia jak bardzo tego nienawidził. Mógł tylko wykonać rozkaz, poddać się i zrezygnować z samego siebie, za całej udawanej wolności. Nie mógł się poddać. Nie, nawet Leonowi. Nigdy Leonowi. Jego wstręt wydostał się, niosąc w sobie bunt przeciwko temu miejscu.

Ciężkie drewniane drzwi do jego celi otwarły się i weszła przez nie kobieta. Była to Rashala, o której Lizzy mówiła, że zajmuje się haremem. Zajmowała się również celami, przynajmniej jeżeli chodzi o zajmowanie się bitewnikami.

Kobieta pospiesznie przeszła w stronę, gdzie Ril leżał na łóżku, podparty na jednym ramieniu, zsunęła z siebie szatę, jaką miała na sobie, zostając nago. Ril był tak zaskoczony, że jego nienawiść osłabła, kiedy opadła na kolana wyciągając do niego rękę. Jej emocje były ostre: uspokoić bitewnika, ukoić i rozproszyć go. Ril zaczął warczeć, ale ramiona Rashali objęły go za szyję, przyciągając do swoich piersi, co zadziałało jako rozproszenie.

- Cicho – wymruczała, przesuwając palcami dłoni, która nie trzymała go, przez jego włosy, zataczając małe kółka na jego skroni, potem przesuwając w tył jego głowy, na kark i plecy. – Cicho, mój piękny.

Gniew Rila rozproszył się i zniknął. Zniknęła jego aura i usłyszał odgłosy ulgi dochodzące z zewnątrz. Rashala nadal do niego szeptała, jej myśli były spokojne, prowadząc go, żeby on też uspokoił się i odprężył. Skupiła się na nim całą siłą swojej woli, ogarniając go i zanim się zorientował znów zasnął z głową na jej kolanach.

Rashala poczekała aż bitewny sylf całkowicie uśnie, zanim wyslizgnęła się spod niego, wstała i znów założyła swoją szatę. Zazwyczaj kiedy uspokajała bitewnika, ten wykorzystywał ją

jako kochankę, ale tak też było dobrze. Niewzruszona spojrziała w dół na bitewnika, upewniając się, że jej myśli i uczucia są spokojne. To szczęście, że sprawdzała dzisiejszego ranka stajnie. Gdyby zorientowała się, że już wcześniej był w takim stanie, musiałaby zmienić treserów w karmicieli. Dziesięciu bitewników zdenerwowanych, jak też każdy służący, niewolnik i przechodzący widz. Możliwe, że nawet cesarz, czy ktoś z jego ludzi! No, ale przynajmniej nie był tak uszkodzony, że nie zareagował.

Odwróciła się i spojrziała na trzech przestraszonych karmicieli skulonych w swoich celach. Nie miała wątpliwości, że to oni zdenerwowali bitewnika. Miała zastrzeżenia umieszczając ich tutaj, ale Siedemset-Trzy musiał karmić się po każdej walce, a z trudnością mógł do nich dotrzeć. Karmiciele denerwowali bitewników. Ograniczanie ich kontaktów sprawiało, że bitewnicy byli szczęśliwi. Posyłanie ich do haremu zaraz po karmieniu również działało. Nie mogła odesłać karmicieli i nie mogła też posłać go do haremu, po każdej pojedynczej walce, ale mogła wykorzystać inne rozwiązanie.

Rashała odwróciła się do treserek, które stały w wejściu do celi, czekając na nią cierpliwie, kiedy myślała.

- Idźcie do haremu i sprowadźcie dziewczynę – powiedziała im. – Jedną z tych, które miał wcześniej. Sprowadźcie ją tutaj dla Siedemset-Trzy.

Kobiety ukloniły się i wyszły, a Rashała poszła do pozostałych bitewników, żeby ich też uspokoić. Musi przenieść tych z cel obok Siedemset-Trzy, zdecydowała. W przeciwnym razie zobaczą dziewczynę i wszyscy będą chcieli jedną dla siebie.

Głupiutkie istoty.

W haremie był zły poranek. Kilka kobiet wiedziało, co stało się wcześniejszej nocy, ale wszyscy bitewnicy byli zaalarmowani. Niektórzy domyślali się, co się dzieje, a pozostali tylko wyczuwali cierpienie. Niepewność i niepokój, wyczuwalne były dookoła, uderzały w każdego.

Ci, którzy wiedzieli dokładnie, co się stało, tuzin z ich kręgu, próbowało zachowywać się normalnie, nawet jeżeli drżeli od ukrytych intencji. Tooie siedział na poduszce i obserwował tańczące Lizzy i Eapnę, podzwaniające dzwoneczkami, kiedy poruszały biodrami. Lizzy była

w tym naprawdę bardzo kiepska, ale Tooie nie zauważyłby tego, nawet gdyby była ekspertem. Patrzył tylko na Eaphę, wyobrażając ją sobie jako królową. Jego królową. Myślał, że oszaleje czekając na zapadnięcie nocy. Miał połówkę papieru z listem do ojca Lizzy zadającym jego pytanie. Resztę Lizzy zatrzymała, żeby napisać swój własny list do Rila. Ojciec Lizzy i Siedemset-Trzy mogli razem dać mu odpowiedź i Eapha będzie jego królową.

Na końcu korytarza otworzyły się drzwi i weszła przez nie Melorta wraz z trzema treserkami. Rozejrzała się dookoła po całym haremie, ciężkie drzwi zamknęły się za nimi. Wszyscy znieruchomieli jak zawsze, kiedy przychodziły treserki. Skoro nie prowadziły nikogo, to oznaczało, że ktoś zostanie wyprowadzony. Poza Melortą, reszta treserek była podenerwowana. Zdarzało się, że bitownicy czasami wciągali jedną z nich do alkowy. Zazwyczaj Rashala decydowała, że taka kobieta zostanie w haremie.

Po pojawieniu się treserek, Eapha i Lizzy przestały tańczyć, rozglądając się niepewnie. Tooie zeszywniał, chociaż nie było nic, co mógłby zrobić, żeby bronić ich. Treserki nie mogą wiedzieć, zapewniał się. Listy zostały dopiero co napisane i ukryte dzisiejszej nocy, więc nie mogły nic o nich wiedzieć. Nie wiedziały nic. Złączył palce i przycisnął doń do mięśni na swoich skrzyżowanych nogach, desperacko starając się odprężyć.

Treserki podeszły, Melorta wyszeptala coś do tych podążających za nią i wskazała. Jedna z nich chwyciła Eaphę za ramię.

- Nie! – krzyknęła Lizzy. –Gdzie ją zabieracie?

Eapha była spanikowana, miała rozszerzone oczy. Dwie treserki trzymały ją teraz za ramiona i ciągnęły. Trzecia odepchnęła Lizzy, kiedy ta próbowała je powstrzymać. Melorta podążyła za nimi, z jedną ręką na pejczu.

Eapha. Zabierali Eaphę! Wiedzieli. W jakiś sposób wiedzieli i zamierzali zmienić ją w karmicielkę dla sylfów elementarnych. Wytną jej język i zamkną w klatce w sekcji, do której nie miał dostępu! Zapominając, że miał udawać obojętność, Tooie skoczył na nogi, jego aura wybuchła, jak Rila wcześniej tego ranka. Wszystkie treserki odwróciły się, z rozszerzonymi oczami, a Eapha prawie wyrwała się, kiedy Tooie ruszył do przodu, jego szpony uderzały w marmurową podłogę. Jego ręce wyciągnęły się do...

- Zatrzymaj się! – wrzasnęła Melorta.

Było tak, jakby dobiegł do końca łańcucha owiniętego dookoła jego duszy. Tooie zatrzymał się, drząc. Nie mógł poruszyć się. Treserki miały ograniczoną możliwość wydawania rozkazów bitewnikom, mogły tylko chronić się przed atakiem, lub rozkazać, żeby bitewnik cofnął się od kobiety, do której stawał się zbyt przywiązany. Bitewnik mógł zabrać treserkę dla seksu, jeżeli udało mu się otulić ją na tyle pożądaniem, żeby nie rozkazała mu przestać. Widział spojrzenie oczu treserek, wyczuł ich nagłą pewność, kiedy spojrzały na siebie nawzajem: on był w niej zakochany, to wielki grzech. Tooie spojrzał na Eaphę i również zobaczył przerażenie na jej twarzy. Z jakiegokolwiek powodu przyszły po nią, czy było to dlatego, że znali plany kręgu, czy też z jakiegoś innego, a on sprawił, że stało się to nieważne.

Tooie złączył ręce, chcąc błagać, ale nie mógł. Drżał, opadając na kolana, kiedy wywlekali Eaphę z haremu, ignorując jej krzyki. Drzwi zatrzasnęły się za nimi. Lizzy opadła na podłogę obok niego, płacząc, a on przytulił ją do siebie, oplakując w milczeniu to, co utracił.

Rozdział 22

Ril obudził się znów, kiedy otworzyły się drzwi celi. Mrugając zaspany spojrzał, żeby zauważyć trzy treserki prowadzące ze sobą kobietę w przeźroczystej niebieskiej sukni. Na szyi miała założoną obrozę. Patrzył zdziwiony, kiedy przykuwano łańcuch przymocowany do niej do stóp jego łóżka. Zobaczył, że to była Eapha. Przyjaciółka Lizzy.

- Jest cała twoja, serduszko – powiedziała jedna z treserek uśmiechając się. Podeszła, żeby pogłaskać go po włosach, ale wyszczerzył na nią zęby. Szarpnęła się do tyłu z nagłym przestraszeniem i wyprostowała się. Kiedy pozostałe dwie kobiety zaśmiały się, zaczerwieniła się ze złości.

- J-jak długo tu pozostanę? – zapytała Eapha. Trzymała swój łańcuch obiema rękami i drżała.

- Miej nadzieję, że na zawsze – parsknęła kobieta, którą przestraszył Ril. – Skoro ten bitewnik tak zareagował, kiedy cię braliśmy, to jeżeli Siedemset-Trzy nie będzie cię chciał, powędrujesz prosto do cel karmicieli.

Eapha zaczęła płakać, kuląc się w nogach łóżka. Ril patrzył jak treserki wychodzą z celi i zamykają drzwi za sobą. Stały po drugiej stronie drzwi, obserwując.

Ril odwrócił się do okna wyciętego dla widzów. Stało tam kilka osób, wpatrując się w Eaphę i mrużąc do siebie. Justin i inni karmiciele również się na nią patrzyli. Ril westchnął, nienawidząc tego, nienawidząc ich, a najbardziej nienawidząc siebie. Podnosząc się objął ręką szyję Eaphy. Spojrzała na niego przestraszona, ale przyciągnął ją do siebie, przyciskając swoje wargi do jej warg.

Leon obudził się koło południa, słońce było na tyle wysoko, że przypiekało go tam, gdzie leżał. Wstając napił się trochę wody i potykając się minął Xehma, machając do niego niewyraźnie. Wiedział, że wygląda okropnie, ale czas uciekał, a dookoła było wielu ludzi, którzy wyglądali gorzej.

Owijając się swoją szatą, z burczącym brzuchem, poszedł do miasta. Śniadanie mogło poczekać, lub może lunch, pomyślał starając się określić czas. Było bardzo gorąco, pocił się pod swoją szatą, mając nadzieję, że nie będzie musiał zbyt długo krążyć. Mimo to temperatura była ostatnią rzeczą, jakiej nienawidził w tym miejscu.

Kiedy szedł, trzymał głowę spuszczoną i nie myślał o Lizzy czy Ril. Zamiast tego wyobraził sobie Bethę i swoje cztery córki. Betha pewnie teraz przygotowywała lunch, Cara jej pomagała. Nali i Ralad siedziały przy stole klócąc się ze sobą i odciągając uwagę ich matki od niekończących się pytań Mii. Te myśli rozjaśniły jego umysł i wypełniły jego serce ciepłem, które nie miało nic wspólnego z temperaturą.

Szczerze uszczęśliwiony, Leon minął pół tuzina strażników, bitewnych sylfów i przy arenie zapłacił miedziaka za wstęp do korytarza pod budowlą. Było tam zimno, ściany nagie, a podłoga piaszczysta. Gdzeniegdzie były umiejscowione wąskie prostokątne okna, pozwalając temu, kto szedł korytarzem zaglądać do cel bitewników gladiatorów. Leon przeszedł koło pierwszego tuzina, zerkając tylko, żeby zobaczyć co się tam dzieje, ale nie zatrzymując się. Kilka cel było zajętych, najczęściej przez rzeczy, które wyglądały jak istoty prosto z koszmarów, ale pośrodku kilka było pustych, co nie miało miejsca, kiedy był tu ostatnim razem. Nikt nie zaglądał w te okna.

Okno Rila było zatłoczone. Grupa ludzi zaglądała do środka, wielu chichotało i wskazywało palcami. Kilkoro trzymało dzieci, żeby miały lepszy widok. Leon zatrzymał się, obserwując ich. Będzie dziwne, jeżeli teraz wyjdzie, skoro każdy zwraca uwagę. Spojrzał w dół przez chwilę i skupił się, starając się wyczuć swojego bitewnika. Ril czuł się... znudzony. Bardzo znudzony. I trochę rozdrażniony.

Zaskoczony Leon uniósł głowę i dołączył do tłumu, ostrożnie przeciskając się na tyle blisko, żeby zajrzeć przez okno. Ril był w łóżku, prześcieradło zarzucone było niedbale na jego nagie biodra i nogi. Miał pod sobą kobietę, poruszał się w jej stronę, górna część jego ciała opierała się na ramionach ponad nią.

Leon na chwilę otworzył usta ze zdumienia, powoli rumieniec wpłynął mu na twarz, aż poczuł, że na zewnątrz, w słońcu byłoby mu zimniej. Nigdy nie spodziewałby się czegoś takiego. Ril nawet nie patrzył na kobietę, a on nadal wyczuwał od niego znudzenie...

Och. Oczy Leona zmrużyły się. Ril udawał.

Co ty robisz? pomyślał w stronę swojego sylfa tak mocno, jak tylko mógł.

Ril zgubił rytm, bitewnik rzucił krótkie spojrzenie przez ramię w stronę okna. Zebrany tłum zachichotał, ale Leon tylko uniósł brew. Jego bitewnik wykonał coś w rodzaju zakłopotanego, przepraszającego wzruszenia i Leon musiał ukryć uśmiech.

Nie jestem pewien, czy chcę wiedzieć.

Ril rzucił piorunujące spojrzenie i wrócił do kobiety, najwyraźniej kończąc to co robił i obracając się, żeby naciągnąć spodnie. Ona usiadła powoli i odszukała swoją suknię. Dookoła szyi miała obrozę, Leon zobaczył, że była przykuta do łóżka. Zobaczył również trzy kobiety ubrane na brązowo stojące po drugiej stronie drzwi do celi, obserwujące. Karmiciele również się wpatrywali. Na twarzy Justina widać było obrzydzenie. Ril przeszedł na środek celi i usiadł tam wpatrując się przed siebie. Kobieta, z którą udawał, ociągała się z ubraniem, podciągnęła prześcieradło i owinęła je dookoła siebie jak togę. Była atrakcyjną kobietą, najpewniej około trzydziestki, z pełnymi wargami i krągłą figurą. Usiadła na końcu łóżka, dotykając łańcucha przy jej obroży i patrząc na Rila, który wydawał się ignorować wszystkich, chociaż jego emocje mówiły co innego. Leon mógł wyczuć, że znudzenie Rila zmieniło się w niepewność co do jego obecności. Domyślał się, że pamiętał ostatnią noc. Próbował wysłać tak wiele pocieszenia w stronę swojego bitewnika, jak tylko mógł. Chociaż nie było sposobu, żeby zorientował się, czy mu się to udało. Ril ignorował go, tak jak wszystkich innych.

Przedstawienie było skończone. Nadal chichocząc tłum kobiet i mężczyzn poszedł dalej. Co ważniejsze odeszły kobiece treserki. Leon poczekał aż wszyscy zniknęli i korytarz stał się pusty. Potem odczekał jeszcze chwilę, aż usłyszał, że zaczęła się walka na arenie. Wtedy dopiero zapukał w okno.

Ril spojrział ponad ramieniem, patrząc na niego, potem w dół na swoje ręce. Leon zapukał znów. Ril westchnął i wstał podchodząc. Dopiero jak znalazł się tuż przy oknie podniósł głowę i spojrział w oczy swojego mistrza. Leon postukał w szkło i cofnął się. Ril uderzył w nie łokciem, rozbijając je.

Leon szybko zrobił krok w przód. W górze słyszał krzyki ludzi zabijanych na piasku, a wewnątrz cel poruszających się bitewników i treserki nawołujące do siebie. Trzej karmiciele Rila wpatrywali się w niego. Justin był jednym z nich. Młody potrząsnął kratami swojej celi i krzyknął bezdźwięcznie.

- Ufasz mi? – zapytał Leon Rila. Bitewnik zamknął oczy na długą chwilę, potem skinął głową. To nie wystarczyło. Leon mógł wyczuć jego strach.

- Ufasz mi? – zapytał znów, nawet jeżeli modlił się, żeby to co robił, było właściwe. Ale uważał, że to jedyne wyjście.

Kobieta z którą Ril udawał, że się kocha, usiadła na łóżku obserwując ich z rozszerzonymi oczami. Ril w końcu napotkał spojrzenie Leona, wpatrując się w niego, wyczuwając najpewniej jego emocje i po długiej minucie znów skinął głową.

Leon wziął głęboki wdech i spojrzał na Rila, naprawdę na niego spojrzał, skupiając całą swoją wolę na sylfie. Oczy Ril rozszerzyły się, a Leon poczekał, aż znów się odpręży. Zajęło to kilka minut. Leon nie pozwolił sobie myśleć, że ktoś w każdej chwili mógł nadejść i zobaczyć go, jak stoi przy rozbitym oknie, czy że treserki mogły wrócić sprawdzić co z Rilem. Po prostu skupił się na tym, co potrzebował, nad całkowitą kontrolą sylfa będącego w celi.

Ril zadrzał pod tą kontrolą, nawet kiedy odwrócił spojrzenie. *Czy ufasz mi?* zapytał Leon i naprawdę tak myślał. Nie wiedział, jak wiele rozkazów ma Ril. Nie wiedział, jak mocna była wola ludzi, którzy nim rządzą. Leon był najważniejszy, tuż za Solie, ale to nigdy nie było takie bezwzględne, nie kiedy gąszcz mistrzów i rozkazów, jakie musiał słuchać Ril, mógł przeważać cokolwiek by powiedział, chociażby przez zwykłą ich ilość. Leon nie śmiał po prostu powiedzieć Rilowi, żeby przemówił, lub ratował jego córkę, czy uciekał. Była zbyt wielka szansa, że rozstanie rozproszony, czy nawet doprowadzony do szaleństwa przez sprzeczność w tym wszystkim. Czy Ril ufał mu dość mocno, żeby pozwolił wymusić na sobie jego panowanie na tyle, żeby zniszczyć setki rozkazów, które otrzymał, od kiedy został pojmany? Czy ufał mu wystarczająco? Leon czekał, żeby zobaczyć, że Ril ufał mu na tyle.

Ril zastanawiał się dokładnie nad tym samym. Żaden sylf nie doświadczył tego, o co prosił go Leon. Słuchali swojej królowej i swoich mistrzów. Byli urodzeni, żeby wypełniać rozkazy i delectować się tym, kiedy rozkazy były miłe. Ale czego on chciał? Ril nie był pewien, czy sam Leon to rozumie do końca. Leon prosił, żeby mu się oddał, żeby dał mu całe sedno swojej osobowości. Nie byłby już więcej Rilem. Byłby rozszerzeniem Leona, skupieniem woli Leona, a jego własne potrzeby i emocje przestałyby mieć znaczenie. To mogło nawet przerwać więź z królową i sprawić, że oszaleje. Już był inny niż pozostali bitewnicy, dziwny i

ograniczony, ale teraz stałby się czymś zupełnie innym, czymś, co nie było bitewnikiem. Odrzuciłby królową, co było zdradą, jakiej prawdziwy bitewnik nigdy nie zniósł!

Jeżeli to zrobi, rozkazy mistrzów meridalskich nie będą już miały znaczenia, ale również zniknie jego miłość do Lizzy, pozostanie tylko taka miłość, jaką kocha córkę sam Leon. Żeby ocalić Lizzy, Ril mógłby się poddać, zaakceptować żyjącą śmierć, kiedy nie byłby nawet na tyle sobą, by pozostała mu nadzieja, że Leon poradzi sobie ze wszystkim.

Ale... ma szansę żeby ocalić Lizzy. Dla niej zrobi wszystko.

Leon czekał tak cierpliwie jak tylko mógł. W końcu oczy bitewnika rozszerzyły się i skupiły. Napięcie opuściło go i Leon poczuł jego poddanie się. Ril był zmęczony, bał się i nie chciał nic z tego, ale oddał się swojemu mistrzowi, pozwalając Leonowi podjąć decyzję. Kiedyś, mistrz popełniłby morderstwo, żeby bitewnik to zrobił. Teraz poczuł mdłości, kiedy pochylił się do wybitego okna. Ale okoliczności wykluczały możliwość, żeby ten wybór dokonał się wyłącznie z wolnej woli.

- Ril – zawołał, chociaż wiedział, że kobieta i karmiciele mogą usłyszeć. Treserzy po drugiej stronie mogli też go usłyszeć, ale musiał być absolutnie pewien, że jego bitewnik go rozumie. – Ja jestem twoim mistrzem. Byłem twoim mistrzem odkąd przybyłeś na ten świat i zabiłem kobietę, żeby cię tu przyciągnąć. Jej krew popłynęła na moje ręce i związałem cię nazywając cię. Jesteś Ril. Jesteś mój. Zawsze będziesz mój. Jestem pierwszym wzorem w twojej duszy i zawsze będę najważniejszy.

Ril zadrżał, a Leon poczuł ból dobiegający do niego. Nie chciał przypominać tego Rilowi.

- Jestem twoim mistrzem. Powiedz to – dodał jednak.

Ril otworzył usta, jego oczy były puste. Próbował przemówić, ale nic nie wydostało się z jego ust.

- Jestem twoim mistrzem – powtórzył Leon. - Jestem najważniejszy. Rozkazy wydane ci przez innych nic nie znaczą przy moich. Jestem w twoim umyśle. Jestem w twojej duszy.

Słuchaj moich rozkazów. Słuchaj mnie, Ril. Słuchaj mnie. Powiedz mi, że jestem twoim mistrzem.

- Jesteś moim mistrzem – wydyszał Ril, a kobieta i obaj karmiciele podskoczyli. Oczy Justina zmarszczyły się.

- Jestem twoim mistrzem – powiedział mu znów Leon. To była najważniejsza rzecz, ale równocześnie pierwsza jaką unieważni, kiedy wszyscy uciekną. Potem będzie się modlił, żeby Ril mu wybaczył. – Będziesz udawał, że słuchasz rozkazów wydanych ci przez innych, ale będziesz tylko udawał. Będziesz robił, co inni ci mówią, ale tylko wtedy, jeżeli nie będzie to sprzeczne z moimi rozkazami. Inaczej będziesz udawał. A cały czas to ja będę twoim mistrzem. Twoim jedynym mistrzem. Będziesz słuchał tylko mnie. Powiedz to.

- Będę słuchał ciebie.

- Co będziesz robił?

- Będę słuchał ciebie. Zawsze będę cię słuchał. Rozkazy wydane przez innych są niczym. Będę słuchał ciebie – Ril był blady, złamany. Leon mógł wyczuć jego odrętwienie, mógł wyczuć jądro tego, gdzie Ril wycofywał się i chciał przestać, chciał wycofać się i oddać Rilowi z powrotem siebie. Zamiast tego utrzymał swoją wolę i zdeterminowaną bezwzględność.

- Uwolnij karmicieli – rozkazał mu Leon. – Bądź przy tym cicho.

Ril odwrócił się i podszedł oszołomiony do cel karmicieli. Chwytając drzwi pierwszej, wyszarpnął ją, a mężczyzna wyszedł z niej zataczając się, wpatrując się w niego rozszerzonymi oczami, podczas kiedy Ril podszedł do następnej.

Uwolnił wszystkich mężczyzn w ten sam sposób, Justin wyszedł ze swojej celi ostatni stając na niepewnych nogach.

- Uwolnij dziewczynę – rozkazał Leon.

Ril podszedł do kobiety i podczas kiedy wpatrywała się w niego ze zdumieniem, szarpnął łańcuch, który ją więził. Drżąc owinęła się mocniej prześcieradłem i podeszła dołączając do mężczyzn.

- Rozbij całkowicie okno.

Ril roztrzaskał okno, wypychając szkło. Z daleka Leon słyszał mężczyzn krzyczących z bólu i ogromnego bitewnika przechodzącego w stronę swojej zagrody. Cienie wypełniły wrota i Leon zmarszczył brwi.

- Pospieszcie się – zawołał do uwolnionych mężczyzn i kobiety. – Chodźcie.

Justin wyszedł pierwszy, wspinając się przez okno prosto w ramiona Leona. Leon postawił go na ziemi i chwycił następnego. Kobieta była ostatnia, drżąc przy nim, kiedy ją chwycił.

- Dziękuję – wyszeptała, gdy ją postawił.

Leon nie odpowiadał, teraz musiał dalej prowadzić Rila.

- Pójdiesz do łóżka i zaśniesz - powiedział mu. – Kiedy się obudzisz, będziesz zakłopotany zaginięciem ludzi. Będziesz smutny. Będziesz rozproszony i niezdolny do dzisiejszej walki. Kiedy wrócisz do haremu, powiedz Lizzy, co ci powiedziałem. Potem przyjdź do mnie we śnie. Rozkazy, jakie wydam ci wtedy, będą obowiązywać tak jak te, które wydałem ci teraz – pod warunkiem, że będzie w stanie wymyślić co powiedzieć. Chciałby od razu uwolnić Rila, ale wiedział, że wtedy nigdy nie wydostaną Lizzy. Ril był jedynym sposobem. – Powiedz mi, że zrozumiałeś.

- Zrozumiałem – odrzekł Ril już na wpół śpiąc.

- Wiec śpij – rozkazał mu Leon. Ril powrócił do łóżka i upadł na nie.

Leon skinął na uwolnionych niewolników i poprowadził ich z daleka od okna, Justin przycisnął się do niego. Mężczyźni mieli na sobie tylko koszule, ale w tym miejscu to nie było nic dziwnego, a on przyniósł im legginsy i sandały, ukryte pod szatą. Z kobietą było inaczej. Nie spodziewał się jej, więc nic dla niej nie przyniósł, ale nie wyglądała zbyt dziwnie, a co ważniejsze nikt nie spodziewał się ich ucieczki. Tutaj nawet nie było strażników przy drzwiach wyjściowych.

Wyprowadził ich na ulicę i do budynku, który jedna z kobiet z obozu pozostawiła otwarty. Największym problemem byli bitewnicy, ale Leon miał nadzieję, że przerażenie uciekinierów podziała jak emocjonalny kamuflaż. Nadal szukali Leona, ale on był jednym człowiekiem. Nie szukali grupy i na pewno nie będą interesować się przerażeniem

dochodzącym od tych, którzy wydawali się być nowo kupionymi niewolnikami. Spod swojej szaty Leon wyciągnął rząd łańcuchów niewolniczych, jakie Xehm kupił mu na czarnym rynku.

- Pozwólcie nałożyć to sobie – powiedział Leon całej czwórce. – Kiedy bitewnicy was zobaczą, pomyślą, że boicie się, ponieważ jesteście niewolnikami. Zostawią nas w spokoju.

Dwaj z mężczyzn natychmiast zrobili krok w przód, wyciągając ramiona. Justin wyglądał na przygnębionego, ale zrobił to samo.

- Jesteś pewien, że to zadziała? – zapytała kobieta, kiedy ich skuł.

- Tak – zapewnił Leon. Ale to nie pomoże, jeżeli bitewnicy rozpoznają ją. Wpatrywał się w nią przez chwilę i chwycił szeroki szalik owijając go dookoła jej głowy.

Przez chwilę zbierali w sobie odwagę, a potem wyprowadził grupę z budynku, w dół drogi, jaką zapamiętał. Przeszli przez miasto cały czas poruszając się, Leon starał się nie myśleć i nie przyciągać uwagi żadnego bitewnika. Nikt nie zwracał uwagi na ludzi z nim i wyprowadził ich za pokruszone mury miasta, gdzie Justin wpadł mu w ramiona, płacząc z ulgi. Leon trzymał chłopaka, podczas kiedy Xehm i pozostali wpatrywali się zdziwieni.

Jeden uwolniony. Dwójka pozostała.

Rashala powróciła do stajni przy arenie wściekła, pomimo niewzruszonego usposobienia. Melorta osobiście powiedziała jej, co się stało, ale nadal była oburzona.

Wszystkich bitewników przeniesiono, a tych, którzy nie byli potrzebni, odesłano do haremu. Siedemset-Trzy został przeniesiony do nowej zagrody, tej tuż przy głównym wejściu i bardzo blisko posterunku treserów, więc mógł być obserwowany. Widziała go tam, siedzącego na łóżku i wyglądającego na zmieszanego. Jedna z treserek była z nim, masując jego ramiona i uspokajając go. Rashala kiwnęła głową w aprobachie i poszła dalej. Ostatnią rzeczą jakiej potrzebowali to rozhisteryzowany bitewnik. Jeżeli Siedemset-Trzy był tak smutny, jak słyszała, ta treserka zasługiwała na pochwałę za swoje starania.

Poszła do jego starej zagrody, gdzie cele trzech karmicieli były zniszczone, konkubina porwana, a okno do podglądania rozbite. Dzięki bogom, że złodzieje nie ukradli samego

bitewnika! Ale kiedy go znaleziono, było trudno go obudzić. Coś mu zrobiono, ulubieńcowi cesarza. Miała tylko nadzieję, że cesarz nigdy o tym nie usłyszy. Z tego powodu mogłaby stracić swoją głowę. Merolta już się tego obawiała, ale Rashala musiała coś wymyślić. Treserki może ocalą życie, jeżeli ona się postara.

Teraz krążyła powoli po zagrodzie, zastanawiając się nad rozbitym oknem i rozerwanymi kratami. Bitewnik był smutny już wcześniej. Przedtem przypisywała to karmicielom, ale zaczęła się zastanawiać. Czy ktoś próbował tego już wcześniej i ta biedna istota martwiła się tym? Czy chciał ich ostrzec?

Przekląła pod nosem i wyszła z zagrody, posyłając jedną z treserek, żeby sprowadziła jej brata. On nadal był najważniejszym, jeżeli chodzi o rozkazy dla Siedemset-Trzy. Musiał ponownie wydać rozkazy bitewnikowi, wszystkie rozkazy, zanim ten będzie mógł wrócić do haremu. Ze sposobu w jaki rozglądał się dookoła, jakby spodziewał się ataku, widać było, że nie będzie wcale użyteczny na arenie. Na szczęście cesarz nie oglądał dzisiaj walk. Jego bratanek wołał Trzysta-Dziewięćdziesiąt-Dziewięć. Rozkaże, żeby zamiast tego on walczył.

Potem musi rozprawić się z Dwieście. To było zaskoczenie. Zawsze był jednym z najłatwiejszych do prowadzenia bitewników, nie preferował żadnej konkubiny, ale teraz wróciła jego histeria z powodu zabrania tej kobiety. Nie było żadnego powodu ku temu. Kiedy zastanowiła się, Dwieście miał jakiś tuzin różnych kochanek, tak samo jak inni bitewnicy.

Rashala zatrzymała się, w jej umyśle nagle zaskoczyło. Tuzin kobiet spało z Dwieście. Sięgnęła do torby i wyciągnęła notatki o Siedemset-Trzy. Miała listę partnerek, które wybierał, na której była również kobieta, którą przyprowadzono tutaj i która została porwana, ta przez którą Dwieście wcześniej tak się zmartwił.

Nie miała notatek dotyczących Dwieście, ale miała świetną pamięć. Dwieście nie tylko sypiał z taką samą liczbą kochanek co Siedemset-Trzy. On sypiał dokładnie z tymi samymi kobietami.

Rashala przekląła pod nosem i odwróciła się, zawracając. Musiała sprawdzić drugi raz przeglądając notatki, żeby upewnić się. Ale jeżeli miała rację... Nie spodziewała się takiej inteligencji po bitewnych sylfach czy kobietach, które im służyły. Chociaż to było do naprawienia. W rzeczywistości w bardzo prosty sposób.

Melorta szła szybko w dół korytarza do pokoju strażniczek przed haremem. Kilka treserek podniosło wzrok, ale natychmiast powróciły do swoich obowiązków. Zważywszy na jej nastrój, gdyby któraś z nich ośmieliła się odezwać, oderwałaby im głowy. Trzech karmicieli i konkubina zniknęli, a to ona była odpowiedzialna. Już tylko za to mogła sama znaleźć się w haremie jako konkubina, a gdyby tak się stało, byłby to dla niej wyrok śmierci.

Ci niewolnicy zostali ukradzeni tuż pod nosem bitewnego sylfa, który miał dokładne rozkazy, żeby zapobiegać uciezkom. Melorta zauważyła to, kiedy poszła z raportem do Rashali, a sama Rashala doszła do tego samego wniosku: musiał to zrobić oryginalny mistrz bitewnika. To było przerażające, że ten mężczyzna nadal żył, ale nie było innej możliwej odpowiedzi.

Melorta otworzyła główne drzwi do haremu i odrzuciła je szeroko, przechodząc przez nie z pejczem w ręce. Nie mogła zapytać bitewnika o mistrza. Słyszała, że wcześniej bitewnicy mieli dozwolone mówić, ale ich słowa były czystą trucizną. Nie było możliwości porozumienia z nimi. Ale i tak była tu konkubina. Melorta była zainteresowana przepytaniem jej.

Dziewczyna z żółtymi włosami była łatwa do zauważenia, kiedy stała z grupką kobiet w tylnej części haremu, wszystkie płaszczące się w przestkach. Mimo, że liczebnie przewyższały ją sześć na jedną, Melorta nie bała się. W większości konkubiny były tchórzami.

Ale obca dziewczyna wydawała się być wyjątkiem. Melorta podeszła wpatrując się w jej towarzyski, które natychmiast rozpięchły się. Pozostała obca dziewczyna, która rozejrzała się za siebie z zaciśniętymi pięściami. Melorta była niewzruszona.

- Chodź ze mną – powiedziała chwytając ją za ramię.

- Nie! – wrzasnęła dziewczyna próbując się wyszarpnąć.

Melorta uderzyła ją pejczem przez twarz. To uciszyło sukę na tyle, że mogła wyciągnąć ją z haremu i zaciągnąć przez salę strażniczek do mniejszego, prywatnego pokoju. Zazwyczaj był on wykorzystywany przez strażniczki, żeby zdrzemnąć się przez chwilę podczas dłuższej zmiany, ale do tych celów mógł służyć równie dobrze.

- Siedemset-Trzy zna cię – oznajmiła wpychając dziewczynę do rogu. – Znał cię wcześniej. Nie okłamuj mnie, wszyscy to widzieliśmy. – Melorta uderzył pejcem przez jej udo. – Powiedz mi, kto jest jego mistrzem.

Dziewczyna patrzyła się z szokiem, jej oczy rozszerzyły się z przerażenia.

- C-co?

- Powiedz mi, kim jest ten złodziejski mistrz i gdzie możemy go znaleźć!

Dziewczyna gapiała się jeszcze chwilę, a potem jej oczy wypełniły się łzami.

- Nie wiem niczego! – zapłakała. – Nie wiem!

Melorta wpatrywała się w nią niepewna.

- Nie okłamuj mnie. Poszłaś prosto do Siedemset-Trzy, kiedy go sprowadziłyśmy.

Dziewczyna zakryła twarz rękami.

- Jego włosy były takie piękne, a twarz wyglądała tak normalnie. Nie tak dzi-dziwacznie jak u pozostałych! – zaczęła płakać.

Melorta pochylila się. To miało wiele sensu, a konkubina nie ośmieliłaby się jej kłamać. Nie teraz. Melorta umiała rozpoznać kłamstwo, a przerażone kobiety nigdy nie kłamały dobrze. Nieszczęśliwie to składało całą odpowiedzialność na nią, nie mogła dowiedzieć się niczego o złodzieju.

Rozzłoszczona, chcąc już tylko pozbyć się dziwacznie wyglądającej dziewczyny z zasięgu wzroku, chwyciła płaczącą konkubinę za ramię, szarpnęła ją do góry i zaciągnęła z powrotem do haremu. Widząc jej nadejście jedna z treserek otworzyła drzwi i Melorta prawie wrzuciła blondynkę do środka patrząc, jak zatacza się i wywraca na podłodze w głównej komnacie. Melorta przyjrzała się bitewnikom i wskazała najbliższego.

- Czteryście-Siedemnaście! Chodź tutaj.

Podszedł, jego pazury stukwały po podłodze, kiedy wpatrywał się wzdłuż swojego nosa na nią.

- Spokojnie, maleńki – powiedziała Melorta, wyciągając rękę, żeby pogłaskać go po ramieniu, skupiając swoją wolę na nim. Nie była w tym tak dobra jak Rashala, ale bitewnik

uspokoił się, jego oczy zlagodniały. Żadnego problemu. – Mam dla ciebie zadanie – powiedziała mu, wyprowadzając go z haremu do pokoju strażniczek. Bitownicy nie przyjmowali tutaj zbyt często rozkazów, ale w suficie był otwór, przez który mogli wyjść, kiedy już coś takiego miało miejsce. – Chcę, żebyś wrócił na arenę – rozkazała. – Konkubina Eapha została stamtąd ukradziona. Wiem, że spaleś z nią, więc możesz podążyć za jej zapachem. Znajdź ją i sprowadź z powrotem, ale najpierw zabij każdego mężczyznę, który jest z nią i przynieś mi ich głowy. Rozumiesz?

Czteryście-Siedemnaście skinął powoli głową.

- Dobry chłopiec – cofnęła się. – Teraz idź.

Czteryście-Siedemnaście zmienił się chmurę i wzleciał do szybu. Melorcie pozostało czekanie na jego powrót.

W haremie Lizzy wróciła do Kiali i pozostałych, drżąca i przerażona. Jej wściekłość była duża większa od jej strachu, chociaż była całkowicie skupiona. Chcieli zabić jej ojca. Musieli być zdesperowani, jeżeli to ją pytali o informacje. Lizzy wzięła głęboki wdech i zmusiła się, żeby się odprężyć. Zdolała uśmiechnąć się do pozostałych kobiet, żadna z nich nie spodziewała się jej powrotu. Ale teraz jej ojciec był bezpieczny.

Czteryście-Siedemnaście szybował nad miastem kierując się do areny. Nienawidził tego. Nie wiedział, że Eapha była wolna, ale wyczuwał żalność Tooie z powodu jej zabrania. Już sama myśl, że Kiala mogłaby być mu zabrana sprawiała, że chciał krzyczeć. A teraz chcieli żeby wyszedł Eaphę i sprowadził ją z powrotem. Wiedział, co by się z nią wtedy stało. Ale Czteryście-Siedemnaście nie miał żadnego wyboru, tylko wypełniać rozkazy.

Dokładnie wypełniać rozkazy. Jak rozkazano mu już dawno temu, wylądował tak szybko jak tylko mógł i przyjął zielonkawą, humanoidalną postać, obserwując arenę i wachając głęboko. W postaci chmury mógł poruszać się szybciej przez miasto i najpewniej znalazłby Eaphę w ciągu kilku godzin. Znał jej wzór i mógł go łatwo rozpoznać. Kiedy byłby blisko, jej wzór byłby dla niego jak światło latarni. Ale nie miał pozwolenia na tropienie w formie chmury,

a Melorta powiedziała mu, żeby podążał za jej zapachem. Miała pecha, że wzór energii nie wydziela zapachu, a w tej postaci węch miał tak samo czuły jak człowiek.

Ril klęczał powalony na marmurowej podłodze, ramiona miał wyciągnięte do tyłu, a dwóch bitewników przytrzymało go na dole, podczas kiedy jego mistrz powtarzał mu rozkazy. Słahatar starał się, żeby wypowiedzieć każdy rozkaz wyraźnie i całkowicie zrozumiale. Ril słyszał go, ale litania nie miała żadnego efektu. Głos Leona odbijał się echem w jego umyśle, głośniejsze niż wszystko, co starał się powiedzieć Shalatar. *Ja jestem twoim mistrzem.* Te cztery słowa zapewniały Rilowi bezpieczeństwo, uwalniając go od tego, czego chciał ktokolwiek inny.

Wolność. Nigdy nie czuł się tak wolny, nigdy nie myślał, że znajdzie wolność będąc tak bardzo związany, ale to właśnie się stało. Tym razem wybrał swojego mistrza z otwartymi oczami. Nie tak jak wtedy, kiedy przybył na ten świat, czegoś takiego nikt by nie chciał. Wybrał sześć lat temu, kiedy miał szansę zobaczyć jak wieszają Leona, a zdecydował się go ocalić wiedząc, że więź pomiędzy nimi nigdy nie zostanie złamana. Że poza królową, Leon zawsze będzie miał pierwszeństwo jako mistrz. Leon był wszystkim.

Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, Leon miał pełną kontrolę. Obiecał uwolnić Rila spod tej kontroli, ale teraz Ril nie chciał tego. Czuł się dobrze, zbyt dobrze, będąc podporządkowanym, bardzo wygodnie i swobodnie. Już dłużej nie musiał się martwić czy bać, ponieważ był ktoś, kto podejmował decyzje za niego. Jakby mógł to oddać? Lizzy była czułą istotą. Tak jak królowa. Leon, kiedy musiał, rządził absolutnie, a nie było sylfa, który nie radowałby się tym całkowicie, bez znaczenia czy mistrz był mężczyzną, czy kobietą. Nie miało znaczenia, że Leon nie mógł być tu z Rilem fizycznie. Miłość, jaką czuł dla Lizzy, była przytłumiona, ale to tak naprawdę nie było ważne. Przez lata żył w celibacie. Ważniejsze było uwolnić Lizzy dla swojego ukochanego mistrza i zobaczyć ich oboje w domu, w Dolinie. Głęboko w nim coś załaskotało, mówiąc, że kocha Lizzy, kocha ją szczerze... ale to też nie miało znaczenia. Oboje kochali jego i dali mu największą wolność, jakiej nie znalazłby bez nich. Dwóch bitewników, którzy przytrzymywali go wpatrywało się ze zdumieniem. Mogli wyczuć, że słowa Shalataru nie mają na niego żadnego wpływu, mistrz czy nie, było coś mocniejszego owiniętego wokół niego i przez niego. Czuli to i zazdrościli.

Przez sześć lat wolności podejmował własne decyzje i szedł własną drogą. Spędził te lata i tak podążając za Leonem, pracując z nim jak zawsze. Właściwie, byli ze sobą bliżej: podczas tych lat, Leon traktował go jak równego sobie. Ale nie zawahał się robiąc to. Dlaczego Ril kiedykolwiek bał się? Miał swoje miejsce i swoją rodzinę, z obojgiem, Lizzy i Leonem. Miłość i cel. Nie potrzebował niczego innego. Nikt i nic nie mogło mu tego zabrać.

Shalatar skończył recytować rozkazy i otarł czoło. Rashala była skoncentrowana, ale wydawało się, że nie było to potrzebne. Nie pracował z samymi bitownikami, ale sylfy zasadniczo były takie same. Bitownik przed nim był całkowicie posłuszny. Nawet nie musiał być przytrzymywany siłą.

Skinął na tresera, który przyprowadził trzech bitowników, dwóch do przytrzymania siłą na wypadek, gdyby były problemy z Siedemset-trzy. Jego mistrz był nadal na wolności, jak słyszał Shalatar. Wydawało się to niemożliwe, mężczyzna musiał być martwy, ale nie mogli przyjąć tego za pewnik.

Treser zrobił krok w tył, popędzając trójkę bitowników i podążyli się za nim ulegle, kierując się do cel karmicieli. Shalatar poszedł umyć twarz i powrócić do swoich obowiązków, w ciągu chwili zapominając o istocie, która powinna być dla niego wszystkim.

Rozdział 23

Pomimo tego, że od przerażającego gorąca na ciele wychodziły mu bąble, Justin siedział wewnątrz jednej z kamiennych ruder, w której żyli wygnańcy, nie ośmielając się wyjść z niej na krok tam, gdzie mógłby być widziany. Nie przy bitewnikach przeszukujących miasto. Sylfy nadal nie przekraczały murów, ale wszyscy obawiali się, że mogłyby.

Siedział w rogu, większość ubrań ściągnął. Bardzo delikatnie dotknął wewnątrz ust przypalonych szczątków swojego języka. Ciało nadal bolało, ale Leon szybko obejrzał i zapewnił go, że Luck odbuduje to. Miał nadzieję, że mężczyzna miał rację. Pozostali dwaj karmiciele nie wydawali się zmartwieni stratą, tylko uszczęśliwieni, że są wolni. Odeszli już poszukać swoich rodzin. Justin modlił się, żeby nie wydali ich wszystkich, jeżeli zostaną złapani, ale Leon wydawał się czuć, że nie ma prawa ich zatrzymywać.

Justin westchnął milcząco. Płakał przez długi czas, po tym jak Leon go uwolnił, lkał w ramionach swojego przyszłego teścia jak dziecko. Mężczyzna trzymał go przez cały czas, szepcząc słowa pocieszenia, które Justin chciał usłyszeć, a w które nie wierzył. Leon nie wiedział, jak to jest mieć wycięty i przyżegany język. Czuć się skreconym w środku, stając się karmicielem Rila. Wyobrażał sobie, że życie wypływa z niego za każdym razem, kiedy ta okropna istota karmiła się, nienawidził tego i nienawidził Rila, bitewnika, który był ulubieńcem areny, sylfa, na którego rzucaly się kobiety. Gdyby miał język i Rila przed sobą, rozkazałby mu powrót do jego naturalnej postaci i patrzyłby, jak sylf umiera.

Justin skulił się w rogu i czekał. Bitewnicy ich szukali, ale Leon obiecał, że tutaj są bezpieczni tak długo, jak nie wyjdą na zewnątrz. Bąble na jego ciele paliły, ale nie dbał o to. Nic nie mogło wyciągnąć go na zewnątrz, nie za cenę ryzyka, że zostanie zabrany z powrotem do tamtego przerażającego miejsca. Ta mała chata nie była większa od jego celi, ale tutaj był wolny, a to miało większe znaczenie niż wszystko inne.

Kilka stóp dalej Leon rozmawiał z Eaphą, czując jak jego przerażenie narasta, kiedy słuchał pierwszej relacji o tym, co dzieje się w Meridal. Słyszał pewne rzeczy od Xhema i Zali, ale oboje z nich byli z zewnątrz. Eapha żyła prosto w sercu tego szaleństwa, widziała nawet więcej niż Justin zamknięty w celi. Było tak wiele rzeczy, których Leon nie wiedział, tak wiele

rzeczy, o które nie mógł zapytać Rila. Eapha przekazała mu to wszystko, włączając w to rzeczy, których wolałby być nieświadomy.

Powiedziała mu najwięcej o haremach, miejscach gdzie bitewnicy przybywali gasić pożądanie z kobietami, które były tam wbrew swojej woli. Wiedział wcześniej z opowieści Mace'a, że zanim został uwolniony, bitewnik mógł uszczęśliwiać kobiety, kochając się z nimi, potrafiąc zwiększyć żądze, tak jak uderzali nienawiścią w mężczyzn, ale dla niego nadal brzmiało to jak gwałt. Chciał zapłakać, kiedy słyszał, gdzie zabrana była Lizzy, służąc bitewnikom za coś w rodzaju zabawki. Kobiety w Dolinie były niesamowicie wyzwolone, rozumiał to i akceptował, ale to była jego mała dziewczynka.

- Nigdy jej nie dotknęli – zapewniła go Eapha ku jego uldze. – Tooie powiedział, że nie była dla nich interesująca, ale udawali, żeby uchronić ją od zmienienia w karmicielkę.

Eapha powiedziała mu również, że kobiety, które nie miały powodzenia, zabierano i okaleczano jak biednego Justina. Tak samo jak te, w których zakochał się jakiś bitewnik. Miał problemy z uwierzeniem w to, nawet przy tych ludziach. To było zbyt niemożliwie okrutne.

- Dziękuję za zaopiekowanie się moją córką – powiedział Eaphie. – Wam wszystkim. To musiało być dla was wielkie ryzyko wciągnięcie jej w ten swój krąg, skoro nie znaleźcie jej.

Eapha wzruszyła ramionami, starając się rozplątać włosy. Uśmiechnęła się nieśmiało.

- Jest dobrą dziewczyną, a z tymi żółtymi włosami przepadłaby natychmiast, gdybyśmy tego nie zrobiły. Ale jak na kogoś, kto nie wiedział właściwie, co robi, udawała zupełnie nieźle. Wydaje mi się, że szło jej lepiej, kiedy Siedemset-Trzy stał się jej kochankiem.

Leon poczuł jak serce zamiera mu w piersi.

- Co? – wyjąkał. Z rogu Justin wpatrywał się z rozszerzonymi oczami.

Eaoha zamrugnęła, spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Siedemset-Trzy. Ty nazywasz go Ril, prawda?

Ale Ril nawet nie lubił kobiet.

- Jesteś pewna?

- Całkowicie! – zaśmiała się. – Wciągnęliśmy go również do naszego kręgu – jej śmiech ucichł. – Tooie mówił, że w tym jest coś więcej. Bardzo ciężko szło mu dobranie słów. Kiedy wysłałeś ten list, spędził większość nocy starając się zadać właściwe pytanie.

- A o co chodziło? - zapytał Leon. Czuł się słabo. Ril? Z Lizzy? Jego bitewnik? Z jego córką? Leon pomyślał o Rilę stojącym przed nim, żeby przyjąć jego rozkazy i miał nagłą chęć skrócić mu kark. Justin wyglądał na chorego.

- Tooie powiedział, że żaden z bitewników nie chciał Lizzy w łóżku, ponieważ była już związana z bitewnikiem. Dokładnie z Rilem. Nawet najbardziej szalony z nich nie chciał jej.

- Przybyła tam już związana?

- Tak.

Leon zamknął oczy i zadrżał.

Eapha spojrzała na niego niepewnie.

- Wszystko dobrze?

- Tak – wyszeptał. – Mów dalej.

Kobieta odchyliła się, nadal patrząc niepewnie, ale w końcu ciągnęła dalej.

- Żaden z bitewników tutaj nie ma kobiecych mistrzów. Nie mogą mieć nawet kobiecych karmicieli, tylko nas w haremie i treserki – potrząsnęła głową. – Chciał wiedzieć, jak Ril zrobił z niej swojego mistrza. To było jego pytanie. Chce zrobić tak, żebym to ja była jego mistrzem. Mistrzem haremu, jak mi się wydaje – uśmiechnęła się nieśmiało.

Nie, pomyślał Leon. Nie tylko mistrzem, ale królową każdego sylfa w tym skorumpowanym mieście. Od kobiety- mistrza do królowej był tylko jeden mały krok, a ta kobieta z haremu nie powinna mieć żadnego problemu ze zrobieniem go. Zbladł, kiedy uderzyły w niego konsekwencje czegoś takiego. Solie, stając się królową, przyciągnęła pięćdziesiąt sylfów Wspólnoty, a także sylfów z oryginalnej linii roju jej bitewnika, takich jak Mace. Eapha zebrałaby tysiące. Patrząc na jej twarz, Eapha nie miała o tym pojęcia. Lizzy musiała o tym nie wiedzieć, skoro nic nie powiedziała.

W jakiś sposób Ril zrobił z Lizzy swojego mistrza? Nie mógł zrobić z niej królowej, nie z wzorem Solie już umieszczonym w nim. Ale zrobił z niej kogoś takiego jak Leon, a Leon nie

miał pojęcia, jak mu się to udało. To wymagało pomocy wyćwiczonych kapłanów, lub bitewnik, który to potrafił, tak jak Mace, który wprowadzał wzór królowej. Solie musiałaby być przy tym, ale wtedy powiedziałaby coś, gdyby Ril przyszedł do niej związać się z Lizzy. Nie, w jakiś sposób jego bitewnik zdołał dokonać niemożliwego i nie powiedział mu o tym.

A jak zareagowałbyś, gdyby to powiedział? zapytał samego siebie. Jego bitewnik miał przed nim sekrety. Tak jak Lizzy. To boleło, ale odłożył to na bok. Teraz nie było na to czasu.

- Nie znam odpowiedzi na pytanie twojego bitewnika – przyznał i zobaczył jak twarz dziewczyny posmutniała. Podobał jej się pomysł zostania mistrzem Tooie, zorientował się, ale tylko dlatego, że go kochała. Na wiele sposobów związanie z bitewnikiem było jak małżeństwo, miłość była najlepszym do tego powodem. Miał nadzieję, że miłość przetrwa, kiedy Tooie zmieni ją w królową.

- Chociaż mogę się dowiedzieć – zapewnił ją.

Wyglądała na zaskoczoną.

- Jak?

- To proste – odrzekł. – Zamierzam zapytać Rila.

Czas na sekrety minął.

Tooie zabrał list do ojca Lizzy tylko dlatego, że go o to błagała. Nie miało to już dla niego znaczenia, nie bez Eaphy. Bez niej, pomyślał, to tylko kwestia czasu, kiedy stanie się tak szalony jak Osiemdziesiąt-Dziewięć, pod warunkiem, że będzie w stanie dotknąć znów kobiety. Wydawało się, że łatwiej będzie, jeżeli nie dotknie. Ten rodzaj bólu nie był tego wart, nie kiedy jego miłość mogła tylko zniszczyć następną kobietę.

Wyleciał, kiedy ciemność zapadła, zamigotał i odleciał, ostrożnie poruszając się ponad miastem. Nie dbał o siebie, ale o list ukryty wewnątrz niego, który mógł spowodować śmierć Lizzy, gdyby został odkryty. Tak jak i śmierć Siedemset-Trzy pomyślał Tooie, który nie dbał o obcego bitewnika, zwłaszcza w tej chwili.

Tooie przeleciał przez ciemność i opadł na miejsce, gdzie zrywał kwiaty dla Eaphy. W pobliżu wyczuł ojca Lizzy. Lądując na krańcu miasta, tuż przy swojej linii granicznej, otworzył usta, pozwalając żeby błyskawice, który tworzyły jego zęby, zaślniły w ciemności, ujawniając gdzie był. Dzisiejszej nocy nie było tu wiele ognisk i było cicho. Ludzie bali się.

Wszyscy poza jednym. Natychmiast od pozostałych przy ognisku oderwał się jeden cień i ruszył w jego stronę. Tooie rozpoznał go po emocjach, determinacji i spokoju. Mężczyzna przeszedł po drugiej stronie rozbitego muru i powiedział ostatnie słowa, których bitewnik mógłby się spodziewać.

- Witaj Tooie.

Tooie wpatrywał się, jego błyskawice z zaskoczenia przestały na chwilę błyskać. Skąd ten człowiek znał jego imię?

- Jest tu ktoś, kto czekał na ciebie – wytłumaczył Leon robiąc krok w bok.

Druga czarna postać podeszła do niego, ta którą znał dobrze. Przez chwilę mógł tylko wpatrywać się, a potem pobiegła w jego stronę, a on krzyknął, tuzin macek wystrzeliło, żeby owinać się dookoła płaczącej postaci Eaphy. Miał zabronione w tym miejscu zmienianie postaci, ale przyciągnął ją do siebie i otulił mackami, drżąc. Eapha była bezpieczna! Była bezpieczna! Jak się tu dostała?

- Leon mnie uratował – wyszeptała. – I chce pomóc mi stać się twoim mistrzem, jeżeli pomożemy mu ocalić Lizzy i Rila.

Za to Tooie zrobiłby wszystko. Bitewnik tulił Eaphę do swojego serca i patrzył na Leona czekając, żeby powiedział mu, co ma być zrobione. Jeżeli tylko mógł to zrobić, pomimo wszystkich zasad wiążących go, Tooie to zrobi.

A jak nauczył się w ciągu kilku następnych minut, było to coś, co mógł zrobić bardzo łatwo.

Dopiero co nakarmiony przez dwóch karmicieli, którzy nadal mu pozostali, Ril leżał w alkowie haremu obejmując ramionami Lizzy. Głowę oparła o jego pierś, jej oddech zwalniał.

Eapha zniknęła, powiedziała mu, żeby dowiedzieć się, że jej przyjaciółka została ocalona przez jej ojca. Plakała w ramionach Rila, potem kochała się z nim prawie gwałtownie. W uldze Rila, nie czuła, że jego uczucia są dziwnie odległe.

Ril pocałował ją w czoło, a ona uniosła głowę, żeby spojrzeć na niego.

- Wydaje mi się, że nie musiałam pisać listu. Eapha powie mu wszystko, co chce Tooie – jej oczy zachmurzyły się na chwilę. – Ril... jestem twoją mistrzynią?

- Tak – odrzekł. – Byłaś, dopóki Leon mnie nie zabrał.

Spojrzała na niego podnosząc się. Powiedział jej, co zrobił jej ojciec, a ona nie wiedziała, co o tym myśleć. Czy Ril nadal ją kochał? Musiał. Właśnie się kochali. A następna myśl sprawiła, że skuliła się z przerażenia. Kiedy zacisnął uścisk, przytuliła się z powrotem do niego.

- Jak to możliwe, że jesteś mój? – wyszeptała. – Jesteś bitewnikiem mojego ojca.

- I również twoim – odrzekł. - Mówiłem ci to. Byłem twój od chwili, kiedy się urodziłaś.

Zrobiła minę.

- Nie mogłam być aż tak imponująca jako niemowlę.

- Byłaś śliska, wrzeszczałaś i byłaś piękna – zapewnił ją. – Zakochałem się w tobie od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłem – zobaczył i wyczuł jej zaskoczone spojrzenie. – A oficjalnie zrobiłem to, kiedy miałaś siedem lat.

- Jak?

Wyciągnął rękę w stronę sufitu, oboje obserwowali jak obraca nią leniwie w przytłumionym świetle, idealnie ludzką, ale nieludzką rękę.

- Pamiętasz, jak byłem chory? – zapytał. – Zachorowałem od prób wzięcia w siebie twojego wzoru. Potrzebowałem tego, ale nie udało się, aż do chwili, kiedy sięgnęłaś do mnie i byłem zdolny chwycić go.

- Sięgnęłam do ciebie? – zapytała zdumiona.

Skinał głową i opuścił rękę, odsuwając włosy z jej twarzy.

- Tak bardzo chciałaś żebyś żył, że otoczyłaś mnie. To pozwoliło mi wejść. Wtedy stałaś się moim mistrzem.

- Ja... - przelknęła i oblizwała usta. – To dlatego mogę cię wyczuć? To dlaczego nie mogłam czuć cię wcześniej, skoro mówisz, że zrobiłeś to, jak miałam siedem lat?

Pogładził jej policzek i objął go dłonią, przesuując jej twarz tak, że mógł pocałować jej usta.

- Stłumilem to – wytłumaczył. – Możesz wyczuć tylko to, co wysyłałem, a ja nie wysyłałem ci niczego.

Lizy spojrzała w jego bladozielone oczy. Mogła wyczuć jego spokojną pewność i pogodę. Był spokojny, co jak jej się wydawało, zdarzyło się pierwszy raz w jego życiu. Bez znaczenia co jej ojciec zrobił, pod spodem mogła wyczuć jego miłość do niej.

- A teraz? – wyszeptala.

Spoglądał na nią przez chwilę, wyczuwając ją, a potem wypłynęła z niego miłość, zmieniając się w pożądanie, które owładnęło nią. Sapnęła cicho, a on przetoczył się na nią, kładąc ręce pod jej głowę, kiedy pochylił się, żeby zdobyć jej usta, pocałunkiem płonącym gorącym jak z kuźni kowala. Poczula się, jakby była hartowaną stalą, albo jak instrument w który uderzał, a on wypełnił ją swoim pożądaniem i uderzył w nią, rozszerzając jej nogi i wślizgując się do środka.

Lizy zalkała, nie słysząc siebie, kiedy wypełniał ją, jej ciało i jej duszę. Mogła go wyczuć, poczuć go aż do krańcowej głębi, od niezbadanych lat całkowicie samotnego, teraz wypełnionego nią. Był zagarnięty przez jej ojca, ale jego serce, ta część jego, której najpewniej nawet sam nie wyczuwał, kochała ją. Udawał, tak jak Leon nakazał mu udawać przy wszystkich swoich mistrzach, ale to było tam, nietykalne dla niego, ale rozumiane przez nią. Ona była jego życiem, jego nadzieją, była dla niego wszystkim.

Objęła ramionami szyję Rila i przytuliła go, niezdolna w swoim człowieczeństwie do zrobienia czegoś więcej. Chociaż wiedziała, że jemu to wystarczy. To było więcej niż wystarczające dla niego, kiedy dotknął samego jej sedna i wiedział, że był kochany.

Po wszystkim zasnął. Lizzy wyszła, dając mu trochę prywatności, a również z powodu treserek, żeby czegoś nie podejrzewały. Po zdarzeniu z Melortą powinna unikać Rila, ale nie była w stanie. Ale dla zamiarów ich obojga, nie mogła pozostać z nim za długo.

Poza tym, nie chciała być wciągnięta w jego sen z jej ojcem. To było trochę dziwne, ale chciała, żeby następny raz, kiedy go zobaczy, był rzeczywisty.

Lizzy odeszła. Było dziwne kochać się z nią, ale chciała tego, a głęboko pod kontrolowaną przez Leona częścią jego, coś w nim również tego chciało. Chciał niemalże uciec od tego uczucia. Wszystko czego potrzebował to Leon, on cały był Leona. Ale nadal miał ją i kochał ją, głęboko w sobie wiedział, że ona również go kocha. Było trudno utrzymać to uczucie, kiedy odeszła, a Ril nawet nie próbował. Zamiast tego skulił się w alkwie i spróbował zasnąć. Spał wiele podczas tego dnia, ale kiedy miał do czynienia najpierw z Leonem, potem z Shalatarem, nie było ciężko odprężyć się i zasnąć.

Tak naprawdę nie rozumiał, w jaki sposób wędruje we śnie. Wiedział, że może kontaktować się tylko ze swoimi mistrzami, ale ciężko było robić mu to za każdym razem, kiedy spał i stanowczo nie chciał iść do Justina, czy pozostałych karmicieli. Wydawało się, że najczęściej zdarzało się to, kiedy był skupiony na celu, gdy zasypiał, więc myślał o Leonie, kiedy zapadał w drzemkę. Potem podążał za wzorem energii, która łączyła ich dwóch, wędrując, aż wślizgnął się do umysłu mężczyzny, którego szukał.

Wślizgnął się, objął go i rozejrzał się.

Świat pojaśniał, Ril zamrugał kilka razy i unióśł głowę rozglądając się. Stał na podwórku rezydencji w którym mieszkała rodzina Petrule, kiedy żyli w Eferem. Surowa, kamienna rezydencja wznosiła się nad nim, księżyc lśnił oświetlając ją z wysoka. Leon stał na stopniach, które prowadziły do drzwi frontowych i patrzył w dół, na niego.

- Leon – odezwał się Ril ruszając w jego stronę.

Czoło Leona zmarszczyło się.

- Spaleś z moją córką.

Ril znieruchomiał, malutka część, która nadal była nim, nagle stała się tak zimna, że mógł niemalże uwierzyć, że to nie był sen. Jego usta poruszyły się bez dźwięku, nie mógł wymyślić co powiedzieć, nie w obliczu tego. Nie przy gniewie, jaki nagle poczuł. Czuć gniewu dochodzącego od mężczyzny, który obecnie nasycił jego duszę, było prawie jak agonia.

Leon przygryzł wargi i zacisnął rękę na swoich spodniach. Zszedł po schodach i zatrzymał się o kilka stóp od niego.

- Spaleś z moją córką.

Ril nie spodziewał się tego, a powinien, prawda? Wiedział, że Leon tego nie zaaprobuje. Leon nie dzieli się. Nie chce, żeby jego słodka córka była zhańbiona. Ril poczuł rozczarowanie swojego mistrza i złość, a więź pomiędzy nimi dwoma sprawiała ból. Ból był tak wielki, że zapłakał głośno i opadł na kolana, cały się trzęsąc, kiedy sięgnął chwytając kostki swojego mistrza. Pojedyncze słowo, tylko jedno i nigdy nie będzie w stanie dotknąć znów Lizzy. Oszaleje, jeżeli tak się stanie. Już to czuł i chciał tego. Chciał całkowitej kontroli, chciał być niczym więcej niż stworzeniem tego człowieka, bez własnej woli, nawet tej, która krzyczała, że kocha Lizzy. Zawsze będzie ją kochał swoim sercem, bez znaczenia do kogo będzie należeć jego dusza.

- Błaaaagaaamm – prosił płacząc, a nawet nie wiedział, o co prosi.

Leon był wściekły, kiedy zobaczył Rila idącego w jego stronę po kamieniach, jakby uważał, że nie zrobił niczego złego. Spać z jego córką, wykorzystać ją w tym przerażającym miejscu...? Leon nigdy nie był tak wściekły. Ril oddał swoje zaufanie Leonowi, ale Leon także ufał swojemu bitewnikowi.

Nawet wiedząc, że nie było teraz czasu na wymówki, Leon zrobił je i zobaczył jak oczy bitewnika zmieniają się, odbijają zakłopotanie i przerażenie. Nie spodziewał się, że tak się stanie. Jakaś chciwość i nienawiść w tyle umysłu Leona krzyczała, że Ril powinien być jego. Nie chciał dzielić się nim z nikim innym, a na pewno nie z kimś, kogo Ril mógłby pokochać bardziej.

Ril opadł na kolana, cała jego dusza była obnażona przed mistrzem, kiedy chwycił kostki Leona płacząc słowem *blagam* i otworzył się nawet bardziej niż wcześniej, nawet bardziej niż przy karmieniu. Wszystko czym był, oddawał Leonowi, z własnej woli, ale nawet pod tym wszystkim została Lizzy. Ril kochał ją wszystkim, co nadal było nim. Teraz jednym słowem Leon był zdolny wyrwać ją z niego na zawsze. Miałby swojego bitewnika całego dla siebie, tak jak zawsze tego pragnął.

Leon sapnął i natychmiast opadł na kolana, przyciągając Rila w swoje ramiona. Złość w nim stłumiona została przez przerażenie, a kiedy uświadomili to sobie, obaj uściskali się mocno.

- Nie błagaj – powiedział mu Leon. – Nie błagaj! Wszystko w porządku, nie zabiorę ci jej. Obiecuję, że nie zabiorę – zamilkł, a Ril poczuł jak emocje jego mistrza zmniejszyły się, mężczyzna zdusił je i odsunął, bez znaczenia co naprawdę czuł. Ból zelżał. – Wszystko w porządku. Przepraszam. Już w porządku, przepraszam, przeraziłem cię.

Ril pochylił się do niemu drżąc. Nie mógł nawet unieść głowy, kiedy Leon głaskał go po plecach, szepcząc do ucha słowa otuchy. Mógł płaszczyć się, zrobiłby wszystko, był zszokowany sam sobą, zamknąwszy z wstydu oczy. Czekał aż powrócił pełna kontrola Leona, tak żeby nie czuł tej gwałtownej sprzeczności. Nie był zaskoczony. Był bitewnym sylfem. Spędził wcześniej wieki prosząc, w zdrowiu i problemach.

- Masz dla mnie rozkazy – wyszeptał w końcu, nadal nie patrząc w górę. Właśnie teraz nie mógłby.

Leon westchnął, siadając na ziemi z Rilem na wpół leżącym mu na kolanach, wpatrując się ponad jego głową w nocne zarysy miasta, którego żaden z nich nie spodziewał się odwiedzić znów w rzeczywistości.

- Kobieta, którą zabrałem z areny, mówi, że Lizzy jest twoją mistrzynią. Czy to prawda?

Ril zacisnął uścisk.

- Tak – wydusił ukrywając twarz w ramieniu Leona.

Emocje Leona uleciały na chwilę, tylko na chwilkę, a Ril wyczuł zazdrość, a potem wstyd.

- Jesteś nadal moim mistrzem – odezwał się szybko. – Tego nie zmienię – zawahał się. – Nawet gdybyś mnie z powrotem uwolnił, nie mógłbym.

Nie mógł sobie tego wyobrazić. Teraz ten ból był przytłumiony, pamięć o Lizzy również, ukryta pod silną obecnością tego człowieka, jego duszy. Ale ten ból był tam nadal, chociaż bardzo głęboko, czego świadomość aż raniła.

- Dziękuję – powiedział Leon, a w to słowo było pełne uczuć. – Ril, jak ona stała się twoją mistrzynią? Musimy wiedzieć.

Ril w końcu odsunął się i usiadł, zaskoczony. Leon wydawał się zmęczony i nieszczęśliwy, ale zdołał się uśmiechnąć. O czymkolwiek innym myślał, odłożył te myśli na bok i ten uśmiech był rzeczywisty.

- Ril? – zapytał.

Ril przelknął.

- Sięgnąłem po nią wzorem wewnątrz mnie. Chociaż to nie wystarczało, aż do chwili, kiedy ona sięgnęła do mnie. Aż mnie otoczyła – spojrzał w dół. – Zasadniczo o to chodzi. Ale nie jest to łatwe. Zajęło mi to miesiące i prawie mnie zabiło.

- Ale Lizzy nie wiedziała, co robisz, prawda?

Spojrzał na niego.

- Nie, nie wiedziała.

Leon wydawał się w zasadzie zadowolony. Skinął głową i odwrócił spojrzenie na sekundę.

- Powiedz mi jeszcze coś. Kochasz ją?

Bitewnik przelknął. Ból wzmógł się znów, sprzeczność w troszczeniu się o kogoś więcej niż tylko tego mężczyznę. Chociaż musiał mu odpowiedzieć z całą uczciwością.

- Bardziej niż cokolwiek.

- Będziesz o nią dbał?

- Tak jak będzie tego potrzebowała.

Leon skinął głową, wziął głęboki wdech i objął ramionami Rila, przyciskając ich czoła razem.

- W porządku, synu. Tak długo jak Lizzy będzie tego chciała, nie będę zabraniał ci być z nią.

Ril zamknął oczy i znów zadrżał, tym razem z ulgi. Leon ścisnął go mocniej przez chwilę, zanim w końcu pozwolił mu odejść.

Rozdział 24

Leon obudził się, mrugając w ciemności, przez którą nie było widać sufitu chaty, w której leżał. W dachu była dziura, więc mógł widzieć kilka lśniących gwiazd. Nie było ich tak wiele jak w dolinie, przytłumiały je światła pobliskiego miasta, ale nadal mógł zobaczyć pół tuzina migoczących jak iskiarki.

Leżał cicho przez kilka minut, obserwując i tylko oddychając, uspokajając się, tak jak robił to, od kiedy przybył do tego miasta. Wypełnił go spokój, ale nie był tak głęboki jak zazwyczaj i w końcu Leon westchnął. Spokój nie był tym, czego potrzebował. Potrzebował czuć, a to co czuł, to było poczucie winy. Był zły na Rila, przyznał to teraz. Lizzy była jego córką. Chciał ją chronić, widzieć ją odpowiednio poślubioną, mającą dzieci i wnuki, normalne życie.

Ale sposób, w jaki Ril zareagował na jego gniew, zniszczył w nim wszystko. Pomimo tych wszystkich zasad posłuszeństwa, jakie na nim Leon wymusił, Ril był przerażony! Leon czuł się z tym źle i teraz skierował swój gniew bezpośrednio na siebie.

Przez piętnaście lat trzymał Rila w postaci ptaka chcąc, żeby ta istota zaufa mu i szanowała go, wierząc, tak jak był nauczony, że bitewnik nie jest niczym innym niż mądrym zwierzęciem. Po poznaniu prawdy chciał, żeby bitewnik był jego przyjacielem czy nawet członkiem rodziny i w końcu poczuł, że mu się to udało. Teraz, widząc jak Ril błaga go... Nie chciał się dzielić, to było w jego sercu, ale to nie oznaczało, że miał prawo pytać. Lizzy i Ril oboje byli dorośli. Nie potrzebowali jego aprobaty, a z całą pewnością nie potrzebowali jego zezwolenia.

Leon zamknął oczy. Poprosił Rila, żeby ten zaufał mu wszystkim, czym był, a potem zaatakował samo jądro jego uczuć. Jeżeli kiedykolwiek *spodziewał się* być najważniejszą osobą w życiu Rila, to nie zasługiwał na to, żeby go mieć. To samo dotyczyło Lizzy. To bolało, pomyślał. Na podstawowym samolubnym poziomie, to bardzo bolało.

A równocześnie nie miał na to czasu. Leon nie miał pojęcia, jak długo spał, a Tooie mógł czekać tylko do chwili, w której musiał powrócić do haremu. Niedługo będzie musiał odejść.

Przeciągając ręką po włosach Leon podniósł się i wyszedł w ciemność. Xehm i Zalia siedzieli przy ogniu wraz z kilkoma pozostałymi wygnańcami. Większość z nich opuściła domy

wcześniej, woląc znaleźć inne miejsce na pustyni, w którym rozłożą swój obóz, zamiast ryzykować pozostanie. Leon nie winił ich. Bitewnicy nie opuszczali miasta, ale to nie oznaczało, że nie mogli być przyciągnięci przez powiększające się emocje obecne w tym miejscu.

Jeden bitewnik był obecny. Tooie unosił się nad murem na skraju pustyni, z Eaphą siedzącą na szczycie muru, dotrzymującą mu towarzystwa. Nadal był w postaci dymu i błyskawic, zgodnie ze swoimi rozkazami, a Leon mógł wiedzieć narastające w sylfie cierpienie, widoczne w tempie pojawiających się w nim błyskawic. Eapha rozmawiała, ale nie mogła powstrzymać go od odejścia, jeżeli Tooie, ograniczony przez swoje rozkazy, musiałby iść się pożywić. Co gorsze, nie było go tak długo, że jego nieobecność mogła być zauważona, więc jeżeli bitewnik zniknąłby teraz, Leon nie miał gwarancji, że będzie w stanie powrócić.

Ruszył do przodu, jego szczęki zacisnęły się mocno. Czerwone oczy odwróciły się spoglądając na niego, tak jak oczy Eaphy.

- Dowiedziałeś się czegoś? – zapytała. Była pełna wątpliwości co do Leonowego chodzenia we śnie, ale nie okazywała całkowitego braku wiary. Miał nadzieję, że utrzyma to stanowisko.

- Tak – spojrzał na bitewnika. – Mam nadzieję, że mnie zrozumiesz, Tooie. Mam nadzieję, że zrozumiesz, co to oznacza.

Sylf wpatrywał się w niego. Nie mógł mówić. Ale Leon mógł stwierdzić, że słuchał.

- Ril powiedział mi, że Lizzy stała się jego mistrzynią, ponieważ sięgnął po nią swoim wzorem. Powiedział, że próbując to zrobić, prawie się zabił, ale nie udało się to aż od chwili, kiedy Lizzy poddała się mu, dopiero wtedy zadziałało. Ona myślała, że Ril umiera. Nie wiedziała – Leon odwrócił się do Eaphy. – Ty wiesz. Poddaj się Tooiemu, a on zrobi z ciebie swoją mistrzynię.

Tooie nagle zakolysał się, jego błyskawice zabłysły wewnątrz chmury, z jakiej był utworzony. Leon syknął na niego, żeby był cicho, nawet Eapha spojrzała na nich obu przestraszona.

- Jesteś pewien? – wyszeptała.

Energia Tooie natychmiast została przez niego powstrzymana, a on sięgnął swoją ciemną macką, żeby pogłodzić dziewczynę po policzku. Spojrzała na niego żałośnie i przytuliła do macki głowę.

- Twoje życie niekoniecznie może stać się łatwiejsze – powiedział jej Leon. Uczciwie rzecz biorąc, nie mógł powiedzieć niczego innego wiedząc, że wkrótce będzie królową. Powiedział jej, kim była królowa, ale nie miała żadnego odniesienia, żeby to naprawdę zrozumieć. Tylko doświadczenie mogło jej w tym pomóc. – Ale to jest jedyny sposób, żebyście oboje byli wolni. Ty i on – skinął głową na Tooie.

Epała podążając za jego spojrzeniem popatrzyła na swojego kochanka. Tooie patrzył na nią, jego dym wirował dookoła muru i otaczał ją. W końcu uśmiechnął się, kiwając głową.

Leon skinął głową i odsunął się.

- Jeżeli możecie, pospieszcie się – odwrócił się i powrócił do obozu.

Tooie obserwował Eaphę, energia, która była jego sercem, wibrowała z tysięczną częstotliwością. To, co powiedział ten człowiek o tym, jak jego bitewnik zawiązał więź.... Tooie nigdy by o tym nie pomyślał! Nie chodzi o to, że było to poza jego zasięgiem, ale nie było to coś, co kiedykolwiek zrobiłby. Sięgnąć umysłem było jedną rzeczą, ale tylko królowa mogła chwycić. Wszyscy to wiedzieli. To była fundamentalna prawda. Tylko królowa mogła chwycić wzór. Tylko królowa mogła zaakceptować więź.

Ale sylfy wiązały się z ludźmi za każdym razem, kiedy jeden z nich był łączony z mistrzem, prawda? Ludzie mogli przyjąć ich wzory, nawet jeżeli nie tak mocno jak królowa, to bardzo podobnie. Wystarczająco, żeby im rozkazywać, na tyle, żeby ich posiadać. Zawsze wcześniej odbywało się za pomocą rytuału, ale to dlatego, że była to *wymuszona* więź. To co naprawdę potrzebowali zrobić, to wziąć, co im proponowano.

Tooie zadrzał w milczeniu, entuzjastycznie i przejmująco. Jego rodzaj zmarnował tak wiele czasu. Cały czas mieli możliwość, żeby zmienić swoje przeznaczenie. A przynajmniej kochać tego, kogo chcieli.

Spojrzał na Eaphę, w tej postaci zdolny zobaczyć jej wzór energii dużo wyraźniej niż jej ciało. Już wkrótce ten wzór będzie w nim. Jako jeden z wielu, ale ona była kobietą. A to oznaczało... że mógł zmienić ją w królową. Ona nie rozumiała tego w pełni, ale on tak.

Utworzył macki i pokazał za ich pomocą znaki, jakich Eapha nauczyła go. Nie mógł w tej postaci być dokładny, ale nie potrzebował powiedzieć niczego skomplikowanego. Zaufaj mi, zasygnalizował.

- Ufam ci – wyszeptała, chociaż mógł wyczuć jej strach równie mocno, jak miłość.

Tooie sięgnął do niej, wyciągając swój wzór w sposób, jaki zrobiłby to, gdyby miał królową swojego gatunku, która by go chciała. Zamiast tego poszukał Eaphę i poczuł jej esencję tuż poza zasięgiem, w niedalekiej odległości, której jednak nigdy nie byłby w stanie pokonać sam. Pomimo to sięgnął, mając nadzieję, a powoli Eapha zaczęła sięgać po niego.

Lizzy szła wzdłuż stołu z jedzeniem, jej żołądek burczał. Niewiele pozostało, a Kiala właśnie zabierała ostatnie sery.

- Chcesz trochę? – zapytała podstawiając Lizzy tacę

- Dzięki – odrzekła Lizzy biorąc kawałek i wkładając go do ust. Pachniał jak nogi, ale smak był boski. Przeżuła powoli i rozejrzała się dookoła. Była już późna godzina, ona i Kiala były jedynymi kobietami w zasięgu wzroku.

- Eapha jest wolna – powiedziała po chwili. – Została zabrana do Rila na arenę, ale mój ojciec ją uwolnił.

Kiali opadła szczęką.

- A-ale... - sapnęła. – Ale jak?

- To mój ojciec – powiedziała Lizzy. – Nie zostawi mnie.

Kiala zacisnęła wargi. Słyszała wcześniej o ojcu Lizzy, ale tak naprawdę nie wierzyła.

- Nikt nie zdoła wydostać cię stąd.

- On zdoła. On i Ril.

Kobieta z goryczą i niedowierzaniem potrząsnęła głową.

- Żaden bitewnik nie ocali nikogo. Nie w tym miejscu.

Nagle otworzyły się główne drzwi. Było zbyt późno, żeby treserki przyszły dla jakiś normalnych czynności, pomyślała Lizzy z przerażeniem, ale weszły tu trzy tuziny treserek, uzbrojonych w miecze i pałki. Tak groźnych wyrazów twarzy jeszcze u nich nie widziała i zadrżała pod wzrokiem towarzyszącej im Melorty. Treserka patrzyła się z nienawiścią, jakby przypominała jej wcześniejsze przesłuchanie. To będzie dużo gorsze od poprzedniego.

Lizzy i Kiala obie zaczęły się cofać. Treserki rozeszły się, trzymając pałki w gotowości. Za nimi weszła Rashala. Spojrzała spokojnie na prawie pusty harem, potem na Lizzy i Kialę.

- Te dwie są na liście. Zabierzcie je.

Kiala znieruchomiała, patrząc z przerażeniem. Lizzy zamiast tego krzyknęła, próbując uciec, ale było tu za wiele treserek, a ona nie mogła uciec im wszystkim. Złapały ją po zaledwie kilku krokach i zaciągnęły z powrotem za włosy. Oszalała ze strachu nadal próbowała walczyć, ale pchnęły ją na ziemię i wykręciły ręce na plecach.

- Ril – krzyczała. *Ril!*

- Bierzcie pozostałe – rozkazała Rashala, a reszta treserek posłuchała, Melorta wydawała rozkazy, dzieląc je na grupy.

Było oczywiste, że wiedziały, co robią, gdzie śpią wybrane cele ich działań. W ciągu minut jeszcze dziewięć kobiet zostało wyciągniętych z alkow, płaczących i krzyczących. Czterech bitewników podążało za kobietami, a ich rozpacz była oczywista.

Wszystkie kobiety były z kręgu, sapnęła Lizzy w przerażeniu, a to przyciągnęło wzrok Rashali. Wyraz twarzy kobiety był czymś gorszym od zadowolenia.

- Nie – wyszeptala Lizzy. Skąd wiedziała? – Ril...

Rashala rzuciła spojrzenie ponad zgromadzonymi przerażonymi więźniarkami.

- Zabierzcie je do cel karmicielei.

Konkubiny zaczęły krzyczeć rzucając się szaleńczo, ich bitewnicy błagali w milczeniu, próbując przyjść z pomocą, ale cofając się pod rozkazami treserek. Pozostałe kobiety i bitewnicy pojawili się w wejściach do alkow i w drzwiach z tyłu. Ale nie było nic, co mogliby zrobić. Nikt z nich nic nie mógł zrobić.

- Ril! – krzyknęła znów Lizzy, w myślach krzyczała równie głośno. *Ril!*

Otworzył oczy słysząc krzyk Lizzy. Jej panika uderzyła w niego, wraz z przerażeniem innych kobiet, z gniewem i strachem niezliczonych bitewnych sylfów i wraz z rozkazem Leona, żeby chronił jego córkę. Ril przeturlał się, zatoczył się sennie, ale trzasnął się w twarz. Ból pomógł mu się w pełni obudzić, bitewnik potrząsnął głową, zmuszając się do wstania na nogi.

Będąc nadal pod wpływem snu próbował zmienić postać. Ból, który to przyniosło, ocucił go do reszty i chwilę później Ril biegł do haremu. Obcasy jego butów stukwały na marmurowej podłodze, potknął się o poduszkę, prawie upadając, ale odzyskał równowagę i rozejrzał się. Treserki zajęły harem siłą, ciągnąc prawie tuzin kobiet w stronę drzwi. Rashala obserwowała. Czterech bitewników kulilo się i czekało w milczeniu, ich morderczy gniew ledwie był powstrzymywany przez rozkazy. Ril rozpoznał ich natychmiast tak jak i kobiety.

Lizzy była najbliżej drzwi, kiedy znalazł się w haremie i została wyciągnięta przez nie, nadal krzycząc jego imię. Ril ruszył do przodu, jego gniew był nieograniczony, nie miało znaczenia, czy on sam należał do niej, czy do jej ojca.

Widząc jego nadejście, Melorta skinęła na jedną z treserek. Kobieta odwróciła się w jego stronę, uniosła dłoń.

- Zatrzymaj się – rozkazała, jej głos był spokojny i pewny.

Jesteś mój wyszeptał głos Leona w jego umyśle.

Ril pobiegł do treserki i uderzył ją pięścią w twarz. Roztrzaskał jej nos i kości czaszki, które przeszły przez miękką tkankę jej mózgu i wyszły z tyłu głowy. Ciało kobiety zadrżało, a potem wpadła w jego zakrwawione ramiona, żeby z płaskiem upaść na ziemię. Ril w milczeniu wpatrywał się w ciało orientując się, że zabił kobietę. Oczywiście, to nie było coś niemożliwego, ale bitewnicy normalnie tego nie robili. Kobiety były kobietami, a nie wrogami. Zadrżał, świadomy tego, że każdy patrzy na niego, bitewnicy zszokowani, treserki i konkubiny przerażone. Strach Lizzy unosił się ponad tym wszystkim.

Rashala przeszła obok oszołomionej Melorty i powoli szła w jego stronę, uniosła rękę.

- Siedemset-Trzy – koila. – Uspokój się. Dobry chłopczyk – jej wola natarła w jego stronę, dominując, przytłaczając go. – Dobry chłopczyk.

Jesteś mój, obiecał Leon.

Ril uśmiechnął się i rozszerzył ramiona, jedno zakrwawione i jedno czyste. Rashala zrobiła jeszcze jeden krok w jego kierunku, jej wola była silna, skupiona... a Ril uderzył w nią pełną aurą swojej nienawiści.

Jego atak sprawił, że pozostali bitewnicy zawyli, ale Ril o to nie dbał. Wszystkie kobiety krzyknęły w panice. Wiele z treserek połuźniło swój uścisk na konkubinach, ale tylko kilka z nich uciekło, zanim Melorta krzyknęła, żeby podporządkować sobie swoich podwładnych. Kilka posłuchało natychmiast, ale konkubiny nie podporządkowały się. Jedynymi kierunkami, w które mogły uciec, było przebiec za Rila do haremu, lub na zewnątrz przez nadal otwarte drzwi, gdzie zniknęła Lizzy. Większość z nich skuliła się, równie przerażona jak treserki.

Rashala cofnęła się, jej oczy rozszerzyły się z przerażenia, ale nie poddała się swojemu strachowi.

- Zabić go! – krzyknęła zamiast tego. – *Zabić go!*

Wykrzyknęła rozkaz do treserek, ale Ril mógł stwierdzić, że miała również na myśli bitewników. Zaśmiał się.

- Nie masz pozwolenia na rozkazywanie bitewnikom walki, prawda?

Rashala sapnęła i w końcu uciekła, przebiegając pokój i wybiegając z niego tylko w kilku krokach. Drzwi zatrzasnęły się, pozostawiając Rila z prawie trzydziestoma treserkami. Większość z nich nadal była zamrożona z przerażenia, ale blisko tuzin z nich ruszyło w jego stronę wyciągając miecze. Bały się, drżały pod wpływem jego nienawiści, ale były zdeterminowane.

Ril warknął, nie podobało mu się to. Nawet jeżeli ma energii na tyle, żeby uderzyć we wszystkich jednym wybuchem, zabiłby przyjaciół Lizzy. Walcząc na arenie nauczył się wykorzystywać swoje moce w bardziej precyzyjny sposób, ale stał przed przerażającą przewagą liczebną. Chociaż Leon... Leon zmusił go do nauczenia się walki mieczem.

Treserki ruszyły w przód, nawet tych kilka, które wcześniej były sparaliżowane. Ril spojrzął ponad swoim ramieniem na czterech bitewników z kręgu Eaphy, istoty nie pochodzące z jego roju, z którymi nigdy nie rozmawiał. W normalnych warunkach walczyłby z *nimi*, nie z tymi kobietami. To było naturalne, do tego był stworzony. Jednak w swoim szamotaniu się, ci bitewnicy byli równie bezużyteczni jak konkubiny.

Pierwsze treserki podeszły do niego wymachując mieczami. Ril obracając się zrobił gwałtowny wypad w ich stronę, poruszając się dużo szybciej niż one, zanurzając zakrwawioną pięść w brzuchu jednej i robiąc unik przed ostrzem następnej. Zmieniając kształt swojego lewego ramienia, sycząc z bólu, jaki mu to sprawiło, Ril uderzył tym, co teraz było poszarpanym mieczem o wielu ostrzach w bok jego napastniczki. Sapnęła, wymiotując krwią, kiedy upadła w dwóch kawałkach. Treserka, którą trafił bokiem i zwałił na podłogę przeturlała się i upadła próbując oddychać. Wyprostowując się, Ril sam miał problemy z oddychaniem.

Znów zmienił swoje prawe ramię sprawiając, że ostrze było cieńsze, ale równie śmiertelne jak pierwsze. Transformacja była cierpieniem, ale nie miał wyboru. Nie miał wystarczająco dużo energii, żeby utworzyć jakiś większy kształt, a nie mógł odpędzić ich wszystkich aurą nienawiści. Nie mógł nawet utrzymać jej dłużej.

Zaatakował otoczony treserkami. Pojmane konkubiny upadły na podłogę, lub uciekły krzycząc, a on przeskoczył ponad jedną z kobiet, z którą udawał, że się kocha, żeby uciąć treserce głowę tuż ponad szczęką. Kobieta obok niej krzyknęła i podniosła ręce upuszczając miecz. Ril wbił swoje ramię przez obie, także treserkę, która była z tyłu. Potem pchnął je naprzód, prosto w grupę pół tuzina treserek, pośród których była jedna z jego fałszywych kochanek. Kiedy krzyknęła, wyciągnął ją na bok, pomagając przejść jej w bezpieczne miejsce.

Treserki nadal atakowały. Ril rozrywał je swoim mieczem-ramieniem, wyszarpując je na czas, żeby zablokować kilka uderzeń, zanim uderzył w brzuch następnej napastniczki. Kobieta zmiękła zakneblowana napływającą krwią, pociągnął ją na przód, nadziewając ją i unosząc ją ponad głowę, rzucając przez pokój na następne pół tuzina treserek, szykujących się do zabicia go. Z rozłożonymi ramionami Ril przeskoczył za nią.

Każde uderzenie przechodziło przez jego ramię, szybko był cały pokryty krwią, jego ciało bolało. Cios pałką uderzył go w bark, upadając prawie krzyknął. Treserka zaatakowała mając nadzieję, że uderzy lepiej, ale wyczuł jej emocje, kiedy zbliżyła się i podciągnął ramię.

Uderzył w niego trafiając, krew zalała mu twarz, utrudniając widzenie. Jej emocje ustały z chrzęstem podobnym do odgłosu wydawanego przez karalucha rozgniatanego ciężkim butem.

Wszyscy krzyczeli i ślizgali się po zakrwawionej podłodze. Pozostali bitewnicy obserwowali z zainteresowaniem śmierć kobiet, które wcześniej dręczyły te, które oni kochali. Ponad tuzin z nich zebralo się razem. Kobiety z haremu ukryły się, a przynajmniej te z kręgu Eaphy uciekły w bezpieczne miejsce. Ich kochankowie bitewnicy byli skupienia, ale pozostali nieruchomi. Ril marzył, żeby mu pomogli.

Strząsnął martwą kobietę ze swojego miecza i cofnął się od pozostałych treserek. Teraz były zdeterminowane walczyć, wiedząc że zginą, jeżeli tego nie zrobią. Nawoływały do siebie, a co starsze pomiędzy nimi wydawały rozkazy. Nadal możemy go pokonać, krzyczały. Ril nie był przekonany, że się mylą. Nie mógł już dłużej ukryć, że nie może złapać oddechu, nie mógł dłużej utrzymać aury nienawiści. Aura zachwiała się i opadła, a on przechylił się sapiąc na wpół oślepiiony przez twarz zalaną krwią.

Na nogach stało nadal dziesięć treserek, kilka innych było ogłuszonych, ale próbowały się podnieść. Bez miażdżącej je aury nienawiści szybko odzyskiwały odwagę i determinację. Z daleka Ril nadal mógł wyczuć Lizzy, nadal przerażoną. Nie miał czasu na nic innego. Zawrócił do głównych drzwi haremu.

Z zaciśniętymi zębami zmusił swoje ramię do powrotu do normalnej postaci, starając się zignorować ból, jaki to spowodowało. Stał przed drzwiami skupiając się. Nauczył się wiele podczas walk na arenie, nie mając innego wyboru jak wykorzystanie swojej fali uderzeniowej w bardzo kontrolowany sposób. Przyciskając dłoń do zamka drzwi wykorzystał tylko tyle energii, żeby zniszczyć zatrzask. Drzwi otwarły się, wypadł przez nie i zatrzaskał je za sobą, przyciskając znów do nich swoją rękę. Chciał sprawić, żeby żadna treserka nie mogła podążyć za nim.

Prawie stracił głowę. Myślał, że Melorta podążyła za swoją pracodawczynią. Zamiast tego na czele treserek czekała na niego w pokoju strażniczek, jej miecz szaleńczo uderzył na przód. Ril uchylił się instynktownie. Przykucnął, a potem wyprostował uderzając obiema pięściami w stronę jej brzucha. Melorta odskoczyła do tyłu w uniku, upadając na bok, robiąc przewrót na ręce i kolana. Z odległości dziesięciu stóp od siebie wpatrywali się w siebie nawzajem, Ril dysząc łapał oddech.

Wola Melorty uderzyła w niego, konkretna moc wycelowana przeciwko jego empatii. Nie była tak silna jak Rashala, ale on nie był wtedy tak zmęczony.

- Siedemset-Trzy – rozkazała, głos miała dobitnie spokojny.

- Nie –warknął. – Wasze kłamstwa już na mnie nie działają.

- Jak...?

Uśmiechnął się.

- Mój mistrz ma dużo mocniejszy głos niż ktokolwiek z was. On mnie uwolnił.

Melorta zadrwiła.

- Nigdy nie będziesz wolny.

- A ty nigdy więcej nie doprowadzisz Lizzy do leż.

Ril odzyskał oddech. Ruszył gwałtownie w przód. Melorta próbowała zejść mu z drogi, jej miecz odbijał światło. Ostrze wykreśliło linię ognia wzdłuż jego boku, ale w tym samym czasie Ril chwycił szczękę kobiety i szarpnął. Jej kark zadrżał i głowa treserki opadła.

Alarm rozlegał się gdzieś daleko w dole korytarza, który prowadził do pokoju strażniczek, nieharmonijny i przeszywający. Ril zignorował to, rozglądając się dookoła. Bywał tutaj, kiedy był zabierany na arenę lub do karmicieli, więc znał trasę przynajmniej w te dwa miejsca. Wąskie korytarze rozchodziły się w różne strony, z judaszami, przez które treserki zaglądały do haremu. Po przeciwnej stronie od haremu były następne drzwi, te prowadzące do labiryntu cel karmicieli. Lizzy była gdzieś tam.

Przechodząc ponad ciałem Melorty, Ril podszedł do drzwi, zdyszany i zakrwawiony. Drzwi nie miały zamka. Ril zamknął oczy i skupił się, starając się wyczuć, co jest po drugiej stronie. Nic, a przynajmniej nie w pobliżu. Melorta była jedyna na tyle odważna, żeby zastawić na niego zasadzkę. Obejrzał się za siebie, na drzwi haremu. Z rozbitym zamkiem, pozostałe treserki mogły podążyć za nim, kiedy zebrałyby w sobie odwagę... ale z tamtej strony wyczuł mieszane uczucia. Niektóre chciały pozostać tam, gdzie były.

Ril przesunął rękę przez włosy, odrzucając je z oczu. Odsuwając rękę zobaczył, że była zakrwawiona i drżała. Był zmęczony i zdenerwowany, jego ciało płonęło. Ale Lizzy czeka, pomyślał. Otworzył drzwi i przeszedł przez nie.

Strzała z kuszy przeszła jego pierś, dokładnie w tym miejscu, gdzie byłoby jego serce, gdyby je miał, gdyby był człowiekiem. Mimo to cofnął się i złamał drzewce wystające na całe z jego skóry. Pięćdziesiąt stóp dalej w dół korytarza następna treserka wpatrywała się w niego, grubszy koniec kuszy opierała o brzuch, przeladowując kuszę.

Ril ruszył z jej stronę swoją najszybszą prędkością. Tak jak Melorta, treserka nie panikowała. Spokojnie naciągnęła cięciwę i umieściła strzałę. Nie mając na tyle czasu, żeby unieść kuszę do ramienia, strzeliła z biodra. Strzała trafiła Rila w gardło. Upadł, przeturlał się i znów wstał, rzucając się na strażniczkę. On i jego napastniczka zderzyli się.

Ril nadal ważył więcej niż ona, a kiedy upadała, jego ciało uderzyło na nią. Treserka upuściła kuszę i wyciągnęła sztylet, oboje szamotali się. Druga strzała cały czas dławiała Rila. To nie wystarczało, żeby go zabić, ale potrzebował powietrza i nie dostawał go dosyć. Również ból był przerażający. Nie mógł się poddać, jeżeli nie chciał zginąć i pozostawić Lizzy niechronioną.

Zawładnął nim instynkt, wypuścił uderzenie energii. Kobieta pod nim zmieniła się w plamę krwi i strzępów mięsa, a Ril upadł w ten mokry bałagan, jęczący i wyczerpany. Nawet mimo wiedzy, że Lizzy go potrzebuje, zajęło długą chwilę, zanim poruszył się. Drżąc, w końcu przekręcił się na plecy i wyrwał strzałę ze swojego gardła. Było ciężko uchwycić ją, a kiedy w końcu ją wyciągnął, po prostu leżał tam, drżąc.

Energia wyciekła z niego, kiedy zamknął oczy, skupiając się, starając się zmusić swoje rany do zamknięcia, ale tylko czas i energia mogły go uleczyć. Lub Leon. To pomogłoby, gdyby był tu Leon, gdyby mógł wypić ciepłą, pocieszającą esencję mężczyzny. Ale jego mistrz był gdzieś indziej, nie wiedząc, co dzieje się z jego bitewnikiem. Zajęty. Ril mógł wyczuć to, tak jak nadal mógł wyczuć strach Lizzy.

Lizy bała się tak bardzo, że nie mógł się uspokoić. Strach o siebie, strach o niego. Mógł stwierdzić, gdzie była, i zmusił się znów, żeby wstać na nogi. Od stóp do głowy pokryty był krwią, jego oczy wyglądały z maski czerwieni. Ślaniając się trochę szedł nadal w dół korytarza, mijając drzwi, o których wiedział, że prowadzą do biur i magazynów, a także do kwater treserek. Tak wiele nie różniły się od kobiet, których strzegły, one również nie mogły nigdzie wyjść.

Ril minął również schody, które wyprowadziłyby go na powierzchnię, ale Lizzy nie została zabrana w tamtą stronę. Była z przodu, ze drzwiami prowadzącymi do cel karmicieli.

Drzwi były zamknięte. Ril szarpnął za klamkę i powrócił do miejsca, gdzie była Melorta. Klucze były przy jej pasie i zabrał je.

Po drugiej stronie alarm był dużo głośniejszy, ale tym razem nikt nie czekał na niego w zasadzce. Wszędzie mężczyźni i kobiety kręcili się po swoich celach, zmieszani tym, co się stało i przestraszeni. Tak samo jak sylfy unoszące się dookoła i ponad nim, większość z nich niewidzialnych ze strachu. Nie wiedzieli, z jakiego powodu był alarm, zorientował się Ril. Nie było specyficznego alarmu dla „Atak-bitewnika-poza-kontrolą”, nic takiego nigdy nie było nawet ćwiczone. Ludzie, którzy biegali w tym miejscu, byli spanikowali i prawie ignorowali problem. Kiedy zorientują się, będzie miał kłopoty, pomyślał, zwłaszcza jeżeli pomyśla, żeby sprowadzić kogoś, kto *może* wydać bitewnikom rozkaz zaatakowania go.

Ale trochę więcej chaosu może pomóc opóźnić tę chwilę. Ril wszedł do pierwszej sekcji klatek karmicieli, zataczając się jak pijany w stronę najbliższej celi. Była zajęta przez jego własnych karmicieli i dwaj mężczyźni patrzyli się na niego w szoku. Ril mógł wyczuć ich dużo wyraźniej niż pozostałych. Mimo wszystko byli jego mistrzami, nawet jeżeli nie mogli mówić, a kontrola Leona sprawiła, że byli bezsilni.

Ril chwycił kraty celi i napił się głęboko. Mężczyźni sapnęli, kiedy ususzał ich z energii. Po części ból zelżał, a on poczuł, jak ich życie uchodzi do niego odbudowując jego siły. Ich energia nie była tak dobra jak Leona czy Lizzy, ale wypełniła go i, ten ostatni raz, wypił z nich mnóstwo.

- Na zewnątrz przez drzwi, którymi wszedłem – oznajmił. – Skręćcie w prawo na schodach i w górę, aż na powierzchnię. Mam nadzieję, że wam się uda – dodał to, co właśnie myślał. Nigdy więcej nie chciał widzieć nikogo zamkniętego w celi.

Chwycił przód jeden z krat i pociągnął mocno, trzasnął zamek. Drzwi otworzyły się, a on podszedł do następnych. Przez chwilę właśnie uwolniony mężczyzna wpatrywał się zaskoczony. Potem wyszedł z celi, drząc i pobiegł do wyjścia.

Ril szarpnął również następną klatkę i jego drugi karmiciel uciekł, po dziękczynnym uśmiechu i ukłonie. Dźwięk alarmu nadal rozlegał się wokół, sandały uderzały na kładkach łączących tysiące cel. Gdzieś tam ludzie próbowali się organizować, ale jeszcze nikt nie szukał

go tutaj i nikt nie wezwał żadnego bitownika. Jeden unosił się nad nim, w swojej naturalnej formie, obserwując rozradowany. Z tyłu unosiło się ich więcej. Nie mogli walczyć, ale mogli przychodzić do cel karmicieli, kiedy chcieli i cieszyli się patrząc na kogoś, kto mógł walczyć. Ril otarł usta o ramię i skierował się na kładkę w kierunku Lizzy, wyważając po drodze drzwi cel i prowadząc za sobą armię beużytecznych sylfów bitewnych.

To, z kim mogliby walczyć, pozostawało nadal zagadką.

Rozdział 25

Lizzy była popychana w dół korytarza, który pamiętała ze swojej pierwszej wyprawy do haremu, ramiona miała tak mocno ściśnięte przez treserkę, że już wychodziły jej siniaki. Rashala spieszyła na przedzie, dysząc. Ich droga prowadziła przez następne drzwi, koło cel karmicieli, w dół metalowej kładki, która tworzyła podłogę. Lizzy wykrzywiła się, kiedy weszła na nią bosymi stopami. Kiedy potykała się, treserki szarpały ją i ciągnęły do biegu.

Uciekały wzdłuż pierwszego poziomu, mijając tuziny klatek, zanim Rashala odwróciła się i zeszła schodami do następnej sekcji. W klatkach tutaj siedziały kobiety, karmiły się od nich wodne i ziemne sylfy. Sylfy schodziły z drogi nowoprzybyłych, a one nadal szły, w końcu dochodząc do środkowej części z prawdziwą podłogą i ścianami, pokojem pełnym stołów i szafek. Z sufitu zwisała tutaj długa lina, Rashala nakazała jednej z treserek pociągnąć za nią. Przestraszona kobieta zrobiła tak, pozostawiając Lizzy tylko z jedną strażniczką, a gdzieś poza zasięgiem wzroku zaczął dzwonić dzwon.

Rashala odwróciła się. Razem z Lizzy były tu trzy kobiety z kręgu, włączając w to Kiałę. Wszystkie płakały, trzymane mocno przez treserki, które wyglądały niemalże na przerażone. Lizzy nie czuła do nich sympatii, nawet kiedy drżała na wspomnienie ataku Rila. Widziała tylko pierwsze sekundy, ale to jej wystarczyło. Bitownicy w domu nie walczyli za wiele, nie było takiej potrzeby, ale kiedyś widziała, jak zmienia się w konia. Miała nadzieję, że będzie w stanie utrzymać jego siłę i prędkość.

Nadal żył, mogła to stwierdzić, Teraz, kiedy była z nim, mogła wyczuć go równie łatwo, jak podejrzewała, że może zrobić to jej ojciec. Nie na tyle, żeby powiedzieć co czuje, chyba że jej to prześle, ale wystarczająco, żeby wiedzieć, gdyby został zabity.

- Dzwon tym dzwonem – powiedziała Rashala treserce, która zaczęła ciągnąć mocniej linę. Było jej żal konkubin, ale nie pytała ich, co się dzieje. W przeciwieństwie do Melorty nie widziała w nich ludzi, którzy mogliby odpowiedzieć, pomyślała Lizzy, co było szczęśliwe dla niej. A przynajmniej miała nadzieję, że było to szczęśliwe.

- Co się dzieje, mistrzyni? – zapytała jedna z treserek. – Jak to się mogło stać?

- Nie wiem – wymamrotała Rashala. Z cel karmicieli wbiegli mężczyźni strażnicy, domagając się tłumaczeń, a razem z nimi wszedł mężczyzna ubrany w ten rodzaj szaty jak Rashala,

z równie lysą głową. Lizzy stała w uścisku swoich porywaczy i wpatrywała się w drogę, z której przybyli, mając nadzieję, że zamieszanie w tym miejscu będzie trwało i Ril jest nadal bezpieczny.

Rashala odwróciła się do swojego brata tak gorączkowo, że prawie wpadła w jego ramiona i zapłakała. Wszystko poszło tak źle i tak szybko. Zorientowała się, którymi kobietami bitewnicy najwyraźniej dzielili się, zabranie ich powinno być proste. Rankiem wszystkie powinny mieć usunięte języki i być umieszczone w klatkach, jako karmicielki dla nowo wezwanych sylfów. Planowała po śniadaniu wizytę na targu niewolników, żeby wybrać kobiety, które zajęłyby ich miejsce.

- Co się dzieje? – zapytał Shalatar.

- Siedemset-Trzy – wyszeptała Rashala, świadoma, że inni słuchają. Poprowadziła swojego brata do kąta. – Oszalał, zaatakował treserki. Nigdy nie widziałam czegoś takiego – potrząsnęła głową. – Nie słuchał naszych rozkazów.

Shalatar wpatrywał się w nią z przerażeniem.

- Wydałem mu znów wszystkie rozkazy! Podporządkował się im. Jak mógł się im sprzeciwić?

Rashala wzruszyła ramionami. Nie wiedziała. Starła się wymyśleć przyczynę, ale mogła wymyśleć tylko jedną możliwość.

- To z powodu jego oryginalnego mistrza.

- Ale nikt go nie znalazł. Z pewnością już nie żyje!

- Może tak, a może był lepszy niż bitewnicy, którzy go szukali - powinni zabić Siedemset-Trzy w chwili, w której go pojмали. Rashala zamknęła oczy i przesunęła dłonią po gładkiej głowie. Kiedyś miała włosy długie i ciemne, jak żadna kobieta w haremie. Żeby wydostać się stamtąd musiała zdobyć się na niezwykłą śmiałość. Teraz, po raz pierwszy od lat nie wiedziała co robić.

- Coś się stało temu bitewnikowi - powiedziała swojemu bratu. – Zabijał wszystkich. Musimy w jakiś sposób go powstrzymać. Zwrócić przeciwko niemu innych bitewników – tylko,

że ona nie mogła wydać takiego rozkazu. Ani Shalatar. Nie mógł tego zrobić nikt, poza Pierwszym Bitewnych Sylfów areny, lub samym cesarzem.

Cesarz był poza zasięgiem, ale Pierwszy mógłby to zrobić, gdyby ośmieliliby się go o to poprosić. Skaże ich oboje na śmierć, jeżeli się o tym dowie, ale jak mają go powstrzymać od dowiedzenia się? Ale jak byliby w stanie ukryć tę klęskę?

Rashala usłyszała krzyki rozlegające się na zewnątrz i wrzaski bólu. Słyszała rozrywany metal i dźwięk uciekających stóp, w większości bosych. Treserki i konkubiny obok niej skuliły się ze strachu, poza dziewczyną o słomianych włosach. Spoglądała w stronę drzwi, pozostając odprężoną, a Rashala dokonała następnego przełomowego odkrycia.

Zrozumiała w końcu, po co przybył bitewnik.

Leon stał przy jednej z chat wygnańców, patrząc w stronę, gdzie stali Tooie i Eapha. W ciemności ledwie był w stanie zobaczyć kobietę, poza zarysem sylwetki widocznej w błyskach błyskawic dochodzących od chmury bitewnika. W tym, co robili, była dziwna intymność, spokój, który sprawił, że odwrócił wzrok nie chcąc naruszać ich prywatności, bez znaczenia jak bardzo chciał, żeby się im udało.

Odwracając się spojrzął na Justina. Chłopak stał tylko o kilka stóp od niego, najwyraźniej obawiając się oddalić za bardzo. Leon wyciągnął rękę i poklepał młodzieńca uspokajająco po ramieniu, czując jak jego mięśnie napinają się pod jego dotykiem. Justin nie wzdrygnął się, ale wyraźnie bał się. Leon zastanawiał się, czy on już zawsze będzie się bał.

- Już wkrótce wracamy do domu – obiecał. Kiedy młody skinął, Leon wziął głęboki wdech. – Justin, jeżeli chodzi o ciebie i Lizzy... wydaje mi się... wydaje mi się, że to się nie stanie.

Chłopak szarpnął się odsuwając, w przytłumionym świetle widać było wyraz twarzy kogoś oszukanego. Leon opuścił rękę do swojego boku.

- Justin, Ril...

Chłopak potrząsnął głową mocniej, szturchnął pięścią w siebie, a potem uderzył w pierś Leona. To nie bolało, ale były w tym emocje, więc Leon pozwolił chłopakowi kontynuować. Mógł zrozumieć wściekłość chłopca, sam odczuwał poczucie winy, sprowadzając go i zostawiając na pastwę tortur, ale nie mógł zrobić tego, co chciał chłopak. Nie bez zdradzenia swojego bitewnika, a co ważniejsze- swojej córki. Ona dokonała wyboru i było oczywiste, że chciała Rila, nie Justina i nawet jeżeli zasady Doliny Sylfów nie odmawiały ojcowi prawa do wyboru męża dla córki, nie zmusiłby Lizzy do niczego. To oznaczałoby tylko inny rodzaj niewolnictwa niż ten, od którego próbował ją ocalić. Justin mógł twierdzić, że to było nie w porządku, ale nie w porządku byłoby dać mu małżonkę, która go nie kochała. Każdy zasługuje na coś więcej.

- Justin, wiem, co mówiłem, że daję ci moje błogosławieństwo, ale powiedziałem ci również, że stanie się to jedynie, jeżeli Lizzy będzie tego chciała. Ty i ja, obaj wiemy, co zdecydowała. Przykro mi.

Justin dalej potrząsał głową, i znów uderzył Leona, odmawiając przyjęcia jego słów. Usta chłopca poruszały się bez wydania najmniejszego dźwięku, ale Leon odczytał słowa nie słysząc ich.

Ona powinna być moja.

- Ona nie należy do nikogo – powiedział Leon. – Nawet nie do mnie. Nie mogę po prostu dać ci jej. Wybrała kogoś innego. Musisz to zaakceptować.

Znów gorączkowo potrząsnął głową i Leon spojrzał, żeby odczytać z ust chłopca.

Nie! Ja ją kocham!

Leon westchnął.

- Ale ona nie kocha ciebie, Justin.

Nie dbam o to! Sprawie, żeby mnie pokochała.

Leon zrobił gest rezygnacji, nie chcąc rozmawiać więcej o tym. Justin wiele przeszedł, ale to nie dawało mu żadnych specjalnych praw. Będzie musiał wrócić do domu sam. Leon miał nadzieję, że nie stanie się przez to zgorzkniały. Podejrzewał, że chłopak mógłby się taki

stać i winiłby Leona i Rila. Choć Justin najprawdopodobniej winiłby również Lizzy za to, że ośmieliła się pokochać kogoś innego.

Leon skrzyżował ramiona. Wyczuwając emocję Justina, nie mógł zrobić nic więcej dla chłopca. Nadal byli w niebezpiecznym położeniu i, szczerze mówiąc, nie wiedział, czy Tooie będzie w stanie uczynić z Eaphy Królową, czy w ogóle stanie się to w najbliższej przyszłości. Nie znał dobrze ani Eaphy, ani Tooie.

Spojrzał na nich, kobieta stała obejmując burzę, która była jej kochankiem, a potem spojrzał z powrotem na Justina.

- Przykro mi synu, naprawdę mi przykro, ale będziesz musiał to zaakceptować. Nie masz innego wyboru – kiedy Justin zaczął znów potrząsać głową, Leon uniósł głowę. – Nie. Zostaw to.

Odwrócił się, chcąc powrócić do ogniska obozu, gdzie siedzieli Xehm i Zalia, żaden z wygnańców nie wiedział, co się dzieje. Leon miał nadzieję, że to, co się stanie, będzie oznaczać nowe życie dla nich i wszystkich ludzi w tym miejscu. Ale po zrobieniu kilku kroków, zatrzymał się i spojrzał do tyłu ponad ramieniem.

- Jeszcze jedna rzecz, Justin. Kiedy odzyskasz swój język, nie wydasz żadnego rozkazu Rilowi – sprawił, że jego głos był twardy, ujawniający jak niebezpiecznym mężczyzną był naprawę i było to równocześnie zadowolające i smutne, kiedy chłopak wzdrygnął się. – Będę cię obserwował.

Powiedziawszy to poszedł do ogniska obozowego, pozostawiając Justina drżącego w zimnym nocnym powietrzu.

Eapha stała w objęciach Tooie, starając się sięgnąć po niego, tak jak ich poinstruował Leon. Nawet pomimo tego, że widziała wcześniej Tooie tej formie, gdy wchodził, albo opuszczał harem, nigdy tak naprawdę nie miała okazji przypatrzeć się mu. Teraz zresztą też niewiele mogła zobaczyć w ciemności czy przy lśniących w nim błyskawicach, zmieniających kolor oczach i kłach. Wyglądało, jakby połowa jego ciała to był pysk, ale nie czuła się wcale

wystraszona, zanurzyła w nim głęboko ręce, czując laskotanie energii, a włoski na jej ramionach zjeżyły się.

- Jesteś naprawdę piękny – powiedziała mu z głębi serca. Jego macki otulały ją sprawiając, że czuła, jakby dotykała miękkiego futerka. Kule błyskawic, którymi były jego oczy, wpatrywały się w nią.

Jednak nie mogła go wyczuć. Leon wytłumaczył jej, że kiedy więź zostanie utworzona, będzie w stanie wyczuć wszystko, cokolwiek jej przekaże. Niedokładnie rozumiała, co to oznacza, ale widziała, jak bardzo Lizzy kochała Rila i jak głęboka była ich więź. Chciała takiej bliskości z Tooie, chciała jej nawet bardziej dla samej więzi, niż z powodu świadomości, że mogła ją wykorzystać do uwolnienia go. Byłaby zdolna uwolnić *wszystkich*, tak powiedział Leon, co było trudne do zrozumienia. Tutaj były tysiące sylfów, nie mogła wyobrazić sobie, że wszystkie ją słuchają. Zamiast tego skupiła się na tym, jak zmienić więź, jaka mogła łączyć ją z Tooie.

Zadrzał wokół niej, jego błyskawice zalśniły. Pozostał już prawie tak długo jak mógł, ukryła się znów w jego energii, jakby to mogło pomóc zatrzymać go.

- Nie odchodź – wyszeptala wiedząc, że jego zapas czasu pozwalający mu zostać drastycznie się zmniejszył. Już za kilka minut, będzie musiał wrócić do haremu i nie wiedziała, czy będzie w stanie wrócić. Chociaż ona będzie na niego czekała wiecznie, jeżeli będzie musiała, właśnie tutaj. Wtulila się mocniej w niego, jego energia laskotała ją po całym ciele, a ona kochała go, poddając się cała temu odczuciu.

Coś głęboko w niej nagle zmieniło się, obracając się jak klucz w zamku. Sapnęła i w tej chwili poczuła... *jego*. Tooie był pełen zachwytu, jego miłość do niej była równie mocna jak jej miłość do niego. Eapha zaczęła płakać, opierając się o niego, aż otoczył ją, a ona czuła, że drży od ogarniających go emocji. Kochał ją, kochał ją tak bardzo i poczuła jego szczęście równie mocno, jak jego przerażenie przed powrotem i powiększający się nacisk, żeby posłuchać rozkazów i wrócić do haremu. Była w tym desperacja i nakaz, któremu nie mógł się już dłużej opierać.

Leon powiedział jej, co ma robić, podkreślał jak ważne jest, żeby zrobić to właściwie. Poczuła teraz tę potrzebę, kiedy Tooie zaczął się wycofywać, bez znaczenia jak bardzo chciał pozostać.

- Dwieście – powiedziała wyraźnie, nazywając go imieniem, którym go związano, a nie tym przezwiskiem, które oboje woleli. – Jestem twoją mistrzynią i rozkazuję ci pozostać.

Zadrzała i poczuła jego nagłą radość, kiedy znów owinął się dookoła niej. Nie mogła widzieć nic poza ciemnością, ale poczuła się naprawdę bezpieczna.

- Dwieście – mówiła dalej, przypominając sobie dalsze instrukcje Leona. – Rozkazuję ci mówić, kiedy będziesz chciał. Zmienić postać, na jakąkolwiek będziesz chciał, kiedy będziesz chciał. Ignorować każdy rozkaz wydany ci przez innych, tak jak sobie życzysz. – To było pytanie. Tooie miał setki rozkazów, których musiał słuchać, wszystkie wydane mu przez mistrzów, którzy byli przed Eaphą i wzmocnione przez innych, których miał słuchać. Jakkolwiek miał tylko jednego mistrza, którzy wydał mu rozkazy, Tooie spędził lata słuchając innych, a Leon miał nadzieję, że takie niespodziewane wydanie rozkazu przez innego prawdziwego mistrza przelamie to, a przynajmniej na tyle, żeby mógł przyjąć bezpośredni rozkaz.

Tooie drgnął i cofnął się, jego postać drżała. Potem zmienił się, ale nie w zielonoskórą istotę z haremu, czy w ogra, jakim był na arenie. Stał się wysokim, ciemno opalonym mężczyzną z czarnymi włosami, wpatrującym się z nią z zachwytem, aż sapnęła.

- Eapha – powiedział, a ona zaczęła płakać. Jego głos był głęboki, bogaty i tak piękny.

- Och, Tooie! – zapłakała i objęła go ramionami. Jego ciało było ciepłe, twarde i solidne, ale bez jakiegokolwiek zapachu. Jego ramiona objęły ją i nie dbała już o to. Podniosła głowę i pocałowała go pamiętając, co jeszcze Leon nakazał jej zrobić. Ta część będzie łatwa.

Nigdy wcześniej nie całowała Tooie. Właściwie nigdy wcześniej nikogo nie całowała, skoro została wzięta do haremu jako dziewica. To nie Tooie miał ją pierwszy, nie był z nią nawet podczas pierwszego roku jej niewoli. Poczul się jak jej pierwszy, kiedy przesunęła swoje usta do jego ust, przyjemność i szczęście wsiąkły głęboko w jej brzuch, tak jak jego miłość. Jego pocałunki były niezdarne, ale jego ręce przesuwaly się delikatnie po jej ciele, aż musiała odepchnąć go na chwilę od siebie, zadyszana.

- Poczekaj, chodź – powiedziała mu, prowadząc go do najbliższej chaty. Była pusta i Eapha wprowadziła go do środka. Nie było tam łóżka, ale ona o to nie dbała. Nawet gdyby Leon nie powiedział jej, że muszą skonsumować swój związek z Tooie, chciałaby to zrobić, więc ściągnęła swoją cienką suknię w chwili, w której weszli do środka.

- Kocham cię – powiedział jej. Jego oczy były tak delikatne, jego emocje były pełne zadowolenia. Po prostu stał tam, wygrzewając się w jej miłości, która odzwierciedlała jego miłość i wracała do niej.

- Kochaj się ze mną – wyszeptała.

Tooie podszedł do niej, obejmując ją ramionami, podczas kiedy ona sięgnęła w dół ściągając mu spodnie. Jego wielkość na szczęście nie zmieniła się, chwycił jedną ręką pod jej kolano rozszerzając jej nogi i kładąc je na swoich biodrach, wsuwając się w jej gotowe wnętrze. Eapha załkała i objęła go ramionami za szyję, przyciągając go do siebie i całując, podczas kiedy on wbijał się w nią, przygniatając ją sobą, kiedy się poruszał.

To było tak różne od innych razów, kiedy byli ze sobą. Mogła wyczuć go teraz, jak bardzo ją kocha, jak bardzo chlubił się tym, że był w niej. Oboje poczuli jej i jego przyjemność, a więź pomiędzy nimi powiększała wszystko, zwiększając jej przyjemność aż wygięły się jej plecy. Tooie nadal pchał w nią, jego uwaga była skupiona na niej i wzorze jej duszy. Wziął go w siebie, napelnił nią swoją duszą, wypełniając tę część jego, która powinna być wypełniona przez królową i nie mogła być dotknięta przez żadnego normalnego mistrza, nawet nie przez nią- aż do tej chwili. Teraz to ona napłynęła w tę pustkę, jej wzór wypełnił ją i związał go nawet mocniej, jej istota stała się najważniejsza przed wszystkim innym.

Tooie jęknął z ulgi. W tym samym czasie wyrzucił z siebie wzór Eaphy, wysyłając go tak daleko, jak tylko mógł. Wszędzie sylfy stanęły tam, gdzie stały, drżąc, bez znaczenia co mówili im ich mistrzowie, żaden z nich nie poruszył się, aż poczuli wzór królowej i wzięli go w tę pustkę w siebie, zmieniając wzór ich oryginalnych rojów, które utracili i który był bezużyteczny przez tak długo, wszyscy z nich tworząc nową społeczność rządzoną przez jedną kobietę.

Nie, żeby Eapha to rozumiała. Ona po prostu cieszyła się, że Tooie kocha się z nią, cieszyła się jego ekstazą i zaspokojeniem. Dzielili przyjemność wypełniającą ją i krzyknęła, kiedy sięgnęła szczytu, posyłającego ją w prawdziwą rozkosz. Jej uniesienie wpasowało się w jego, kiedy ukrył się głęboko w niej i doszedł drżąc.

Położył ją na piasku, kładąc się obok, nadal w niej, gładząc jej policzek delikatnymi palcami.

- Moja królowa – wyszeptał wypróbując wypowiedzenie tych słów. – Och, moja królowo.

- Mój królu! – uśmiechnęła się przytulając się od niego.

Zszokowane krzyki rozległy się dookoła chaty i nagle wiedziała, że sylfy zgromadziły się na pokruszonym murze, sylfy wszystkiego rodzaju, przyciągnięte przez jej wyniesienie. Uśmiechnęła się do swojego kochanka.

- Wydaje mi się, że lepiej będzie, jeżeli pójdziemy i wydamy kilka rozkazów – powiedziała, chociaż wolałaby zostać tu, gdzie była.

Tooie miał uszczęśliwiony wyraz twarzy. Naprawdę ma piękne usta, pomyślała.

- Cokolwiek zechcesz. – Wstali i zebrali swoje ubrania, ubierając się i kierując na zewnątrz.

Mur oddzielający miasto Meridal od pustyni był pokryty sylfami, setkami sylfów, patrzących pożądliwie na nią, kiedy wychodziła z chaty. Znajdujący się w pobliżu wygnańcy patrzyli się na Eaphę pełni strachu, ale ona nie podzielała ich obaw. Tak jak i Leon, który pospieszył w jej stronę. Zrozumiała teraz, co miał na myśli i czekała, żeby dowiedzieć się, co chce, żeby teraz zrobiła. Była królową, rozumiała to, ale wiedziała, że Leon był jedynym, który naprawdę mógł zrozumieć, co to oznaczało. A przynajmniej miała nadzieję, że rozumiał.

Rozumiał. Dał jej kilka sugestii, które ją rozśmieszyły, ale w końcu odwróciła się do swojego nowego ludu. Teraz wszystko będzie lepiej, pod warunkiem, że nie zawiedzie. Musiała spotkać tę Solie, o której powiedział jej Leon. To pomogłoby zrozumieć jej, jak być dobrą królową. A na teraz, musi być mściwą.

- Mam rozkazy – powiedziała do zebranego tłumu, zdolna wyczuć ich jednomyślne ożywienie, tak jak radość pozostałych sylfów w mieście. Wszystkie z nich były teraz połączone z nią i Tooie, i wszystkie słuchały tego, co powie.

Wkrótce mężczyźni, którzy myśleli, że są mistrzami, dowiedzą się, że nie mają już więcej niewolników.

Rozdział 26

Ril uwolnił więcej niż setkę więźniów, kobiet i mężczyzn, zanim treserzy znów spróbowali go powstrzymać. Uwolnieni niewolnicy byli wszędzie, próbując odnaleźć wyjście, czy nawet uwalniając innych. Przestraszone sylfy szamotały się dookoła, niektóre próbowały podążać za swoimi karmicielami, inne starały się ich powstrzymać.

Wszyscy bitewnicy podążali za Rilem, instynkt sprawiał, że chcieli zaatakować, zarówno Rila jak i mężczyzn z którymi walczył, ale ich rozkazy zmuszały ich tylko do obserwowania. Było ich teraz ponad trzydziestu, wirujących w burzy, do której Ril chętnie by dołączył, gdyby nie był kaleką i gdyby pochodzili z tego samego roju. Byli zadziwieni, tym co robił, chociaż i zazdrośni. Pozostałe gatunki sylfów były tylko przerażone.

Wyczerpany i drżący, Ril szedł swoją drogą wzdłuż metalowej kładki, ścigając Lizzy. Jej przerażenie osłabło, ale czuł, jak bardzo chciała, żeby był z nią. Nie potrzebował rozkazów Leona, żeby chcieć tego samego, był sam gotowy, żeby zabić każde zagrożenie. Był już pokryty krwią ludzi, których zranił po drodze, jego oczy patrzyły zza czarnoczerwonej zakrwawionej maski, która wysychała sprawiając, że swędziała go skóra.

Mężczyźni i kobiety których uwolnił, kręcili się jak przerażone owce, wpatrując się w szoku i panice nawet kiedy otwierał ich klatki. Kilkoro z nich zachowało przytomność, przynajmniej oni próbowali przewodzić, żeby wyprowadzić pozostałych. Ril miał nadzieję, że to im się uda. Nie miał pojęcia, jaki rodzaj sił czeka na niego. Nadal było możliwe, że zwyciężą przez samą swoją przewagę liczebną, a przynajmniej dopóki nie pojawi się ktoś, kto będzie mógł wydać bitownikom rozkaz do ataku. Ril miał nadzieję ocalić Lizzy, zanim to się stanie.

Na drugim końcu kładki treser wymachiwał toporem, krzycząc i atakując, odpychając uwolnionych karmicieli desperacko próbujących zejść z drogi, ze strachu nawet uciekających z powrotem do swoich klatek. Ril warknął i poczekał, pozwalając swojemu przeciwnikowi zamachnąć się, zanim rzucił się do ataku. Topór mężczyzny poleciał w dół, uderzając go w bok, ale Ril był już nad nim, jego ręce zacisnęły się na twarzy mężczyzny. Z chrząknięciem Ril szarpnął głowę dookoła skręcając mu kark. Rozległ się trzeszczący dźwięk i treser upadł. Podnosząc topór Ril rzucił go najbliższemu karmicielowi. Mężczyzna zszokowany spojrzał na broń.

- Bierz to i uciekaj - powiedział mu Ril. Karmiciel uśmiechnął się do niego, zanim uciekł w tłum.

Ril nadal szedł naprzód, wylamując drzwi każdej celi, jaką mijał. Było to męczące, ale teraz wszyscy karmiciele byli już na nogach, potrząsając kratami i krzycząc bez słów. Nie, żeby dbał za bardzo o ich uczucia, ale nie mógł ich pozostawić przy tak dobrym rozumieniu niewolnictwa, jakie on miał. Wyrwał każde drzwi z zawiasów i torował sobie drogę za cele karmicielei. Lizzy tam była. Mógł z łatwością ją wyczuć.

Ścieżka prowadziła go do centralnego biura przy celach niewolników. Bitewnicy nadal podążali za Rilem w wirującej chmurze, otaczając go dymem i błyskawicami. Podeszedł do zamkniętych drzwi na końcu przejścia, jego ciało ociekało krwią. Drzwi były zamknięte, ale Ril nawet nie kłopotał się sprawdzaniem. Po prostu kopnął je, a one wyleciały z zawiasów, razem z połową framugi. Treser z mieczem, czekający po drugiej stronie, upadł uderzony. Ril wszedł do komnaty, przechodząc ponad leżącym mężczyzną i spojrzał na swoich wrogów. Lizzy była z nimi. Wpatrywała się na niego w szoku, jej przerażenie zwiększało się, kiedy widziała, jak był zakrwawiony. Treserzy, kobiety i mężczyźni, stali przed nią, a Rashala i Shalatar za nią.

- Siedemset-Trzy! – wrzasnął Shalatar. – Zatrzymaj się natychmiast.

Ril popatrzył na niego zimno.

- To nie jest moje imię, a ty nie jesteś moim mistrzem – łysy mężczyzna zbladł i chociaż mógł wyczuć go równie wyraźnie jak Lizzy, Ril o to nie dbał. Dzięki Leonowi, Shalatar nie miał już nad nim władzy. – Puść ją.

- Nie – zawołała Rashala. Ścisnęła ramię Lizzy i wykorzystywała ją jak tarczę. Jej brat stał jak zamrożony, nadal zataczając się od szoku, jakim było nieposłuszeństwo jego bitewnika.

Przypominając sobie swoją starą przysięgę jaką złożył, kiedy jeszcze był ptakiem, że któregoś dnia zabije swojego mistrza, Ril uniósł zmęczoną rękę. Już myślał, że tej przysięgi nie dotrzyma. Jak bardzo się mylił. Wystrzelił bardzo skoncentrowanym uderzeniem energii, które trafiło Shalatarą w środek ciała i wybuchło, podrzucając go tak, że wyskoczył ze swoich sandałów. Krew trysnęła wszędzie, nawet na jego siostrę i Lizzy, jeszcze zanim upadł na ziemię. Ril poczuł jak jego wzór urwał się i zniknął z jego umysłu. To było zadowalające.

- Shalatar! – krzyknęła Rashala wpatrując się w ciało swojego brata.

Ril znów wyciągnął rękę, świadomy tego, jak bardzo drżała. Był na skraju wyczerpania i wciągnął w siebie energię Lizzy, żeby się doładować. Nie mógł wciągnąć jej za wiele, Lizzy była na to zbyt daleko. Nie miał na tyle energii, żeby dalej walczyć, nawet dla niej. Bolało go ze zmęczenia, a jego oczy stawały się coraz cięższe. To jego gniew utrzymywał go jeszcze w działaniu. Warknął, a dźwięk odbił się echem w małym pokoju. treserzy wzdrygnęli się, ale nie cofnęli. Nie było miejsca, gdzie mogli się cofnąć, Tylko Lizzy wpatrywała się w niego bez lęku. To ona bała się o niego.

Było tu dwunastu treserów, zarówno kobiet jak i mężczyzn, mężczyźni mieli dłuższe miecze niż kobiety. Ril syknął, próbując zmienić swoje ramiona z powrotem w miecze o wielu ostrzach, ale skrzywił się z bólu, a ramiona odmówiły zmiany kształtu. Wyczuwając jego słabość, jak stado ptaków, które w tej samej chwili decyduje się rozwinąć skrzydła, wszyscy treserzy zaatakowali.

Warcząc, Ril rzucił się na przód, żeby spotkać ich, zanim zmuszą go do wycofania się z pokoju. Gdyby udało im się wypchnąć go na korytarz, mogliby go tam utrzymać, aż zabraknie mu energii. Uderzając pięścią w twarz pierwszego mężczyzny, skręcił w bok, żeby uniknąć pchnięcia mieczem następnego, a ten naprowadził Rila trzeciemu, którego ostrze wbiło się głęboko w jego bok.

Lizzy krzyknęła, a Ril przesunął swój łokieć dookoła w śmiertelnym łuku. Nosy treserów zostały roztrzaskane, pozostawiając mężczyzn wyjących i upadających do tyłu. Miecz boleśnie wyszedł z niego i Ril sapnął, przykucając na jednej nodze, podczas kiedy druga zatoczyła zamaszysty okrąg, uderzając najbliższych treserów. Trójka z nich upadła, prawie upadając na niego, podczas kiedy czwórce udało się umknąć. Ril przeturlał się, żeby uniknąć ich ataku, uderzając w inną grupę. Wszyscy oni upadli lub powpadali na siebie nawzajem.

Był dużo wolniejszy niż wcześniej w haremie, dużo bardziej zmęczony i działo się coraz gorzej. Nadal był szybszy niż człowiek, ale tylko trochę, a tu było tak wielu nieprzyjaciół. Następny miecz ciał go głęboko w ramię, a on chwycił ostrze, ignorując ból i wyszarpnął je z ręki kobiety, uderzając ręką w kilkoro innych treserów. Kiedy zawyli, chwycił miecz w nieuszkodzoną rękę i wstał na nogi.

Próbował przypomnieć sobie lekcje Leona o walce jako człowiek, których tamten udzielał mu na statku. Nie chodziło tu o siłę, co było dobre, skoro nie pozostało mu jej za wiele. Jego szybkość też prawie przepadła, ale szybkość była mniej ważna od precyzji.

Wpatrując się w pozostałych walczących skupił się na nich, na ich strachu i zaniepokojeniu, na emocjach, które z nich uciekały. Musiał uspokoić swój własny gniew. Był zbyt rozprasający.

Wyczuwał, kiedy zamierzają zaatakować, kiedy każdy z ludzi uderzał. Poruszał się tylko odrobinę szybciej, przewidując i pierwszy z nich upadł z rozciętym brzuchem, zanim Ril wycofał się do ściany. Dwóch po bokach ruszyło następnych i Ril przeszył ich obu. Lizzy była tylko o dwanaście stóp od niego, ale równie dobrze mogła być po drugiej stronie oceanu.

Rashala wpatrywała się w niego z prawdziwą nienawiścią i żalem.

- Zabijcie go! – wrzasnęła.

- Nie! – błagała Lizzy. – Ril!

Ril wyczuł strach i gniew treserów, chaotyczną, emocjonalną mieszankę. Było tu ich tak *wielu*. I znów szykowali się do ataku. Ale wtem, ponad tym wszystkim, nagle wyczuł coś nowego, tak jak każdy sylf. Przez chwilę Ril nie rozumiał, ale wtem zrozumiał. Gdzieś wzrastała królowa, jej wzór wypełniał wszystkie sylfy w mieście.

Wszystkie sylfy oniemiały, zastygły w radości i podekscytowaniu, słuchając. Potem go przyjęły. Ril poczuł jak wzór przechodzi również przez niego, ale on już miał taki wzór w sobie. Nie utracił połączenia z królową. Nawet gdy był pod kontrolą Leona, Solie tkwiła nadal głęboko w jego duszy, prawdziwa, nie do zdobycia, blokując tą nową królową, nawet kiedy rozproszyła go swoim przybyciem.

Treserzy ruszyli naprzód, a Ril usłyszał krzyk Lizzy. Spoglądając w dół zobaczył miecz wbity w swoją pierś. Ciemnowłosa, brodaty mężczyzna szydyczko uśmiechnął się, przekręcając ostrze, zanim wyrwał je z jego piersi. Ril zadławił się w agonii i upadł na kolana, przytłoczony przez ostatnią ranę, a także gniew bitewników, wszystkich nagle uwolnionych do chronienia swojego roju. Obcy, dlatego wrogi bitewnik, pośrodku ich nienawiści i obrzydzenia, Ril upadł na bok i poddał się.

Lizzy krzyknęła obserwując upadek Rila. Próbowwała wyrwać się w przód, ale Rashala zbyt mocno ją trzymała.

- Nie! nie możecie tego zrobić!

Kobieta szarpnęła ją do tyłu.

- Wykończ Siedemset-Trzy – rozkazała czarnobrodemu treserowi – I zabij też ją.

Lizzy poczuła, że jest pchnięta w przód i uwolniona upadła na kolana. Wpatrywała się w nieprzytomnego Rila. Nie umarł, gdyby tak było, zmieniłby się w błysk światła, ale był ranny. Próbowała się do niego doczołgać, nie zważając na to, co mówiła Rashala. Została zatrzymana przez tresera, który chwycił ją za włosy i szarpnął głową, przybliżając sztylet do jej gardła.

Czterysta-Siedemnaście obserwował drogę Rila z olbrzymią radością, rozradowany podążając z pozostałymi bitownikami, kiedy Ril uwalniał karmicieli i zabijał każdego, kogo Czterysta-Siedemnaście sam chciałby zabić. Szalejący sylf uwolnił nawet karmicieli Czterysta-Siedemnaście, ale tym Czterysta-Siedemnaście nie martwił się. Mógł ich znaleźć, gdyby ich potrzebował i właściwie cieszył się z ich ucieczki. Ich energia zawsze smakowała nędznie, a nawet kilka sekund wolności poprawiło jej smak.

Kiedy niewolnicy uciekali do wyjścia, Czterysta-Siedemnaście podążył za Rilem razem z pozostałymi bitownikami, którzy mieli na tyle szczęścia, żeby być świadkami tego widowiska. Byli jednakowo podekscytowani, unosząc się dookoła siebie w burzy koleżeństwa, jakiej normalnie nie dzielili i nawet w pierwszych kilku sekundach nastania Eaphy nie zorientował się, co się dzieje, myśląc że ta przyjemność wpływająca w niego jest szczęściem z widoku niszczenia wrogów. Kiedy zorientował się, co się dzieje, znieruchomiał, sięgając zmysłami tak daleko, jak tylko był w stanie. Królowa? Rzeczywista *królowa*? Poczul jej przesyłany wzór i wchłonął go gorliwie pozwalając, żeby wsiąknął głęboko w tę pustkę, która była w nim, odkąd przekroczył wrota.

Dookoła niego wszystkie sylfy robiły to samo. Wszystkie sylfy znieruchomiały w ekstazie, wszystkie nagle świadome siebie nawzajem, zmieniające się wewnętrznie, łączące się, formujące rój większy nawet niż największe u nich w domu. Piękny, nowy rój, który potrzebował ochrony.

Nieśmiało nadeszły rozkazy, transmitowane przez dowodzącego sylfa jako rozkaz wydany przez jego partnerkę: *Nie będziecie słuchać żadnych rozkazów, poza rozkazami królowej. Możecie mówić i możecie zmieniać kształt. Będziecie słuchać tylko królowej. Możecie iść gdzie chcecie i robić co chcecie. Jesteście wolni.* W końcu nadszedł ostatni rozkaz, będący wypełnieniem obietnicy złożonej

mężczyźnie który pokazał królowej jej przeznaczenie. *Ocalić dziewczynę Lizzy i bitownika Rila. Sprowadzić ich do nas.*

Wolność! Piękna wolność!

Czterysta-Siedemnaście spojrzal na Kiałę, jego Kiałę, jego ukochaną Kiałę, która w sekrecie nazywała go Yahe. Stała przerażona w uścisku tresera zaledwie kilka stóp od niego. Ona też miała mieć poderżnięte gardło.

Zmienił postać i zaatakował. Nie zmienił się w swoją starą, dziwnonogą, bezustą humanoidalną formę, ale zamiast tego stał się człowiekiem, przyjmując postać mężczyzny, o którym wiedział, że spodoba się Kiali. Ruszył do niej uderzając otaczających treserów. Nie użył podmuchu swojej energii, skoro jego ukochana była tak blisko, ale uderzył w nich mocno i zabił tresera, który miał właśnie zabić Lizzy.

Ocalenie jej było zadowalające. Lubił blond dziewczynę, a rozkazy od królowej były bezwarunkowe. Oczywiście bez nich zabiłby bitownika, którego zachowanie radowało go jeszcze przed chwilą. Teraz czuł, że Ril był sprzymierzeńcem. Obcy bitownik w nowo utworzonym roju to niemożliwość, ale podlegał rozkazom królowej.

Yahe -już nigdy nie zareaguje na Czterysta-Siedemnaście- zatrzymał się przez Kiałą. Wpatrywała się w wypalony numer na jego piersi, potem spojrziała na jego twarz oczami wypełnionymi łzami. Jej treser puścił ją i cofnął się, ale Yahe i tak go zabił. Potem chwycił Kiałę w ramiona. Zesztywniała przy nim tylko na chwilę, potem objęła go i zaczęła płakać.

Za nim, pozostali bitownicy zaatakowali. Nawet jeden wystarczyłby, żeby zrobić w tym pokoju masakrę, a było ich tutaj dwudziestu. Walka była krótka.

Lizzy czołgała się naprzód płacząc. Dookoła niej bitewne sylfy mordowały pozostałych treserów. Powstrzymując oczy od zamknięcia się chwyciła ciało Rila, ale był nieprzytomny i jego ciało było tylko częściowo solidne. Jego ręce wsiąkły głęboko w jego ciało.

- Ril! Ocknij się. Ril, proszę!

Bitownicy wykończyli treserów. Jedyna, która pozostała to Rashala, jej twarz pobleadła. Stała z plecami przyciśniętymi do ściany, wpatrując się w sylfy zbierające się przed nią. Niektóre

przyjęły postać ludzi, inne stały się bardziej potworne. Kilku zatrzymało zielone postacie o dziwnych nogach, w jakie mieli nakazane zmieniać się w haremie, a wszystkie nosiły numery jakie Rashala i pozostali podobni do niej wytłoczyli na ich powłokach.

- Cofnąć się! – wrzeszczała. – Rozkazuję wam cofnąć się! – Jej głos był pełen mocy, jej słowa miały siłę, ale nie była królową. Może mogłaby się nią stać, gdyby okoliczności były inne. Zamiast tego bitewnicy opadli na nią, a Lizzy odwróciła wzrok, kiedy odbierali swoją zemstę.

- Lizzy – wyszeptał Ril.

Jej serce zapomniało, jak się bije, spojrzała w dół. Był pokryty krwią, jego włosy był od niej tak gęste, że sterczały pod dziwnymi kątami, ale oczy Rila były wyraźne i skupione na niej. Wziął głęboki wdech i nagle poczuła jak jej energia płynie od niej do niego w ogromnych porcjach, tak samo jak wyczuła, że jego postać staje się bardziej solidna.

- Wszystko w porządku? – wyszeptała.

- Będzie ze mną dobrze – wypił jeszcze trochę i odprężył się, zamykając oczy na chwilę, potem znów je otworzył i wyciągnął zakrwawioną rękę, kładąc ją na jej policzku.

- Co się stało, Ril?

Rozejrzał się dookoła i westchnął, prawie z żalem, jak pomyślała.

- Nastala królowa – powiedział jej. – Wszystkie sylfy tutaj należą do jej roju – jego usta wykrzywiły się. – Poza mną.

Jej oczy rozszerzyły się.

- Ale nie mogą zaatakować cię przez to, prawda?

- Mogą – przyznał.

Bitewnicy otaczali ich, wpatrując się i Lizzy mocniej przytuliła Rila, spoglądając na nich z przerażeniem

- Nie krzywdźcie go! – zapłakała.

- Królowa zabroniła tego – powiedział bitewnik numer 32. – Powiedziała, że mamy sprowadzić was oboje do niej, nieskrzywdzonych.

- Kim jest królowa? – zapytała Lizzy, tylko trochę uspokojona.

- Eapha – powiedział Ril ze znużeniem. – Dzięki twojemu ojcu.

- Co? Eapha? Jak?

Nie odpowiedział.

Bitewnicy otoczyli ich, unosząc oboje, ją i Rila i niosąc ich na zewnątrz. Lizzy zobaczyła wyjście z więzienia, kiedy została wyniesiona. Drzwi były wylamane, w większość razem z framugą. Bitewnicy z kręgu powrócili do haremu i swoich kobiet, więc więcej kobiet dołączyło do procesji wychodzącej na powierzchnię.

Nadal była noc, ale niebo było prawie tak jasne jak dzień, przez ogniowe sylfy świętujące swoją wolność. Sylfy powietrzne przelatywały wszędzie, tańcząc szaleńczo, podczas kiedy fontanny wodnych sylfów i góry tworzone przez ziemne sylfy, które również radowały się. Lizzy nigdy wcześniej nie widziała tylu sylfów! Niebo było ich pełne, były na ulicach, było tam też pełno ludzi, wpatrujących się ze zdziwieniem i przerażeniem.

Bitewnicy unosili się rycząc ponad tłumem, od czasu do czasu obniżając się gwałtownie, żeby zaatakować. Ludzie byli wszędzie, wielu z nich było uwolnionymi niewolnikami, pozostali wyglądali tak nędznie, że karmiciele w porównaniu do nich wyglądali świetnie. Każdy, kto był okrutny dla sylfów, wydawał się teraz za to płacić. Lizzy widziała z daleka pokruszoną arenę, bitewnicy rozkruszali ją na kawałki, podczas kiedy ziemne sylfy wbijały resztki w ziemię. Ponad nimi, niesiona przez setkę pozostałych bitewników, latająca wyspa, jaką widziała pierwszego dnia, przesuwała się w stronę oceanu, nabierając prędkości. Bitewnicy zanieśli ogromną wyspę nad głęboką wodę i upuścili ją tam. Lizzy mogła słyszeć krzyki, kiedy spadała. Szarpnęła się cofając głowę, nie chcąc więcej patrzeć.

Lizzy była zamknięta pod powłoką jednego bitewnika, Ril był niesiony przez drugiego. Przestraszona siedziała wewnątrz sylfa, który niósł ją, z ramionami owiniętymi dookoła podkulonych kolan, mając nadzieję, że również jej nie wrzucą do oceanu. Zamiast tego została zaniesiona w stronę pustyni, zatrzymali się w miejscu, gdzie pokruszony stary mur oznaczał koniec miasta. Tam została postawiona na piasku i zorientowała się, że stoi przed zniszczonymi chatami i ogniskami. Tysiące sylfów otaczało chaty, lśnią w ciemności.

Trzech ogromnych bitewników strzegło przejścia. Lizzy pospieszyła do przodu, chociaż Ril ledwo szedł. Był wyczerpany, ale spoglądał na bitewników spokojnie, trzymając dziewczynę za rękę. mimo tego mogła wyczuć, że się obawia. Nie należał do tego miejsca. Nigdy nie należał, a teraz był w rzeczywistym niebezpieczeństwie.

Najbliższe ognisko otaczali ludzie, większość z nich patrzyła na bitewników w przerażeniu. Kilkoro odłączyło się, jedna postać na przedzie przed innymi i Lizzy rozpoznała natychmiast Eaphę, chociaż miała na sobie męska lnianą koszulę, która opadała jej do kostek. Brunetka objęła ją, płacząc i nie dbając o całą tę krew, a Lizzy odwzajemniła jej uścisk, dzieląc radość i zdumienie kobiety.

- Żyjesz! – Eapha odsunęła się i z zaniepokojeniem rozpoznała krew. – Jesteś ranna? Uzdrowicielka! – Krzyknęła, a sylf w postaci pięknej kobiety wyszedł z tłumu. Przypatrzyła się uważnie Lizzy, potem Rilowi.

- Możesz go uleczyć? – Zapytała Lizzy. Sylf spojrział na Eaphę, która skinęła głową, więc uzdrowicielka położyła na nim rękę. Ril westchnął głośno, a Lizzy musiała zachichotać na dźwięki jego ulgi.

- Lizzy...

Odwróciła się słysząc głos, a Eapha cofnęła się z uśmiechem. Ojciec Lizzy stał tylko o kilka stóp dalej, z pięściami zaciśniętymi przy boku.

Oczy Lizzy wypełniły się łzami.

- Tatuś! – krzyknęła i rzuciła się w jego ramiona. Uściskał ją mocno, prawie łamiąc jej żebra i zapłakał w jej ramionach.

Ril podszedł bliżej, jego oczy były bystrzejsze, teraz, kiedy został uleczony, ale nadal było w nich coś nerwowego. Leon wyciągnął rękę do niego, wciągając również jego w uścisk. Przez długą chwilę Lizzy nie chciała niczego więcej.

Rozdział 27

Uścisk wydawał się trwać wiecznie, potem nastąpiło zmęczenie, a potem drzemka w budynku wypełnionym jedwabiem i marmurem, bardziej bogatym niż cokolwiek, co widziała kiedykolwiek. Lizzy siedziała teraz na łóżku pieszcząc włosy Rila, podczas kiedy on spał, z odprężoną twarzą leżąc u jej boku, odwrócony w jej stronę. Osuszył się do granic możliwości, prawie umierając, a wszystko to dla niej. Lizzy uśmiechnęła się, przesuwając znów po jego włosach, szczęśliwa, że był bezpieczny.

No cóż, prawie bezpieczny. Spojrzała przez okno na przesuwający się cień kolejnego bitewnika. Budynek był przez nich otoczony i nie miała wątpliwości, że bardzo chcieli rozerwać Rila na strzępy. Gdyby rozkazy Eaphy nie utrzymały ich z tyłu, Lizzy osłoniłaby go własnym ciałem.

Westchnęła, przesuwając dłonią po policzku Rila. Odwrócił się sennie w jej stronę, mamrocząc coś niezrozumiałego, a ona zastanawiała się, czy coś się mu śni, czy może przechadza się we śnie kogoś innego. Chociaż nie było powodu, żeby tak uważać, ponieważ ani ona, ani jej ojciec nie spali.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi, które otworzyły się ukazując jej ojca. Poruszał się cicho widząc, że Ril jeszcze śpi i zamknął za sobą drzwi bez dźwięku.

Lizzy stała się nagle nerwowa. Wcześniej wszyscy byli tylko histerycznie wręcz szczęśliwi z ponownego połączenia. Nie mogła wyobrazić sobie, przez co jej ojciec i Ril przeszli, żeby ją ocalić i była im wdzięczna. Po pewnym czasie poczuła całkowicie nową nieśmiałość. Kiedy opuściła dom, była naiwną dziewczynką. Dzisiaj była kochanką ojcowskiego bitewnika. Nie wiedziała, co jej ojciec czuje w związku z tym. Ale jeżeli to potępi, ona nie zgodzi się pozostać z daleka od Rila, *tego* była pewna.

Ojciec podszedł, jego nowe sandały cicho skrzypiały po marmurze. Nie był już ubrany w pobrudzone ubranie podrózne, tak jak i ona zrzuciła przeźroczystą suknię. Oboje nosili cienkie, drogie płótno i przelotnie pomyślała, że jej ojciec dobrze wygląda w białym. Chwilę później znów poczuła nieśmiałość i nienawidziła tego, ponieważ tak bardzo go kochała.

Leon spojrział na swoją córkę, a potem na Rila. Kiedy Lizzy przelknęła głośno, rzucił jej zaskoczone spojrzenie i pokiwał na nią palcem przechodząc w stronę okna, gdzie nie będą

przeszkadzać Rilowi. Podążyła za nim czując się jak mała dziewczynka, która ma być ukarana za zjedzenie zbyt wiele słodczy.

Zatrzymał się przy oknie, wskazując na chmury rozzłoszczonych bitewników przesuwane się na zewnątrz.

- Musimy wyjechać tak szybko, jak tylko możemy – powiedział. – Zaczynają być niespokojni.

- Tak – zgodziła się Lizzy. Byłoby najpewniej w porządku, gdyby Ril był jakimś innym rodzajem sylfa, ale on chciał walki w równym stopniu jak i oni.

- Tak – powtórzył ojciec z westchnieniem. Wyglądał na zmęczonego. Podczas kiedy ona odpoczywała z Rilem, on spędzał czas szkoląc Eaphę w mnóstwie rzeczy, jakie powinna wiedzieć jako królowa. Patrząc mu w oczy wiedziała, że nie powiodło mu się tak bardzo jak miał nadzieję, chociaż nikt nie powinien spodziewać się za wiele po jednym dniu. Lizzy miała nadzieję, że jej przyjaciółka ma wrodzoną siłę, żeby stać się dobrym przywódcą. Pewne cechy nigdy nie były popierane w niewolnicy.

Obok, przypatrując się im, przeleciał następny bitewnik. Leon i Lizzy obserwowali, jak ich mijają, a potem spojrzeli na siebie.

- Tatusiu – zaczęła Lizzy. – Ja... Ril i ja...

Uniósł rękę.

- Przestań – na sekundę zamknął mocno oczy wyraźnie poruszony, a Lizzy usłyszała, jak Ril poruszył się za nią. Jej ojciec otworzył znów oczy z cierpkim spojrzeniem. – Miałem czas na myślenie. Nie spodziewałem się, że skończysz z Rilem. Gdyby przyszło mi to do głowy, pewnie rozkazałbym mu, żeby nigdy cię nie dotknął.

Oczy Lizzy rozszerzyły się, a serce mocno zabiło.

Leon westchnął.

- Takie jest prawo ojca... i myliłbym się – objął dłońmi jej policzki z taką miłością, z jaką ona wcześniej tuliła policzki Rila. – Kocham cię i kocham Rila. Zawsze kochałem, chociaż przy nim, przy tym nieszczęśliwym ptaku, którym był, zrozumienie tego zabrało mi dużo czasu.

– Mimo woli Lizzy uśmiechnęła się. Nie odzywała się, nie chcąc przerywać wyznania swojemu ojcu.

- Kochałem cię, kiedy jeszcze byłaś w łonie swojej matki – ciągnął dalej – od chwili kiedy powiedziała mi, że się pojawisz. I wiem, że Ril kocha ciebie. Nawet przy tych zmianach, które w nim zrobiłem, jak ogarnąłem go swoimi rozkazami, on nadal kochał cię, pomimo wszystko. Tego jednego nigdy nie byłbym w stanie nawet tknąć. Więc jakbym mógł stanąć wam na drodze? – uśmiechnął się trochę smutno, zanim dodał. - Ale nie spodziewaj się, że stanę na drodze mamie, kiedy się dowie.

Lizzy zachichotała, czując się lepiej, mimo, że nawet nie starała się pomyśleć o tym, co powie jej matka.

- Tatusiu, ja naprawdę go kocham.

- Wiem. Zawsze to wiedziałem – ścisnął ją za ramiona. – I będziesz dla niego dobra. Tylko nigdy nie zapominaj, jaką masz moc. Nie może nie posłuchać nawet nieprzemysłanego rozkazu.

- Wiem – wyszeptała, chociaż zastanawiała się, jak on się odbierze. Nigdy nie znęcała się nad Rilem. Pochylając się do przodu, chwyciła ojca w ramiona. Uścisnął ją tak mocno, że zatrzeszczały jej żebra, ale to było cudowne. Jej ojciec przybył po nią, tak jak w to wierzyła.

- Cześć – rozległ się dźwięk, na który Lizzy obejrzała się, akurat żeby zobaczyć, jak Ril siada na łóżku z rozczochranymi włosami. Potarł oczy brzegiem dłoni i spojrzał na nich oboje.
– Co się dzieje?

Ojciec Lizzy nie odpowiedział. Uścisnął ją mocniej na chwilę.

- Mam nadal trochę pracy z Eaphą aż do chwili, kiedy statek będzie gotowy zabrać nas do domu. Ale jest coś ważniejszego, co muszę zrobić wcześniej. Pamiętaj, co powiedziałem ci o mocy, jaką masz.

- Co...? – zaczęła Lizzy, ale jej ojciec odszedł od niej i podszedł do Rila, który patrzył na niego z powątpiewaniem. Pozostała przy oknie, zasłonięta przez cień następnego przelatującego bitewnika.

Ril wpatrywał się w swojego mistrza. Zawsze był świadomy tego mężczyzny, najpierw niechętnie, potem jako na źródło zażyłości i pocieszenia. Teraz Leon przejął całkowitą kontrolę, dając mu wolność przez usunięcie tej wolności. Ril patrzył na niego całkowicie poddany i czuł się z tym dobrze. Nie musiał myśleć czy martwić się, Leon zajmie się wszystkim. On musiał tylko walczyć, kiedy byłoby to konieczne, chronić oboje, swojego mistrza i jego córkę Lizzy. Chociaż Lizzy również kochał, prawda?

Leon sięgnął ręką w dół, unosząc brodę Rila, mocno, ale nie gwałtownie. Te niebieskie oczy wpatrywały się w niego chwytając mocno jego wolę i trzymając ją.

- Ril – odezwał się Leon. – Jestem twoim mistrzem. Powiedz to.
- Jesteś moim mistrzem – odrzekł Ril z całkowitym przekonaniem.
- Należysz do mnie. Jesteś całkowicie mój.
- Jestem twój – tak dobrze. To uczucie jest takie dobre.

Leon westchnął cicho, tak cicho, że stojąca o kilka stóp dalej Lizzy nie usłyszała tego. Wszystkie uczucia, jakie Ril wyczuł od niego: odrobina samolubnego żalu, smutek, że musi się dzielić, ale i determinacja, by zrobić to pomimo wszystko, zniknęły w czasie krótszym niż jedno uderzenie serca.

- Ril. Uwalniam cię.

Ril próbował szarpnąć się. Normalnie był tak silny, że mógł kruszyć kamienie, ale w tym ruchu nie było żadnej siły. Chciał krzyknąć. Nie! Nie chciał wracać do tego, czym był wcześniej, podatny na rozkazy każdego, kogo wzór miał wytłoczony w sobie. Ale Leon i Lizzy oczywiście o tym wiedzieli. Ochronią go przez innymi. Ale czy... czy nie byłoby lepiej pozostać w tym bezpiecznym miejscu, w jakim się znajdował, gdzie był tylko prostym narzędziem? To wszystko czym był. Wszystko, czym powinien być, to było łatwiejsze, dużo łatwiejsze. Ale nawet kiedy

coś głęboko w nim krzychało tak, coś innego wrzeszczało nie, ponieważ nie było tam miejsca dla Lizzy, nie było miejsca dla niego samego.

Leon był nieugięty.

- Oddaję ci twoją wolność, Ril – powiedział. Lizzy rozbiła krok w przód, otwierając usta, żeby coś powiedzieć, ale machnął na nią, żeby była cicho. – Daję ci prawo do dokonywania własnych wyborów.

Więź przechodząca przez wzór w duszy Rila połuźniła się. Nie zniknęła całkowicie. Mimo wszystko Leon nadal był jego mistrzem i zawsze nim będzie. Ril zawsze będzie go słuchał, tak jak słuchał każdego mistrza. Całkowite złamanie tej więzi mogłoby go zniszczyć, skoro zniszczyłoby najbardziej podstawową część jego, tą część, która robiła z niego bitewnika. Poczul, jak powraca do niego jego wolność i powitał ją.

Oddychając ciężko zamknął oczy i poczul, jak powraca jego osobowość. Nie zdawał sobie sprawy, jak oddalił się od siebie i poczul wdzięczność do Leona. A pomimo tego, co mężczyzna czuł i chęci posiadania Rila w swoim życiu, Leon wybrał oddanie mu kontroli. To było poświęcenie.

Dzięki przesłał.

Mężczyzna uśmiechnął się i uniósł brodę odsuwając się na bok, więc Lizzy mogła pospieszyć do niego, żeby upewnić się, że wszystko z nim w porządku. Nie, żeby było to potrzebne. Było z nim dobrze. Ril był tak szczęśliwy, jak jeszcze nigdy.

Eapha przebywała w rezydencji, która kiedyś należała do pomniejszego arystokraty, nie na tyle wysokiej rangi, żeby mieszkał na latającej wyspie cesarza. Chociaż jego niższy status nie ocalił go. Wszyscy mężczyźni z wyższej klasy w Meridal zniknęli, Leon nie wiedział gdzie i pomyślał, że najlepsze będzie nie dowiadywać się. Nie wiedział również, gdzie przebywa uprzednia pani domu, ale najwyraźniej nie protestowała przeciwko obecności Eaphy.

Odnalazł nową królową na galerii z ogromnymi oknami, które wpuszczały światło i widok na ogród, jaki nigdy nie przetrwałby na pustyni bez sylfów. Malowidła, które sięgały od

podłogi, przez ścianę, aż do sklepionego sufitu, uwidaczniały sceny z właśnie zniszczonego życia. To od tej kobiety zależało, jaki rodzaj społeczeństwa zastąpi poprzednie.

Eapha była otoczona przez przyjaciółki, dziesięć kobiet, które były częścią sekretnego kręgu w haremie. Były ubrane w eleganckie, cienkie ubrania i pomimo mebli siedziały na rozrzuconych na ziemi poduszkach. Szaleńczo się śmiały. Leon potrząsnął głową obserwując jak plotkują i śmieją się. Te kobiety zebrały się towarzysko, a nie dla planowania przyszłości królestwa. Bitewnik stał z tyłu, ale Leon zignorował go.

Widząc jego przybycie, Eapha podniosła się i dołączyła do niego, chociaż kobiety natychmiast zaczęły chórem wołać do niej, żeby nie szła. Pomimo to przeszła obok niego do cichszej części galerii. Bitewnik podążył za nią w pewnej odległości, niezadowolony, że jakkolwiek mężczyzna przebywa niedaleko jego królowej.

- Jak się trzymasz? – zapytał Leon.

Eapha wzruszyła ramionami, starając się wyglądać swobodnie. Przygryzła dolną wargę, a to zdradzało jej nerwowość. Leon nie winił jej za to.

- W porządku – stwierdziła. – Nadal staram się ogarnąć to wszystko. To jest takie... przytłaczające.

- Jest takie – zgodził się. – I będzie jeszcze gorzej. Masz wiele do zrobienia.

Spojrzała na niego zdesperowana, ręce przyłożyła do brzucha. Pozostałe kobiety zawołały ją, żeby wróciła do nich i dołączyła do gry w karty, jaką właśnie zaczynały. Eapha spojrzała na nie, więc Leon zaczął mówić.

Ostatnim razem opowiedział jej o tym, co musi robić przywódca, na co zwracać uwagę, czego oczekiwać, że jedna osoba nie poradzi sobie ze wszystkim i jak poradzić sobie z wątpliwościami. Powiedział jej o ekonomii, o działaniach wojennych, o polityce i dobieraniu doradców. Powiedział jej o słabościach ludzi i sylfów. Powiedział jej także o ich sile. Wpatrywała się w niego słuchając, aż słońce zaszło ponad ich głowami. W pokoju nie było już tak gorąco, ponieważ sylfy powietrzne nie zaniedbały swoich obowiązków pomimo uzyskanej wolności.

Powietrzny statek, który miał zabrać ich do domu, powietrzny szkuner, nazwany *Wschodzący Świt*, był gotowy do wyjścia dwa dni później. Długo czekali, ale podróż będzie szybsza, niż kiedy jechali w tę stronę. Na wiele sposobów byli gotowi do drogi. Nawet jeżeli chcieliby zostać, napięcie między bitewnikami Meridal nie pozwalało na to. Obecność obcego bitewnika w obrębie ich roju, nawet takiego, który cieszył się zaufaniem królowej, to był zbyt wielki wysiłek, jak dla instynktu bitewnika. Zarówno rój Eaphy, jak i Ril odczuwali stres.

Leon żałował, że nie ma więcej czasu. Pozostałby na miesiące, żeby pomóc Eaphie odzyskać grunt pod nogami i wyszkolić ją w taki sposób, jak szkolił Solie, ale nie chciał pozostawiać swojej rodziny. Nie po tym wszystkim, co przeżył, żeby ją odzyskać. Poza tym, obiecał Bethcie, że powrócą wszyscy razem. To, czego nie powiedział Eaphie, mogła nauczyć się sama. Przy pięciu tysiącach sylfów i ponad siedmiuset bitewnikami był całkowicie pewien, że przetrwa początkowe pomyłki.

- Nigdy nie wyobrażałam sobie, że coś takiego może się zdarzyć – wyznała była konkubina, kiedy obie z Lizzy stały na szczycie jednego z najwyższych budynków w mieście. Zaczumował tutaj ich statek powietrzny, prowadzony przez najstarszego i najmocniejszego z meridalskich sylfów. Z powietrznym sylfem podróżował jej nowo wybrany mistrz, najbardziej sympatyczny z karmicieli, jakich wcześniej miała. Jego język został odbudowany przez uzdrowicielkę.

Większość z sylfów odkryła, że ich karmiciele są dużo lepszymi mistrzami niż ci, z którymi ich związano. Większość tamtych mistrzów i tak zginęła, kiedy latająca wyspa została zrzucona do oceanu. Tam, gdzie ją rzucono, woda była tak głęboka, że cała wyspa utonęła, zabierając ze sobą większość arystokracji, pozostawiając wielką lukę w mocy, którą Eapha musiała teraz wypełnić, czy tego chciała, czy nie.

- Wydaje mi się, że Solie również nie myślała o tym – przyznała Lizzy. Nadal miała na sobie jedwabną suknię, materiał miękko otulał jej ciało, ale na szczęście suknia nie była przeźroczysta. – W końcu pogodziła się z tym.

Eapha westchnęła i spojrzała ponad ramieniem na Tooie. Jak większość bitewników przyjął bardzo atrakcyjną postać, chociaż Lizzy i tak wołała Rila. Tooie uśmiechnął się do ich

obu, zapewniając im odpowiednią ilość przestrzeni, nawet kiedy stał jako strażnik. Nie mówił wiele, ale to było normalne u sylfów. Ludzie są bardziej gadatliwi.

- Mam nadzieję, że będę miała szczęście – powiedziała nowa królowa.

- Będiesz – zapewniła ją Lizzy.

Jej ojciec uważał, że walka dopiero nadejdzie, najpewniej przeciwko pozostałym królestwom w tej części świata. Ale pewnie powiedział o tym Epahie. Z całą pewnością powiedział Tooie. W każdym razie upewni się, że pozostaną w kontakcie. Tych kilka dni, kiedy czekali na *Wschodzący Świt*, podczas kiedy Epała brała lekcje i przygotowywali statek do ich powrotu, spędził wiele czasu organizując sojusz pomiędzy Meridal i Doliną Sylfów. Lizzy nie znała szczegółów i wątpiła, żeby Epała w pełni rozumiała, co podpisuje, ale Lizzy była pewna, że nowa królowa nie została oszukana. Nawet gdyby Leon Petrula był krętaczem, pięćdziesięciu trzech bitowników z Doliny Sylfów nie miałoby szansy przeciwko siedmiuset Eaphy, a on był na tyle mądry, żeby wiedzieć, że poznają się na jakiś pokrętnych umowach.

Ale jej ojciec nie był krętaczem. W czasie, kiedy nie pracował nad sojuszem czy szkoleniem Eaphy, Leon musiał przyzwyczać się do towarzystwa obojga, Lizzy i Rila, jako pary. Miała najlepszego ojca na całym świecie.

Uśmiechnęła się do swojej przyjaciółki, kobiety, która zajęła się nią i ocaliła jej życie bez jakiegokolwiek powodu poza uprzejmością. Nie potrafiła sobie wyobrazić nikogo, kto bardziej zasługiwałby na zostanie królową.

- Wszystko będzie dobrze – zapewniła znów Eaphę. – Ojciec mówi, że wyśle kogoś z Doliny, żeby pokazać ci, jak radzimy sobie z niektórymi rzeczami. Wszystko dopracujesz.

- Mam nadzieję – powiedziała Epała. Pochylając się naprzód uściskała Lizzy i uśmiechnęła się. – Dbaj o siebie.

- Ty też – Lizzy puściła ją i spojrzała na Tooie. – Opiekuj się nią – skinął głową.

Odwracając się, Lizzy poszła w stronę statku powietrznego. Ril stał przy trapie i dołączył do niej, kiedy wchodziła na gładki pokład *Wschodzącego Świtu* kierując się w stronę, gdzie jej ojciec rozmawiał z kapitanem. Justin stał tylko o kilka stóp dalej. Nie odezwał się do niej, od kiedy jego język został odbudowany, ale Lizzy wiedziała, że cały czas ją obserwuje.

Podeszła bliżej do Rila, który położył rękę na jej ramieniu, nie spuszczać spojrzeń z chłopaka. Justin odwrócił się i odszedł. Lizzy poczuła się w pewien sposób źle, ale nie mogła zapomnieć, że zostawił ją w dokach. Nie ma znaczenia, co Justin zrobił, czy jak próbował to naprawić, ona dokonała wyboru i nie żałowała.

- Mój bohater – powiedziała i uśmiechnęła się do swojego bitewnika.

Uniósł brew.

- Jeżeli tak mówisz – chociaż jego usta wykrzywiły się w uśmiechu.

Jej ojciec skończył rozmowę i odwrócił się twarzą do nich.

- Jesteśmy gotowi. Pożegnaliście się? – Kiedy Lizzy skinęła głową, zszedł na dół przekazać kilka ostatnich uwag Eaphie. Była pewna, że nigdy nie będzie całkowicie zadowolony.

Jednak w ciągu dwudziestu minut statek powietrzny odbił i ruszył na północ w stronę domu. Lizzy stała na dziobie statku razem ze swoim ojcem i bitewnikiem obserwując, jak poniżej przesuwa się ocean. Sylf pchał statek bardzo szybko i długie, złote włosy Lizzy powiewały, kiedy lecieli.

- Dziękuję, że przybyliście po mnie – powiedziała. Nie sądziła, że kiedykolwiek przestanie za to dziękować.

Jej ojciec objął ją ramieniem.

- Proszę bardzo, serduszko. Twoja matka będzie cieszyć się, że wróciłaś.

- Ja też za nią tęsknię – powiedziała Lizzy. Matka nie przyjmie łatwo jej związku z Rilem, ale będzie musiała się z tym pogodzić. Chociaż Lizzy będzie musiała przeprosić. Jej matka miała rację, że nie chciała puścić ją do Para Dubh. Lizzy nie żałowała, że pojechała, nie teraz, ale żałowała bólu, jaki musiała poczuć jej matka. Za to była jej dłużniczką.

Po chwili spojrzała na Rila, który wpatrywał się w horyzont przed nimi. Jego twarz była tak samo nieprzenikniona jak zawsze, ale jego uczucia były tak pełne szczęścia, jak nigdy wcześniej. Jej ojciec również był w stanie to wyczuć. Lizzy spojrzała na niego i zobaczyła, że się uśmiecha.

Za nimi Meridal zniknęło w dali, pochłonięte przez ocean. Przed nimi były bezkresne fale, ale dom w końcu wyloni się przed nimi. A Lizzy mogła poczekać. Opuściła ją niepewność tego, czym jest i czego pragnie.

Teraz była z dwoma mężczyznami, których kochała najbardziej na świecie, których kochała bardziej niż własne życie. Nie miała już żadnych pytań. Wiedziała dokładnie gdzie należy.